

EWA STEC

ROMANS Z TRUPEM W TLE



Kiedy przylapiesz narzeczonego w łóżku – a właściwie na fotelu dentystycznym – z inną, możesz zrobić trzy rzeczy:

- wybaczyć,
- upić się
- albo zemścić.

Agnieszka Rusalka postanawia się upić. A potem zemścić. Za pomocą ogrodowego krasnala. I wpłataje się w niesamowite tarapaty...

Policyjne zasadzki,
porwanie i pościg,
Mikołaj, Superman i Mozart,
kuzynka modelka i sąsiad Wiesio,
nadopiekuńcza matka i złośliwa ciotka,
wróżka Klara Widząca i magiczny kor,
dwie zwariowane przyjaciółki
i Bond, Jerzy Bond.

A wszystko to w zabawnej i pełnej zwrotów akcji powieści Ewy Stec.

Jeśli kochasz książki Chmielewskiej, ta powieść Cię zachwyci.

cena detal. 29,90 zł



onet.pl empik.com

www.otwarte.eu

EWA STEC

ROMANS

Z TRUPEM

W TLE

Wydawnictwo Otwarte Kraków 2009

Projekt okładki:

Adam Stach

Fotografia na pierwszej stronie okładki:

Ignacy Pelikan-Krupiński

Fotografia autorki na okładce:

Jacek Lenczowski

Redakcja:

Arietta Kacprzak

Opracowanie typograficzne książki:

Daniel Malak

Adiustacja:

Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Korekta:

Maria Armata / Wydawnictwo JAK,

Janina Burek / Wydawnictwo JAK

Łamanie:

Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Copyright © by Ewa Stec ISBN 978-83-7515-057-5

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Bezpłatna infolinia: 0800-130-082

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,

w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

*Dla Piotrusia,
bez którego nie byłoby tej książki*

Pistolety były dwa. Oba czarne, błyszczące i potencjalnie zabójcze. Czy były naładowane? Wołałam nie wiedzieć. Tym bardziej że jeden z nich znajdował się niepokojąco blisko mojego mózgu, uciskając prawą skroń, a drugi, trzymany przez stojącego parę kroków dalej mężczyznę, wymierzony był w głowę mojego prześladowcy... Tak czy inaczej znajdowałam się na linii strzału. Myśli chaotycznie obijały się o ściany mojego zniewolonego strachem umysłu, a lodowaty dotyk metalu paraliżował wolę walki.

I pomyśleć, że mężczyzna z pistoletem miał być tym jedynym! I to... i jeden, i drugi... Zaczęłam się zastanawiać nad życiem i przeznaczeniem, które tak naprawdę wcale nie jest ślepe i daje się manipulować byle komu. Jak ja się w to wszystko wpakowałam?! Przecież to miał być romans, taki z happy endem, a wyszedł z tego jakiś tani kryminał, w którym w dodatku gram rolę ofiary.

Z urazą pomyślałam o zastygłych w obliczu zaistniałej sytuacji mężczyznach. Dlaczego oni nie są normalni? Czemu tak trudno dzisiaj o zwykłych, sympatycznych chłopców - tych miłych, sumiennych księgowych, tych pomocnych, uśmiechniętych sprzedawców? Może i są nudni, ale przynajmniej nie gonią się po mieście, wymachując pistoletami! Jeśli wyjdę bez szwanku z całej tej historii, właśnie takiego mężczyzny sobie poszukam!

Przekorny chochlik w mojej głowie zaśmiewał się do rozpuku, przyganiając mi od naiwnych gęsi, a ja wróciłam myślami do samego początku całej tej nieprawdopodobnej historii, do owego feralnego wtorku dwa tygodnie wcześniej, kiedy przeznaczenie zawiodło mnie w jedno dobrze znane desperatom i pijakom miejsce...

ROZDZIAŁ 1

Siedziałam sama przy barze w tej obskurnej knajpie przy Mikołajskiej. Było prawie pusto. Ciemno, zimno i śmierdziało petami, a choinka na ladzie z całą pewnością pamiętała ostatnie Boże Narodzenie. W PRL-u. Stolik przy oknie okupowała parka studentów, śliniąc się i wdzięcząc do siebie. Fuj. Nie mogłam tego znieść. Spojrzałam w drugą stronę. Przy stoliku obok siedział pijak z niedopałkiem w ustach, rozbitek życiowy zapatrzony w dno swojego kufła.

Ciekawe, jak ja będę wyglądać za dwadzieścia lat? Moja sytuacja stanowczo nie skłaniała do optymizmu...

Lampa jak uliczna latarnia, zawieszona na jednym z ramion unitu stomatologicznego, kołysze się rytmicznie, rzucając ostre, nieprzyjazne światło. W blasku lampy nagość - motyw przewodni: prężne męskie pośladki, uległe kobiece piersi i czarny motyl wytatuowany na dłoni napiętej miłosną rozkoszą. Krwistoczerwone paznokcie wbijają się w zgniłozieloną tapicerkę fotela. Ten, nieprzyzwyczajony do miłosnych podrygów i jęków, przekrzywia się lekko, jakby zdziwiony odmianą. Jego miarowe drżenie uprawia w ruch stalowe wiertła, których stukot przeplata się z przyspieszonym, świszczącym oddechem kochanków. Wybuch wulkanu namiętności pociąga za sobą małe trzęsienie ziemi. Lampa kołysze się coraz szybciej. Przedmioty raz giną w mroku, raz wylaniają się z niego. Fotel skrzypi. Lampa oświetla zaparowane okno, cień twarzy za szybą. Taca z narzędziami przesuwa się gwałtownie. Trach! Spada. Narzędzia rozsypują się po podłodze. Fotel się poci. Tarcie nagiego pośladka o skórzaną nawierzchnię rozgrzewa ją do czerwoności i...

Oby się jej dupa do fotela przykleiła!

Wstrząsnął mną kolejny dreszcz. Wróciłam do rzeczywistości i przeganiając - bez skutku - torturujące mnie wspomnienie, podniosłam kieliszek

do ust. Nie czułam już alkoholu. W ustach pozostał tylko słony smak łez i paląca gorycz zdrady. Zamówiłam następne martini. Wtedy mój wzrok padł na siedzącego dwa krzesła dalej faceta. Młody, na oko trzydzieści parę, chociaż czarne włosy przyprószone miał już nieco siwizną, przystojny, wyjątkowo w moim typie, a w dodatku dobrze ubrany. Nie pasował do tego otoczenia. Tacy jak on nie przychodzą do barów takich jak ten. No ale z drugiej strony, ja też nie chodzę w takie miejsca. Chyba że są po drodze na koniec świata, na który się dzisiaj wybieram.

Nieznajomy uśmiechnął się do mnie.

Proszę, proszę, facet mnie podrywa. Klasycznie, w barze. Niezły ubaw. Wiadomo już, co tu robi.

Przeglądałam mu się dyskretnie, gdy nagle wstał i podszedł do mnie. Poczulałam delikatny, acz intrygujący zapach owoców o nazwach równie egzotycznych jak serwowane tu drinki. O ile bury płyn o nazwie Rozgrzewająca Tajka można do takowych zaliczyć.

- Mogę się dosiąść? - zapytał facet przepraszająco. - Przydałoby mi się towarzystwo.

Skinęłam głową i wskazałam na krzesło obok.

- Proszę siadać, nie czekam dziś na nikogo.

- Nazywam się Bond. Jerzy Bond - powiedział ze znaczącym uśmiechem.

O mało nie udławiłam się przelitykanym właśnie alkoholem.

- Aha... Dobrze... I kobiecą anatomię pewnie ma pan, panie Bond, w małym paluszku, co? - zapytałam kpiącym głosem. - Która by nie rozłożyła nóg przed superagentem i supermężczyzną z superpotencjałem seksualnym? - mruknęłam już do siebie, bynajmniej nie troszcząc się o to, czy słyszał. - Taak... Bo oczywiście jest pan superagentem ratującym świat przed zagładą, prawda? - dodałam już głośniejszym głosem, ponownie podnosząc kieliszek do ust.

Ciekawe, jak szybko zaproponuje mi namiętny wieczór na tylnym siedzeniu swojego samochodu?

Przystojny nieznajomy spojrział na mnie ubawiony.

- No, niezupełnie. Superagent ze mnie żaden, ale anatomię to faktycznie mam opanowaną całkiem dobrze. Jestem ginekologiem.

Upsss... Poczulałam nagłą chęć ewakuacji.

- Ach, tak - próbowałam się ratować. - To wiele wyjaśnia...

Zacisnęłam dłonie na kieliszku.

- A przychodzi pan tutaj, panie Bond, w poszukiwaniu pacjentek, czy może szuka pan przygód?

Boże! Co ja wygaduję?!... Muszę pamiętać: nigdy więcej alkoholu na pusty żołądek.

Mężczyzna nagle spochmurniał. Westchnął, wskazał ręką swój kieliszek i powiedział:

- Właściwie przyszedłem tu, żeby się najzwyczajniej w świecie upić i zapomnieć o smutnej rzeczywistości.

- To tak jak ja. Czyżby superfaceci z superpotencjałem też mieli problemy miłosne? - rzuciłam z przekąsem.

- Znowu pani nie trafiła. Zmarła mi pacjentka. Przychodziła do mnie od lat. Młoda, śliczna i pełna życia. Czasem zapominam, że nie jestem cudotwórcą.

Poczułam się co najmniej jak idiotka.

- Przepraszam - powiedziałam cicho. - To rzeczywiście straszne. Przy takiej tragedii wszystko inne przestaje mieć znaczenie.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

- Właśnie. Ale życie toczy się dalej. A pani co dolega? Chyba mówią pani coś o problemach miłosnych?

Nie odpowiedziałam. Dalej sączyłam martini. Ogrzewając kieliszek dłońmi, obserwowałam, jak kostki lodu zmieniają powoli stan skupienia.

- Proszę mi opowiedzieć. Poczucie się pani lepiej, pani... Jak pani ma właściwie na imię?

Spojrzałam na niego. Rany, ale przystojny facet. Moja ręka bezwiednie uściśnęła jego dłoń.

- Agnieszka. Agnieszka Rusałka. Bardzo mi miło.

Bardzo mi miło?! Kobieto! Ty zimna suka jesteś! Bratasz się z przedstawicielem wrogiego gatunku!

Mężczyzna znowu się uśmiechnął, tym razem łobuzersko.

- A wie pani, pani Agnieszko, że znam wiersz o rusałce?

- Może pan sobie darować, panie... Bond. Słyszałam już wszystkie. - Pokiwałam pobłażliwie głową.

- No trudno. A więc, pani Agnieszko, co to za problem? Musi mi pani opowiedzieć! - nalegał, wpatrując się we mnie błękitnymi oczami.

Mmm... Błękitne niebo w piękny letni dzień... Jaka szkoda, że raz na zawsze kończę z tymi dwulicowymi gadami. Chociaż... ten egzemplarz wydaje się jakiś wyjątkowo ludzki. Można by go wykorzystać do złagodzenia wewnętrznego napięcia i wyładowania negatywnej energii.

Martini szumiało mi w głowie coraz bardziej. Rozejrzałam się niezdecydowana. Barman udawał, że myje szklanki. Patrzyłam przez chwilę, jak płucze je szybko i odkłada ociekające na półkę. Parka studentów zaczęła się zbierać, pragnęli chyba zaspokoić swe zwierzęce instynkty w nieco intymniejszej scenerii. Pijak przysypiał nad pustym kuflem.

A co mi tam! Pewnie i tak nigdy więcej go nie zobaczę.

- A zatem, panie ginekologu-superagencie, historia z życia wzięta i bardzo banalna... - Przybrałam ironiczno-obojętny wyraz twarzy i podparłam brodę ręką. - Mój narzeczony też najwidoczniej chciał zapomnieć o smutnej rzeczywistości, tylko że wybrał nieco inny sposób. Dokładnie przed godziną wypatrzyłam go w objęciach pewnej... Jak by to określić eufemistycznie? *Femme fatale*. Liczyli sobie plomby... językami. Niby nie, w końcu Jacek jest dentystą. A może stara się przekwalifikować na ginekologa? Upsss! Przepraszam, panie Jerzy, to nie żaden przytyk, ale rozumie pan moje rozgoryczenie...

Na samo wspomnienie sceny fotelowej zrobiło mi się tak niedobrze, że zamówiłam kolejne martini. Nieznajomy przyglądał mi się, nic nie mówiąc, a ja bardzo się starałam być lekceważąca i racjonalna.

Nie będziesz ryczeć jak mała dziewczynka! Nie będziesz ryczeć jak mała dziewczynka! Jesteś twarda! Jesteś zimna! Nie będziesz... Buu... Nie wytrzymałam. Zaczęłam wpadać w szpony mojej emocjonalno irracjonalnej osobowości.

Pan Jerzy Bond przytulił mnie niespodziewanie. Zamarłam. Na plecach poczułam delikatne mrowienie. Tak... Cierpiałam w umięśnionych ramionach boskiego faceta. Przyszynają, to trochę złagodziło mój ból egzystencjalny.

Kiedy już z prawdziwą niechęcią wyswobodziłam się z męskich objęć, poczułam się mała, nic nieznacząca i bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwa.

- No, pani Agnieszko, musi się pani trzymać. Życie nie zawsze gra z nami *fair*. - Pan Jerzy patrzył na mnie z troską. - W każdym razie jestem pewien, że wszystko się jakoś ułoży...

- Oczywiście, że się nie ułoży! - przerwałam mu agresywnie. Zbyt agresywnie. - Właściwie to powinnam była się przygotować na tak dramatyczny finał mojego narzeczeństwa. W końcu te rzeczy zdarzają się w dzisiejszych czasach bardzo często, zwłaszcza że przywoity facet to gatunek niemal wymarły i na wolności już chyba nie występuje. Jedyne okazy, jakie znam, znajdują się pod ścisłą ochroną swoich żon!

Rzuciłam mu urażone spojrzenie. Oto przedstawiciel podłego gatunku. Moje zmaltretowane serce domagało się natychmiastowej egzekucji.

A on patrzył na mnie przez chwilę z uwagą, ze zrozumieniem i z jakąś nutą melancholii. Ale po chwili na jego twarzy znowu zagościł ten kpiący uśmiech.

- Droga pani Rusalko. Nie wszyscy osobnicy płci męskiej pochwalają takie wysoki. A poza tym chciałem właśnie zaproponować, że jedno pani słowo, a zajmę się niedobrym narzeczonym w sposób ostateczny. Jako agent 007 mam przecież licencję na zabijanie, prawda? Proszę mi opowiedzieć wszystko od początku do końca. Ulży pani.

Zastanawiałam się, czy poradzić mu, żeby dał sobie spokój, bo dzisiejszą noc i tak planuję spędzić w izbie wytrzeźwień, kiedy moje myśli zagłuszył jakiś piskliwy głos:

- Aa! Mój ulubiony pan doktor! Dobry wieczór! Zobaczyłam pana przez okno i postanowiłam skorzystać z okazji. Chciałam potwierdzić wizytę. Będę w poniedziałek, jak mówiłam.

Odwrociłam głowę. Za mną stała jakaś spalona słońcem piękność i wpatrywała się zachwycona w towarzyszącego mi mężczyznę. Bond odzajemnił jej uśmiech i mrugnął do mnie porozumiewawczo. A może tylko mi się wydawało?

- Dobry wieczór, pani Marleno. W takim razie zapraszam w poniedziałek. Wszystko dobrze?

- Nie nie jest dobrze, panie doktorze! - Przysiadła się nieproszona. - Mój chłopak uparł się na taki specjalny *design*... tam... - ściszyła nagle głos i rozejrzała się dokoła. - Kolczyk w pępku to już mu nie wystarcza.

Chciałabym skonsultować ewentualne zagrożenia...

- Ależ pani Marleno, proszę przyjść do gabinetu. To nie jest miejsce na takie rozmowy.

- Oczywiście! Ja przepraszam - zerwała się gwałtownie z miejsca i rzuciła mi nienawistne spojrzenie. - Przecież pan doktor zajęty:

Skoncentrowałam się na swoim kieliszku, a ona, wychodząc, powiedziała jeszcze do mnie, mrużąc ciężką od makijażu powiekę:

- Ależ z pani szczęściara. Pan doktor to taki czarujący mężczyzna. I w dodatku prawdziwy dżentelmen. Szkoda, że ma taki nietypowy gust - westchnęła obłudnie i wyszczerzyła swoje uzębienie, w którym z satysfakcją zauważyłam pewne ubytki. Potem nachyliła się nade mną i słodkim głosem wyszczała: - Jak widać, ciało nie jest dla niego najważniejsze.

Z oburzenia opadła mi szczęka. Już jej miałam odpowiedzieć, że najwidoczniej nie wszyscy mężczyźni lubią przypalone mięso, ale zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Spojrzałam kpiąco na swojego towarzysza.

- Pan doktor powinien sprzedawać koszulki z napisem *I love my gynaecologist!* - doradziłam mu życzliwie. - Mógłby pan nie zły interes rozkręcić.

Roześmiał się głośnie.

- Proszę nie wyrabiać sobie o mnie opinii na podstawie moich pacjentek, pani Agnieszko. I co najważniejsze, nie zmieniać tematu. Co to za drań panią zranił? Niech pani opowiada. Proszę mi wierzyć, jak widzę panią taką zapłakaną, to nóż sam się w kieszeni otwiera!

Westchnęłam i wzruszyłam ramionami.

- Właściwie to nie ma dużo do opowiadania. Poznałam Jacka w zeszłym roku w samolocie. Zaiskrzyło między nami. Był przystojny, inteligentny, dowcipny. Następnego dnia przysłał mi kwiaty i zaproszenie na kolację. To było jak sen, panie Bond. Jak hollywoodzki romans. Wszystkie koleżanki mi zazdrościły. Właściwie nasz związek od początku był bardziej oparty na pociągu fizycznym niż na pokrewieństwie dusz... Takiemu idealnemu i wyjątkowo grzecznemu mężczyźnie jak pan, agencie 007, będzie to trud no zrozumieć.

Spojrzał na mnie ubawiony, ale nie skomentował.

- Zresztą, pominiemy szczegóły. Zareczyliśmy się, a ślub odbyłby się dokładnie za dni piętnaście, licząc od dzisiaj, gdybym przed godziną w dosyć brutalny sposób nie dowiedziała się, że nasza przyszłość należy, paradoksalnie, do przeszłości... - Znowu westchnęłam. Od tego ciągłego wdychania zaczynałam już mieć zadyszkę. - Miał dzisiaj późno skończyć pracę. Chciałam mu zrobić niespodziankę i pomyślałam, że byłoby miło wybrać się gdzieś na kolację, porozmawiać o ślubie, o przyszłości. Kiedy przyjechałam, klinika była zamknięta, ale zauważyłam, że w jego gabinecie świeci się światło. Podeszłam do okna i wtedy ich zobaczyłam. Okazuje się, że różne rzeczy można robić na fotelu dentystycznym...

Nie czekając na komentarz ze strony mojego towarzysza, poprosiłam o następne martini. Tym razem zaprotestował i kazał podać kawę.

- Tę kolejkę ja stawiam. Proszę się nie buntować. Jutro i tak będzie pani miała niezłego kaca.

Barman spojrział na mnie. Nie słysząc słowa sprzeciwu, wzruszył ramionami i począł włączyć czajnik.

- Patrzyłam na nich i patrzyłam. Sparaliżowało mnie - ciągnęłam, nie zwracając na nic uwagi. W głowie jak drzazga tkwił wytatuowany czarny motyl na drżącej dłoni tamtej. - Nie wie działałam, co mam zrobić, jak zareagować. Nie widzieli mnie. Uciekłam... I przyszłam tutaj, panie Bond. Taka mała przerwa w podróży na koniec świata.

Uśmiechnęłam się przez łzy. Musiałam wyglądać jak siedem nie-szczęść, bo znowu mnie przytulił.

Boże, żalósne! Podrywam faceta w barze na litość.

- Proszę się uspokoić, pani Agnieszko - powiedział zdecydowanie. - Teraz zabiorę panią do domu, musi się pani przespać, przemyśleć to wszystko jeszcze raz. Na żaden koniec świata się pani dziś nie wybiera. Proszę podać mi rękę - wyciągnął swoją dłoń.

Patrzyłam na jego długie palce, myśląc o tym, jak matka natura obdarza niektórych odpowiednim narzędziem pracy. Ale się upiłam. Ostrożna byłam jednak jak zwykle.

- I pan, panie Bond Jerzy, myśli, że dam się odwieźć do domu obcemu facetowi poznanemu w barze? I to w dodatku agentowi z taką reputacją? - Zaśmiałam się i podniosłam z krzesła. Okazało się jednak, że podłoga

nie znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna, a moje nogi nie do końca załapały, że opuszczamy ten lokal.

- Chyba nie ma pani wyjścia, Rusalko - powiedział pobłaźliwie.

Nie mogłam zaprzeczyć. Właściwie nic już nie mogłam. Jak przez mgłę pamiętam tylko obrazy, nieczytelne i rozmazane. Samochód. Łóżko. Ciemność.

ROZDZIAŁ 2

Obudziłam się z potwornym bólem głowy. Śmigła helikoptera rozsadzającego mi czaszkę pracowały na najwyższych obrotach. Z wysiłkiem otworzyłam oczy. Zamrugałam i rozejrzałam się dokoła nieprzytomnie. Pustka. Po chwili intensywnego wysiłku intelektualnego uświadomiłam sobie, że nie jestem u siebie. Myśląc jeszcze bardziej intensywnie, doszłam do kolejnego zaskakującego wniosku: jestem u kogoś. To był fakt niezaprzeczalny. Znajdowałam się w czyjejś sypialni, w czymś łóżku. Ściany były koloru kości słoniowej, meble wiśniowe, a pościel pachniała seksownie męską wodą kolońską. Na nocnym stoliku zauważyłam jakieś zdjęcie. Z wysiłkiem wzięłam je do ręki i starając się zapanować nad ostrością własnego wzroku, wpatrywałam się w nie intensywnie do chwili, kiedy migające różnokolorowe kropeczki ułożyły się wreszcie w logiczną całość. Zdjęcie przedstawiało roześmianą parę, śliczną brunetkę i przystojnego mężczyznę o niebieskich oczach, które wydały mi się dziwnie znajome. I nagle mnie otrzeźwiło. Przypomniałam sobie faceta z baru i przestraszyłam się nie na żarty.

- Boże jedyny! A jak mi coś zrobił?! - pomyślałam z przerażeniem, najwidoczniej na głos, bo zaraz potem usłyszałam śmiech.

Spojrzałam gwałtownie w tamtą stronę. Oparty o framugę drzwi stał z założonymi rękami szalenie przystojny ginekolog *vel* agent Jerzy Bond i przyglądał mi się rozbawiony. W mojej głowie szalała burza myśli. Naciągnęłam koldrę pod brodę i drżącą ręką starałam się wyczuć majtki.

- Czy my... - Przeważenie odebrało mi mowę.

Mężczyzna uśmiechnął się ciepło i powiedział:

- Ależ skąd, pani Agnieszko. To zupełnie nie w moim stylu. Zresztą bardzo się pani rozchorowała w nocy. A jeśli chodzi o to, że leży pani w moim łóżku, to przyznaję, pozwoliłem sobie panią położyć, a nawet trochę rozebrać. Rzecz jasna, zdjąłem tylko buty i sweterek. Nie śmiałem tykać

niczego więcej. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie, żebym nie chciał, ale... - mrugnął beczelnie okiem - po wszystkich pani mądrościach na temat samców i ich wrednego charakteru bałem się ściągnąć z pani nawet ten brudny podkoszulek.

Spojrzałam po sobie. Nagle wszystko stało się przeraźliwie wyraziste i realne, a złośliwy chochlik w mojej głowie wykrzykiwał oskarżycielsko:

Torsje, wymiociny, pospolite rzygowiny! Totalna porażka towarzyska! Porażka towarzyska! Porażka...

Ukryłam twarz w dłoniach.

- Proszę na mnie nie patrzeć. Ale wstyd. Przepraszam.

- Pani Agnieszko, nic nie zmienia faktu, że jest pani rusalką.

Ciepły głos nieznanego podziałał na mnie kojąco.

Ale facet... Nie! Nie dam się. Mężczyźni są wszyscy tacy sami. Rozkończują nas w sobie, a potem nagle znikają, umierają albo zdradzają, a my pozostajemy ze złamanym sercem. A jeśli któryś zostaje, to najwyżej po to, by marudzić przez następne półwiecze na temat jedzenia, garów, seksu i tych dziurawych skarpetek.

- A to kto? - postanowiłam ukryć zażenowanie, zmieniając temat, i wskazałam na zdjęcie.

Jak widać, wszyscy przystojni mężczyźni są już zajęci. Choć niektórym kobietom bynajmniej to nie przeszkadza. Przypomniało mi się chętne ciało drżące pod ciężarem ciała mojego nie mniej chętnego narzeczonego. A tfu!

- A... to moja była żona.

Jerzy podszedł do mnie i zabrał zdjęcie. Schował je do szuflady i usiadł na łóżku. Staralam się opanować drżenie rąk.

- Była? A co się stało? - zapytałam ostrożnie, delektując się mimowolnie jego bliskością.

Patrzył na mnie przez chwilę błękitnymi oczyma.

- Zostawiła mnie. Stare dzieje, niewarte wspomnień.

Jak niewarte wspomnień, skoro zdjęcie dalej tu stoi? Patrząc tak na niego ukradkiem, nabrałam ochoty na pocieszenie. Nie jestem jedyną osobą na tym padole łez, która została oszukana przez los. Zaraz mu powiem, że wszystko się ułoży. Zaśmiałam się sarkastycznie w duszy i chyba nie tylko w duszy, bo spojrzał na mnie z zaciekawieniem i skomentował:

- Widzę, że już lepiej? Zaraz znajdę pani jakąś czystą koszulkę i zapraszam do skorzystania z mojego prysznica, jeśli oczywiście ma pani ochotę.

Skierował się w stronę drzwi.

- Łazienka jest po prawej stronie. Aha, i proszę nie rozpowiadać o dzisiejszej nocy, bo stracę reputację - powiedział, wróciwszy do swojego kpiącego tonu.

- Chyba zyskałby pan cały tabun nowych pacjentek, panie Bond - odpowiedziałam szczerze, starając się z jak największą gracją wygramolić z łóżka. Bez powodzenia.

- Wie pani, tu bynajmniej nie chodzi o pacjentki - znowu mrugnął bezczelnie okiem. - Koledzy by się ze mnie jeszcze długo śmiali, że kładę do własnego łóżka piękną kobietę, a sam śpię na kanapie.

Pozostałam to bez komentarza.

Znalazłam łazienkę. Kiedy spojrzałam w lustro, przestraszyłam się samej siebie. Moje włosy przypominały strąki wysuszonej fasoli, a granatowa maskara dotarła aż na policzki i kontrastowała wściekle z bladozieloną cerą.

Jak mogłaś! Złamałaś żelazną zasadę: nie pokazujemy się przystojnemu mężczyźnie bez odpowiedniego makijażu i koronkowych majtek. A ty co? Potworne! - wypominałam sobie, starając się zmyć resztki wodoodpornego tuszu namydlonym kawałkiem papieru toaletowego. Z marnym skutkiem.

Szybko zrzuciłam z siebie ubranie i weszłam pod prysznic. Ogarnęła mnie wielka błogość. Ciepła woda działała kojąco i terapeutycznie. Zmyłam z siebie cały wczorajszy dzień i postanowiłam raz na zawsze zapomnieć o przeszłości. Było, nie ma, a co najważniejsze, nie wróci. Nie będę więcej myśleć o Jacku. W końcu niebo zesłało tego tajemniczego faceta o niebieskich oczach i smukłych palcach specjalnie dla mnie i specjalnie wczoraj nie bez powodu, prawda? To przeznaczenie! Przecież ewidentnie ten mój anioł stróż, tak nawiasem mówiąc niezziemski matoł, po raz pierwszy stanął na wysokości zadania. Hmm... Załóżmy, że Jacek najwyżej w świecie nie jest tą drugą połówką pomarańczy.

Moje przytępione alkoholem rozmyślania przerwał nagły atak rozsądku. Nie przypuszczałam nawet, że rozsądek potrafi zboleć. Brr! Co ja takiego wymyślam?! A ostatnie pół roku dzikich namiętności? A suknia,

która już prawie gotowa czeka na przymiarzkę w Galerii Ślubnej? A zaproszeni goście? O, nie! To koniec. Żadnych facetów! Pójdę na terapię, stanę się silną, niezależną kobietą, a w ostateczności, jeśli mama będzie uparcie obstawać przy wnukach, kupię sobie dobrej klasy nasionko i zrobię *in vitro*.

Ze złością zakręciłam wodę i zaczęłam wycierać się w jego ręcznik. Znowu ten rozbijający zapach. Feromony oszalały. Ale w sumie nie ma się czemu dziwić. W miarę upływu lat pogłębiają się nie tylko zmarszczki, ale i instynkt macierzyński, który każe nam trwać na posterunku i nie spocząć przed osiągnięciem celu. A poza tym po co płacić za *in vitro*, jeśli można osiągnąć cel za darmo, i to przy sporej dozie przyjemności?

Wycierając włosy, musiałam pobudzić jakieś komórki odpowiedzialne za myślenie, bo nagle wróciłam do rzeczywistości.

Cholera! Która właściwie jest godzina?!

Wpadłam do kuchni w samym tylko ręczniku.

- Jerzy, Jerzy!!!

- Tak? - zapytał spokojnie, przyglądając mi się z zadowoleniem. Siedział przy stole z kubkiem kawy i gazetą. - Koszulka nie pasuje?

- Och! - zaczęłam się wycofywać. - Słuchaj, która godzina?

- Druga.

- Jak to druga?! - skamieniałam. Ale tylko na ułamek sekundy. Już po chwili chaotycznie obijałam się o meble w poszukiwaniu torebki. - Niech to szlag! Miałam ważne spotkanie! Miałam omówić projekty! Gdzie moja torba?!! Gdzie mój telefon?! Muszę zadzwonić do pracowni!

Jerzy, nadal siedząc spokojnie, przyglądał się rozbawiony moim gorączkowym poszukiwaniom.

- A co, jeśli powiem, że rozmawiałem z twoim szefem, niejakim panem Malinowskim, i powiedziałem mu, że jesteś straszliwie chora?

Zmroziło mnie.

- No! Panie Bond! Niby skąd miałeś mój numer do pracy?! Tylko mi nie wmawiaj, że ci go wczoraj podałam razem z numerem konta i rozmiarem stanika!

Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Twój telefon dzwonił i dzwonił - wskazał na moją torbę wiszącą na krześle. - Za którymś razem postanowiłem odebrać, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś się o ciebie martwił. Niestety, jedyną osobą, która wykazała jakiegokolwiek zainteresowanie twoim losem, był właśnie twój szef. Swoją drogą, szalenie interesujący człowiek. Wykrzykiwał coś o kuchniach i łazienkach.

Powoli mój oddech wracał do normy.

- Nie powiedziałaś mi, że jesteś projektantką wnętrz. Ale z drugiej strony, nie mogłaś sobie przypomnieć nawet numeru swojego mieszkania.

Na policzkach poczułam żywy płomień wstydu.

- A jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, co takiego mi powiedziałaś, to przede wszystkim podzieliłaś się ze mną swoim genialnym pomysłem, by założyć fundusz wspierania partenogenezy, bo faceci to świny i wszyscy bez wyjątku zasługują na kastrację, tak dla zasady i na wszelki wypadek. Twoje słowa! A rozmiary staników? Cóż... Chyba mnie nie doceniasz, moja droga - znowu bezczelnie mrugnął okiem. - Gdyby były zawody w zgadywaniu rozmiaru biustu, zostałbym mistrzem świata.

Och! Wpatrywałam się oniemiała w jego zadowoloną minę i nagle, tracąc zupełnie kontrolę nad swoimi emocjami, zaczęłam się straszliwie śmiać. Histerycznie. Bez racjonalnego powodu. Bez sensu. Ale poczułam się znacznie lepiej. Tak trzymać. Trzeba nabrać dystansu do życia i wydarzeń. Życie toczy się dalej. A może właśnie ten facet pomoże mi zapamiętać?

Nie! Absolutnie nie. Nie potrzebuję żadnych samców. Jestem przecież zimną suką. A na pewno nią zostanę, tylko na terapię muszę... się... zapisać. Jezu kochany, ale ma oczy...

Postanawiając rozważyć jeszcze kwestię terapii, w końcu kosztowałyby mnie to majątek, wróciłam do łazienki, założyłam jego pachnącą koszulkę, uczesałam włosy i z powrotem znalazłam się w kuchni. Jedno jego spojrzenie i od razu wiedziałam, że wyglądam znacznie lepiej. Faceci mają tę cudowną zdolność mówienia komplementów bez jednego słowa. Niestety, jeśli wyglądamy fatalnie, widać to na ich twarzach równie wyraźnie.

Podał mi filiżankę kawy. Na stole leżały apetyczne bułeczki, powidła i twarożek.

- A masz może cynamon? - zapytałam, wciągając z rozkoszą zapach świeżego pieczywa.

- Cynamon? A po co?

- Do kawy. - Wzięłam do ręki bułkę. Miała chropowatą skórkę posypaną makiem. - Zawsze po przebudzeniu piję kawę z cynamonem. Inaczej świat nie działa, jak należy.

- Aha. - Przyjrzał mi się z powagą, za którą krył się uśmiech. - Nie mam. Ale natychmiast wyruszam na poszukiwania!

Zerwał się i zniknął w przedpokoju. Pobiełam za nim.

- Ale nie trzeba, ja tylko...

- To chyba ważne, żeby świat działał bez zakłóceń - przerwał mi wymownie, wkładając płaszcz. - Spożywczy jest tuż za rogiem. Zaraz wracam!

Trzaśnięcie drzwiami, tupot szybkich kroków i cisza.

Nie zdążyłam zaprotestować. Ale z drugiej strony... jeśli zaspokojenie mojej zachcianki poprawi mu samopoczucie, to czemu nie? W końcu faceci lubią się czuć potrzebni, niezbędni, rycerscy. ..

Westchnęłam dziwnie radośnie i udałam się w kierunku kuchni. Niestety, zanim do niej dotarłam, ta stanowczo gorsza część mojej osobowości podkusiła mnie, by sprawdzić, co znajduje się za zamkniętymi drzwiami po prawej stronie łazienki. Ostrożnie nacisnęłam klamkę. Drzwi otworzyły się zachęcająco. Weszłam. Pokój przypominał miejską bibliotekę. Podeszłam do regałów i z ciekawością zaczęłam przeglądać stopy zakurzonych, dawno zapomnianych pozycji, jak i zupełnie nowych książek, których kurz nie zdążył jeszcze tknąć. W dużej części była to literatura medyczna. *Ginekologia operacyjna*, *High Risk Pregnancy*, *Atlas anatomiczny*... Dalej znajdowały się książki o zupełnie innej tematyce, na przykład *Harry Potter*... Uśmiechnęłam się mimowolnie. Za beletrystyką natrafiłam na liczne tomy poświęcone broni i narkotykom. I samochodom, oczywiście. Pokiwałam pobłażliwie głową. Ciekawe zainteresowania. Ale chłopcy nigdy nie wyrastają z tego typu literatury.

Kiedy już miałam wychodzić, moją uwagę przykuł zakurzony egzemplarz *Kamasutry*, wciśnięty pomiędzy *Seryjnych morderców* a *Leczenie uzależnień*. Jak to w życiu bywa: miłość i zbrodnia idą w parze. Ogarnęła

mnie okropna ochota, by sprawdzić, czy doktor Bond nie zaznaczył sobie przypadkiem jakiejś ulubionej strony. Zawahałam się i mimowolnie obejrzałam za siebie.

A co mi tam! Przecież się nie zorientuje. Zobaczmy...

Z uśmiezkiem psotnego dziecka wyciągnęłam *Kamasutrę*. Książka stojąca obok przewróciła się. Sięgnęłam, by ją odstawić na miejsce.

Ciekawe, która pozycja najbardziej mu...

Znieruchomiałam. Jedyne szczęka wykazywała oznaki dziwnego zwiotczenia. Tuż obok mojej dłoni, za książką, tkwił pistolet. Porażająco autentyczny pistolet. Oglądnęłam się niepewnie za siebie i mimowolnie dotknęłam chropowatej rękojeści. Po chwili wahania wyciągnęłam go. Był ciężki i zimny. Na lufie wygrawerowany miał napis: Walther P99.

Po co, do licha, ginekologowi pistolet?!

Stałam tak przez chwilę bez ruchu, z bronią w jednej, a *Kamasutrą* w drugiej ręce, zastanawiając się, czy to czasem nie jakiś erotyczny gadżet. Niektórzy lubią sobie pofantazjować... A może Jerzy to taka męska modliszka?!

I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Podskoczyłam przestraszona.

Boże święty! A teraz co?! Poczulałam się jak przestępca, który za moment zostanie przyłapany na gorącym uczynku. Co w takiej sytuacji robi dobrze zapowiadający się kryminalista? Rzecz jasna, stara się jak najlepiej ukryć dowody zbrodni.

Dzwonek zadzwonił drugi raz. Nie zastanawiając się długo, gwałtownie wepchnęłam pistolet na swoje miejsce, zastawiłam go książką i upewniwszy się, że wszystko wygląda dokładnie tak jak przedtem, szybko wybiegłam na korytarz. Jedyne, co zdążyłam usłyszeć, to echo oddalających się kroków. Na podłodze, wciśnięta pod drzwi wejściowe, leżała kartka papieru. Schyliłam się i podniosłam ją machinalnie.

„Przesyłka w drodze. Czekać na instrukcje”.

Zamrugalam gwałtownie. Co to ma niby znaczyć?! Pistolet. Tajemnicza kartka. Przesyłka...

Szajka ginekologów dybie na cnotę niewinnych rusalek. Najpierw ogłupiają je alkoholem, potem rozkochują bez pamięci, by w rezultacie wyprać im mózgi i wykorzystać do celów przestępczych.

Matko, mój mózg od dawna wykazuje cechy wyprania!

Spojrzałam w lustro wiszące na przeciwległej ścianie i roześmiałam się. Oto skutki zatrucia alkoholowego. Przystojny pan ginekolog ratuje mnie przed izbą wytrzeźwień, a może i czymś jeszcze gorszym, nie wykorzystuje sytuacji, na moje skinienie biegnie po cynamon, a ja dopuszczam do głosu moją skrzywioną, wybujalą do granic możliwości wyobraźnię! Wstyd, panno Rusalko! No właśnie: p a n n o .

I wtedy wrócił Jerzy. Drzwi otworzyły się i zobaczyłam jego zaróżowiony od mrozu nos i te oczy, kpiące i nieodgadnione. Stałam z kartką w ręce i patrzyłam na niego głupio. Uśmiechnął się. Ja też.

- Nie znalazłaś drogi powrotnej do kuchni? - zapytał zaczepnie, ściągając płaszcz i strzepując z niego świeży śnieg. - Może i bezpieczniej poczekać na przewodnika, niż zabłądzić...

Spojrzałam na niego spod oka.

- Odbierałam twoje wiadomości.

Kartkę wymieniłam na słóiczek z cynamonem. Przeczytał mimochodem skreślone słowa, a potem roześmiał się.

- Te dzieciaki sąsiadów. Ciągłe robią mi jakieś numery. Wczoraj znalazłem pod drzwiami informację, że wygrałem gwiazdkę z nieba. Może i wygrałem? - Rzucił we mnie tym męskim spojrzeniem, które pozwala kobiecie czuć się wyjątkowo. I tak właśnie się poczułam.

A kiedy znowu znaleźliśmy się przy kuchennym stole, oświadczyłam prowokacyjnie:

- Zwiedziłam twoją bibliotekę.

Spojrzał na mnie z uwagą. Powoli podniósł do ust filiżankę i odstawił ją szybko z dziwnym grymasem. Kawa najwyraźniej wystygła.

- Tak? I znalazłaś coś ciekawego?

Wziął do ręki nóż.

- Wiele interesujących... pozycji - odparłam, obserwując, jak pewnie wbija ostrze w bułkę i z precyzją chirurga rozkrawa ją na dwie części.

- Przeglądałaś jakąś? Zawahałam się.

- Owszem - przyznałam z ociąganiem. - Taką z obrazkami.

Zajęłam się swoją bułką.

Jaka ja jestem głupia! Jeśli mu powiem, że wygrzebałam w jego pokoju pistolet, to przecież z miejsca mnie wyrzuci! Jezu kochany, co on sobie o mnie pomyśli? Że jestem jakąś chorobliwie wścibską starą panną! I na pewno się ze mną nie umówi!

- Z obrazkami to mam tylko książki dla dorosłych. Którą konkretnie?

Kretynka! Broń każdy może mieć, do samoobrony! To legalne! No, a poza tym będę musiała się przyznać, że ze wszystkich książek chciałam sobie pooglądać akurat *Kamasutrę*! Jeszcze pomyśli, że mu coś sugeruję! Pomyśli, że jestem taka łatwa! Że szmata jakaś jestem!

- Atlas anatomiczny. Przeróżające rzeczy tam widziałam.

Uśmiechnęłam się słodko. Postanowiłam zapomnieć o całej sprawie i dać facetowi szansę. Poczekam jeszcze z terapią i zimną suką. W końcu każdy ma prawo do odrobiny szczęścia.

ROZDZIAŁ 3

Salon ślubny, zwany Galerią, należał do mojej przyjaciółki Julii, która sama już czterokrotnie wstępowała w związek małżeński. Jej czwarty mąż wymyślił sobie teorię, że Julia, jak każda sentymentalna baba, nie potrafi oprzeć się owym błyszczącym atlasom czy szeleszczącym halkom, i w prezencie ślubnym podarował jej Galerię. Julia okazała się zadziwiająco dobrą *businesswoman* i wyjątkowo wierną żoną przez cały kolejny rok, co było i tak niezwykle, bo rocznie średnio czterech przedstawicieli rodzaju męskiego pretendowało do miana jej głównego faworyta. Po przyjacielskim rozstaniu z czwartym mężem zdecydowała się zachować jego nazwisko i nie formalizować więcej swoich przygód z powodów czysto praktycznych. Poza tym nie wierzyła już w małżeństwo.

- Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią żyć w monogamicznym związku - mawiała, trując się zazwyczaj jakimś kosztownym i egzotycznym papierosem. - Kwestia podejścia do życia. Są tacy, którzy zdobywają Himalaje, i tacy, którzy szczytują we własnych łózkach. Jedni szaleją nago po plażach Karaibów, kopulują gdzie i z kim popadnie, a drudzy robią to przez prześcieradło, tylko i wyłącznie w celach prokreacyjnych i za pisemną zgodą radiowego kontrolera ruchu moralnej odnowy. To się nazywa różnorodność i dlatego świat jest piękny. A poza tym, moje panie, świat pełen jest cudownych mężczyzn. Ja ich czczę, ja w nich wierzę, nie mogłabym tak po prostu sobie odpuścić i zadowolić się tylko jednym.

- Po prostu puszczalska jesteś, i tyle - kwitowała zazwyczaj Kaśka, pozostająca w szczęśliwym związku od lat ośmiu, matka czteroletnich bliźniaków, za których sprawą Julia poprzysięgła nigdy nie mieć dzieci. - I skończysz z jakimś AIDS-em albo innym syfem. Niedługo będę ci się bała rękę podać.

- Oj, Kasia, Kasia - uśmiechała się odporna na takie uwagi Julia. - Możesz to nazwać, jak chcesz. Dla mnie miłość to sztuka, która wymaga

ciągłego rozwoju, doskonalenia, eksperymentów z tworzywem. A także poświęceń. Ja się uważam za konesera.

- Taak, to wypijmy za konesera męskich tyłków! – dodawała Kasia, wznosząc toast.

Jak zwykle dyskusja o tym, co jest sztuką, a co sztuką nie jest, przeciągała się do białego rana tudzież do momentu, w którym Kasi komórka zaczynała podskakiwać w rytmie ognistej samby. Był to znak, że gdzieś tam, desperacko uczepiony fali radiowej, jej mąż Paweł wzywa pomocy, nie mogąc poradzić sobie z długotrwałymi skutkami dodatniego testu ciążyowego sprzed pięciu lat.

Zaczęłam się zastanawiać, czy ja też nie powinnam przypadkiem zmienić podejścia do mężczyzn? Zostanę koneserem męskich tyłków jak Julia. A poza tym na kogo tu czekać? Królewicze na białych koniach i tak już bezpowrotnie pogalopowali w siną dal... Frajerzy.

- O czym tak zawzięcie myślisz? - moje medytacje przerwał ciepły głos Bonda, który patrząc na mnie z uśmiechem mogącym niewątpliwie rozbroić dzikie hordy bezlitosnych Amazoнок, parkował swoje czarne volvo przed Galerią Ślubną Julii.

Moja złość na ród męski nieco osłabła. Cóż... Jestem tylko kobietą.

- O królewiczu na białym koniu - odparłam, patrząc mu głęboko w oczy. - Zastanawiam się, jak by go zrzucić z siodła, żeby go bardziej krocze bolało.

Roześmiał się głośno, po czym zapytał współczująco:

- Na pewno chcesz tam wejść? Może lepiej zadzwonić? Będziesz się tylko niepotrzebnie męczyć.

Czyżbym w jego głosie usłyszała troskę? Oczarowałam go! Bez dwóch zdań! Ale zaraz, zaraz... To mój urok osobisty czy najzwyczajsza litość? Na pewno urok, nie będę się przecież oszukiwać!

- Chcę to załatwić od razu. A poza tym to moje przyjaciółki. Prędzej czy później i tak wylądowałabym u nich na psychoterapii z żubrówką w roli honorowego gościa. Tak, potrzeba mi psychoterapii żubrówkowej... - Spojrzałam na niego i mrugnęłam okiem. - Kac, panie Bond, nie nałóg, żeby nie było nieporozumień.

Odpięłam pas i westchnęłam głęboko, czując, że kiedy tylko wysiądę z jego samochodu, czar pryśnie i dopadną mnie ciągle żywe wizje miłosnych

igraszek pod lampą dentystyczną. A żeby ich poraziło!

- Pójdę już. Strasznie ci dziękuję za pomoc. Gdyby nie ty, skończyłabym pewnie w jakimś rynsztoku i już zupełnie straciłabym do siebie szacunek.

- Nie ma za co - powiedział i po chwili dodał jakoś tak niewyraźnie: - Słuchaj, Aga... jeśli miałabyś ochotę, to moglibyśmy się gdzieś razem wybrać... kiedyś... Może do kawiarni?

A może do sypialni, pomyślałam bezwiednie i z przerażeniem ugryzłam się w język, tak na wszelki wypadek. Ostatnio zdarza mi się myśleć na głos, a tego teraz bym nie chciała.

- Byłoby miło - odpowiedziałam szybko. - Naprawdę... miło... - Zatrzepotałam rękami jak jakaś małolata z rozstrojem hormonalnym, a chochlik w mojej głowie rozdarł się dziko: *sex bomb, sex bomb, you are sex bomb...* i przytupywał miarowo, przyprawiając mnie o straszliwy ból w czaszce. A może po prostu miałam rekordowego kaca?

Jerzy uśmiechnął się, jakby z ulgą, aczkolwiek z facetami nigdy nic nie wiadomo.

- Zadzwoń - powiedział jeszcze obiecująco i zapalił silnik.

Patrzyłam z żalem, jak znika za zakrętem. Jak ja nienawidzę zakrętów! Powinni je wszystkie wyprostować.

Chochlik się zamknął. Zrobiło mi się smutno. Teraz dopiero wróciłam do czarnej rzeczywistości. Powoli, dusząc w sobie rozpacz i gorycz uczuciowej katastrofy, odwróciłam się i otworzyłam drzwi Galerii. Od progu owionął mnie znajomy smród egzotycznych papierosów Julii i stare dobre Vaya Con Dios zawodzące w radiu: *Sometimes I feel so empty, so deserted and so lonely... And so many times saw love come to an end... Don't break my heart...* Bardzo na czasie. Nie zdążyłam nawet dobrze wejść, a już powitały mnie dzikie okrzyki moich przyjaciółek spragnionych szampańskiej zabawy:

- O! Panna młoda się wreszcie pokazała! Przyznaj się, co to za facet cię przywiózł?! Czyżbyś testowała żigolaków na wieczór panieński?! - przekrzykiwały się radośnie, rozlewając żubrówkę do kieliszków, które Julia zawsze trzymała na zapleczu. Tak na wszelki wypadek. Taki jak ten.

Zamknęłam drzwi. Patrzyłam, jak z głośnym „tadaaam!” wskazują na moją suknię ślubną wiszącą na wieszaku. Piękna, kremowa, *fabriqué en France*. Trzy tysiące złotych przerobione na jedwab, koronki i imponujący welon, symbol długiego i szczęśliwego pożycia.

Uśmiech przyszedł zbyt łatwo. Ściągnęłam płaszcz i rzuciłam go nie dbale na kremowe cudeńko.

- Hej - jęknęła zbulwersowana Julia. - Zabrudzisz!...

Wyciągnęłam rękę po kieliszek.

- Kobiety, mam dla was sensacyjne wieści, ale najpierw... wnieśmy toast! Za życie, które potrafi pieprzyć się jak najlepsza dziwka!

Za jednym zamachem wypróżniłam cały kieliszek.

- Co jest? - zapytała zaniepokojona Kaśka.

Julia podziwiała bluzkę, którą łaskawie pożyczył mi Jerzy.

- Hej, skąd ty wystraszyłaś tę koszulkę? Toż to autentyczny Klein *vin-tage*. Tylko nie chcę cię martwić, ale męska...

- Zamknij buzię i daj jej mówić! - Kasia potrafiła wyczuć problemy na odległość. - Przecież widzisz, że coś się stało!

Julia podeszła do sprawy w sposób nadzwyczaj dojrzały i pokazała Kasi język, po czym poklepała mnie po ramieniu.

- No, dawaj! Co jest?

Jakoś nie wiedziałam, od czego zacząć. Julia postanowiła mi pomóc.

- No! Mów! Pewnie księżulo nie udzielił wam sakramentu, bo zgrzeszyliście przed ślubem? Uświadom go, że czystość przedmałżeńska od wieków jest fikcją i pobożnym życzeniem tych od wydawania pozwoleń na stosunek prokreacyjny. A poza tym wiecie co? Słyszałam, że dziewictwo można naprawić! Ponoć w krajach, gdzie panna młoda ma wybór: albo jest dziewicą, albo zostaje wyzwana od nierządnic i ukamienowana, reperuje się jej dziewictwo, żeby życie ocalić, męża nie wkurzać, no i, rzecz jasna, żeby miał chłop satysfakcję. I tak sobie myślę, że u nas to dopiero byłby niezły biznes.

- Przestańże z tymi swoimi głupotami, daj jej powiedzieć! Nie widzisz, że to coś ważnego?! - Kasia zmarszczyła brwi i utkwiała we mnie pytające spojrzenie.

- Jacek mnie zdradza - oświadczyłam.

Poszło łatwiej, niż myślałam, choć na policzkach poczułam gorące łzy.

- Co?! Z kim?! - wykrzyknęły jednocześnie i obie dostały tak zwanego syndromu nagłego opadu szczęśliwości.

Z kim! Z kim! Od razu z kim! A co to, do cholery, za różnica?! Dlaczego wszyscy od razu chcą wiedzieć z kim!? Plotkary wstrętne! Wścibskie bab-ska! Wytarłam oczy. Jeszcze mi kontakty wypłyną.

- Nie wiem. Nie znam. Nie zdecydowałam się wejść i poprosić o do-wód tożsamości. Powiem tylko, że wyglądała na pełnoletnią i w pełni roz-winiętą fizycznie.

- Ale... tak... tak po prostu? Z inną kobietą?

Zacisnęłam pięści.

- Nie. Z deską klozetową.

Julia utkwiała we mnie inteligentne spojrzenie, zmęczone nieco kilkoma głębszymi. Westchnęłam ciężko. Lepiej nie przeciągać struny. Opowie-działam im wszystko z najdrobniejszymi szczegółami: o Jacku i jego małej tajemnicy, o mojej samotnej wędrowce na koniec świata i o przystojnym ginekologu, który mnie z owej wędrowki zawrócił.

Wiadomość o zdradzie spadła na nie jak grom z jasnego nieba. Były nią autentycznie zszokowane i każda przeżywała ją na swój sposób.

- Ale jak to? Ślubu nie będzie? - histeryzowała Julia.

Zależało jej na tym ślubie chyba bardziej niż mnie. Starła się zaistnieć na bardzo wąskim rynku organizatorów ekskluzywnych przyjęć weselnych i mój ślub miał być pokazem jej umiejętności.

- Przecież ja ci wszystko zaplanowałam! To miał być mój największy sukces zawodowy! Zaprosiłam nawet jedną taką z telewizji! I co ja teraz zrobię?!

Kaśka spojrziała na nią, przekrzywiając głowę.

- Widzę, że twój egocentryzm jest nieuleczalny! Ale może skupiłabyś się przez chwilę na siedzącej tu w rozpaczy kobiecie? Narzeczony ją zdra-dza! To o nią tu chodzi! Choć raz...

Nie dokończyła. Przeniosła całą swoją uwagę na mnie, dołała mi żu-brówki i powiedziała z przekonaniem:

- Nie jest ciebie wart! Drań! Ale wiesz co? Może lepiej teraz niż po ślubie? Pomyśl, jak trudno by go było zostawić, gdybyście mieli dzieci...

Wyobraziłam sobie swoje potencjalne dzieci - o ciemnych włosach i zielonych oczach Jacka - i znowu wybuchnęłam płaczem.

- No, nie bucz już, biedactwo. Widocznie masz spotkać kogoś lepszego.

Teraz pojawił się w mojej głowie uśmiechający się seksownie Jerzy. Może już spotkałam kogoś lepszego?

Julia, porzucając swój rozczarowany ton, dołączyła się z zapalem do pocieszenia.

- To akurat święta prawda! Zawsze kiedy facet znika z mojego życia, to dziwnym trafem los podstawia mi nowego. Lepszego - uśmiechnęła się z rozmarzeniem, myśląc chyba o swoim najświeższym podboju, którego nie zdążyłam jeszcze poznać.

- Ale Jacek był zawsze taki namiętny, taki troskliwy... - wyliczałam rozgoryczona. - Starał się, pamiętał o urodzinach, mamusi kwiaty posyłał. Cały czas mi powtarzał, że jestem tą wyjątkową, tą wybraną, tą jedyną... - buczałam, ostentacyjnie wycierając łzy w przepiękny welon. Julia odebrała mi go stanowczym ruchem.

- Każda jest tą jedyną, dopóki nie pojawi się ta druga - odpowiedziała mi dobitnie. - To jest powszechnie znana prawda i pogódź się z nią! Wierz mi, jak już wpuścisz do łóżka, to pozory zostają, żeby ktoś to łóżko grzał i obiad przygotował, ale wskazówka ich kompasu pokazuje już inny kierunek. Poczują stabilizację i od razu się rozbestwiają. Kończą się kwiatki, esemesy, romantyczne kolacje w blasku świec... Najlepiej trzymać ich krótko. A jak przestają o nas dbać, to koniec bajki. Nie można dać się udomowić jakiemuś facetowi tylko dlatego, że ma nieodparty urok osobisty. Uwieść jak najbardziej, ale nie udomowić!

Jej płomienne przemówienie zostało przerwane głośnym pukaniem w szybę.

- Co jest? - mruknęła, podnosząc się z wysiłkiem.

Podeszła do drzwi, uchyliła nieco żaluzję i odskoczyła gwałtownie. Spojrzała na mnie z nagłymi wypiekami na twarzy.

- Jacek!

Jacek?!

Oblał mnie zimny pot. Co on tu robi?! Zabiję go! Już widziałam się w wiadomościach, w pomarańczowym kombinezonie i kajdankach. Nieee. W pomarańczowym wyglądam przecież jak nieświeża galaretką. Może lepiej napuszcę na niego buldoga sąsiadki. Podobno jednemu już wgrzył się w przyrodzenie z taką siłą, że chłoptaş został całkiem niezłym sopranem. No tak, ale pies daleko, a Jacek za drzwiami. Co tu robić? Co robić? Nagle spłynęła na mnie jasność. Dematerializacja! Zerwałam się z miejsca i chaotycznie rozpoczęłam poszukiwania choćby mysiej dziury, w której mogłabym się schować.

- Nie ma mnie - syknęłam, włączając pod ladę. - Nie chcę go teraz widzieć ani tym bardziej z nim rozmawiać!

- Julia, Agnieszka! - zza drzwi dał się słyszeć zniecierpliwiony głos mojego niewiernego narzeczonego. - Wiem, że tam jesteście. Znam te wasze zabobony, jeśli jesteś w sukni ślubnej, pszczołko, to zamknę oczy. Otwórz drzwi, muszę z tobą porozmawiać.

Co?! Porozmawiać?! Czyżby chciał się przyznać, że lubi seks wyczynowy na fotelu dentystycznym?

- Nie ma mnie - powtórzyłam, zaciskając zęby i przykrywając sobie głowę jakąś szmatą. - Jestem małą kropeczką na szyi żyrafy...

Kasia stanęła za ladą i na wszelki wypadek postanowiła zasłonić mnie swoją spódnicą.

Usłyszałam odgłos przekręcanej klucza i przyjazne „witam panie”, które pozostało bez najmniejszego echa. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Wydawało mi się, że bicie mojego serca może z powodzeniem zagłuszyć dzwon Zygmunta. Poza tym zaczęło mi brakować powietrza.

- Tak?

Zimny głos Julii zapewne zbił z tropu mojego narzeczonego, bo usłyszałam nutę niepewności w pytaniu, jakie zadał:

- A... Agnieszka może jest?

- A... Agnieszki nie ma - Julia nie widziała żadnego powodu, by być uprzejmą. - Coś jeszcze?

Szmatą na głowie zaczęła mnie dusić.

- A... Jeszcze nie dojechała? Ma wyłączoną komórkę... - głos zawahał się. - A byłabyś tak miła i przekazała jej wiadomość?

- Jasne. I jeszcze przeliteruję, żeby nie było między wami nie-domówień.

Powoli, bezszelestnie zaczęłam odwijać sobie głowę. Fuj! Szmata najwidoczniej służyła Julii do wycierania dosłownie wszystkiego. A przy najmniej taki wydawała odór. Mój nos zaczynało rozsadzać to piekące uczucie poprzedzające wielkie kichnięcie.

- Powiedz jej, proszę, żeby zadzwoniła do mnie jak najszybciej. Paczka ma przyjść do mnie na jej adres. Muszę ją jak najszybciej dostać. Chciałem sprawdzić... Może już ją dostała?

Paczka?! Paczka?! Po to tu przyszedł? Już ja mu dam paczkę!

Wiercenie w nosie zrobiło się nie do zniesienia. Katastrofa wydawała się nieunikniona. Zdążyłam jeszcze zauważyć, że w rajstopach Kasi, tuż obok lewej kostki, jest wielka dziura, kiedy mój nos eksplodował.

A psik!!

Cisza. Przerwał ją zniecierpliwiony głos Julii.

- Coś jeszcze?

A psik!!

Zamarłam.

- Czy to czasem nie ... - usłyszałam wahanie i nutkę rozbawienia w głosie mojego eks.

- Przepraszam. Mam katar żołądka - wypaliła nagle Kasia i zaczęła nerwowo kaszleć.

- To... - głos Jacka gwałtownie zniknął, a ja poczułam powiew mroźnego powietrza.

Julia musiała wypchnąć go na zewnątrz. Trzasnęły drzwi.

- Poszedł! - Julia przeraźliwie zazgrzytała zębami. - Jak kocham facetów, tego mogłabym udusić własnymi rękami. Tak *à propos*, niezła ścierna, Kaśka.

Zacząłam kichać. Po dłuższej chwili doszłam do siebie. Wygramoliłam się spod lady i chwiejnym krokiem udałam się prosto do swojego kieliszka. Kasia chwyciła mnie mocno za ramię. Z jej ust, pominąwszy zapach alkoholu, wydobyła się sama mądrość.

- Teraz musisz pamiętać o jednym. Musisz pamiętać, że to wszystko to nie jest twoja wina! Słyszysz? To nie jest twoja wina!

Hmm... Dziwne, ale dopiero teraz zaczęłam się zastanawiać, czy to czasem nie moja wina. Może nie jestem wystarczająco ładna? Albo jestem za głupia? A może za słaba w łóżku?

Przeszedł mnie nagły dreszcz. Takie myślenie to efekt męskiej indoktrynacji, zaczynającej się już w przedszkolu.

To nie jest moja wina! Jestem ładna, zdolna i seksowna! *Samochwała w kącie stała i wciąż tak opowiadała...* - szepnął kpiąco chochlik w mojej głowie.

Właśnie, no to czemu mnie zdradził?

- No to czemu mnie zdradził?

Usiadłyśmy na podłodze obok prawie pustej butelki po napoju alkoholowym. Jak można było oczekiwać, poziom odpowiedzi był wysoki.

- Bo... - Julia usilnie starała się znaleźć sensowny argument. - Bo to tak jak z siusianiem, poczuł zew natury i musiał.

- Przestań, kobieto, już siły nie mam do ciebie! - warknęła Kasia. - Głupi był, i tyle! A poza tym widocznie nie było wam pisane, Aga. Zresztą, pamiętam twoje wątpliwości, kiedy zdecydowaliście się na ślub. To już wtedy nie rokowało dobrze.

- Ale żeby mnie zdradzić, tak bez uprzedzenia?

- Co ja z wami mam! - Kasia była wyraźnie zdegustowana. - Dlatego to się nazywa zdrada. Zdrada jest czymś, o czym się z reguły nie uprzedza. Mózgi wam się skurczyły od tego alkoholu. Do garów się nadajecie, a nie do poważnych rozgrywek męsko-damskich. Obie jesteście beznadziejne. Niedojrzałe i rozchwiane emocjonalne. Poza tym... Aga, nie oszukuj się. Na pewno mieliście swoje problemy, skoro do tego doszło. Łatwo się zapomina, przed czym się uciekało, łatwo się zapomina, że nie było różowo.

- Ale to nie o to chodzi, żeby cały czas było różowo. Chodzi o to, żeby czyjaś szczoneczka koło mojej stała... Żeby ktoś przytulił, pocałował... Nie chodzi przecież o jakieś szczeniackie zauroczenia i miłość wieczną. Chodzi o to, żeby się wszystko kręciło. Ja to wszystko już miałam, dlatego zdecydowałam się wyjść za Jacka. A poza tym było nam dobrze razem.

Julia pokiwała ze zrozumieniem głową.

- A ten ginekolog? Też musi być całkiem niezły. To profesjonaliści. Wszystko wiedzą... Wzięło cię? - zapytała nagle, przyglądając mi się bawczo.

Zmieszałam się.

- Przestań, przecież ja cierpię! Poza tym trzeba więcej niż przystojnego faceta, żeby mnie wzięło! - oświadczyłam dumna ze swoich przekonań i silnej woli.

- Taak? Akurat! - roześmiała się Julia. - A Jacek? Co takiego posiadał oprócz nieskazitelnych zębów i słodkiej chłopięcej buzi? Jakies przymioty ducha? Bo o moralności raczej nie ma co wspominać...

Przestałam się odzywać.

- A jaki ma tyłek? - Julia nie przestawała drażnić.

- Przed chwilą miałaś okazję się przyjrzeć.

- Nie Jacek. Ten ginekolog.

- A pytasz, bo...? - zawiesiłam wyczekująco głos.

- Mam swoją teorię na temat kształtu męskiego tyłka. Tak sobie ostatnio myślałam, że odzwierciedla ich *ego*.

Dosyć, powiedziałaabym, awangardowa teza.

- Zalewasz? - zainteresowała się Kasia i wychyliła kieliszek, sama zalewając robaczka. - Brr... - otrzępało ją. - A w jakim sensie?

- Zauważyłam, że ci wszyscy o wąskich biodrach mają skłonności depresyjne...

Julia przedstawiała ciekawe wyniki swoich badań na populacji męskiej, a ja wpatrywałam się w pustą butelkę, myśląc sobie, że alkohol, pomimo swoich poważnych skutków ubocznych, zdecydowanie wpływa na kreatywność.

Kiedy Julia skończyła ze swoimi nowatorskimi teoriami, zaczęłyśmy wspominać dawne czasy. Jak się ma dwadzieścia lat, to wszystko wydaje się takie proste. Jest chłopak i jest dziewczyna, spotykają się, zakochują w sobie, trzymają za ręce i tak już do końca życia patrzą na siebie, jakby nikt inny nie istniał. A tu klops. W okolicach trzydziestki okazuje się, że życie i miłość są nieco bardziej skomplikowane. A co to dopiero będzie po czterdziestce? Ryczące czterdziestki - tak to było? Nawet nie chcę wiedzieć.

- Mam! Wiem, kto potrafi odpowiedzieć na te twoje pytania egzystencjalne, a może i doradzić coś na miłość?! - wykrzyknęła nagle Julia. Zerwała się gwałtownie. - Jedziemy do wróżki! - obwieściła triumfalnie, próbując utrzymać równowagę.

Wymieniłyśmy z Kasią sceptyczne spojrzenia, ale bynajmniej nie zbiło to Julii z tropu.

- Wiecie, kiedy byłam załamana po rozstaniu z Radkiem...

- Twoim drugim...

- Moim trzecim mężem - poprawiła, marszcząc nos. - Babcia zabrała mnie do swojej dyżurnej wróżki. Chciała, żebym sobie jakoś lepiej zorganizowała życie, no i dowiedziała się, gdzie szukać tego jedyne-
go, jak uniknąć pułapek losu.

- I co? Udało się? - ironia w głosie Kasi była niezwykle wyraźna.

- Jeszcze nie, ale jestem na dobrej drodze. Przetestowałam już połowę męskiej populacji, więc na pewno jestem bliżej odnalezienia tego jedyne-
go. Za każdym razem jestem bliżej - odparowała Julia. - Poczekajcie.

Podeszła do telefonu i zamówiła taksówkę.

- Jedziemy. *Madame Klara Widząca* na pewno przepowie ci fanta-
styczne rzeczy.

Madame Klara Widząca? Taak. Na pewno przepowie mi fantastyczne
rzeczy...

ROZDZIAŁ 4

- Ja nie wsiadam. Jak usiądę, to już nie wstanę - oświadczyła Kasia, nie będąc do końca sobą po tych kilku głębszych. - Przepraszam pana... - nachyliła się nad taksówkarzem i zatrzepotała uroczo rzęsami. - Czy ma pan miejsca stojące?

Taksówkarz spojrział na nią wrogo.

- Żartuje pani? Nie mam czasu na jakieś wygłupy. Wsiadają panie czy nie? Niektórzy muszą pracować na chleb!

- Ulica Pawia - rzuciła Julia i nic sobie nie robiąc z miny taksówkarza, zmusiła Kasię do wejścia do samochodu. Po chwili oświadczyła tajemniczym głosem: - *Madame* Widząca jest niesamowita. Ma kryształową kulę. Autentyczną. I wszystko, co mi wywróżyła, się sprawdza!

Nie skomentowałam.

Zdecydowałyśmy się wysiąść przy Bagateli, chcąc się przewietrzyć i nieco ochłoniąć. Było już ciemno. Kraków odbijał się w zamarzniętych kałużach tysiącem migoczących świateł, tworząc paralelną rzeczywistość, do której miałam najszczerzą ochęć się wyprowadzić. Studzienki parowały, tworząc ciekawe efekty specjalne, a końskie pogotowie czyniło swoją powinność, sprząając rezultaty sprawnie działających końskich układów wydalniczych. Przejazdźki dorożkami są turystyczną atrakcją o każdej porze roku. Klimat jak z Gałczyńskiego. „Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń...”. Tak. Kraków jest prawdziwie zaczarowanym miastem. Widać to na każdym kroku: na Plantach, w każdym zaułku i w każdej sieni, a wszystkie drogi i tak prowadzą na Rynek, gdzie nad bawiącymi się czuwa pomnik wieszczka, który - nie czarujmy się jeszcze bardziej - też lubił sobie golnąć. A ileż miał zawodów miłosnych? Któż to zliczy... Choć te, przynajmniej na niego, działały inspirująco.

Szliśmy powoli, chłonąc tę magiczną atmosferę i rozmawiając na życiowe tematy.

- Ja to nie mam szczęścia do fryzjerów - zaliła się Julia. - Zawsze trafię na jakieś beztalencie.

- A może najzwyczajniej w świecie masz beznadziejne włosy i trudno coś z nimi zrobić? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? - Kasia była szczerą aż do bólu.

Julia z dziwnym grymasem pogłaskała się po wystrzyżonej czuprynie.

- Nie - wzruszyła ramionami. - Włosy mam jak każdy. Kwestia fryzjera. Dobry fryzjer jest w stanie nawet z niczego stworzyć dzieło sztuki.

- I łysego uczesać...

Szłam obok, zastanawiając się po raz tysięczny nad swoim losem. Spożyty wcześniej alkohol dawał złudne poczucie ciepła i zastrzyk pozytywnej energii, a także mocne kontrargumenty na złośliwe uwagi mojego przekornego *alter ego*, zwanego chochlikiem.

Masz już trzydzieści lat... Życie dopiero się zaczyna!

Mężczyzna, z którym, załóżmy, mogłabyś spędzić przynajmniej część swojej egzystencji, okazał się skończonym draniem i wiarołomnym kłamcą... Będzie następny! Przecież kilku ich jeszcze zostało!

Zostałaś sama, zagrożona staropanieństwem... A gdzie tam! Jestem singlem profesjonalistą, jakich wielu. To teraz taki trend w społeczeństwie, ignorującym nawoływania rządu do prokreacji, mającym gdzieś becikowe i inne korzyści wypływające z posiadania potomstwa.

I w dodatku z depresją... Nie depresją, tylko kacem!

Jedynym promykiem nadziei na lepsze czasy był tajemniczy doktor Bond, który, nie okłamujmy się, zapadł mi głęboko w pamięć. Zastanawiałam się, czy zadzwoni, i mimowolnie przypominałam sobie jego „ego”... Tak, miałam ochotę na dogłębne leczenie. ..

- Przypomnij mi, to pożyczę ci swój stanik - z zamyślenia wyrwał mnie głos Julii.

- Co proszę? - w pierwszej chwili nie zrozumiałam.

- Stanik.

- Ale... co stanik?
- Pożyczę ci.

Zaskoczona dotknęłam swojego biustu, mieszczącego się idealnie w moim najnowszym designerskim staniku. Czy coś z nim nie w porządku?

- A dlaczego?
- Na randkę z ginekologiem. Ależ dziewczę się upiło.
- Wiesz, bo to jest szczęśliwy stanik - produkowała się niezrażona Julia. - Jak go mam na sobie, to każdy facet jest mój.
- No właśnie: twój - parsknęła Kasia. - Lepiej uważaj, Aga, bo ci faceta podbierze jak nie!

Julia pokazała jej język.

- Nie słuchaj jej. Ja nie muszę nikomu odbierać facetów. Czysta za-
wiść przez nią przemawia. Ten stanik pracuje na tego, kto go nosi, moja
droga. Mojemu znajomemu, który lubi się czasami poprzebierać w dam-
skie ciuszki, też pomógł...

- I dostałaś go pewnie od wróżki, co? - Kasia przejawiała wyraźne za-
interesowanie magicznym gadżetem.

- Od babci. Miałam go na sobie, kiedy po raz pierwszy oddałam się
mężczyźnie - westchnęła z rozrzewnieniem.

- To ty się jeszcze do niego mieścisz? Od podstawówki biust ci jakby
urósł.

Julia rzuciła Kasi miazdzące spojrzenie, ale nie odpowiedziała, bo wła-
śnie dotarliśmy do celu naszej wędrówki.

- To tu.

Spojrzałam we wskazanym kierunku i oniemiałam. Przed nami znaj-
dowała się scenografia jakiegoś horroru - stara czynszowa kamienica w
stanie częściowego wyburzenia, do której prowadziło zawalone śmieciami
i gruzem podwórko. Spróchniała drewniana klatka schodowa nie wyglą-
dała zachęcająco.

- Gdzie ty nas ciągniesz? - przeraziła się Kasia. - To mi wygląda na ja-
kąś spelunę... A poza tym grozi zawaleniem. Nie wydaje ci się, że gdyby ta
czarownica była skuteczna, miałyby lepszy lokal?

- Nie czarownica, tylko wróżka - oburzyła się Julia. - Nic nie rozu-
miesz, *Madame* Widząca jest autentyczna. Myślisz kategoriami material-
nymi, moja droga. Wyrwij się z ciasnego pudełka. Dla prawdziwej wróżki

nie liczy się lokalizacja ani stan sanitarny, tylko możliwości, zdolności, których ty nie będziesz nigdy w stanie pojąć. Siła umysłu. Prawda. Ona nie zarabia na pomaganiu innym. To jak praca charytatywna, dar serca.

- Nie da się ukryć - mruknęła Kasia, z trudem przedzierając się przez kupy gruzu i śniegu.

Zatrzymałyśmy się przed zielonymi drzwiami, na których łuszcząca się powłoka starej farby przypominała jakiegoś gada zrzucającego skórę. Na drzwiach widniał numer trzynaście.

- Oj! - Kasia lubiła zwracać uwagę na symbole. – Pechowa trzynastka przed nami. Jesteście pewne, że chcecie tam wejść? W tarocie karta z numerem trzynaście zwiastuje śmierć.

Ja nieszczęśliwie miałam ochotę, ale Julia spojrzała z naganą na Kasię i powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu:

- Wchodzi Agnieszka. Dziś *Madame* Widząca będzie wróżyć tylko dla niej.

- Nie wejdę tam sama! - zaprotestowałam zdecydowanym tonem, przyglądając się nieufnie umieszczonemu koło drzwi ogłoszeniu:

„Administracja budynku informuje, że w dniu jutrzejszym od godziny ósmej odbędzie się dezynsekcja i deratyzacja”. „... i defekacja” - dopisał jeszcze czerwonym długopisem jakiś dowcipniś, a dochodzący zewsząd zapach dowodził, że ta najpewniej odbyła się już dzisiaj.

- Nie czuję się tu bezpiecznie - dodałam, zwracając się do Julii. - Poza tym znajduję się pod wpływem alkoholu i łatwo ulegam obcym. Jeszcze mi wmówi, że jestem kolejnym wcieleniem Buddy, i wyśle do Tybetu medytować.

- To wejdę z tobą - wzruszyła ramionami Julia.

- O nie, ja tu sama nie zostanę! - Kasia najwidoczniej też nie czuła się komfortowo.

Julia została wyprowadzona z równowagi.

- Ale robicie problemy! Dobra, to idziemy wszystkie, ale jak *Madame* Widząca przypadkiem zobaczy nad tobą aurę śmierci, Kaśka, to nie miej do mnie pretensji.

Z miną człowieka, który musi znosić najgorsze przeciwności losu, łącznie z zenująco niskim *IQ* swoich przyjaciółek, Julia energicznie zapukała

do drzwi z numerem trzynastym. Usłyszałyśmy krótkie i zachrypnięte:

- Wejść!

Julia zdecydowanie pchnęła skrzypiące drzwi i ruszyła do środka. Co było robić? Posłusznie poszłyśmy w jej ślady.

ROZDZIAŁ 5

W pierwszej chwili oślepił mnie niespodziewany blask, a nozdrza wypełniły się intensywnym zapachem parafiny. Dopiero kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do migoczącego światła, ze zdumieniem zauważyłam palące się dookoła dziesiątki świeczek i dostrzegłam gigantycznego rudego kota siedzącego na rozwalającym się krześle ustawionym naprzeciwko drzwi. Kot wpatrywał się we mnie przenikliwie.

- Przyszłyście polować na duchy? - usłyszałam nagle zachrypnięty głos.

Zadrzałam. Zupełnie absurdalnie pomyślałam, że kot, nie dość że mówi ludzkim głosem, to w dodatku jest brzuchomówcą. Ale zwierzak tylko zeskoczył zwinnie z krzesła i odszedł, przeciągając się po kociemu, w stronę ciemnego kąta, z którego wynurzyła się dziwna postać. W zamierzeniu stwórcy zapewne kobieta. Pierwszy, nie do końca udany model. Haczykowaty nos i świdrujące oczka przywoływały na myśl ciemżycielkę Jasia i Małgosi, ostre szpony musiały budzić respekt nawet u kota, a miotła... Cóż, w jej domu niekoniecznie służyła do zamiatania.

Zadrzałam po raz drugi i znieruchomiałam na dobre. Powiedzmy sobie od razu, kot sprawiał bardziej ludzkie wrażenie niż ona, a już na pewno był ładniejszy.

- Witam panie, jestem *Madame* Klara Widząca - dziwna kobieta odezwała się uroczystym tonem. Widząc chęć ucieczki wypisaną na naszych twarzach, mrugnęła zachęcająco okiem. – Dla stałych klientów Janina.

Spojrzałam niepewnie na moje towarzyszkę. Kasia jak zahipnotyzowana gapiała się na jasnowidzkę, natomiast Julia, nic sobie nie robiąc z naszych min, chrząknęła i uśmiechnęła się promiennie.

- *Madame* Klaro! Jak miło spotkać panią ponownie.

Kobieta przyjrzała się jej badawczo.

- Julia, właścicielka serca mogącego obdzielić miłością trzy czwarte męskiej populacji.

Julia z zachwytem pokiwała głową.

- Ta sama!

Madame posłała jej wyszczerbiony uśmiech.

- I jak twoje poszukiwania? Jakież sukcesy?

Julia westchnęła i spuściła wzrok.

- Robię, co mogę. Szukam wciąż, ale rezultat na razie ten sam.

- Nie przejmuj się, za każdym razem jesteś przecież bliżej, prawda?

Julia uśmiechnęła się z zadumą.

- No właśnie. Ale nie przyszedłem tu rozmawiać o sobie. Przyproszę koleżankę, która ma problemy. Może zajrzała by pani dla niej w kryształową kulę?

Madame przestała się uśmiechać. Westchnęła i usiadła zrezygnowana na rozklekotanym krześle.

- Nic z tego, moje dziecko! - powiedziała rozdzierającym głosem. - Nie mam już kryształowej kuli!

Wzburzenie Julii nie miało granic.

- Jak to?! Ukradł ktoś?! - Takie świętokradztwo nie mieściło się jej w głowie.

- A skąd, dziecko - machnęła ręką *Madame* Widząca. - Słyszałaś, żeby ktoś kradł magiczne kule? Musiałam... zlicytować.

- Zlicytować?! - Julia oparła się o ścianę. - Jak to: zlicytować?

- A tak to! - *Madame* zerwała się z krzesła i zaczęła zdenerwowana krążyć po pokoju. - A tak to. Wszyscy są chętni na wróżby, ale żeby ktoś zapłacił, to nie. Oczywiście nie wymagam opłat, ale wolne datki to wolne datki, prawda? I nie jak to niektórzy: „Co łaska, pięćset złotych się należy”, tylko naprawdę co łaska... Przecież ja *non profit organization* jestem, ale z czegoś żyć muszę... Wszystko już sprzedałam. Jedyne, co teraz mi pozostaje, to seanse spirytystyczne. Takie poniżenie...

Popukała się w czoło i z dziwnym grymasem zaczęła parodiować swoich klientów:

- Stuk-puk, stuk-puk, czy to ty, Kaziu?

- Ja!

- A jak ci tam w zaświatach?...

- Całkiem dobrze...
- A dają dobrze zjeść?...
- No, Jadźka, nikt takich schabowych jak ty nie robi...
- To ci przyniosę! A trzeba zmielić czy jeszcze pogryziesz?

Po chwili przestała i łapiąc się za głowę, powróciła do swego zrezygnowanego tonu:

- Niektórzy ludzie są tacy naiwni... Ale prawdę mówiąc, to jedyna rzecz, jaka mi przynosi stały dochód, nawet całkiem przyzwoity, choć nie kokosy. No i niezły obiad od czasu do czasu. Jeszcze parę miesięcy i będę mogła kupić sobie nową kryształową kulę. I to najnowszy, optyczny model!

Kot miauknął i otarł się o nogi kobiety, ta schyliła się i wzięła go na ręce. Dalej nie spuszczał ze mnie wzroku, co nie umknęło uwagi sfrustrowanej wróżki.

- To pewnie pani ma problemy - powiedziała, przyglądając mi się świdrującymi oczami.

Brr. Zadrżałam po raz kolejny, ale dzielnie potwierdziłam.

- Pechowiec zawsze wyczuwa kłopoty - wyjaśniła, głaszcząc kota. - To go nakręca.

- Nakręca?!
- Właśnie tak.

Kot wyrwał się nagle z jej ręki i podbiegł do mnie truchcikiem. Usiadł tuż przy mojej nodze i gapiąc się, znowu zaczął miauczeć.

- O, widzi pani? - powiedziała zadowolona *Madame* Widząca. - On wyczuwa innych pechowców. Bardzo utalentowany kot!

- Naprawdę? - zapytałam dziwnym głosem, wpatrując się wściekle w Julię.

Julia znowu chrząknęła.

- Ale może by jej pani jednak coś poradziła.

Wróżka utkwiała we mnie krytyczny wzrok.

- Dobra, spróbujemy wróżenia z ręki. Wprawdzie nie mam w tym takiego doświadczenia jak z kulą, ale... Proszę podejść - zażądała.

Podeszłam. Wzięła mnie za rękę i jednym spojrzeniem ogarnęła całą sytuację.

- Phi, łatwizna, a w dodatku nic takiego interesującego, proszę pani - mruknęła, marszcząc nos. - Pech panią prześladuje.

- To już wiem - oświadczyłam poirytowana. - Od kota.
- Taak... Ale nie wie pani, że ten pech to dopiero w nowym roku się skończy.

Obliczyłam szybko w głowie. Matko jedyna, jeszcze trzy tygodnie!

- Jeśli pech w miłości ma trwać tylko dwa tygodnie, to może nie jest tak źle - próbowałam się pocieszać, ale ona spojrzała na mnie zdziwiona.

- Ja nie widzę żadnych kłopotów miłosnych, proszę pani.

Zaczęłam uważnie przyglądać się własnej dłoni. Ciekawe, gdzie ona to wszystko widzi?

- Ten pech, na który pani zachorowała, jest innego typu. To pech prześladowczy. Na pani miejscu przez następne dwa tygodnie nie wychodziłabym z domu.

Ale się dowiedziałam!

Wolałam nie pytać, co to znaczy pech prześladowczy. Uśmiechnęłam się nieco dziwnie i sztywno zabrałam swoją własność, czyli prawą rękę, z całym bagażem moich przysłych i przeszłych doświadczeń, które los tak czytelnie dla niektórych powypisywał.

- Dziękuję, to może ja już pójdę - oświadczyłam, wycofując się niezgrabnie.

Kot napierał na mnie, miaucząc przeraźliwie. Kasia pogubiła się w całej sytuacji, nie bardzo wiedząc, co ma robić: uciekać czy ratować mnie przed napalonym kotem. A Julia, jak to Julia, nie dawała za wygraną.

- A tarot?

Madame Widząca wykrzywiła usta i mruknęła sugestywnie:

- Posłuchaj mnie, dziecko, to nie jest dobra noc na stawianie tarota. Nie chciałabym nikomu trupa wywróżyć - spojrzała na mnie przenikliwie i dodała złowieszczo: - Albo i dwóch...

Zrobiłam wielkie oczy, a Julia na widok mojej przerażonej fizjonomii od razu zrezygnowała z drażenia tematu i wrzuciwszy do puszki po piwie tak zwany wolny datek, otworzyła drzwi. Musiałam mieć szalenie niewyraźną minę, bo wróżka, litując się nade mną, postanowiła wspomóc mnie swoją życiową mądrością.

- Ale proszę się niczym nie przejmować - powiedziała dobrodusznie, zabierając ode mnie szalejącego kota. - Pech mija. Przynajmniej u dziewięćdziesięciu procent klientów. A życie i tak nigdy nie jest takie, jak

byśmy chcieli. Ja też nigdy nie planowałam, że na starość skończę w jakiejś ruderze ze stukniętym kotem i cotygodniowymi wizytami komornika. Cóż... Taki los. Ale proszę mi wierzyć, wszystko jakoś się ułoży. - Jej głos nie brzmiał zbyt przekonująco. - Proszę tylko pamiętać, żeby nie ufać nieznanym i...

Nagle zapatrzyła się w przestrzeń i zaczęła mówić nawiedzonym głosem:

- ... nie przyjmować żadnych prezentów, i nie wierzyć w zbiegi okoliczności...

Kiedy wycofywałam się gwałtownie, starając się nie zabić na gruzowisku, wołała jeszcze za mną przy akompaniamencie jednostajnego miauczenia nakręconego kota:

- ... i kolor czarny niedobry, i na dzieci uważać, bo...

Zatkałam sobie uszy i reszta jej mądrości uleciała gdzieś w siną dal.

- Słyszałyście, co ona wygadywała!? - wybuchnęłam, kiedy znalazłyśmy się w końcu na ulicy. - Przecież ona jest stuknięta! To ma być recepta na miłość? Unikać nieznanomych, prezentów i zbiegów okoliczności!? Co z niej za wróżka!? A poza tym co to ma w ogóle znaczyć? Ja nie mam kłopotów sercowych!? Właśnie że mam! I właśnie że jestem nieszczęśliwie zakochana! - upierałam się rozgoryczona.

Będzie mi tu jakaś wróżka mówić, że jest inaczej! Przecież wiem lepiej!

Kasia nie reagowała, dalej będąc pod mocnym wrażeniem całej tej spirytualistycznej przygody. Julia natomiast uśmiechnęła się wrednie pod nosem.

- Może jesteś, a może nie.

Aż mną zatrzęsło z oburzenia.

- Kobieto! Przecież ja się miałam wydawać za piętnaście dni! Za mąż się miałam w końcu wydawać! A ten drań mnie zdradził! Moje serce krwawi!

- To, że się miałaś wydawać, nie znaczy, że z miłości - oświadczyła prowokująco.

- Właśnie że tak! - upierałam się, ale jakoś bez przekonania. - A poza tym co ona z tym pechem prześladowczym!? I trupem. Jaki trup? Czy to znaczy, że ktoś umrze?

- Wiesz, nie ma żywych trupów, więc jeśli ma być trup, to na pewno dychać nie będzie - odpowiedziała mi ze stoickim spokojem.

- A może dwa trupy? W końcu co dwa, to nie jeden. Przecież to nie żadna jasnowidzka, tylko jakaś depresyjna czarnowidzka - oświadczyłam ironicznie, przytupując przy tym z zimna i świętego oburzenia.

- A ja jej wierzę. Ona naprawdę jest utalentowana.

- Bardziej od kota? - zapytałam kąśliwie, ale uczucie niepokoju, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, zagościło w moim sercu.

Julia nie dała zbić się z tropu.

- Słuchaj, nie musisz jej wierzyć. Są ludzie, którzy wierzą, i ci, którzy są tej wiary pozbawieni, prawda? - zakończyła dyskusję, wyciągając telefon. - Dzwonię po taksówkę. Jestem jeszcze dziś umówiona...

- Brr - przerwał jej nagle zmieniony głos Kasi.

Spojrzałyśmy na nią ze zdziwieniem. Wyglądała, jakby właśnie budziła się z głębokiego snu. - Przecież ta baba ewidentnie miała kota!

ROZDZIAŁ 6

- *Tak, tak, Rusałko - mówił, śmiejąc się urzekająco, agent 007, ubrany w nieskazitelny czarny smoking z nieodłączną muszką do kompletu. W ręku trzymał kieliszek z płynem będącym zapewne słynną wódką z martini, wstrząśniętą, nie mieszaną. Spod rozchylonej nieco kłapy marynarki wystawała kolba rewolweru. - To nie będzie bolało. Zapewniam, to podobno całkiem przyjemne... - ciągnął, wskazując na jakieś małe urządzenie. - To specjalne zminiaturyzowane urządzenie podsłuchowe, działające jednocześnie... - mrugnął do mnie okiem - ... antykoncepcyjnie. Czyż to nie sprytne? - zachwycił się. - Najnowsza generacja, pani Agnieszko, nic pani nie poczuje. Wszczepię do pochwy i będziemy panią inwigilować. Takie teraz procedury bezpieczeństwa...*

Nagle z przerażeniem uświadomiłam sobie, że znajduję się w gabinecie ginekologicznym, a agent 007 ma twarz Jerzego, który zapraszającym gestem wskazuje fotel i mówi kpiącym tonem:

- To proszę się rozebrać...

Obudziłam się zrana potem, a wróciwszy do rzeczywistości, zachichotałam głośno.

No, świat idzie do przodu w zastraszającym tempie. Kto wie? Przyszłość może przynieść różne innowacyjne sposoby nadzorowania społeczeństwa. W tym wypadku jego żeńskiej części. A jest to tym bardziej realne, że to kobiety, powoli, acz konsekwentnie, przejmują władzę nad światem. Już mój nauczyciel z liceum mawiał, że grozi nam matriarchat i on na ten wypadek ma przygotowany specjalny schron w piwnicy. Cóż... Nie wszyscy mężczyźni mają odwagę przyznać, że ich rządy nad światem wykazały się totalną niekompetencją i nieudolnością i że jedyne, co im pozostaje, to ucieczka przed odpowiedzialnością... do piwnicy.

Szybko jednak przestałam się śmiać. Gwałtownie wstałam. Ze złością wpatrywałam się w zimową zawieruchę za oknem, a szarość poranka tylko spotęgowała depresyjną stronę mojego euforyczno-depresyjnego nastroju. Z wysiłkiem owinęłam się szlafrokiem i niechętnie poczłapałam do kuchni. Włączyłam ekspres.

Kiedy tak snułam się po mieszkaniu, czekając, aż ekspres zakończy zmuśny proces parzenia kawy, zauważyłam migoczącą lampkę w telefonie. Mam wiadomość. Nie wiadomość. Cztery wiadomości. Zacisnęłam zęby i poczłapałam z powrotem do kuchni. Kawa była gotowa. Powoli napełniłam kubek pachnącym płynem, posypałam obficie cynamonem i usiadłam w fotelu. Z głębokim westchnieniem włączyłam automatyczną sekretarkę.

„Witam, pani Agnieszko, Malinowski z tej strony - głos szefa zabrzmiał jak szczekanie wściekłego psa. - Co się stało? Gdzie pani jest?! Daję pani czas do piątku do dziewiątej rano. Rano, zaznaczam! Proszę się skontaktować ze mną jak najszybciej. I proszę sobie darować te wasze kobiece wymówki. Wszystko ma być gotowe! Żegnam!” Klik.

No tak. Cholerny projekt. Jaki mamy dzień? Czwartek. Zdążę. Dziś i tak nie mam zamiaru nigdzie wychodzić.

„Cześć, żabciu, tu mama. Zadzwoń albo wpadnij do mnie. Musimy ustalić jakiś termin kolacji z twoimi teściami. Wiesz, jak to jest. Przydałoby się trochę porozmawiać, poznać ich. No... sama nie wiem. A jak tam suknia? Gotowa? Aha, i mam dla ciebie pyszny gulasz. Odezwij się. Pa”. Klik.

Jednak będę musiała wyjść. Rodzinie należą się wyjaśnienia. A to nie jest rozmowa na telefon. Wsadziłam głowę pod poduszkę. Nie ma mnie. Zniknęłam. A gówno prawda! Nawet strusiom nie wychodzą takie numery. Gorzej już chyba nie będzie

„Gdzie się schowałaś, pszczołko? - Jednak było gorzej. Podniosłam głowę i w bezruchu wpatrywałam się w telefon, który przemówił głosem mojego eks-kochanka. - Nie mogę się do ciebie dodzwonić, ciągle masz wyłączoną komórkę. Słuchaj, kumpel do mnie przyjechał z Warszawy. Wiesz, ten co nie może być na ślubie. Pomyślałem sobie, że dziś pokażę mu trochę miasto, no wiesz... takie tam. Nie będę ci zawracał głowy. I jeszcze jedno. Czekam na ważną paczkę z Rosji. Ważną, powtarzam. Daj znać, jak tylko ją dostaniesz. Pa, pszczołko”. Klik.

Rzuciłam poduszką w telefon.

- Nigdy więcej nie mów do mnie pszczołko, ty... padalcu! - wrzasnęłam do telefonu.

Tylko tyle ma mi do powiedzenia? Że kumpel przyjechał? I wa ż n ą paczkę ma dostać?! Hipokryta! Po chwili uświadomiłam sobie - jeszcze parę osób nie wie o tym, że ślubu nie będzie. Na przykład pan młody. A może by tak nikomu nie mówić i najzwyczajniej w świecie nie pojawić się w kościele? To byłaby prawdziwie szatańska zemsta. Wystawić go na pośmiewisko całej rodziny. Zachichotałam diabolicznie, widząc oczyma wyobraźni całą scenę.

Jacek w czarnym fraku krąży przed ołtarzem, nie odrywając wzroku od swojego roleksa, szepty w kościele, początkowo ciche, potem coraz głośniejsze, chichoty i całkiem wyraźne śmiechy, srogi ksiądz patrzący oskarżycielsko na pana młodego, którego mina winowajcy jest bardziej niż satysfakcjonująco mizerna. Smutna twarz mamy...

Tu urok mojej wizji osłabł nieco. Nie mogłabym jej tego zrobić.

Te słodko-gorzkie rozważania przerwał mi podejrzanie błagalny głos mojego brata:

„Cześć, Marek mówi. Słuchaj, wiem, że ciągle cię ostatnio wykorzystuję... - No, to fakt... - ... ale znowu potrzebuję twojej pomocy. Zajęłabyś się Mikołajem w sobotę? Ja wiem, że masz tyle spraw na głowie, ślub... - A nawet i nieślub... - i w ogóle... Ale, jak by nie było, to twój chrześniak, nie? Szef zaprosił mnie z Dominiką na wieś, takie ważne spotkanie towarzyskie, obiecujące na przyszłość. Nie mam dzieciaka z kim zostawić... - A ośrodek interwencji kryzysowej? - Proszę, daj znać, zadzwoń”.
Klik.

Zapowiada się pracowita sobota.

Postanowiłam jak najszybciej załatwić wszystkie sprawy, a potem oddać się zasłużonej depresji. W łazience uświadomiłam sobie, że część moich rzeczy znajduje się u Jacka. Jego graty też zresztą plątały się po moim mieszkaniu. Z odrazą wyrzuciłam jego maszynkę do golenia, a całą resztę, łącznie z aparatem fotograficznym, zapakowałam do nieco już przybrudzonego worka na śmieci i wystawiłam za drzwi. Po chwili zastanowienia zabrałam jednak torbę z powrotem. Wyciągnęłam ulubiony sweter Jacka

i myśląc intensywnie o jego właścicielu, z satysfakcją zrobiłam w nim kilka dziur.

Teraz rozumiem sens laleczek wudu. Powinno się je stosować leczniczo na miłosne depresje. Ulga natychmiastowa.

Moje szamańskie praktyki przerwał dzwonek do drzwi.

Kto to może być? I to akurat teraz, jak mam ciężką depresję. I obstrzępiony szlafrok. Ludzie w ogóle nie mają wycucia! Sprawdziłam godzinę. Przyzwoita. Jak przyzwoita, to trzeba otworzyć.

Niechętnie podeszłam do drzwi i wyjrzałam przez wizjer. Jedyne, co zobaczyłam, to szare nie wiadomo co. Zaintrygowana otworzyłam. Za drzwiami znajdowała się paczka, którą, jak się okazało, trzymał zasapany listonosz.

Mogłam się tego spodziewać. Listonosze zawsze zjawiają się nie w porę. I zawsze zaglądają podejrzliwie do środka, jakby sprawdzali, czy nie ma tam już przypadkiem inkasenta. Opatuliłam się mocniej szlafrokiem. Ten pewnie też szuka zdesperowanych kobiet. Czy ja jestem zdesperowana? Niee. Może odrobinę... Tak na wszelki wypadek obdarzyłam go uważnym spojrzeniem. Miałam wrażenie, że napiął swoje sflaczałe mięśnie. No nie, aż tak zdesperowana nie jestem.

Położył paczkę na podłodze, otarł pot z czoła i wręczył mi kwitek.

- Trzeba podpisać, dokładnie tu - napomniął, stawiając kropkę w odpowiednim miejscu.

Nie wdając się w zbędne dyskusje, automatycznie wzięłam do ręki długopis i, ku zadowoleniu listonosza, złożyłam swój autograf w odpowiedniej rubryce. Potem odebrałam paczkę i przyjrzałam się jej uważnie. Hm...

Odbiorca: Agnieszka Rusałka i Jacek Żuk... Nadawca: jakiś nieczytelny podpis i adres w Petersburgu.

Zazgrzytałam zębami.

- A czy pani zdaje sobie sprawę, że praca listonosza staje się ostatnio niezwykle niebezpieczna? - Listonoszowi nie zamykały się usta. - Jesteśmy niczym kurierzy podczas wojennej zawieruchy. A tu nikt nawet na kawę nie zaprosi... - Zlustrował mnie odpowiednio, starając się dostrzec coś przez szlafrok. I tylko moja zaporowa postawa zniechęciła go do dalszego działania. - Kolegę wczoraj napadli! Wyobraża pani sobie taką

bezczelność? Napaść na listonosza!? Chcieli ukraść przesyłki! Złodzieje! Na szczęście nasza policja bywa czasami tam, gdzie trzeba. Sprawców nie ujęli, ale nie można od nich za dużo wymagać, rozumie pani. Przynajmniej Antka uratowali. Jak pani ma chwilę, to ja mogę ze szczegółami...

Tak. Praca listonosza codziennie obfituje w takie wydarzenia. Przecież ciągle którzyś ginie na linii frontu.

- Aha... - przytaknęłam rozkojarzona. - Świetnie. Tylko wie pan, ta przesyłka to niezupełnie do mnie. To do tego pana, ale pod inny adres.

Momentalnie znieruchomiał. Potem szybko schował kwitek do torby i odsunął się na bezpieczną odległość.

- Nie mam zamiaru dźwigać tego z powrotem. Podpisała pani, adres się zgadza. Ja zrobiłem, co do mnie należy. Jak ma pani jakieś wątpliwości, to proszę się udać na pocztę. Do widzenia - rzucił i szybko zaczął schodzić po schodach.

Stojąc w drzwiach, słyszałam jeszcze, jak mruczy pod nosem, zasapany:

- Człowiek z narażeniem życia pocztę roznosi, a taka jeszcze niezadowolona... - Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Położyłam paczkę na stole.

A zatem w a ż n a paczka z Rosji dotarła. Szkoda tylko, że Jackowi tak na niej zależy, bo tym bardziej nie mam zamiaru zawracać sobie nią głowy. Znowu pojawiło się niechciane wspomnienie. Drżące pośladki, krwawe paznokcie, czarny motyl...

Potrząsnęłam gwałtownie głową i obraz zniknął gdzieś w zakamarkach pamięci. Skupiłam się na paczce. Kwitek informował mnie lakonicznie, że jest to prezent. Wartość nie została podana. Prezent z Petersburga. Hmm... Spojrzałam na paczkę. Leżała na stole i kusila. I co ja teraz zrobić? Nie otworzę? Może nie powinnam, bo nie do mnie. Ale z drugiej strony, na paczce widnieje mój adres i nazwisko. No i z niezaspokojonej ciekawości mogłabym dostać skrętu kiszek. Tak więc paczkę muszę otworzyć choćby ze wskazań medycznych.

Nie czekałam dłużej. Mocując się ze sznurkiem, żalowałam przez chwilę, że nie mam w oczach rentgena. Następnie jednym gwałtownym ruchem rozerwałam papier i otworzyłam szare pudełko. Zobaczywszy oko,

w pierwszym odruchu odsunęłam rękę. Potem, ze wzrastającym zdziwieniem, zerwałam cały papier. Z pudełka wyłoniła się kiczowata, jakby nie do końca proporcjonalna do reszty tułowia twarz, ozdobiona wielkim nochalem, jeszcze większymi uszami i głupawym uśmiechem. Czerwona czapka i wdzianko do kompletu uzupełniały wizerunek. Przedemną leżał, prezentując swoje wątpliwe wdzięki, najzwyklejszy, ordynarny, kiczowaty krasnal ogrodowy.

Wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia. A to ci dopiero numer! Ogrodowy krasnal! I to w połowie grudnia! Na nim tak bardzo zależy Jackowi? Roześmiałam się i pstryknęłam krasnala w jego kartoflany nochal. Na szyi, na atlasowej kokardce, zawieszoną miał małą kopertę. Zerwałam ją i wyciągnęłam kartkę, z której wyszczerzył do mnie zęby krokodyl, jak się dowiedziałam z podpisu, kubański. Przeczytałam kilka skreślonych niedbale słów:

„Szczęść Boże Młodej Parze. Uszanowania dla Y”.

Bardzo wzruszające. I kto to, do licha, jest Y?!

Postawiłam ogrodowego dziwoląga na krzesło i wpatrywałam się w niego intensywnie.

I co ja mam z nim zrobić? Przecież nie oddam go Jackowi. To by było zbyt... banalne, zbyt... proste, zbyt... ludzkie. Za to, co mi zrobił, niech nie oczekuje żadnych względów. Nawet lepiej, że tak mu na nim zależy! Tym bardziej go nie dostanie. Po moim trupie!

Jestem zła, myślałam z satysfakcją, pijąc kawę. Jestem mściwa i dobrze mi z tym. Moje drugie imię: Nemezis.

ROZDZIAŁ 7

Po kawie z cynamonem świat znowu zaczął funkcjonować bez widocznych zakłóceń, wobec czego odżyły we mnie dawne ambicje, by zmieścić się w dżinsy nieużywane od lat trzech, a przy okazji zrobić coś dla swojego dobrego samopoczucia i zdrowego ciała. W końcu w zdrowym ciele zdrowy duch. Przebrałam się w ciepły dresik, naciągnęłam czapkę z pomponikiem i jak co rano, przynajmniej raz w tygodniu, udałam się na biegi przełajowe, zwane w krajach rozwiniętych joggingiem. Dawało mi to poczucie dobrze spełnionego obowiązku wobec własnego organizmu i nagrodę w postaci prince polo zaraz po beztluszczowym jogurcie, będącym podstawowym składnikiem mojego śniadania.

Biegając, starałam się zapomnieć o wszystkich problemach, i muszę przyznać, że świetnie mi to wychodziło. Bynajmniej nie z powodu wrodzonej zdolności kontrolowania uczuć i emocji, lecz z powodu przeraźliwego mrozu, który nie pozwalał myśleć zupełnie o niczym. Zdecydowałam się wracać, nie ukończywszy całej trasy.

Będąc dość blisko domu, usłyszałam za sobą czyjeś sapanie. Odwróciłam głowę, ciekawa desperata, i zobaczyłam biegnącego parę metrów za mną jakiegoś zakapturzonego dryblasza, którego śmiało można było nazwać potocznie używanym słowem „dresiarz”. Normalnie pewnie bym się tym nie przejęła, ale ni stąd, ni zowąd spłynęło na mnie alarmujące miauczenie kota, które przypomniało mi o wypisanym na dłoni pechu prześladowczym. Obejrzałam się raz jeszcze. Młody mężczyzna ubrany był w klasyczny czarny dres z białymi lampasami i, pomimo trzaskającego mrozu, cienką dresową bluzę z nasuniętym na oczy kapturem. Na bluzie lśnił złowrogo złoty łańcuch...

Wprawdzie sama miałam dres i od biedy mogłam uchodzić za początkującą dresiarę, ale padł na mnie blady strach, bo chłopak mordę miał

zbója, wzrok zawzięty, a przede wszystkim starał się mnie dogonić, mrużąc coś niezrozumiale. Wymachiwał do tego jakimś podejrzanym czarnym przedmiotem wielkości kieszonkowego tasaka. Przerażona, przyspieszyłam kroku, biegnąc jak po olimpijskie złoto. Lodowaty wiatr smagał moją sparaliżowaną mrozem twarz, czułam, jak zamarzają mi rzęsy. W najmniej odpowiednim momencie potknęłam się o wystający korzeń i bardzo widowiskowo wpadłam w śniegową zaspę. Przez chwilę nie ruszałam się, mając nadzieję, że facet należy do tych, co padliny nie tykają, ale się przeliczyłam. Usłyszałam, jak stanął nade mną straszliwie zdyszany. Wtedy, nie myśląc już więcej i bynajmniej nie czekając, aż odzyska oddech, wykonałam najmocniejszy w życiu wykop nogą i strzeliłam gola jak się patrzy. Dresiarz jęknął, chwycił się za wiadome miejsce i zwałił jak kłoda tuż obok mnie. W oczach miał śmierć. Widząc, że jest chwilowo znokautowany, zerwałam się z miejsca.

- Nie ruszaj się, zbrojeńcu! - wrzasnęłam głosem drżącym z emocji i od mrozu. - Dzwonię na policję! - Gorączkowo zaczęłam wywracać kieszenie w poszukiwaniu telefonu.

- W takim razie może się to pani przydać - wyjęczał dresiarz w wielkich boleściach. Z wysiłkiem podał mi moją komórkę. - Zgubiła pani... Chciałem oddać...

Opadła mi szczęka. Wpatrywałam się w unieruchomionego bandytę, który okazał się uczciwym znalazcą, i nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Skruszona, pomogłam mu wstać i powoli ruszyliśmy w kierunku mojego bloku znajdującego się przy ulicy Królewskiej, w którym, dziwnym trafem, zamieszkiwał także ów sympatyczny dresiarz.

Dowiedziałam się, że Wiesiek jest studentem prawa i mieszka na stacji u pani Stasi z trzeciego. Już po chwili rozmowy przypadliśmy sobie do serca. Zaprosiłam go na kawę, a on opowiedział mi o sobie. Pochodził z jakiejś wsi pod Biłgorajem. Ojciec rolnik, matka gospodyni domowa, pół-analfabeci, bieda w domu, a on - cudowne dziecko. Najlepszy w szkole. Dostał stypendium i znalazł się w Krakowie. Ojciec nie chciał go puścić, bo kto pomoże pole obrobić i wykarmić szóstkę pozostałych dzieciaków, ale matka się postawiła. Wyjechał. Byle dalej od rodzinnej wsi.

- Tylko z dziewczynami krucho - żalił się po trzeciej dolewce kawy. - Jakoś wszystkie mnie unikają, a nawet, powiedziałbym, boją się mnie. Ale dlaczego, pani Agusiu, dlaczego?

- Nie mam pojęcia, Wiesiu - powiedziałam z udanym zdziwieniem, wpatrując się w jego posturę drwala, ręce jak łopaty i twarz seryjnego mordercy.

Co do pozorów, to *Madame* Jawiąca, czy jak jej tam było, miała całkowitą rację. Potrafią zmylić. Nic nie jest takie, jakim się wydaje.

- A wie pani - Wiesio wyczuł bratnią duszę i postanowił się zwierzyć - ja dostałem na osiemnastkę prezerwatywy od kumpla, i to zagraniczne! Wstyd się przyznać, ale one do dziś nietknięte leżą, a to już ładne parę lat. Rany! Muszę datę ważności sprawdzić! - przeraził się nagle, a potem wrócił do swoich wynurzeń egzystencjalnych. - Czy to jest normalne? Ja wszystko robię, żeby mnie zauważyły. I punkiem byłem, i metalowcem... Jeden kumpel mówi, że teraz to dziewczyny lecą na dresiarzy, i proszę... - dumnie wypiął pierś. - Łańcuch złoty zakupiłem, dres jak się patrzy, adidasy prawie oryginalne. I dalej nic. Proszę mi powiedzieć, pani Agusiu, jakich mężczyzn lubią dziewczyny?

Trochę mnie zaskoczył.

- No inteligentnych, dowcipnych... Ja wiem? - rozmarzyłam się. - Może trochę tajemniczych. Ale przede wszystkim pewnych siebie. To dobrze rokuje. Musisz być sobą, Wiesiu, nie ma innej rady.

Zamyślił się.

- Hmm... To się chyba da zrobić. Dość już mam tych łańcuchów. Wie pani, jakie to ciężkie?

W końcu jego wzrok padł na tkwiącego za stołem krasnala.

- Jak widzę, nie jestem jedynym, którego pani zaprosiła na kawę. Lubi pani takie figurki?

- Bynajmniej. To coś jakby prezent ślubny. Ślub wprowadzie nieaktualny, ale... Nie ma o czym mówić. - Ogarnęła mnie nagła złość i ochota, by wydłubać krasnalowi te jego gipsowe oczy.

Wiesio spojrział na mnie baraním wzrokiem.

- Prezent ślubny? Ludzie to, za przeproszeniem, posrane w głowach mają, pani Agusiu. A kto to takie pomysły ma? Pewnie teściowa? - mru-gnął okiem.

Roześmiałam się.

- Nie, i prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Jakiś znajomy mojego eks najwidoczniej. Z Rosji przyszło.

- Z Rosji? - zainteresował się nagle. - Ciekawe.

- No. Z Petersburga.

Wiesio wydawał się pozostawać pod wielkim wrażeniem.

- Byłem kiedyś w Petersburgu - oświadczył, przyglądając się z uwagą krasnalowi. - Ładne miasto. A to? Życzenia ślubne? - Jego wzrok padł na kopertę.

Pokazałam mu kartkę.

- Tak jakby, ale popatrz! Nie dość, że z krokodylem, że nie ma podpisu, to jeszcze przekazuje życzenia jakiemuś Y. Ludzie to zupełnie nie mają wyczucia.

Wiesio uważnie obejrzał krokodyla i nagle oświadczył:

- Muszę pędzić, zajęcia mam. - Wstał i syknął z bólu. Chwycił się za wiadome miejsce, a potem dodał jeszcze, patrząc na mnie ze słabym uśmiechem: - Ale z pani numerek, pani Agusiu...

Wzięłam gorący prysznic, włożyłam gruby zielony sweter, którego Jacek serdecznie nie cierpiał, i pojechałam do mamy. Podśpiewując, nie wiedzieć czemu.

ROZDZIAŁ 8

Już na klatce schodowej poczułam zapach świeżo pieczonego ciasta. Pewnie mama spodziewa się gości.

Otworzyła drzwi z szerokim uśmiechem. Zrobiło mi się jej żal. Nawet bardziej niż siebie samej. Nieee, jednak samej siebie było mi najbardziej żal. Przecież to mnie ten... zostawił dla jakiejś parszywej...!

- Wchodź, dziecko! To dziś nie w pracy? I dobrze, musisz teraz odpoczywać. Wesele to straszny stres. Popatrz, kto mnie odwiedził.

Z kuchni wychyliła się antypatyczna twarz ciotki Kryśki.

Boże! Tylko nie ona! Tylko nie teraz! Zbladłam, a potem zzieleniałam, co nie umknęło jej uwagi. Zlustrowała mnie jak zwykle tymi swoimi rybiemi oczami.

- Źle wyglądasz, pewnie się znowu odchudzasz? Może i trochę by ci się przydało...

- Co ty opowiadasz, Kysiu - wtrąciła się mama. - Przecież świetnie wyglądasz. Zaraz ci coś przygotuję na śniadanie. Jadłaś już? To nic. Zjesz jeszcze troszkę. I kupiłam świeżutkiej szyneczki, to ci zapakuję.

- Nie, dziękuję - powiedziałam zrezygnowana, wiedząc, że moje protesty i tak nie odniosą żadnego skutku.

- Ale mówię ci, że zapakuję. Aha, i jeszcze mam pysznego łososia. Wiem, że Jacek lubi, możesz mu upiec - mrugnęła do mnie okiem.

Świetnie.

Ciotka Kryśka była człowiekiem (tak, człowiekiem, choć trudno uwierzyć, że została zaliczona do gatunku *homo sapiens*), z którym nie chciałabym mieć nic wspólnego, nawet gdybym już do końca życia miała nie usłyszeć ludzkiego głosu. Na moje nieszczęście była jedyną kuzynką mamy, a mama mawiała: „Każdy ma jakieś wady, ciotka Kryśka ma ich może

troszkę więcej niż inni, ale w końcu to rodzina, prawda? A rodzina jest najważniejsza”.

- I jeszcze gulaszu ci zapakuję. Świeżutki, wczoraj ugotowałam - mama nie przestawała mówić o jedzeniu.

Zrobiło mi się niedobrze.

Siedziałam ze spuszczoną głową nad filiżanką herbaty, zastanawiając się, czy uciekać, czy liczyć na szczęście i rychle wyjście ciotki. Wróżyłam z kropek na obrusie. Wyjdzie, nie wyjdzie, wyjdzie, nie wyjdzie...

- Gdzie jedziecie w podróż poślubną? - zapytała nagle ciotka. - Taki dentysta to ma pieniądze. Ale pewnie skąpy jest, co?

- Ależ Krysiu - łagodnie napomniała ją mama, smażąc coś w hektolitrach tłuszczu. - Jadą do Hiszpanii. Wprawdzie jest po sezonie, ale tam zawsze pogoda dopisuje.

Spojrzałam z odrazą na patelnię. Jajka na bekonie.

- Aha, wiedziałam, że skąpy. Po sezonie w Hiszpanii jest strasznie tanio - powiedziała triumfująco ciotka. - Powinien cię zabrać w rejs, w jakieś ciepłe kraje. Ale ci dentyści to za grosz poczucia przyzwoitości i romantyzmu nie mają. No, ale czego się spodziewać po ludziach, którzy całe życie grzebią komuś w zębach.

- Krysiu, Jacek to przyzwoity i bardzo sympatyczny młody człowiek. Niczego mu nie brakuje.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze. Ostatnie dwa dni były bardzo intensywne i przepojone alkoholem. Na widok jajek, które mama podstawiła mi pod sam nos, musiałam wyjść do łazienki.

- Mówię ci, że w ciąży pewnie jest - usłyszałam jeszcze wypowiedziane ze źle skrywaną satysfakcją słowa ciotki. - Tak... Nawet dziewczynom z przyzwoitych domów to się zdarza przed ślubem. Ale wstyd.

Zamknęłam drzwi do łazienki i usiadłam na klapie od sedesu.

Wyjeżdżam jeszcze dziś! Nie wiem dokąd, ale wyjeżdżam. Po chwili bezładnej szarpaniny przywołałam myśli do porządku i postanowiłam się uwolnić od problemów tego świata. Rozłożyłam ręce, zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na własnych wyobrażeniach i rytmicznym oddechu.

Jesteś małym kamyczkiem we wszechświecie. Wdech. Małą kropeczką na szyi żyrafy. Wydech. Jesteś lekka jak piórko... Wdech. Unosisz się w przestworzach jak ptak, jak mały samolocik... Wydech - powtarzałam swoją mantrę.

Puk, puk, puk...

- Mogę wejść? - głos mamy sprowadził mnie na ziemię.

Przeżażona wpatrywałam się w drzwi.

- Aga, jesteś tam?

Nie ma mnie! Wydech! Jesteś piórkiem... Wydech! Małym kamyczkiem na szyi żyrafy! Wydech! Małą kropeczką we wszechświecie... Wdech! Wdech! Duszę się! Powietrza!

- Jestem - wydyszałam. A niby gdzie mam być? - Wejdz, mamo.

Weszła i obrzuciła mnie tym swoim domyślnym, wszystkimiedzącym spojrzeniem.

- Nie lubisz jajek na bekonie, co? Mogłaś od razu powiedzieć.

Zrezygnowana, odwzajemniłam jej uśmiech i postanowiłam mieć to z głowy.

- Mam problem.

- Widzę. Czyżby znowu rozstrój żołądka...?

- Bynajmniej - przerwałam ostro jej radosną twórczość. - Odwołuję ślub.

Po gwałtownych spazmach, waleniu w ścianę, zużyciu całej paczki chusteczek higienicznych i połowy rolki papieru toaletowego doszła w końcu do siebie.

- Ja go zabiję! - oświadczyła cała czerwona z wściekłości, wymownie gestykując. - Gołymi rękami go zabiję! - Wyobraziłam sobie spływającą po nich krew. - Gołymi rękami!

Nie ma to jak matczyzna miłość! Zdolna do wszelkich poświęceń! Do wszelkich wyrzeczeń! Do każdej zbrodni, by uratować honor dziecięcia...

- Taki wstyd! I co ja teraz wszystkim powiem?! Przecież teraz na każdych imieninach będą mi wypominać niedoszęłego zięcia! Jezu... - spojrzała na mnie przeżażona. - Przecież ja cię nie wydam już przed trzydziestką.

Jej hiobową rozpacz przerwało pukanie do drzwi.

- Zajęte! - wymusknęło mi się bezwiednie.

Spojrzałam na mamę i nagle obie historycznie parsknęłyśmy śmiechem.

- Bardzo śmieszne! - zza drzwi rozległ się obrażony głos ciotki Kryśki.
- Nie chcę wiedzieć, co wy tam robicie, ale brzmi to bardzo podejrzanie. Wychodzę. Aha... - głos zawahał się - Agnisiu, pozdrów ode mnie Justynkę. Powiedz jej, że czekam na nią w sobotę. Żegnam.

Zmartwiałam.

Boże jedyny! Zapomniałam o Justynie!

Justyna była moją kuzynką z Kielc, która zaliczała drugi semestr jakichś bliżej niesprecyzowanych studiów, a dodatkowo pracowała jako modelka. Ostatni raz widziałam ją na weselu Marka, siedem lat temu. Była strasznie wysoka, miała strasznie długie paznokcie, straszną mini i strasznie jasny blond na głowie. A do tego wszystkiego była strasznie ładna. Mieszkała w Krakowie od pół roku, ale dopiero w zeszłym tygodniu zdecydowała się zadzwonić, i to tylko po to, by wprosić się do mnie „na jakieś dwa tygodnie”. Miała problemy mieszkaniowe, ale nie chciała się wdawać w szczegóły. Przypuszczałam, że te dwa tygodnie mogą się nieco przeciągnąć. Wtedy mi to nie przeszkadzało, bo i tak miałam się przeprowadzić do Jacka, a mieszkanie wynająć.

Zerwałam się gwałtownie z sedesu i machinalnie splukałam wodę.

- Rany boskie! Ma być u mnie za dziesięć minut! - wyrzuciłam z siebie. Natychmiast wybiegłam, wprawiając zdezorientowaną ciotkę w ruch obrotowy.

ROZDZIAŁ 9

Wbiegając po schodach, spojrzałam gorączkowo na zegarek.

Piętnaście minut spóźnienia. Może jeszcze nie przyjechała? Kurde, że też goście zawsze się zjawiają wtedy, kiedy nie do końca jest nam to na rękę. Goście powinni się zjawiać, kiedy mamy pełną lodówkę, czystą wannę, awans w pracy plus fantastycznego faceta, którym można się chwalić. Nie wspominając nawet o odpowiednio zadbanej aparycji. A u mnie? Lodówka pusta jak sklep spożywczy w czasach kwitnącego socjalizmu, wanna, hmm, powiedzmy sobie szczerze, wymaga odrobiny czulego dotyku szczotki, w pracy same zaległe terminy, a królewicz z bajki okazał się wiarołomnym dupkiem. I jak tu jeszcze wyglądać, jak należy? Kurde, jak to życie w momencie potrafi się złądaczyć.

Jeszcze zanim ją zobaczyłam, poczułam trujący zapach jej perfum. Stała pod drzwiami mojego mieszkania w przykusym supermodnym płaszczu i pisała esemesa.

Dziwne, że pewne osoby kojarzą się nam nieodłącznie z jakimś zapamiętanym szczegółem. Gdy myślałam o Justynie, zawsze pojawiały się w mojej głowie niebotyczne szpilki. Szpilki drapacze chmur. Mimowolnie, jakby szukając potwierdzenia dla swojej teorii, spojrzałam na jej stopy. Obute były w szpilki tak ostre i niebezpieczne, że mogły stanowić potencjalne narzędzie zbrodni. Mogłaby spokojnie kogoś przyszpilić.

Poczułam potrzebę wyjaśnień. Chciałam przeprosić.

- Cześć, Justyna! - wykrzyknęłam, przyspieszając kroku. - Strasznie cię przepraszam, ale...

Przerwała mi, podnosząc rękę do góry. Wyglądała jak gwiazda filmowa, której znudzili się okrzyki fanów i nakazuje milczenie. Z zimną twarzą powiedziała:

- Chwileczkę, pozwól, że skończę.

W lekkim osłupieniu przyglądałam się, jak kończy esemesa, przyciska zielony guziczek w celu wysłania wiadomości, chowa komórkę do złotej miniaturowej torebeczki i z ogromnym wdziękiem zarzuca ją sobie na ramię. Po skończeniu całego procesu spojrzała na mnie odpowiednio, czyli z góry na dół i z powrotem, i uśmiechnąwszy się uprzejmie, zdecydowała się w końcu na jakiś komentarz:

- Elo.

Widać moje imię nie wbiło się jej w pamięć.

- Mam na imię Agnieszka.

- Wiem przecież, nie musisz się przedstawiać. - Na jej twarzy pojawił się dziwny grymas. - Zawsze byłaś jakaś niedzisiejsza, *ma chérie*... - Przyjrzała mi się z uwagą, po czym dodała: - Dopiero teraz dociera do mnie, ile to już lat minęło od naszego ostatniego spotkania.

Czyli dała mi delikatnie do zrozumienia, że każdy rok mojej nędznej egzystencji mam wypisany na twarzy, a wynik pomnożony przez dwa. Świetnie się zaczyna.

Potem z nonszalancją brytyjskiej królowej wyciągnęła do mnie zimną, drapiezną dłoń. Kiedy zastanawiałam się, czy mam ją pocałować, czy wystarczy dotknąć i dygnąć, cofnęła ją gwałtownie, zanim jeszcze zdążyłam wykonać jakikolwiek gest.

- Cholera! - syknęła, wpatrując się w swoje długie czerwone paznokcie. - Lakier mi odprysł!

- Mm... Poważna sprawa, ale może jakoś da się naprawić - odezwałam się dziwnym głosem.

Gorliwie poszukiwałam w torbie kluczy do mieszkania, choć zdawałam sobie doskonale sprawę, że tam ich nie znajdę. Chyba że opanowały karłowatą sztukę przeskakowania z kieszeni do torebki, co raczej nie wchodziło w grę, choćby z tej prostej przyczyny, że klucze w tego typu akrobacjach szkolone nie są. Kątem oka zauważyłam lekki grymas wyższości na pięknej twarzy mojego gościa.

- Nie da się, trzeba pomalować jeszcze raz. Wiesz, *ma chérie*, w swojej pracy muszę być doskonała. To wszystko przez te walizki - wskazała na leżące pod drzwiami sąsiadów torby, które wcześniej jakoś umknęły mojej uwagi. - Nie miał mi kto pomóc. Poza tym czekam tu już z pół godziny.

A nie mogę się przeziębici, bo jutro mam ważne spotkanie.

Pretensje w jej głosie sprawiły, że przestałam czuć się winna.

Przeziębici się!?! To trzeba ubierać cieplejsze majtki, moja droga! Stringi i pończochy, choćby nie wiem jak seksowne i rozgrzewające face-tów, w tej temperaturze mogą doprowadzić do wyziębienia organizmu, zapalenia płuc, a nawet zgonu. Tak! Zgonu! Hmm... Czy ja przypadkiem nie zaczynam się zachowywać jak jakaś stara zgorzkniała ciotka? Nie odezwałam się. Jak to było? Rodzina jest najważniejsza. Otworzyłam drzwi i uśmiechnęłam się radośnie, ignorując jej idealne łuki brwiowe.

- Zapraszam w moje skromne progi.

Stała w drzwiach i odwróciła się do mnie. Miałam okazję zajrzeć w głąb jej niesamowicie kocich oczu.

- Pomożesz mi z bagażami, prawda? Tylko uwaga na czerwoną torbę, trzeba trzymać za dno - powiedziała i zniknęła w środku.

Czy ja wyglądam jak hotelowy boy?

Nie chcąc jednak przedłużyć całej sytuacji, zaczęłam z mozołem ciągnąć wielkie walizy w kierunku drzwi. Wtedy usłyszałam radosne gwizdanie i na schodach pokazała się mordercza twarz mojego nowego znajomego.

- Witam szanowną sąsiadkę! A co pani takie ciężary sama dźwiga? To niezdrowo, może pani z przeciążenia różnych przepuklin dostać. Ja pomogę - gadał, chwyciwszy w swoje dwie łopaty prawie wszystkie bagaże. Stęknął lekko. - Ciężkie jak cholera. A gdzie to pani była?

- Gościa mam, Wiesiu - westchnęłam ciężko, mocując się z czerwoną torbą.

- To weselej pani będzie. Jak to mówią, gość w dom, Bóg w dom, nie? Ja sam... - przerwał nagle, bo w progu pojawiła się Justyna. Nieco już rozneglizowana, prezentowała w pełnej krasie swoje wdzięki.

Podeszła do mnie i wyjęła mi z ręki torbę.

- Mówiłam, żeby na nią uważać! - odezwała się z nutą pretensji. - Trzeba trzymać za dno!

Spojrzała na Wiesia. Widząc jego wielkie maślane oczy, uśmiechnęła się władczo i rzuciwszy zalotne „elo”, zniknęła w mieszkaniu. Jak się później dowiedziałam, „cześć” to archaizm.

Przez chwilę panowała cisza. Wiesio stał, wpatrując się w pustą przestrzeń jak cielę w malowane wrota.

- Wiesiu?

Nic. Buzia otwarta, oczy na wierzchu, brak czynności życiowych. Ponad wszelką wątpliwość atak serca.

- Wiesiu, czy wszystko w porządku?

Delikatnie uszczypnęłam go w ramię. Zaczął się budzić z letargu.

- Dlaczego mi pani nie powiedziała? - zapytał słabym głosem.

- Ale o czym nie powiedziałam?

- Że boginię pani gości, toż to prawdziwa Diana.

Tylko mi tego brakowało. Miłości bestii o gołęmb sercu do lodowej góry. Świetnie. Westchnęłam z dezaprobatą.

- Wiesiu, ona... - chciałam mu wyjaśnić sytuację, ale przerwał mi gwałtownie.

- To ja przyjdę wieczorem naprawić kran.

Teraz to ja osłupiałam.

- Kran? Ale, Wiesiu, z kranem wszystko w porządku.

- A żarówki wszystkie świecą?

- Owszem. Wszystko działa, jak należy.

- To szkoda - zasępił się. - Ale drzwi pewnie skrzypią?

- No, niby skrzypią - przyznałam. - Ale...

- No to będę koło ósmej! - Rozjaśnił się w uśmiechu, wniósł walizki do przedpokoju i, zderzając się na koniec z drzwiami, wyszedł.

Zastałam Justynę w kuchni. Siedziała przy stole, ignorując nie-szczęsnego krasnala, i obrażona wpatrywała się w puste garnki.

- Słuchaj, kuzynko - powiedziała przeciągle. - Głodna jestem. Nie masz może czegoś do jedzenia?

Zrobiło mi się straszliwie wstyd. Gdyby moja mama się dowiedziała, że mam gościa i nie mam nic do jedzenia, oficjalnie by się mnie wyrzekła.

- A na co masz ochotę? - zapytałam, robiąc dobrą minę do złej gry.

- Prawdę mówiąc, liczyłam na jakiś obiad, *ma chérie*, ale kanapka z chudą szynką i warzywami też byłaby mile widziana.

- Widzisz - mruknęłam, wsadzając głowę do lodówki - nie mam chudej szynki.

Nie żebym tłustą miała, ale szczęśliwym trafem zobaczyłam kawałek wyglądającego nieszczerólnie pomidora w towarzystwie trzech zeschniętych pietruszek, kilku dziwnie pomarszczonych ziemniaków i smutnej marchewki. Na górnej półce gnił ser żółty edamski, wydając charakterystyczny zapach.

- Taka dziewczyna jak ty to pewnie odżywia się bardzo racjonalnie i zdrowo, prawda?

- Oczywiście - odezwała się dumna. - Moje ciało zasługuje tylko na to, co najlepsze.

- Wspaniale! - odezwałam się z przesadnym entuzjazmem, zamykając dokładnie lodówkę. - To ty idź się odświeżyć, a ja ci zrobię pyszne warzywa z piekarnika zapiekane w żółtym serze.

- Dzięki - uśmiechnęła się, pokazując rząderek ślicznych ząbków, których biel wyglądała równie podejrzanie jak ich idealna wielkość.

Mimowolnie dotknęłam językiem swojego uzębienia. Przynajmniej mam własne zęby. Samopoczucie wzrosło o dobre kilka punktów.

- A twój narzeczony? Kiedy go poznam? Mam nadzieję, że jeszcze przed ślubem? - zapytała, mając najwidoczniej ochotę na niewinny i niezobowiązujący flirt z panem młodym.

Tym razem moje samopoczucie gwałtownie się obniżyło. Tak ze dwieście punktów.

- Hmm... - zaczęłam niepewnie. - Prawdę mówiąc, to ślubu nie będzie. Rozmyśliłam się...

Spojrzała na mnie uważnie, a na jej zimnej twarzy wreszcie pojawił się cień zainteresowania.

- Rozmyśliłaś się? To znaczy, *ma chérie*, że dobierał się do jakiejś dupy?

Jej brak wycucia i niewyszukane słownictwo kontrastowały z elegancją stroju i arystokratyczną pozą, którą starała się przekonać cały świat o swojej wyjątkowości. Świat pełen jest takich prowincjonalnych gwiazd, a przerost ich ambicji może konkurować jedynie z przerośniętym biustem Pameli Anderson.

Uśmiechnęłam się wyrozumiale i pokiwałam potakująco głową.

- Właściwie... można to chyba tak ująć. Wprawdzie on jeszcze nie wie, że ślubu nie będzie...

- Ale numer! - Justynie spodobała się cała sytuacja i zadowolenie wróciło na jej twarz. - Jak ja lubię takie historie! To zrób mi te warzywa, a ja wezmę prysznic.

Wyszła z kuchni, a ja tylko pokiwałam głową. Pozytywny był ten brak współczucia, bo nie chciałam litości. Na szczęście empatia stanowczo nie należała do najmocniejszych stron charakteru Justyny, a poza tym i tak nie pasowałyby do jej *image'u*. Wzruszyłam ramionami i z satysfakcją wyciągnęłam resztki dziwnie wyglądających warzyw oraz śmierzdzący ser. Mrugnęłam do krasnala.

- Zrobimy jej królewską ucztę!

- Gdzie trzymasz lakier do paznokci? - wybił mnie z rozmyślań ostry głos. Justyna stała przy drzwiach w stroju *topless*, za to z ręcznikiem na głowie. - Nie wiem, jak to się stało, ale zapomniałam kuferka do *manicure'u*. Ależ jestem wściekła!

- Aa... w szafce nad lustrem - odpowiedziałam, patrząc na nią znad książki, którą udawałam, że czytam. Byłam pewna, że w ciągu godziny spędzonej w mojej łazience zdążyła zajrzeć w każdy kąt.

Zrobiła dziwny grymas i pokazała mi słoiczek z lakierem *beige 02*. Mój ulubiony.

- Nie, tam znalazłam tylko to coś. Nie wiem, po co ludziom lakier, którego nie widać. Gdzie masz resztę?

- Nie mam więcej - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Nigdy jakoś nie przywiązywałam wagi do koloru moich paznokci.

Justyna rzuciła mi spojrzenie pełne niedowierzania.

- Żartujesz sobie, *ma chérie*? Nie używasz lakieru do paznokci? Nic dziwnego, że facet cię rzucił!

No, dziękuję bardzo!

Usiadła koło mnie i zaczęła mi się krytycznie przyglądać.

- Gdybyś coś z sobą zrobiła, nawet nie byłabyś taka ostatnia, wiesz?

A to już chyba lekka przesada! Ogarnęła mnie niewymowna żądza mordy.

- Rozumiem, że starasz się być miła i... - zaczęłam, ale przerwała mi gwałtownie, zbulwersowana, a jej biust podskoczył z oburzenia.

- Absolutnie nie! Ja nigdy nie staram się być miłą. Uważam, że kobieta, która jest miłą dla drugiej kobiety, jest albo hipokrytką, albo lesbijką. Że też to ja muszę ci otwierać oczy! Zapamiętaj sobie, że wszystkie kobiety są groźne, ale te miłe są najgroźniejsze. Potrafią cię omamić, omotać, a potem dobrać się do twojego faceta.

- Justyna, czy ty nie masz przypadkiem jakiegoś problemu? - zapytałam delikatnie, zaniepokojona jej nagłym wybuchem.

- Ależ skąd! - rzuciła oburzona, a jej biust ledwie nadażał za gorącym temperamentem swojej właścicielki. - Ja nie mam takich problemów, bo pewnych rzeczy jestem świadoma! Ale takie jak ty, *ma chérie*... - spojrzała na mnie z litością.

- To znaczy jakie? - wymusknęło mi się.

- Ofiary losu! Ufne śpiące królowny! Przypomnij sobie, co cię spotkało! Stało się tak dlatego, że zlekceważyłaś konkurencję! - grzmiała nade mną. - W tych sprawach trzeba mieć oczy dookoła głowy, permanentny makijaż i stringi na każdą okazję, a co najważniejsze, w obecności innych kobiet, zwłaszcza tych miłych, nigdy nie tracić kontaktu wzrokowego ze swoim facetem.

- Coś takiego? - zaczęłam ironicznym tonem. - A ja po prostu ufam ludziom. Taka jestem naiwna. Ale tu masz rację. Zaufałam niewłaściwemu facetowi, wypuściłam go samego w świat i proszę: dał się ponieść fantazjom i zawiódł moje zaufanie.

Justyna uśmiechnęła się z wyższością.

- Nie, droga kuzynko. Tu bynajmniej nie chodzi o facetów. Do nich trzeba stosować regułę ograniczonego zaufania. Takie sytuacje jak twoja to tylko i wyłącznie efekt odwiecznej walki kobiet o dominację, chęć sprawdzenia się, zwłaszcza, podkreślam zwłaszcza, jeśli facet jest zajęty. Na jakim ty świecie żyjesz, *ma chérie* ? W tej konkurencji każda z nas jest sama. Sama. Skazane jesteśmy na samotność. Na samotną walkę o byt dla przyszłych dzieci. A im większy potencjał, nie tylko seksualny, danego osobnika, tym konkurencja mocniejsza. W takich sytuacjach lojalność nie istnieje. Przyjaźń nie istnieje. Solidarność jajników jest fikcją.

Boże, jakie ona musi mieć smutne życie.

- Czyli facet nie jest niczemu winien? - moja ironia bynajmniej nie zbiła z tropu tej znawczyni prawdziwego świata i jego brutalnych praw.

- Może trochę - przyznała niechętnie. - Faceci są różni, niektórzy słabsi od innych... Ale pamiętaj, facet z natury służy tylko przedłużeniu gatunku, *ma chérie*. Jest jak takie... zwierzątko, tyle że ogonek ma z przodu. Ma za zadanie umieścić nasionko w odpowiednim jajeczku. Jego mózg i, powiedzmy sobie, jego najlepszy przyjaciel są tak skonstruowani, że wbrew wszystkim mu dążą do celu i do... zwarcia. Ale są nieszkodliwi. Realizują tylko misję, jaka im przypadła w udziale. Działają na bardzo prostych zasadach i dają się ponosić podstawowym instynktom. To taki inny gatunek. *Homo erectus*. My, kobiety, to co innego. Dzięki nam świat się kręci, a *homo erectus* staje... gotowy do przedłużenia gatunku.

Zanim ponownie zniknęła za drzwiami łazienki, powiedziała jeszcze:

- Ale wiesz, co jest najlepsze, jak facet jednak odejdzie?

- Że zawsze zjawia się następny? - zapytałam naiwnie, przypominając sobie pocieszające słowa Julii.

- Ależ skąd! Najlepsza jest zemsta! To, że możesz go potem rzucić na kolana, *ma chérie*. Powinnaś zrobić wszystko, żeby ten twój Jacek gryzł własny... ogon, że pozwolił sobie na wymianę materiału genetycznego z inną kobietą. Choć w twoim wypadku to może trochę potrwać... - westchnęła ciężko, lustrując mnie z góry na dół. - Na pocieszenie powiem ci tylko, że single są teraz bardzo *trendy*, więc właściwie nie powinnaś się tym wszystkim za bardzo przejmować.

ROZDZIAŁ 10

Tego samego wieczoru nadszedł czas konfrontacji z Jackiem, który, z wątpliwej tęsknoty za moją osobą, wydzwaniał co pół godziny. Za każdym razem zmuszałam Justynę do kłamstwa: „Agnieszki nie ma, nie wiem, kiedy wróci, nie zostawiła dla nikogo żadnej wiadomości”, co w niewielkim stopniu obciążało moje sumienie, ale w znacznym stopniu potencjalnych przysług, o które prędzej czy później moja obrotna kuzynka się upomni, jako że bezinteresowność bynajmniej nie należała do wyznawanych przez nią wartości.

Wreszcie, mając najwyraźniej dość charytatywnej pracy w charakterze sekretarki, a także mojego nędznego widoku, oświadczyła bezlitośnie:

- Zdecydowałam się zamieszkać z tobą, bo myślałam, że będziemy się dobrze bawić. Ja nie mam czasu ani ochoty zamęczać się twoją zasmarkaną, dosłownie i w przenośni, twarzą. Mnie się nie wolno stresować! Wiesz, jak to na cerę szkodzi? Przestań histeryzować i załatw to w końcu! Dorosła kobieta jesteś! Gdybym wiedziała, że będziesz się tak zachowywać, to zamieszkałabym u ciotki Kryśki.

Po owej przemowie wzięła sprawy w swoje ręce. Kiedy mój, nieświadomy bycia eksem, eks zadzwonił po raz kolejny, oświadczyła, że właśnie do niego jadę.

- I ma dla ciebie niespodziankę, taki mały prezent ślubny - dodała zadowolona, mrużąc oczy jak kot, któremu udało się pacnąć myszkę i upuścić jej nieco krwi.

Miałam wielce oburzoną minę, ale nie odezwałam się ani słowem. Idąc za ciosem, postanowiłam rozmówić się z Jackiem raz na zawsze. Justyna uparła się, żeby mi towarzyszyć, ot tak, jakby trzeba było komuś przywalić w zęby. Czterech starszych braci wpłynęło widać znacząco na jej osobowość.

- Możesz jechać - burknęłam zestresowana. - Ale czekasz w samochodzie.

Wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się bezczelnie.

- Odbierasz mi radość życia, *ma chérie*. Takie sceny nie zdarzają się codziennie. Ale jak chcesz. W końcu to twój dzień. Ciesz się nim! - To powiedziawszy, wyciągnęła z torebki pincetkę i znienacka wyrwała mi jakiś zapomniany włos znad lewej brwi.

- Au! - odskoczyłam jak oparzona.

Moje zabójcze spojrzenie nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

- Dam ci adres mojej kosmetyczki - skwitowała tylko, po czym wyciągnęła komórkę i zaczęła pisać esemesa.

Jednokomórkowcy. Nic dodać, nic ująć.

Zapaliłam silnik i pojechałyśmy. Nie pamiętam, jakim cudem znalazłam się nagle przed drzwiami mieszkania Jacka. Nie wiem nawet, czy minęło dziesięć minut, czy cała godzina. Pamiętam tylko, że w momencie, kiedy mój zdyskredytowany, wiarołomny królewicz otworzył drzwi, *notabene* w seksownym podkoszulku, który dostał ode mnie na urodziny, moja kobieca duma była już w stanie takiego ponizenia, że nie wytrzymałam. Wymierzyłam mu siarczysty policzek i zaczęłam bezwiednie staczać się w dół. Będąc już na półpiętrze, zobaczyłam czającą się na dole Justynę, która pod groźbą poderżniętego gardła nakazywała mi skończyć, co zaczęłam. Cóż było robić? Odwróciłam się na pięcie i automatycznie wróciłam do oślepiałego Jacka. Nadal sterczał w drzwiach, trzymając się za policzek.

- Ty padalcu! - ryknęłam. - Jak mogłeś mi to zrobić! Ty dwulicowy potworze! Ty...

Drzwi obok otworzyły się i jakieś stare babsko w berecie wystawiło głowę.

- Można trochę ciszej? Psa mi pani obudziła! - warknęła z groźbą w głosie.

- Nie można ciszej, proszę pani - odpowiedziałam jej uprzejmie, acz stanowczo - ale proszę uspokoić psa, to zajmie tylko chwilkę.

Jacek wpatrywał się we mnie bez słowa.

- Wiesz dobrze, o co mi chodzi, prawda? - zapytałam go z jadowitym uśmiechem.

Nie odpowiedział.

- Ja nie wiem... - zaciekawilo się babsko.

Chętnie wtajemniczyłam ją w całą sprawę. W końcu, jako najbliższa sąsiadka, ma prawo wiedzieć, obok jakiego człowieka mieszka.

- Ten pan miał się ze mną ożenić za dwa tygodnie. Nie raczył mnie jednak uprzedzić, że z przekonania jest bigamistą.

- Rany boskie! W imię Ojca i Syna! Bigamistą?! - przeraziło się babsko. - A co to takiego? To jakaś odmiana masona?

- No, niezupełnie, ale proszę mi wierzyć, ojciec dyrektor tego też nie pochwała.

Sąsiadka rzuciła Jackowi pełne potępienia spojrzenie i poprawiwszy swoje bez wątpienia najmodniejsze nakrycie głowy, zamknęła drzwi na siedem spustów, udając się zapewne w kierunku radia. Bo niektórym tak mało trzeba, by oddalić się od zepsucia tego świata i przynieść duszy ukojenie.

Dla mnie ukojenie duszy było raczej niemożliwością.

- Skoro już wyżyłaś się psychicznie i fizycznie, to może byś weszła. Porozmawiajmy - powiedział w końcu Jacek. Był spokojny i opanowany, nie pokazał po sobie żadnych głębszych uczuć.

Matko, jak ja go nienawidzę!

Weszłam i opadłam na kanapę. Usiadł obok, nie odzywając się ani słowem. Postanowiłam zacząć.

- Kim była owa blondynka, którą z taką pasją oglądałeś pod lampą w swoim gabinecie?... - musiałam przerwać, bo nagle wspomnienie pokrzywiło mi struny głosowe, odbierając zdolność mówienia.

Nie odzywał się przez chwilę.

- Pacjentka - wymamrotał w końcu.

- No tak - wrócił mi głos i nawet uśmiechnęłam się promiennie. - A zapłaciła ci ekstra za dodatkową usługę?

Nie skomentował. A szkoda.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytałam po następnej długiej chwili kłopotliwego milczenia, przerywanego jedynie skrzypieniem kanapy.

Pytanie, jak najbardziej uzasadnione, wywołało w nim lekki tik nerwowy. Długo nie odpowiadał. Oko drgało mu coraz bardziej. Tik, tik, tik. Nawet mnie to trochę rozbawiło.

- Kilka... tygodni temu - oświadczył niepewnie, ze wzrokiem utkwionym w dywanie.

Czyli, jak znam jego skłonności do konfabulacji, zabawiał się z tamtą już od dłuższego czasu.

- Ale to nie było nic poważnego. Przecież wiesz, chcę tylko ciebie. Spotkałem się z nią raptem parę razy. Ten miał być ostatni. Chyba nie myślisz, że mógłbym tak po ślubie - w jego głosie niewiniątka pobrzmiwała jakaś fałszywa nuta. - Przecież to nie w moim stylu.

Oczywiście, jak mogłabym pomyśleć inaczej. Przecież mam do czynienia ze stuprocentowym dżentelmenem.

- Wiesz, ja naprawdę chciałem ci o tym powiedzieć, ale jakoś... nie było okazji. Zresztą, to i tak nie miało zupełnie przyszłości - zwierzył się nagle.

- Ale dlaczego, Jacek?! - Moje pytanie, w którym można było dopatrzeć się zrozumiałego żalu i wyrzutów, wprawiło go w zakłopotanie.

- Dlaczego? - odpowiedział po chwili, zamyślony. - Ona była taka... nierealna, taka... nieuchwytna... Jak marzenie senne. A jednocześnie z krwi i kości.

- Nie wiedziałam, że masz duszę poety! Choć pióra to ty chyba nie używasz do pisania wierszy! Ja pytam, dlaczego mi to zrobiłeś?! - prze-rwałam rozwścieczona jego wynurzeniami.

Spojrzał na mnie, jakbym nie rozumiała oczywistych rzeczy, po czym zadał cios w samo serce:

- Może chciałem się zabawić przed ostatecznym rozwiązaniem...

- Słucham? - zmroziło mnie. - Byłam dla ciebie ostatecznym rozwiązaniem!?

Takie słowa leczą z miłości niezawodnie i natychmiastowo. Skutkiem ubocznym jest tylko przewlekły brak wiary w męskie „tak, ja... biorę sobie ciebie...”.

- To koniec! Oficjalnie!

- Nie bądź głupia! - powiedział zniesmaczonym tonem. - Przecież wiesz, że mi na tobie... zależy. Gdyby tak nie było, to przecież bym się z tobą nie żenił, prawda? - przekonywał sam siebie. - Ty zawsze musisz wszystko przekreślić! Zastanów się. Gdybyś zechciała dać mi jeszcze szansę...

Wybaczyć... Wiem, że jesteś rozgoryczona, wściekła. To zupełnie zrozumiałe. Nie mam ci tego za złe. Ale nie można tak emocjonalnie podchodzić do ważnych kwestii. Może to jeszcze raz przemyślisz? Zdecydowaliśmy się na ślub, bo sprawdziliśmy się razem. Pamiętasz? Przerabialiśmy to tyle razy: najważniejsze są wzajemna fascynacja i zrozumienie. A rozumieliśmy się przecież doskonale! Czytaliśmy sobie w myślach, pamiętasz?

- I tam wyczytałeś, że chętnie zobaczę, jak radzisz sobie z tą... motywacją - zacisnęłam pięści - na fotelu dentystycznym? Ty... ty... wtórny analfabeto!

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Przyznaję, moja wina, nie powinienem był, ale i tak uważam, że odwołanie ślubu to zbyt drastyczne wyjście.

- To jedyne wyjście! - wrzasnęłam.

- Zbyt emocjonalnie do tego podchodzisz, pszczołko.

Ja? Emocjonalnie podchodzę?!

- Że co proszę? Zbyt emocjonalnie?! A jak mam podchodzić?! - wpastrywałam się w niego osłupiała. Czy ta baba mu ostatki rozumu wysłała razem z zawartością portfela i spodni? – Przecież ja już nigdy ci nie zaufam! Jak ty sobie to wszystko wyobrażasz?!

Usiadł zrezygnowany na kanapie.

- Jak chcesz! Zawsze musi wyjść na twoje.

Ślucham?! Szczęka mi gwałtownie opadła i musiałam użyć własnej dłoni, żeby pomóc jej wrócić na swoje miejsce. I ja z tym człowiekiem życie chciałam spędzić!? Przecież to wyrachowany zimny drań. Nie ma dla niego żadnej świętości. Bigamista!

Bez słowa chwyciłam kartonowe pudło pełne starych kaset „do wyniesienia” i bezceremonialnie wysypałam jego zawartość na środek pokoju. Potem wzięłam się do pakowania swoich rzeczy. Na szczęście nie było ich aż tak wiele.

- A moje rzeczy? - zapytał obrażony Jacek.

Przyglądał się z założonymi rękami, jak wrzucam wszystko do pudła. Miałam wrażenie, że mnie pilnuje. No tak, mogłabym mu jeszcze coś ukraść. Jak można tak się zmienić w ciągu trzech dni? A może to ja się zmieniłam?

Westchnęłam ciężko.

- Nie martw się, twoje śmieci już spakowane, tylko zapomniałam zabrać. Przyślę pocztą za zaliczeniem.

- Bardzo zabawne - warknął.

Nie zwracałam na niego uwagi. Trzęsącymi rękoma plądrowałam szafki w poszukiwaniu swojej własności. Szczotka do włosów. Szczotka do zębów. Szczotka do ubrania. Boże! Ile szczotek człowiek posiada!? Cztery podkoszulki. Dwie pary majtek. Koszula nocna... Zapatrzyłam się. Jego ulubiona. Czyżby?

Rzuciłam mu wściekle spojrzenie. Zastanowił mnie wyraz jego twarzy. Zafrasowany.

- Słuchaj, jeszcze jedno. Nie wiem, czy ta twoja Julia ci przekazała, ale ma do mnie przyjść paczka. Niestety, znajomy się pospieszył i wysłał na twój adres.

Pokorniał z minuty na minutę. Nie przestawałam obijać się chaotycznie po mieszkaniu.

Dwa biustonosze. Skarpetki w serduszka...

- Jak ją tylko dostaniesz, daj mi znać. Zaraz po nią przyjadę. Proszę cię...

Przerwałam swoje gorączkowe pakowanie.

- Paczka?! - Spojrzałam na niego cierpko. Widać przedmioty są dla niego cenniejsze od ludzi, bo potrafi o nie prosić. - Taak? Ma przyjść do ciebie, ale na mój adres? A co jest w paczce? - zapytałam bezczelnie, mając w głowie obraz patetycznego krasnala w czerwonym wdzianku. Nawet Julia, miłośniczka tego typu ogrodowego kiczu, nie byłaby zachwycona.

Zacisnęłam wargi.

- Nic takiego. Gipsowy krasnal - przyznał niechętnie, świadomy, że i tak sprawdzę.

Wybuchnęłam śmiechem i postanowiłam sobie poużywać.

- Przyjaciela potrzebujemy? Nie ma nas kto pocieszyć? No tak. Zawsze możesz go poprosić, żeby resztę braci i królową Śnieżkę przyprowadził. Ale będzie impreza!

- Odbiorę natychmiast. Tylko daj mi znać. Proszę! - upierał się wściekle. - A może już dostałaś? - dodał, przyglądając mi się podejrzliwie.

Z bezczelną miną wytrzymałam jego spojrzenie.

- Wymień choćby jeden powód, dla którego miałabym ci pójść na rękę!?

Ale się zdenerwowałam!

- Wiesz co? Ja już wiem, dlaczego miałam cię dość! - krzyczałam, zupełnie nad sobą nie panując. - Jesteś złośliwą małpą, która potrafi doprowadzić nawet tak zrównoważonego mężczyznę jak ja do ostateczności!

Aha, czyżby chwila prawdy?

- Nie potrafiłaś mnie docenić, wyśmiewałaś, kiedy najbardziej potrzebowałam wsparcia!

- Szczerą jestem! A na moje wsparcie zawsze mogłaś liczyć i dobrze o tym wiesz!

- Ja potrzebuję kobiety, która mnie zrozumie, która mnie będzie szanować, która potrafi dostrzec moje prawdziwe potrzeby i moją prawdziwą wartość...

- Wróć do mamusi.

- Zoźła!

- Hipokryta!

- Jęźza!

- Drań!

Staliśmy blisko siebie, obrzucając się epitetami dłuższą chwilę. Kiedy skończyły się słowa, zostały już tylko czyny. Nigdy nie byłam zwolenniczką rozwiązań siłowych, tak więc postanowiłam zakończyć tę żalosa scenę w iście hollywoodzkim stylu i... pocałowałam go. Długo i namiętnie. Tak, jak należy. Rzecz jasna, chciałam tylko sprawdzić, czy po tym wszystkim, co mi zrobił, jeszcze na mnie działa. Hmm... Jeszcze działał. Było miło, ale uświadomiłam sobie, że zamknęłam kolejny etap w życiu. To był koniec. I nawet poczułam ulgę. Aczkolwiek niewielką w stosunku do konsekwencji, jakie pociągała za sobą moja decyzja. I faktu, że zdrada boli. Straszliwie boli.

Jacek wpatrywał się we mnie w osłupieniu. Po chwili wrócił do równowagi, ale opacznie zrozumiał mój pseudonamiętny wybuch.

- Przebaczyłaś mi!? Wiesz, każdy popełnia błędy. Ja bynajmniej nie jestem święty, ale może jeszcze potrafimy uratować nasz związek. Pamiętaj, jak nam było razem dobrze? Aga! Pamiętaj? Chcesz tego tak samo jak ja...

Powoli dotknął wargami moich ust. Odsunęłam się zdecydowanie, myśląc sobie, że ktoś, kto powiedział, że zemsta jest słodka, musiał dobrze wiedzieć, jak smakuje.

- Żegnaj. Chciałam ci tylko zostawić coś na pamiątkę - powiedziałam melodramatycznie i wyszłam.

ROZDZIAŁ 11

Justyna czekała na mnie na dole, przebierając nogami z ciekawości. Minęłam ją bez słowa i podeszłam do samochodu. Na tylne siedzenie wrzuciłam pudło ze swoimi rzeczami, a potem, nie oglądając się za siebie, usiadłam za kierownicą. Z trudem panowałam nad emocjami. Mój stróż wamp z gracją usadowił się obok i zlustrował mnie dokładnie.

- Trzeba było założyć mini. Przynajmniej pomogły ci z tym pudłem - rzuciła mimochodem. - Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, *ma chérie*, ale mini wzbudza u mężczyzn silną potrzebę rycerskości.

Zignorowałam ją. Włączyłam silnik i wyjechałam na główną ulicę. Zaczynały się godziny szczytu. Wiadomy scenariusz powielany każdego dnia o tej samej porze. Ludzie wściekają się, trąbią, klną, a jednak dzień w dzień wyprowadzają samochody na ulicę i stoją w korku, ćwicząc swoją wytrzymałość na stres.

Ruszamy. Pisk. Stoimy. Ruszamy. Pisk. Stoimy.

Zapadał zmierzch. Korek wydawał się nie mieć końca.

Stoimy. Ruszamy. Pisk.

Ze złością wcisnęłam hamulec. Stoimy. Pudło wypełnione wspomnieniami, rzucone niedbale z tyłu, przewróciło się.

- Czy mogłabyś tak gwałtownie nie hamować? – Justyna spojrzała na mnie zaniepokojona i, widząc zapewne moje przekrwione oczy, szybko przypięła się pasem, o którym wcześniej, z powodu swojego designerskiego płaszczyka, starała się nie pamiętać.

Stoimy. Ruszamy. Pisk. Stoimy.

- Uspokój się, przecież nie było tak źle, prawda? Nikt nie za słabł, nikt nikogo nie pobił, nic przez okno nie wypadło, a specjalnie nie pozwalałam ludziom tamtędy przechodzić.

Moja irytacja sięgnęła szczytu.

- Nie było tak źle!? Zrozum, ten facet miał się ze mną ożenić! Zdradził mnie! A ja to w dodatku widziałam! I... i powiedział mi, że byłam ostatecznym rozwiązaniem! Nie było tak źle!?! - Właściwie nie byłam zdolna do jakichkolwiek racjonalnych wniosków. Dopiero teraz dopadła mnie frustracja. Cieszyłam się tylko, że Jacek nie może mnie w tym momencie zobaczyć.

Stoimy. Ruszamy. Pisk. Stoimy.

Nie! To ponad moje siły. Skręciłam na pas dla taksówek i autobusów.

- Co mi tam! - wcisnęłam gaz, mając nadzieję ominąć ten cały cyrk.

Skusiłam los. Jak się okazało, policja jest zawsze nie tam, gdzie inni łamią przepisy, tylko akurat tam, gdzie my je odrobinę naginamy. Czerwony lizak przypomniał mi szkolne lata i odebrany rower. Dziwnie zobojętniała, zjechałam na pobocze i otworzyłam okno.

- Dobry wieczór - odezwał się wąsaty policjant z drogówki.

Wyglądał jak setki innych, choć rzucały się w oczy jego dziwne jak na mundurowego zadowolenie z życia i za duża czapka. - Dokumenty do kontroli proszę.

Nie spiesząc się, podałam mu to, czego chciał.

- Czy wie pani, jakie wykroczenie popełniła? - zapytał radośnie, oglądając moje papiery.

Nie odezwałam się. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, a nie doczekawszy się odpowiedzi, sam mi jej chętnie udzielił.

- Jechała pani pasem dla autobusów - uśmiechnęła się szeroko. - Czy pani kieruje autobusem?

- Widać, że pan od niedawna w tej branży. A może wzrok szwankuje? - wymusnęła mi się.

Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć, ale stosunkowo szybko wrócił do równowagi. Tak. Te nowe testy na szybkie reagowanie robią swoje. Naciągnął mocniej czapkę na głowę. Odpowiedź mogła być tylko jedna. I była.

- Mandat i punkty karne. Proszę za mną do radiowozu - odezwał się wściekle i mruczając coś pod nosem na temat braku szacunku do policji, odszedł w kierunku wspomnianego pojazdu.

Justyna westchnęła z dezaprobatą i odpięła pas.

- Tego chcesz? Po co ci to? Pieniądze w błoto wyrzucać? Taki miły policjant na pewno da się przekonać, że to był ostatni raz, prawda? Co ty byś

beze mnie zrobiła, *ma chérie*? Ty powinnaś Bogu dziękować, że zdecydowałam się zamieszkać u ciebie. Na mszę dać. Już biegnę...

- Patrz i podziwiaj...

Obserwowałam, jak błyskawicznie wyciąga z torebki małe lusterko i szminkę. Jeden wyćwiczony ruch i usta zamieniły się w malinowe pożądanie. Rozpięła płaszcz, obciągnęła swój wielki dekolot i zgrabnie wyskoczyła z auta, demonstrując przy tym seksowne nogi w szpilkach - drapaczach chmur.

- Panie władzo, przepraszam, panie policjancie... – zawołała swoim powabnym głosem. Machając uroczo rączką w czerwonej rękawiczce, podbiegła do mężczyzny, który zdążył już zabrać się do wypisywania mandatu, i rozpoczęła akcję „władza nasza”.

Przez chwilę słyszałam jeszcze jej śmiech, tajemnicze szepty, a potem się wyłączyłam. Położyłam głowę na kierownicy. Światła samochodów migotały i znikaly jak wypalająca się świeczka, jak gasnąca miłość. Mój świat stanął na głowie. Aha, przykro mu jest, mruczałam do siebie z przekąsem. Przykro to mu dopiero będzie, ale teraz zupełnie nie mam zamiaru zaprzętać sobie nim głowy. Nie jest tego wart.

- Gotowe! - Justyna otworzyła drzwi kierowcy i stanęła nade mną, różowiona od flirtu. - Przesiądź się! - powiedziała, machając jeszcze siedzącemu w radiowozie policjantowi. – Tylko szybko!

Zaskoczona przesiadłam się na siedzenie pasażera.

- Co ty robisz?

Justyna szybko usiadła na miejscu kierowcy i zapięła pas.

- Jak to co? Ratuję twoją żalną dupę przed poważnymi konsekwencjami materialnymi, *ma chérie*. Powiedziałam temu panu w mundurku, że masz depresję, że traumatyczne przeżycia, że facet cię przed ołtarzem zostawił dla jakiejś cizi i tak dalej. Wierz mi, było ciężko go przekonać, żeby odpuścił. Musiałaś go nieźle wkurzyć. Na szczęście ma się te sposoby... - odezwała się zadowolona, zerkając w lusterko i poprawiając włosy. - No i pan Włodek powiedział, że on to rozumie, ale w takim wypadku nie powinnaś sama prowadzić, jak to poetycko określił, pojazdu zmotoryzowanego. Powiedział, że nas puści, ale pod warunkiem, że ci nie

dam już dzisiaj kierować. Zasugerował, że powinnam cię odwiedzić do domu. To co mu miałam powiedzieć? Powiedziałam, że oczywiście, doskonały pomysł, i że z taką głową na pewno wkrótce awansuje.

Wpatrywałam się w nią z rosnącym przerażeniem.

- Justyna, ale ty przecież nie masz prawa jazdy!

- No i...? Przecież kazał mi jechać, nie? Policjant mi kazał. Nie pytał, czy mam prawo jazdy. A poza tym przecież umiem jeździć. Dużo ostatnio jeździłam.

- Chyba quadami po lesie!

Zapaliła silnik i włączyła wycieraczki zamiast świateł.

- Nie marudź, tylko zmieniaj biegi - rzuciła i pomachawszy jeszcze miłemu panu policjantowi o imieniu Włodek, z piskiem opon włączyła się do ruchu.

ROZDZIAŁ 12

Na automatycznej sekretarce czekała wiadomość, na którą zresztą potajemnie liczyłam.

„Witam, Rusalko - usłyszałam czarujący głos mojego anioła stróża. - Jerzy z tej strony. Chciałem tylko sprawdzić, jak się czujesz. Pomyślałem, że moglibyśmy wyskoczyć na kawę, może na drinka, jeśli wolisz... - Kawa brzmi fantastycznie. - Nie ma cię dzisiaj... - Jestem! - Może więc innym razem. Miłego wieczoru”. Klik.

Cholera, że też nie było mnie akurat, kiedy dzwonił! Serduszko przyspieszyło. Przystojny Jerzy wyparł z moich myśli niewiernego Jacka i obiecująco wpłynął na moje samopoczucie.

Spojrzałam na Justynę. Na twarzy miała ten swój charakterystyczny cyniczny uśmiešek. Ściągnęła niebotycznie wysokie szpilki i powiedziała powoli, cyzelując każde słowo:

- Ach, więc to tak. Z ciebie też nie żadna święta, *ma chérie*. Ta aureola nad twoją głową to widocznie jakieś przekłamanie w systemie. Przed chwilą zerwałaś z mężczyzną swojego życia i proszę, proszę, nie marnujesz czasu albo... Może wcześniej się odpowiednio zabezpieczyłaś na tę okoliczność? Przyznaj się.

Spojrzałam na nią, jak na to zasługiwała, i zacisnęłam zęby. Nie ma sensu niczego jej tłumaczyć. Nie widząc żadnej reakcji z mojej strony, wzruszyła tylko ramionami i oznajmiła:

- Nie chcesz nic powiedzieć? Twoja sprawa. Słuchaj, zaraz wychodzę. Idę ze znajomymi do klubu. Właściwie... - zawahała się - jeśli masz ochotę się rozerwać, to zapraszam, *ma chérie*, aczkolwiek byłabym zmuszona pożyczyć ci coś odpowiedniego z mojej garderoby. Zakładam jednak, że w obecnej sytuacji cały wieczór spędzisz na wybieraniu kreacji na randkę z właścicielem tego seksownego głosu.

- Bynajmniej, moja droga - odparowałam. - Po pierwsze, to nie randka, a po drugie, mam poważniejsze rzeczy na głowie niż grzebanie w

ciuchach. Jutro muszę oddać zaległe projekty. Nie mam czasu na głupoty ani kluby. Ale dziękuję za zaproszenie.

Justyna po raz kolejny obojętnie wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej nie będę musiała świecić za ciebie oczami.

Moja mina wystarczyła za komentarz.

- No co? - odpowiedziała, patrząc na mnie jak na kretynekę. - Przecież ty żyjesz na zupełnie innej planecie, nie chodzisz po klubach. Nie wiesz, co się teraz nosi, o czym się rozmawia, co się je, co się pije...

- Co się pije? Nie rozumiem - zgłupiałam do reszty. - Co masz na myśli?

Westchnęła ciężko, przerażona moim brakiem elementarnej wiedzy.

- No wiesz, *ma chérie*... Na przykład kiedyś w klubach pijało się szampana, a jeszcze niedawno białe wino. Teraz to już nie jest dżezi, rozumiesz? Teraz pija się tylko czerwone.

Widząc moją minę, uśmiechnęła się pobłaźliwie:

- Nie przejmuj się, nie każdy musi być *trendy*. Ja nic do ciebie nie mam, ale wiesz... Taka do końca *cool* to ty nie jesteś. Nawet jeśli *cool* wcale już nie jest *cool*.

Zamknęła się w łazience, a ja padłam na kanapę zupełnie oszołomiona. Przykryłam głowę kocem i powoli zaczęłam tonąć w oceanie czarnych myśli. Chyba zasnęłam, bo z otchłani nieświadomości wydobył mnie dopiero ostry głos Justyny:

- Mogę pożyczyć twój kożuszek?

Wydostałam głowę spod koca. Ze wszystkich stron otoczył mnie jadowity zapach perfum, a w jego epicentrum znajdowała się Justyna - w moim kożuszku, spod którego wystawała bieliźniana koszulko-sukienka ledwie zakrywająca pośladki. Wpatrywałam się w nią ze zdumieniem, a im dłużej się przyglądałam, tym mniej widziałam materiału, a więcej golizny. Prześwitujące przez materiał piersi nie były przykryte choćby namiastką stanika, a czerwone kabaretki w wielkie dziury umiejętnie odkrywały jej opaleniznę. Stroju dopełniały niebotycznie wysokie szpilki. Czerwone, żeby nie było nieporozumień.

- Czyżbyś znalazła coś *trendy* w mojej garderobie? Czuję się zaszczyczona... - wydyszałam po otrząśnięciu się z pierwszego szoku.

- No coś ty! - Justyna bynajmniej nie miała zamiaru kłamać. - Zimno jest, a że jadę z kolegą jego furą, to mam gdzie zostawić kożuch. Spokojna głowa, *ma chérie*, nikt mnie w nim nie zobaczy - powiedziała uspokajająco. - I nie czekaj na mnie z kolacją. Wróć raczej późno. Aha... - zatrzymała się jeszcze i odwróciwszy głowę, postanowiła mnie pocieszyć. - Właściwie to jedna rzecz z twojej szafy jest całkiem, całkiem. Taka czekoladowa sukienka z jedwabiu. Kolor bardzo *trendy*. Szkoda tylko, że dekolt jakiś taki... za mały. W ogóle biustu nie widać. I na co te chłopy mają patrzeć.

I już jej nie było.

Kiedy ona zdążyła przejrzeć moją szafę!?

Szybko otworzyłam okno. Jeden wdech, a jaka ulga. Spojrzałam na zegar. Ósma. Późno już. Trzeba się zabierać do pracy. Randka. Jaka randka? Przecież to nie żadna randka. Facet mnie na kawę zaprasza i tyle. Hm... Ale faktycznie przydałoby się jakoś wyglądać. A jak ja w ogóle wyglądam? Odkąd związałam się z Jackiem, nie zastanawiałam się nad tym zbyt często. Wierzyłam, że jestem kochana za to, jaka jestem, a nie za to, że mam pomalowane paznokcie. Spojrzałam podejrzliwie na swoje dłonie. Były szorstkie i wyrobione od ołówków i kredek. Jacek śmiał się, że jedyny lifting, jakiego potrzebuję, to lifting rąk. A oprócz rąk? Czy coś faktycznie ze mną nie tak? Gnana nagłą potrzebą poznania nagiej prawdy, rozebrałam się gwałtownie i o mało nie udusiwszy się własnym stanikiem, pobiegłam do sypialni. Stałam przed wielkim lustrem gotowa do konfrontacji. Naga oczywiście. I co widzę? Ciemność widzę.

- Otwórz oczy, kretynko - powiedziałam do siebie z politowaniem.

Nie otworzyłam.

- Otwórz oczy! Głupia jesteś? No, dalej! Nic dziwnego, że facet cię zostawił!

Otwieram...

Otworzyłam. Uff... Obróciłam się parę razy. No to szacujemy majątek:

Biust - może być. Może mniejszy niż większy, ale przynajmniej z charakterem. No i własny, a to w naszych czasach rzadkość.

Talia - jak najbardziej. Pierwsza klasa.

Pupa - odpowiednia. Trochę ćwiczeń, jakiś masaż i sama J.Lo by się nie powstydziała.

Reszta - stan zadowolający, czyli podsumowując, nie jest źle. Poza tym w dzisiejszych czasach wszystko można zmienić. Nawet pleć. Więc kilogram (lub pięć) za dużo czy też za mało to naprawdę nic wielkiego.

Otworzyłam szafę i poczułam się jak w liceum, kiedy taki jeden zaprosił mnie na randkę. Na moją pierwszą randkę. Stałam wtedy przed szafą mojej mamy, zastanawiając się, czy pożyczy mi swoją błękitną bluzkę, kupioną jeszcze w Peweksie za grube dolary. Nie pożyczyła. Za to teraz mam ją gdzieś na dnie szafy. Wygrzebałam ją i przymierzyłam do dzinsów. Wróciły miłe wspomnienia. Potem wpadła mi w ręce owa czekoladowa sukienka, o której mówiła Justyna. Właściwie nigdy jej jeszcze nie miałam na sobie. Jakoś... nie było okazji. Założyłam sukienkę i spojrzalam krytycznie w lustro.

- No, całkiem nieźle - mruknęłam z zadowoleniem.

Obróciłam się parę razy. Na następne spotkanie z Jackiem włożę tę właśnie sukienkę. Niech go żal zadusi. Wyglądam co najmniej *trendy*, jeśli nie dzezi. Na kawę z Bondem jest chyba za mocna, ale kto wie... Może na drugie spotkanie? A już na pewno na randkę ze śniadaniem.

Nie miałam wątpliwości, że to całkiem realny scenariusz.

Pukam do drzwi. Same się otwierają. Wchodzę powoli, nie wiedząc, czego się spodziewać, i oczom nie wierzę. Korytarz zasiany jest płatkami czerwonych róż. Słychać nastrojową muzykę, która prowadzi mnie do salonu. Popycham delikatnie drzwi. Widok odbiera mi chęć bycia oporną. Wszędzie palą się świece. Na stole butelka doskonałego czerwonego wina i truskawki w czekoladzie. Moje ulubione. Jerzy, ubrany w nienaganny smoking, uśmiecha się seksownie i padając na kolana, zadaje to najważniejsze pytanie w życiu każdej dziewczyny. A już po chwili na moim palcu lśni wielki diament będący częścią pierścionka. Zaręczynowego pierścionka.

Kątem oka dostrzegłam swoje odbicie w lustrze i od razu się opamiętałam. Ze śliną wyciekającą z ust nie mam żadnych szans na tytuł bogini męskich serc. Trzeba kontrolować swoje emocje. Na zimno analizować fakty. Trzeba przekonać mężczyznę, że jest wielkim zdobywcą, który potrafi

zdobyć nawet najbardziej niedostępne góry... I na udowodnienie tej teorii - dać się zdobyć.

Potem przymierzłam chyba wszystkie ciuchy z szafy i z bólem przyłączyłam się do trwającego od początku świata jęku zdecydowanej większości kobiet: przecież ja się nie mam w co ubrać! Muszę koniecznie na zakupy!

Bezduśznie ignorując dzwonek do drzwi, za którymi stał zapewne Wiesio gotowy do nasmarowania zawiasów w całym mieszkaniu, zrobiłam sobie *pedicure* i *manicure*. Aromatyczna kąpiel w rumianku, peeling, maseczki i inne tam kobiece rytuały sprawiły, że poczułam się fantastycznie. I kiedy tak leżałam w wannie, niezmiernie zadowolona i zrelaksowana, nagle spłynęło na mnie olśnienie. Porażająca naga prawda. Boże drogi! To już nie depresja. To desperacja!!!

Zerwałam się gwałtownie i uderzyłam czołem w piecyk. Auć!!! Ale będę miała guza! Pociemniało mi w oczach, ale w głowie zobaczyłam dziwną jasność. Przypomniałam sobie słowa mojego ojca, który pouczał mnie, kiedy zaczynałam wchodzić w świat młodzieńczych namiętności.

„Dziecko - mawiał po jednym głębszym - zadaniem ojca jest chronić córkę przed niewłaściwym mężczyzną. Pamiętaj, że królewicz na białym koniu i happy end to męska propaganda. Mężczyźni potrafią wmówić kobiecie wszystko, jeśli widzą w tym jakiś cel. Nie okłamuj się jednak, żabciu, posiadanie mężczyzny jest dosyć istotną rzeczą w życiu kobiety. Nawet jeśli nie znajdziesz królewicza, to i tak postaraj się wyjść za mąż przed trzydziestką. Nie chcesz chyba, żeby cię od starych panien wyzywali i przygadywali twojej matce. Ale pamiętaj - dodawał patrząc, czy mama nie słyszy - nic tak bardzo nie przeraża mężczyzny jak kobieta w desperacji”.

„Kobieta w desperacji...” - powtarzałam brzmiały mi jeszcze w uszach słowa taty, zakładając pidżamę.

Dochodziła jedenasta. Z okładem na czole zabrałam się do projektu. Ogarnęły mnie czarne myśli.

ROZDZIAŁ 13

Wstałam rano nieprzytomna, nie pamiętając nawet, czy skończyłam ostatni projekt. Kiedy doszłam do siebie, była ósma, a ja uświadomiłam sobie, że prawie całą noc spędziłam na projektowaniu ekstrawaganckiego grobowca dla Jacka. Bardzo zresztą innowacyjnego, z wentylacją i spizarką. Ot tak, na wszelki wypadek. Projekt dla niejakiego pana Fryca wydawał mi się odległy i nieistotny. Miałam przecież poważniejsze zmartwienia niż kolorystyka kuchennych blatów. Rzecz jasna, teraz moje odczucia były nieco inne. Owszem, chętnie bym coś powyberała, ale na to było już za późno. Żeby nie pojawić się z pustymi rękoma, zabrałam z sobą dzieło ostatniej nocy. Zastanawiając się, jak nie zdenerwować Malinowskiego i jak bez utraty pracy kolejny raz przełożyć termin projektu, dojechałam do pracowni.

Liczyłam na dobry humor mojego szefa. W końcu to piątek, a ludzie stają się znacznie bardziej ludzcy, kiedy w perspektywie mają wizję weekendu i miło zaplanowanego czasu w rodzinnym gronie. Ale z Yogim, jak go pieszczotliwie nazywaliśmy z powodu nadzwyczajnego podobieństwa do sympatycznego misia z kreskówki, nigdy nic nie było wiadomo. Tym bardziej że wybuchowa natura Malinowskiego znana była na całej ulicy. Ze słyszenia. Dosłownie.

W windzie spotkałam Ankę, koleżankę z biura, która wpatrując się w moje czoło, zapytała taktownie:

- Co ci się, matko jedyna, na czole wyrzuciło?

Zaraz potem, nie czekając na odpowiedź, podekscytowana podzieliła się ze mną sensacją roku:

- Ty wiesz, co się stało? Okazało się, że żona Malinowskiego puszcza się z jakimś nigeryjskim futbolista! Podobno ich nakrył *in flagranti*. Całe biuro huczy! Yogi chodzi taki naładowany, że wzrokiem żarówki zapala. Wszyscy mu z drogi schodzą! Żal mi cię... Przyniosłaś te zaległe projekty?

Już wczoraj przeznaczył cię na odstrzał.

Zaczął mi się trząść podbródek. Koniec końców, lubiłam swoją pracę i zły humor Malinowskiego stanowczo nie był mi na rękę.

Nie mogła ta zdzira, jego żona, robić tego dyskretniej?! I w ogóle musiała akurat w tym tygodniu?! I to jeszcze z importowanym futbolista! Jakbyśmy własnych mieli mało! Choć z drugiej strony, było to poniekąd zrozumiałe, zważywszy na fakt, że rodzimi rzadko kiedy strzelają gole.

Przed drzwiami do jaskini lwa zatrzymałam się niezdecydowana. Po krótkiej chwili doszłam do wniosku, że nie jestem gotowa, by stawić czoła Yogiemu w ciężkiej depresji. Kiedy już zaczęłam się dyskretnie wycofywać, poczułam na ramieniu ciężką dłoń. Odwróciłam się gwałtownie. Patrzyły na mnie wściekle, czerwone z niewyspania oczy Malinowskiego, w których czaiły się zbrodnicze instynkty. Szykuje się ostra corrida.

- A pani czeka na specjalne zaproszenie i fanfary? Proszę wchodzić i pokazać to swoje dzieło! - huknął na mnie i bezceremonialnie wepchnął się pierwszy.

Potulnie weszłam za nim. Usiadłam na brzegu zniechęconego przeze mnie krzesła, zaprojektowanego ewidentnie dla niechcianych gości tudzież niesprawdzających się pracowników, i zaczęłam się dyskretnie przyglądać swojemu szefowi. Bez wątpienia miałam do czynienia z przypadkiem stuprocentowego rogacza - czyli mężczyzny o zranionej dumie, zgwałconej godności i zszarganym łożu - szczególnie niebezpiecznym na etapie odgrywania się na każdym, kto posiada widoczne gołym okiem cechy płciowe niewiernego partnera.

- Dobra! - Już na wstępie zabił mnie spojrzeniem, po czym wygodnie rozsiadł się w fotelu. - Po pierwsze, mam nadzieję, że to, co pani ma na czole, nie jest zaraźliwe, a po drugie, że to, co pani mi pokaże, jest warte mojego czasu. Dawać! - formy bez osobowej używał tylko w jednym wypadku: kiedy stopień jego wściekłości przekraczał każdą skalę.

Przelknąwszy ślinę, podałam mu teczkę. Niecierpliwym ruchem wyjął projekty i zaczął je szybko przerzucać.

- Co to pani mi tu daje!? Przecież to chyba jakaś piwnica, a nie kuchnia - zbulwersowany, zapomniał nawet podnieść głos.

Wpatrywał się tylko z niesmakiem w moje dzieła. - Przynajmniej wentylacja i spiżarka... - zamruczał.

Po chwili niedbale rozrzucił projekty po stole i wbił mnie w krzesło swoim wzrokiem. Miałam nadzieję, że jakimś cudem stanę się pierwszym udokumentowanym przypadkiem dematerializacji. Niestety, tym razem też się nie udało. Nadal znajdowałam się w biurze Malinowskiego, który dobrą chwilę siedział w milczeniu, po czym rozpoczął swój wywód, uśmiechając się pobłaźliwie, jakby miał do czynienia z osobą umyślowo ograniczoną albo, nie czarujmy się, z przypadkiem zupełnego zidiocenia:

- Pani Agnieszko, czy mi się wydaje, czy to miała być jasna, pogodna, nowoczesna kuchnia?

Potwierdziłam gorliwie, zastanawiając się, jaką obrać taktykę.

- Czy naprawdę uważa pani, że te grobowe fiolety, czernie i szarości podbiją serce naszego zleceniodawcy? A ta wyspa na środku? Co to w ogóle jest!?! Podoba mi się pomysł z poszerzeniem przestrzeni użytkowej, ale mnie to wygląda bardziej na katafalk niż na wyspę. Nie wiem, czy pani jest świadoma, ale termin projektu przypada na dzisiaj i Fryc ma za minut dziesięć dzwonić do mnie, czekając już zapewne przy faksie na projekt. Czy pamięta pani, jak bardzo punktualny i perfekcyjny jest nasz zleceniodawca? Czy pani jest świadoma, że jeśli nie będzie tego cholernego projektu na czas, to ja będę musiał zapłacić potężną karę!?

Oczy pały mu nienawiścią, a ręce rwały się do czynów morderczych. Postanowiłam zatem odwołać się do ostatecznego i, według mojego tatuśka, najskuteczniejszego argumentu. Łez. Zaczęłam od jednej, malutkiej. Kątem oka dostrzegłam, jak twarz Malinowskiego nabiera rumieńców, a brwi podnoszą się coraz wyżej. Dyskretnie spojrzałam w kierunku przeszkłonych drzwi. Moi niezastąpieni koledzy architekci zrobili sobie widowisko. Byłam pewna, że się zakładają. Wyrzuci na zbity pysk czy nie wyrzuci?

Już zaczynał mi się trząść podbródek. Łzy, jedna za drugą, toczyły się w dół. Spojrzałam na Malinowskiego wzrokiem zarzynanej gęsi, zatrzepotałam rękami, opuściłam bezradnie powieki i...

- Tylko proszę mi tu nie udawać ofiary, pani Agnieszko! Znam ja te wasze sztuczki, te wasze zagrania!

Jak to? Nie podziałało? Po raz pierwszy w mojej karierze! Byłam autentycznie wstrząśnięta.

- Udajecie święte, a potem... puszczacie się z pierwszym lepszym, nawet nie musi mieć mózgu, wystarczą mięśnie. Ech... Szkoda gadać!

Patrzyłam na jego frustrację i nagle doznałam olśnienia. Między jednym spazmem a drugim zaczęłam się z nim dzielić swoją uczuciową katastrofą. Nie ma to jak solidarność zdradzonych kochanków. Malinowski wysłuchał mnie z uwagą i już po jego minie wiedziałam, że wygrałam tę bitwę. To się nazywa genialna strategia!

Kiedy skończyłam mówić, wykrzyknął zaaferowany:

- A to drań, pani Agnieszko! Ale ja już wszystko rozumiem! Pani musi być w strasznej formie. Ja pani daję urlop. Przynajmniej do poniedziałku! Zaraz, zaraz, dziś piątek. To przynajmniej do środy. Tak! I proszę się nie sprzeciwiać!

Nie miałam najmniejszego zamiaru.

- A nie myślała pani o jakimś wyjeździe? Na przykład w ciepłe kraje. Bo ja wyjeżdżam na Karaiby. Może pani jechać ze mną.

Moje brwi ze zdziwienia znalazły się prawie na linii włosów.

Malinowski zreflektował się.

- To znaczy... Proszę, nie myśleć, że ja jakieś niemoralne pro pozycje składam. Zapewniam, że wszystko jest jak najbardziej moralne. A może lepiej niech pani zostanie w domu? Przynajmniej nie będą o nas plotkować. Ale pani i tak jest w komfortowej sytuacji, pani Agnieszko! Nie musi się pani rozwodzić. Ani martwić o alimenty. Aha, i proszę wyrzucić te projekty, ja ich nigdy nie widziałem.

Odetchnęłam pełną piersią, a on się zamyślił. Zauważyłam, że dolewa sobie czegoś do herbaty.

- Napije się pani czegoś mocniejszego? - zapytał niedbale. - Nie? To niech pani już sobie idzie. I proszę pamiętać: cokolwiek się stanie, świat i tak będzie się dalej kręcił, a my razem z nim. *Eppur si muove* - melodramatycznie pociągnął nosem.

Kiedy ku zdumieniu wszystkich zdołałam wyjść od Malinowskiego o własnych siłach, obskoczyły mnie hieny biurowe.

- I jak!? Żyjesz? Wywalił cię?

- Obiecał urlop i zaprosił na Karaiby - odpowiedziałam nonszalancko, zakładając sobie włosy za ucho.

- Zuch dziewczyna! Andrzej, dawaj dychę! - rzuciła triumfująco Anka, poklepując mnie po ramieniu.

- No... ale jak to tak? - denerwował się Andrzej. - Mnie by od razu wyrzucił.

- Ty nie masz biustu, którego samym tylko rytmicznym potrząsaniem mógłbyś doprowadzać faceta do hipnozy, bez zbędnego: raz, dwa, trzy... No i nie potrafisz płakać na zawołanie! - oświecił go usłużnie Romek, odbierając swoją działkę od zawiedzionej Marysi.

- Ale to dyskryminacja!

- Jaka dyskryminacja? To jedyny słuszny argument w tym świecie męskiej pięści. A ty myślałaś, że piersi to służą tylko do wykarmienia potomstwa? Naiwniak! Widzisz, ewolucja mężczyznom dała siłę, a kobietom cyc...

- Pani Agnieszko - przerwał nam lodowaty głos Malinowskiego. Stał w drzwiach i patrzył na nas wściekle. Zapanowało niezręczne milczenie. - Skoro pani jeszcze nie wyszła, to proszę do mnie, a reszta... Czyżbyście mieli za mało pracy? To daje mi do myślenia - powiedział z groźbą w głosie i zniknął w czeluściach swojego biura.

Wszyscy, jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki, wrócili do swoich zajęć, a ja znowu znalazłam się na dywaniku. Malinowski spojrział na mnie spod oka.

- Przed chwilą skontaktował się ze mną pewien dżentelmen, niejaki pan Grek, i złożył niezwykle korzystne finansowo zamówienie. Powtarzam: niezwykle korzystne finansowo zamówienie... na freski - dodał sugestywnie.

Westchnęłam głęboko. Byłam jedyną w biurze, która bawiła się w malowanie.

- I jako że jest pani jedyną, która podejmuje się takich wyzwań, jestem zmuszony poprosić panią o pewien wysiłek w tych jakże trudnych dla pani okolicznościach - odchrząknął. - Bardzo zależy mu na czasie. Umówiłem więc panią na rekonesans w jego willi na Woli. Dziś o godzinie drugiej. Wspominał o freskach inspirowanych mitologią. Wymyśli pani

coś. Proszę z nim porozmawiać, dowiedzieć się, czego dokładnie chce, potem zrobi pani projekt, a same freski to już w nowym roku.

- Oczywiście. - Wolałam nie przypominać, że przecież dał mi urlop.
- A potem daję pani urlop. Zapamięta pani? Dziś o drugiej. Tylko proszę się nie spóźnić, facet jest strasznie zajęty. Jakaś szycha finansowa.
- Oczywiście. - Podniosłam się z krzesła.
- I jeszcze jedno... - zawahał się. Wziął do ręki kubek i jednym haustem wychylił całą zawartość. Zakaszłał gwałtownie, a jego przekrwione oczy rozbłyły szaleństwem.
- Tak? - spojrzałam na niego podejrzliwie.
- To, co pani ma na czole... Czy to pani... no... rogowacieje? No, wie pani... Czy ja też się powinienem spodziewać?

Najpierw, tuż za linią włosów po prawej stronie, pojawia się mały czerwony punkt. Wygląda jak krostka. Swędzi, piecze. Z biegiem dni czernieje, staje się twardy i porowaty. Wkrótce symetrycznie wyrasta drugi. Kremy nie pomagają. Ani żadne czary. Tym bardziej homeopatia. Niezbędna jest operacja wycięcia rogowaciejących guzów, związana z ryzykiem uszkodzenia mózgu. Lekarze o współczujących spojrzeniach, biuściaste pielęgniarki w wydekoltowanych fartuchach. Ironiczne uśmieшки. A było pilnować chłopca?

Przelknęłam gorzką pigułkę i uśmiechnęłam się wybacząco. Też mi poczucie humoru! Potem pospiesznie opuściłam biuro, modląc się do Zeusa o natchnienie.

ROZDZIAŁ 14

Punktualnie o godzinie drugiej zadzwoniłam do drzwi pięknej willi na Woli Justowskiej. Otworzyła mi ponura kobieta w granatowym fartuszk. Najwyraźniej gospodarz zatrudnił pomoc domową.

- Słucham? - Jej głos miał niską, niemal męską barwę. Nie brzmiał zachęcająco.

Spojrzałam na nią z ciekawością. Pasemka białych włosów, wymykające się spod babcinej chustki, nie pasowały do jej młodego, stalowego spojrzenia. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie znosi gości. Zwłaszcza kobiet. Szczególnie młodych. I atrakcyjnych... - pomyślałam, uśmiechając się do niej przyjaźnie. Bez odzewu. Wydawało się, że usta ma unieruchomione w prototypie jakiegoś niewidzialnego aparatu korygującego wadę uśmiechu.

Postanowiłam twardo obstawać przy znanej powszechnie prawdzie „pozory mylą” i nie uprzedzać się na zapas.

- Dzień dobry, ja do pana Greka.

- Oczywiście, że do pana Greka. Nikt inny tu nie mieszka. W jakiej sprawie?

- W sprawie fresków. Jestem projektantką wnętrz z pracowni inżyniera Malinowskiego.

- Nic o tym nie wiem - oświadczyła beczelnie. - Umówiona?

- Tak, na godzinę drugą! - potwierdziłam triumfalnie.

Spojrzała na zegarek i pokonana, wywróciła oczami.

- To proszę wejść. Zawezwę pana. Tylko niczego nie dotykać! - warknęła i zostawiwszy mnie w holu, zniknęła w głębi domu.

Nieco osłupiała, postanowiłam poskromić swoje kleptomanińskie zapędy i tym razem odpuścić sobie srebrne świeczniki. Znieruchomiałam. Po chwili kobieta zjawiła się ponownie.

- Pan zaraz przyjdzie. Jeśli życzy pani sobie kawy... - wbiła wzrok w moje czoło, miałam wrażenie, że znajdujący się tam guz urasta do wielkości

tenisowej piłki - to nie ma - dokończyła złośliwie. - Mogę podać wodę.

W jej głosie wyczytałam groźbę: tylko spróbuj mi głowę zawracać.

Przelknęłam ślinę.

- Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba. - Podejrzewałam, że byłaby zdolna dosypać mi do napoju czegoś trującego.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, a potem, niegrzecznie wzruszywszy kościstymi ramionami, opuściła hol i trzasnęła jakimiś drzwiami.

Ciekawe, gdzie ona się uczyła zawodu? Sądząc po jej akcencie, musiały to być peryferie małego miasteczka. Wiek wskazywał na czasy peerelowskie. Kolejna czarna owca z koła gospodyń wiejskich.

Sterczałam pod drzwiami, wpatrując się ze złością w srebrne świeczniki, dopóki nie pojawił się pan domu. Podszedł do mnie pewnym krokiem, wyprostowany jak strzała, i podał mi bladą, pedantycznie wypielęgnowaną dłoń, na której czas zdążył już odcisnąć swoje piętno.

- Ignacy Grek, bardzo mi miło. - Jego uścisk był niespodziewanie mocny i dominujący. - Bardzo dziękuję, że zechciała pani od razu się zjawić. Jak pani wiadomo...

Przerwał mu dźwięk telefonu. Odebrał, rzucił parę luźnych słów i wyłączył się bez pożegnania. Potem uśmiechnął się czarująco. W niczym nie przypominał żadnej krwi podstarzałej harpii, którą z jakichś powodów zatrudnił do prac domowych.

- Przepraszam, ale jestem strasznie zajęty i chciałbym to wszystko załatwić przed świętami, rozumie pani. Potem wyjeżdżam w interesach, a moja narzeczona ma się wprowadzić lada dzień.

Aha! Chyba właśnie odkryłam źródło złego humoru gosposi. Uśmiechnęłam się ze zrozumieniem i z zainteresowaniem przyglądałam się jego krawatowi w rechoczące renifery.

- Oczywiście. Inżynier Malinowski wspominał coś o inspiracjach mitologicznych.

- Tak. Zależy mi na odniesieniach do kultury antycznej.

- Mitologia... grecka? - rzuciłam żartobliwie.

Roześmiał się i poprawił swoje nienagannie przystryżone włosy.

- A jakżeby inaczej - spojrzał na mnie z sympatią. - Lubię ludzi z poczuciem humoru. Będziemy się dobrze rozumieć. Proszę za mną, pokażę, gdzie chciałbym te freski. Może to dosyć ekstrawagancki pomysł, ale wie pani, w pewnym wieku człowiek zaczyna mieć ochotę na odrobinę ekstrawagancji. Niektórzy kupują motocykle, inni przeprowadzają się do ciepłych krajów, a ja - mrugnął do mnie okiem - postanowiłem zaszaleć artystycznie. Kryzys wieku średniego, jak to niektórzy nazywają.

Przez grzeczność nie zaprzeczyłam.

Zaprowadził mnie do przestronnego pokoju z wielkim secesyjnym biurkiem. Pomieszczenie było półokrągłe, z sufitem w kształcie kopuły.

- Widzi pani, chcę zrobić tutaj swój gabinet, takie prywatne sanktuarium. Kaplica Sykstyńska to nie jest, ale myślę, że też ma swój potencjał.

- A ja nie jestem żadnym Michałem Aniołem, proszę pana, więc wszystko w jak najlepszym porządku. Choć oczywiście też posiadam pewien potencjał - zaznaczyłam z poważną miną.

Znowu się roześmiał i zaczął przedstawiać mi swoją wizję. Potem zadzwonił telefon. Pan Grek odebrał i tym razem nie mówiąc ani słowa, odłożył słuchawkę.

- Muszę pędzić, pani Agnieszko.

- Świat interesów rządzi się swoimi prawami - odpowiedziałam kurtuazyjnie.

- Raczej nasze ciała mają swoje wymagania. Wizyta u dentysty. Ale proszę mi wierzyć, wołałbym spotkanie w interesach. Przyznam, że dentyści wzbudzają we mnie pierwotne lęki. A pani, pani Agnieszko? Boi się pani dentystów?

Dobre pytanie!

- Nie tyle dentystów, co ich pacjentek zbyt szeroko rozwierających... usta - wyrwało mi się kąśliwie i od razu pożałowałam.

Co obcego mężczyznę mogą obchodzić moje osobiste przeżycia? Zachowuję się co najmniej nieprofesjonalnie.

- Tak? - zainteresował się, otwierając mi drzwi. - Proszę rozwinąć wątek, bo szalenie mnie pani zaintrygowała.

Cóż było robić? Przeklinając swój niewyparzony język, podzieliłam się z panem Ignacym swoimi doświadczeniami związanymi z usługami dentyściami i nadgorliwymi pacjentkami.

- A te z wytatuowanymi motylami na rękach są najbardziej nieprzewidywalne. Nazywam je motylicami - udzieliłam mu jeszcze cenniejszej informacji i pożegnałam się.

Z ulgą pozostawiłam tkwiącą nieruchomo w oknie postać gospośki i dziękując Bogu, że już weekend, odjechałam w stronę domu. Niestety, relaksująca kąpiel w rumianku nie była mi pisana.

W domu czekało na mnie zamieszanie. Zastałam Justynę, która najwyraźniej usiłowała uleczyć Wiesia metodą słynnego Zbyszka Nowaka: „ręce, które leczą”. Wiesio, zielonożółty, siedział na podłodze w kuchni i cicho jęczał. Ogarnąwszy wzrokiem pobojowisko, zaciągnęłam Justynę do pokoju:

- Co się dzieje?

Westchnęła ciężko i niewinnie wywróciła oczyma.

- Twój znajomy pomógł mi dzisiaj z takim jednym, który chodził za mną już od miesiąca. Wiesz, poprosiłam go, żeby faceta postraszył i...

- I postraszył?

Uśmiechnęła się promiennie, poprawiając włosy.

- No właśnie. Przyznam, że to było niesamowite. Facet uciekał, gdzie pieprz rośnie. I w ramach wdzięczności zaprosiłam Wiesława na obiad. Okazało się jednak - spochmurniała gwałtownie - że chyba mu coś zaszkodziło. W życiu bym nie powiedziała, że taki delikatny... Przecież on wygląda, jakby myszy razem z pułapkami na deser jadał! Same problemy z tymi facetami. Nawet im normalnego obiadu nie można podać.

Normalny obiad? W ustach Justyny zabrzmiało to dziwnie podejrzanie.

- A co ugotowałaś?

- Zaraz ugotowałam! Czy ja mówię, że ugotowałam? Kupiłam w tym chińskim barze za rogiem.

Spojrzałam na nią przerażona.

- W tej budzie? Przecież sanepid ją zamknął!

- A skąd ja mogłam o tym wiedzieć? Weszłam, zamówiłam i zapłaciłam. Wszystko wyglądało normalnie. A poza tym trzeba mi było powiedzieć! Ty

tu mieszkaś! - oświadczyła z pretensjami i zamknęła się w łazience.

Czyli moja wina?!

Zaniepokojona wróciłam do kuchni.

- Wiesiu, czemu to zjadłeś?

Z trudem wstał.

- Nie chciałem, żeby jej było przykro, pani Agusiu - wyjęczał, trzymając się za brzuch. - Tak się starała. To ja już pójdę.

- Ale... Wiesiu, to może trzeba na pogotowie?

- Ależ skąd. Jak była bieda w domu, to jedliśmy takie rzeczy, że normalny człowiek nie przeżyłby bez płukania żołądka - uśmiechnął się błado. - O, widzi pani? Już mi lepiej. Muszę się tylko z tym przespać.

Z wysiłkiem ruszył w stronę drzwi. Nagle zatrzymał się, jakby sobie o czymś przypomniał.

- Aha... - oderwał jedną rękę od brzucha i ostatkiem sił wskazał na tkwiącego przy stole zapomnianego krasnala. - Pani Agusiu, czy ja mógłbym go sobie zabrać?

Wpatrywałam się w niego oniemiała. Mniej bym się zdziwiła, gdyby poprosił mnie o pukiel włosów. Po chwili się otrząsnęłam.

Boże, z nim jest gorzej, niż myślałam!

- Wiesiu - oświadczyłam energicznie, chwytając za torebkę. - Ja cię zabieram na pogotowie!

- Ależ pani Agusiu, mówię przecież, że mi nic nie jest! Przypomniałem sobie tylko, że pani Stasia, ta, u której mieszkam, ma urodziny i zapomniałem kupić prezent.

- Przecież ona nawet nie ma balkonu - z dezaprobatą pokręciłam głową. - Dam ci coś lepszego.

Wyciągnęłam z szafki bombonierkę.

Wiesiu zrobił straszną minę, chwycił bombonierkę pod pachę i wymamrotał krótkie „dziękuję”. Potem odprowadziłam go na górę i oddałam w ręce pani Stasi, która przyjęła moje życzenia z wielce zaskoczoną miną. Najwidoczniej w pewnym wieku kobiety nie chcą pamiętać o swoich urodzinach. A nie daj Boże, jak im ktoś przypomni... Śmiertelna zniewaga.

Kiedy wróciłam do siebie, zastałam Justynę siedzącą w kuchni. Miała niewyraźną minę i skubała włosy.

- Jak się czuje? - zapytała z udawaną obojętnością.

Rozłożyłam ręce.

- A jak się można czuć po zjedzeniu czegoś takiego? - powąchałam resztki kiszące się na talerzu i z obrzydzeniem wyrzuciłam do śmieci.

- Nie wiem. Przecież ja od lat na diecie jestem. Nigdy czegoś takiego nie jadłam - wzruszyła ramionami. - Wiesz co? Tak jakoś dziwnie się z tym czuję. Jakaś niespokojna jestem.

- Wyrzuty sumienia? - zapytałam ironicznie, dezynfekując talerz wrzątkiem. Tak na wszelki wypadek.

- Nie - oświadczyła zamyślona. - Mnie się nigdy nic nie wyrzuca. Nawet na sumieniu. Nie wiem... Żal mi go.

Wstała.

- W sumie spędziliśmy bardzo miłe popołudnie. Ale ci faceci to wszystko potrafią zepsuć!

I w tym momencie, nie wierząc sama sobie, przyznałam jej rację.

ROZDZIAŁ 15

Coś dzwoniło. Straszliwie dzwoniło. Przedzierało się przez mój sen, natarczywie i bez ustanku. Metaliczny, zniechęcony dźwięk poranka. Nagle poczułam, jak ktoś bezceremonialnie szarpie mnie za ramię.

- Budzik ci dzwoni, cholera! Ósma rano, sobota! Odbiło?! - ostry głos Justyny urwał się za drzwiami jej sypialni.

Nieprzytomna, wyłączyłam budzik i usiadłam na łóżku. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to właśnie dzisiaj mam za zadanie zdobyć sprawność potencjalnego rodzica na piątkę. Absolutnie nie było mi to na rękę, ale w końcu Mikołaj to mój chrześniak. Dowlokłam się do łazienki. Ku mojemu zadowoleniu opuchlizna na czole zmniejszyła się znacznie. Niestety, pojawił się za to nowy kolor, lekko zielonkawy odcień fioleto. Bynajmniej nie mój ulubiony. Ale trochę pudru w płynie i korektor czynią cuda. Parę maźnięć i nic nie widać!

Za oknem dziesięć stopni poniżej zera. Na wpół zamrażająca dobiegłam do samochodu i zdrapując wściekle lód z szyby, postanowiłam kupić sobie garaż. Albo, jeszcze lepiej, apartament z garażem i widokiem na wieżowce. Do czasu, kiedy będzie mnie na niego stać, Kraków na pewno wzbogaci się o parę drapaczy chmur. Z zazdrością rzuciłam okiem na zaparkowane w pobliżu czarne bmw. Widać, że garażowane. I podgrzewane siedzenia dostępne ma pewnie w standardzie, nie mówiąc o tym, że płyn w spryskiwaczach na mur-beton nie zamarza. Żyć nie umierać, choć swoją drogą takie bmw to już żaden wyczyn. Strasznie dużo ich ostatnio widuję w okolicy.

Punktualnie o dziewiątej stawiałam się na Starowiślniej. Powitali mnie obrażony Mikołaj, zadowolony z życia Marek i Dominika, piękniejsza niż zwykle, ubrana w stylu wsi angielskiej, czyli w tweedowe spodnie w kratę,

wysokie buty i elegancką beżową kurtkę. Ta to ma szczęśliwe życie... Choć, jakby się nad tym dłużej zastanowić, to i tak jej współczułam. W końcu musi dzielić pokój z moim bratem.

- No, siostra, wreszcie pozbyłaś się tego lalusia Jacka. Teraz to cię mogą umówić z takim superfacetem z mojego biura.

Spojrzałam błagalnie na Dominikę.

- Daj jej spokój, Marek! - zaczęła mnie bronić. - Przecież ty w ogóle nie masz takich znajomych, którzy by się nadawali do stałego związku. Same dzieciaki przed trzydziestką. Zostaw to mnie. Już ja jej kogoś znajdę.

Zamknęłam uszy na siedem spustów. W sytuacjach podbramkowych, takich jak moja, najgorsze, co nas, ofiary losu, może spotkać, to niekończące się współzucie rodziny. Albo starają się niezdarnie pocieszać, albo udają, że nic się nie stało, szepcząc jednocześnie za plecami. Albo, nie daj Boże, zaczynają swatać.

Mikołaj był bardzo niezadowolony z faktu, że rodzice wyjeżdżają bez niego. Nie odzywał się. Dominika bezradnie rozłożyła ręce.

- Przejdzie mu. Wiesz, jakie są dzieci - powiedziała z przepraszącą miną i wręczyła mi kartkę z planem dnia.

„10.30-12.00 angielski

13.00-14.00 basen

14.50-16.00 karate”

- A w przerwie możesz go wziąć do McDonalda na happy meal. Wiem, że to niezdrowo, ale raz na jakiś czas nie zaszkodzi. Poza tym wszystkie dzieciaki z przedszkola tam chodzą – starała się usprawiedliwić i jednocześnie przekonać samą siebie, że nie popełnia żadnego przestępstwa wobec zdrowia i życia swojego jedyne dziecko.

Coś tam jeszcze mówili jedno przez drugie, zostawili mi tysiąc telefonów, łącznie z telefonem pana Kazia ze straży pożarnej. Po co? Bo wypadki chodzą po ludziach. Potem wreszcie wyszli i nastąpiła cisza.

Popatrzyłam na Mikołaja. Siedział naburmuszony przy stole i udawał, że go nie ma.

- Cześć, kochanie - zagadnęłam. - Jak się czujesz?

- Czuję się świetnie - oświadczył, rzucając mi zabójcze spojrzenie. - Ale jestem zły.

Westchnęłam.

- Wiem. Też pewnie chciałeś pojechać z mamą, ale wiesz co? Zobaczysz, będziemy się dobrze bawić - powiedziałam z udanym entuzjazmem, spoglądając przy tym niepewnie na rozkład dnia.

Mikołaj zeskoczył z krzesła.

- Jestem zły, bo Euzebiusz zrobił siusiu do łóżka, a mama zawsze wini mnie za wszystko! - Smętnie zwiesił głowę. - Życie jest niesprawiedliwe!

- A kto to jest Euzebiusz? - zapytałam zdumiona.

Mikołaj lustrował mnie przez chwilę, jakby sprawdza!, czy jestem godna zaufania.

- Mój przyjaciel. Tam siedzi - wskazał na krzesło i dodał szeptem: - Tylko nie śmiej się z niego. Jest bardzo wrażliwy.

Z niepokojem przyjrzałam się pustej przestrzeni.

- Niby... gdzie, kochanie?

Roześmiał się i mrugnął okiem.

- Zapomniałem ci powiedzieć. On jest niewidzialny.

- Jest niewidzialny... - powtórzyłam przeciągle. - I nasusiał ci do łóżka.

- No właśnie!

- A powiedziałaś mamie? - zapytałam ostrożnie.

- No nie! - odparł, patrząc na mnie znacząco. - Koleżanka mi powiedziała, że nie wolno mówić mamie takich rzeczy, bo mnie odda do takiego miejsca, gdzie nie ma klamek i termometr do pupy wsadzają. Wiesz, bo to taki wymagany przyjaciel.

Zabrakło mi odpowiedniego komentarza. Dzieci żyją we własnym czarowanym świecie, do którego tacy jak ja już dawno nie mają wstępu. Przytuliłam go mocno i zaczęliśmy się wybierać na angielski.

- Włożyłeś kurteczkę do góry nogami.

- Przecież kurteczki nie mają nóg, to jak może być do góry nogami?

No właśnie. Przecież kurteczki nie mają nóg. Mikołaj miał swoje teorie na każdy temat i zaskakiwał mnie logicznym myśleniem. I fantazją.

- Ciociu, a kto jeździ na koniku morskim?

- Muszę się zastanowić - westchnęłam ciężko, czując, że nie tak łatwo będzie zdobyć sprawność rodzica na piątkę.

- Ciociu, okropnie wyglądasz! Co ci na czole wyrosło? Jakiś róg?

Aha! Parę maźnięć i nic nie widać, tak!?

- Wiesz, kochanie, to nieładnie mówić ludziom, że okropnie wyglądasz. Możesz komuś sprawić przykrość. - Staralam się nie myśleć o tym, że ponoć dzieci i pijani zawsze mówią prawdę.

- Przecież nie mówię ludziom, tylko tobie - powiedział, ładując sobie do buzi palec, który przed chwilą trzymał w nosie. - A co mam mówić, jak ktoś wygląda tak jak ty?

Przygryzłam wargi.

- Lepiej nic nie mów - postanowiłam ostrożnie zakończyć temat.

- A jak zapytają? - Mikołaj lubił jasne sytuacje.

Westchnęłam głośno.

- Powiedz, że w porządku.

Mikołaj zrobił wielkie oczy.

- Ale to nieprawda. Mama mówi, że nie wolno mówić nieprawdy!

Przytuliłam go mocno i powiedziałam zrezygnowana:

- Masz rację. Nie wolno mówić nieprawdy. Zawsze mów to, co myślisz, kochanie.

Mikołaj uwolnił się z mojego uścisku, po czym, wysmarkawszy się w rękaw kurtki, powtórzył z niewinną miną:

- To co ci się stało, że tak okropnie wyglądasz?

Boże drogi! Możemy już zejść z tego tematu?!

- To takie sprawy dorosłych, kochanie - powiedziałam cierpli wie. - Chodź, bo nam tramwaj ucieknie...

- Czy sprawy dorosłych to jak cię ktoś puści kantem?

Oniemiałam.

- Kto tak powiedział?

- Słyszałem, jak tata rozmawiał z mamą i mówił, że Jacek cię kantem puścił.

- Mikołaj, czy ty aby nie podsłuchiwałaś?

Spuścił oczy i nadmuchał policzki. Z głośnym „parparpar” wypuścił powietrze i oznajmił zadowolony:

- Tak, ale tylko troszeczkę.

- Kochanie, nie wolno podsłuchiwać. To bardzo brzydko.

- A dlaczego brzydko?

- Bo ludzie mają prawo do prywatności.

- A co to jest prywatność?

Nie! Ja oszaleję!

- Prywatność to na przykład prawo do powiedzenia czegoś tylko tej osobie, której się chce powiedzieć.

Przestąpił z nogi na nogę.

- A co to jest kantem puścić?

Westchnęłam zrezygnowana. Mikołaj zadawał tyle pytań, że dojście na przystanek zajęło nam piętnaście minut. Kiedy siedzieliśmy już w tramwaju, nagle przytulił się do mnie spontanicznie.

- Kocham cię, ciociu - odezwał się, ziewając. - A wiesz, że ja też mam dziewczynę?

- Tak? A jak ma na imię?

- Ala. Ala jest ładna i się z nią ożenię - powiedział zdecydowanie. - I wiesz co?

- Co, kochanie? - zapytałam z czułością, przyglądając się słodkiej buzi mojego chrześniaka, aniołka.

- Dla niej też bym cię puścił kantem.

Na angielski spóźniliśmy się całe pięć minut.

- *You're late* - zwróciła się do nas z pretensjami pani zwana Jane. - *Sir down, Nicholas and you...* - spojrzała na mnie oskarżycielsko. - *Over there, please.*

Usiadłam we wskazanym miejscu, powitana potępiającym wzrokiem siedzącej tam już grupki rodziców. Słuchałam, jak Jane po raz setny powtarza hipnotyzującym głosem:

- *I like playing the piano. What do you like?*

Ziewnęłam dyskretnie i rozejrzałam się wokół. Nowocześni rodzice z napięciem na twarzy obserwowali postępy swoich cudownych sześciolatków. Spojrzałam na Mikołaja. Chyba dobrze się bawił, ciągnąc za warkocz jakąś blondyneczkę.

- *I like going to the theatre. What do you like?*

Stanowczo wolę kino, pomyślałam bezwiednie.

- *I like...*

Tę modelową lekcję przerwał telefon. Ktoś nie wyłączył komórki. Jane z naganą spojrzała w naszą stronę, a ja uświadomiłam sobie, że tym kimś

jestem ja. Pod ostrzałem zabójczych spojrzeń wyszarpałam z torebki swój telefon i kiedy już z pokorą miałam odrzucić połączenie, zobaczyłam numer. Dzwonił Jerzy Bond, najnowszy mężczyzna z moich marzeń sennych. Zapiszczałam głośno, po czym ze szczęścia o mało nie spadłam z krzesła. Na koniec, wniebowzięta, ignorując święte oburzenie Jane, wycofałam się tanecznym krokiem na korytarz. A kiedy wreszcie jej zniesmaczony moją bezczelnością głos ucichł za drzwiami, szybko przyłożyłam telefon do ucha.

- Halo? - zapytałam konspiracyjnym szeptem.

- Halo? - odezwał się głos, który sprawił, że moje serce zamarło. - Czy to Rusalka?

- Tak, to ja... Czyżby agent Bond przy telefonie?

Roześmiała się głośno, a ja próbowałam opanować emocje.

- Wszystko w porządku? Biegłaś? Masz taki zdyszany głos.

- Powiedzmy, że biegłam - odpowiedziałam, dziękując Bogu, że Jerzy nie może mnie teraz zobaczyć. Ręce mi się trzęsły, a policzki kilkakrotnie zmieniły barwę. Ze śnieżnej bieli w szkarłatną czerwień.

- Dzwonię, bo mamy takie piękne sobotnie przedpołudnie i moglibyśmy się wybrać na kawę. Wieczorem niestety mam dyżur.

Bezgłośnie zakląłam. Co za pech!

- Jesteś tam?

- Tak. Tylko że dziś zajmuję się swoim chrześniakiem. Za pół godziny kończy angielski i mamy godzinę przerwy do zajęć na basenie. Wybieraliśmy się do McDonalda, jeśli masz ochotę... - zawiesiłam głos.

- Z przyjemnością - odparł głos w telefonie. - Podobno w happy mealu można teraz znaleźć prawdziwą rusalkę.

ROZDZIAŁ 16

Siedzieliśmy w trójkę przy stoliku. Zapach hamburgerów i frytek bynajmniej nie sprzyjał romantycznemu nastrojowi, że nie wspomnę o rozlegających się wokoło dźwiękach siorbania coli. Czy ludzie nie zdają sobie sprawy, z czego taka cola jest zrobiona? Ile tam jest szkodliwych substancji? Jak można coś takiego dziecku kupić!? Spojrzałam na Mikołaja, który z uczuciem siorbał swoją. Potem przeniosłam wzrok na Jerzego. Wydał mi się jeszcze przystojniejszy niż wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Z uwagą obserwował mojego chrześniaka.

- A ty, młody człowieku, ile masz lat?

Mikołaj nie odpowiadał. Z powagą zajadał swoje frytki.

- Mikołaj, odpowiedz, proszę. To niegrzecznie nie odpowiadać na pytania - starałam się przekonać go do rozmowy.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

- Mama mówi, że niegrzecznie jest mówić z pełną buzią! - oświadczył, opluwając nas przy okazji resztkami frytek, które, jak się okazało, trzymał zakamuflowane w jakiejś sekretnej części jamy ustnej. Potem, zwracając się do Jerzego, wyrecytował jednym tchem: - Prawie sześć, a wiesz, że narzeczony ciocię puścił kantem?

Z zadowoloną miną wrócił do jedzenia, wiedząc doskonale, że więcej mu nie przeszkodzi.

Jerzy spojrzał na mnie z udawaną powagą.

- Puścił kantem?

- Widzisz, na rodzinę zawsze można liczyć w potrzebie - roześmiałam się.

Spędziliśmy pół godziny, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Mikołaj był wzorem wszelkich cnót. Mogłam więc skoncentrować się wyłącznie na siedzącym na wyciągnięcie ręki mężczyźnie. I już wiedziałam, że to jest to.

Ja będę mieć z nim dzieci! Nawet jeśli on jeszcze o tym nie wie. Przecież nigdy w życiu z nikim tak się nie czułam, jak z tym niebieskookim tajemniczym brunetem. Co najmniej tyle chemii, ile w tej coli. Choć z drugiej strony... czy z Jackiem nie było czasem podobnie?

- A jak tam niewierny narzeczony? Już po wszystkim? - Jerzy przerwał moje rozmyślenia.

- Po wszystkim. Uświadomiłam sobie, że nasz związek i tak nie przetrwałby próby czasu. Lepiej teraz. Choć wołałabym nie widzieć tego, co widziałam.

- Zważywszy na twój temperamencik, pewnie wyrzuciłaś jego rzeczy przez okno, co? - mrugnął okiem.

- Niewiele brakło - przyznałam. - Jako osoba zrównoważona psychicznie postanowiłam jednak nie dać się negatywnym emocjom. Wyślę mu pocztą. Jak sobie przypomnę.

Zamyślił się.

- Przygotuj się więc na nieprzyjemne wizyty. Zawsze jest coś, na czym nagle zaczyna im zależeć.

Biedak. Ciekawe, jak przebiegało jego rozstanie z żoną? Ale za wcześniej, żeby wypytywać o takie rzeczy.

- Nie mam racji? O niczym sobie nagle nie przypomniał?

Pokiwałam głową. Wyjątkowo domyślny, jak na faceta oczywiście. Taki rzadko się zdarza.

- A owszem. Nic, tylko o gipsowego krasnala się wyklóca. Żaloszne. Poza tym zostawił u mnie masę rzeczy, na przykład...

- Krasnala? - przerwał mi z błyskiem w oku. Dopił napój i po chwili dodał: - Mojej żonie zależało raczej na kartach kredytowych.

- Widzisz? Kolejny przykład na to, że to kobiety myślą racjonalnie, a mężczyźni mają zaburzenia emocjonalne.

Spojrzałam mimochodem na zegarek.

- Oj, późno się zrobiło. Musimy biec! - poderwałam się z krzesła.

Jerzy zaoferował, że nas odwiezie. Po drodze wstąpiliśmy jeszcze do supermarketu kupić nowy czepek. W starym Euzebiusz wygryzł dziurę, bo też chciał iść na basen. Kiedy przeciskaliśmy się w tłumie do kasy, Mikołaj zobaczył półki z batonikami.

- Kup mi, ciociu, batona - powiedział, robiąc słodką minkę.

- Kochanie, przed chwilą jadłeś lody. Nie można mieć wszystkiego.
- Proszę, proszę! - skakał koło mnie, składając rączki.

Jerzy obserwował mnie, uśmiechając się pod nosem.

Aha, pewnie sprawdza, jakie mam podejście do dzieci. Czy byłabym dobrą matką.

- Nie, kochanie. Jak będziesz grzeczny, to kupię ci po drodze do domu.

Mikołaj spojrział na mnie z urazą i zrobił coś, czego nigdy bym się po nim nie spodziewała. Nagle zanurkował w tłumie i tyle go widziałam. Zniknął. Spojrzałam przerażona na Jerzego. Przestał się uśmiechać.

- Nic się nie bój, znajdziemy go. Rozdzielmy się. Przecież musi gdzieś być.

Nerwowo zaczęłam przeszukiwać sklep. Ludzie pchali się niechętnie. No tak, okres przedświąteczny, wydawało się, jakby cały Kraków wybrał się na zakupy akurat do tego supermarketu. Próbowałam nie poddawać się panice, ale obrazy Mikołaja porwanego przez jakąś szajkę handlującą organami albo jeszcze czymś gorszym latały po mojej głowie z prędkością światła. Przypomniałam sobie słowa tej stukniętej wróżki z haczykowanym nosem: „I na dzieci uważać, bo...”.

No właśnie, bo co? Że też ja zawsze najważniejsze rzeczy puszczać mimo uszu!

- Mikołaj! - wołałam, nie przejmując się zdziwionymi spojrzeniami.
- Tak? - usłyszałam nagle głos.

Zza półki wyłonił się pękaty mężczyzna w za małym kostiumie Mikołaja. Przez szpary między guzikami wylewał się owłosiony, tłusty brzuch.

Matko, jeśli jakieś dziecko uwierzy, że to prawdziwy Święty Mikołaj, paradoksalnie przestanie w niego wierzyć.

Obleśny Mikołaj podsunął mi koszyczek pełen landrynek.

- Cukierka?

Uśmiechnęłam się przeproszająco i uciekłam, nie przestając nawoływać. Po następnych pięciu minutach i kolejnych czterech fałszywych Mikołajach wpadłam na Jerzego. Był sam. Osłabłam z przerażenia i pozwoliłam mu

popisać się zdolnością logicznego myślenia i całkowitym opanowaniem.

- Chodź! - wziął mnie za rękę i zaprowadził do działu obsługi klienta. Siedziała tam jakaś bardzo sympatyczna młoda pani i rozmawiała przez telefon. Zlustrowała nas i po chwili powiedziała do słuchawki konspiracyjnym szeptem:

- Muszę kończyć. Znowu czegoś chcą ode mnie.

Potem dyskretnie wyciągnęła z buzi gumę, przykleiła ją do blatu i uśmiechając się czarująco do Jerzego, zapytała profesjonalnie:

- Słucham pana? W czym mogę pomóc?

Jerzy wyłuszczył całą sprawę bardzo szybko. Pani zdawała się nie rozumieć.

- Zgubił się? Ale to jak go państwo pilnowaliście? Tacy nieodpowiedzialni... A jak pana syn ma na imię? - zapytała Jerzego.

- To nie moje dziecko, to chrześniak tej pani - odpowiedział, wskazując na mnie.

Pani za ladą rzuciła mi lekceważące spojrzenie i chętnie podjęła temat.

- Aa, nie pana syn. A pan ma dzieci? - zamrugła zalotnie rzęsami.

Straciłam cierpliwość.

- Przepraszam, że przerywam - wtrąciłam się cierpko. - Dziecko się zgubiło! Może pani coś zrobi, póki jeszcze może!

Pani spojrzała na mnie, delikatnie mówiąc, z wyrzutem i ciężko wzdychając nad swoim losem, wezwała ochronę. Potem odkleiła gumę, włożyła ją sobie z powrotem do ust i zaczęła żuć. Najwyraźniej potrzebowała czegoś na uspokojenie.

Po kilku następnych wyczerpujących minutach Mikołaj został zauważony przy stoisku ze słodyczami. Kiedy zdyszani dotarliśmy na miejsce, naszym oczom przedstawił się bardzo ciekawy widok. Kilku gapiów otaczało Mikołaja, który siedział na podłodze, opierając się o półki ze słodyczami, a obok niego leżało kilkanaście papierków po czekoladkach i batonikach. Patrzył na mnie pokornie, cały umazany czekoladą. Przytuliłam go mocno.

- Ciociu... - stęknął.

- Tak się o ciebie martwiłam, jak mogłeś mi to zrobić! - mówiłam szybko, tuląc go dalej. - Jak ja twojej matce w oczy spojrzę!

- Ciociu... - jęknął znowu.

Byłam taka szczęśliwa, że początkowo nie zwróciłam uwagi na jego dziwne zachowanie.

- Wiem, że ci przykro, kochanie. Najważniejsze, że jesteś cały i zdrowy.

- Ale ciociu...

- Tak, aniołku? - odsunęłam się trochę, żeby spojrzeć na niego.

Był biały jak ściana.

- Będem wymiotować - wyszeptał i zwrócił wszystko, co wcześniej z takim trudem udało mu się zmagazynować. Głównie na podłogę. I na moje buty.

Jerzy, nie mówiąc ani słowa, wziął go na ręce i zabrał do samochodu, a ja, po raz kolejny ćwicząc teleportację, dezintegrację, dematerializację i wszystkie inne nowatorskie sposoby znikania, zapłaciłam za szkody i w końcu starym, sprawdzonym sposobem zniknęłam w toalecie. Z wysiłkiem wyczyściłam buty. Potem dokładnie wymyłam twarz zimną wodą i spjrzałam na swoje wymięte odbicie. Antykoncepcja to genialny wynalazek.

Kiedy dotarłam do samochodu, znalazłam Mikołaja pograżonego w fascynującej rozmowie z Jerzym. Widząc mnie, wykrzyknął podekscytowany:

- Wiesz, ciociu, że w brzuchu mam taki długi sznurek, który się nazywa jelito? I to jelito jest takie długie, że... Strasznie długie jest! I już wiem, kto jeździ na koniku morskim! Jerzy mi powiedział!

Spojrzałam na niego wyczekująco.

- Człowiek morski!

Przeniosłam pytający wzrok na Jerzego. Mrugnął do mnie okiem.

- Oceanologia to moja pasja, Rusalko. Proponuję odwołać lekcje pływania, a tym bardziej karate.

- Ciociu, przepraszam, że zwymiotowałam ci buty - wtrącił się z tylnego siedzenia jeszcze bladawy Mikołaj.

- Nic się nie stało, kochanie. Najważniejsze, że czujesz się lepiej. To się mogło każdemu zdarzyć.

- A tobie się kiedyś zdarzyło?

- Mnie? Jak by to... - nie dokończyłam.

Przypomniałam sobie pewien wieczór, który zaczął się w barze przy Mikołajskiej, a skończył w łóżku pewnego ginekologa. Spojrzałam na Bonda. Z kamienną twarzą prowadził samochód.

- Wiesz, kochanie, to się każdemu zdarza, nawet mnie. Zwłaszcza kiedy się źle czujemy... Kiedy zjemy coś, czego nie po winniśmy byli jeść...

Bond zaczął gwałtownie kaszleć, a ja z premedytacją uszczypnęłam go w rękę.

- Najważniejsze, żebyś już nigdy, słyszysz, co mówię? Nigdy nie uciekał!

- Tak, ciociu - odezwał się Mikołaj z miną niewiniątka. - Bo ja nie chciałem. Tylko Euzebiusz mnie namówił. To wszystko jego wina.

Pokiwałam głową. Jasne! To wina Euzebiusza i siedmiu krasnoludków.

Jerzy nie odzywał się całą drogę. Kiedy wysadził nas przed mieszkaniem Marka, uśmiechnął się tajemniczo i szepnął do mnie:

- Może masz ochotę na chwileczkę zapomnienia? Jutro wieczorem? Kolacja przy świecach?

- Proponujesz mi randkę? - zapytałam, mrużąc zalotnie oczy.

Nie zdążył odpowiedzieć. Mikołaj był szybszy.

- A co to jest randka? Ja też chcę dostać!

Spojrzałam na słodką buzię mojego chrześniaka, a potem uśmiechnęłam się do Jerzego. Mój uśmiech oznaczał bardzo wyraźne TAK.

- Zadzwoń jutro - powiedział ciepło, po czym schylił się do Mikołaja. - Masz bardzo fajną ciocię, wiesz o tym? Dbaj o nią!

To się nazywa mężczyzna. Na takiego warto czekać długie lata, warto nawet dla takiego zostać puszczonej kantem. Mikołaj, jak się wydawało, też był pod wrażeniem mojego nowego znajomego. Kiedy obserwowaliśmy, jak czarne volvo znika za zakrętem, chwycił mnie za rękę.

- Wiesz, ciociu, on fajny jest - powiedział. - Fajniejszy niż Jacek.

Rozpromieniłam się.

- Prawda? Też tak uważam.

- Bo tamten mówił, że jak zjem parę batonów, to nikt nie będzie zły. A byłaś zła.

Odwróciłam się gwałtownie.

- Nie rozumiem.

- Powiedział mi w sklepie, żebym poczekał przy batonach i na pewno pozwolisz mi parę zjeść.

- Ale kto!?

- No... Jacek.

Mój mózg wydawał się jeszcze bardziej skołowany niż zazwyczaj.

- Ale jak to? Spotkałeś Jacka w sklepie?! I kazał ci na mnie poczekać przy batonikach!?

Pokiwał głową i zaczął przebierać nogami.

- I powiedział, żebyś w końcu oddała mu to, co do niego należy. Ale ja bym wolał, żebyś nie oddała.

- A dlaczego?

Przykucnęłam obok i spojrzałam na jego jeszcze bladawą twarzą. Uśmiechnął się łobuzersko.

- Bo Superman, który był z nim, powiedział, że jak mu nie oddasz, to on mnie zabierze na dłużej w takie miejsce, gdzie jest bardzo dużo czekolady. A ja bym tak strasznie chciał.

Przez następny kwadrans, siedząc w mieszkaniu Marka, próbowałam zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Mikołaj miał już dość mojego przepytывania.

- Już ci mówiłem, ciociu - jęczał. - Jacek był i drugi pan, który wyglądał jak Superman.

- To znaczy jak wyglądał?

- Miał mięśnie bardzo wystające i włosy na żelu... I w ogóle był jak Superman.

- A Euzebiusz też tam był? - zapytałam podchwytliwie.

Mikołaj spojrzał na mnie z politowaniem.

- Ciociu, przecież ci mówiłem, że Euzebiusz jest niewidzialny. Poza tym to wymagowany przyjaciel.

Odwrócił się na pięcie i zniknął w swoim pokoju. Postanowiłam w trybie natychmiastowym skontaktować się z Jackiem. Chwyciłam za telefon.

- Słucham? - usłyszałam jakiś nieznamy głos.

- Przepraszam, pomyłka. Wyłączyłam się i spróbowałam jeszcze raz.
- Tak? - znowu ten sam głos.

Kto to może być? Gdyby to był głos kobiety, mogłabym się jeszcze domyślać. Ale mężczyzna? I to z takim dziwnym akcentem? Intrygujące.

- Tak? - głos zaczął się wyraźnie niecierpliwić.
- Taak, to znaczy... Czy mogłabym rozmawiać z Jackiem?
- Nie. Coś przekazać?

Kto to może być, do licha? Moja wrodzona ciekawość została wystawiona na ciężką próbę. Poprosiłam grzecznie o przekazanie Jackowi, że dzwoniła Agnieszka w ważnej sprawie.

- Agnieszka Rusalka?

Zaniemówiłam. Czy ja go znam? Czy ten obcy głos nie należy przypadkiem do jakiejś znajomej twarzy? Pomimo intensywnej gimnastyki umysłu nikt kompletnie nie przyszedł mi do głowy.

- Przepraszam... - zawahałam się. - Czy my się znamy?

Głos nie był skłonny do żadnych wynurzeń.

- Czy dzwoni pani w sprawie krasnala?
- Nie. W sprawie królowej Śnieżki - zirytował mnie jego bezczelny ton. Po chwili jakieś podejrzenie zakiełkowało w mojej głowie. - A kto pyta? Czy to może... Superman?

- Pomyłka - odpowiedział głos i połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ 17

Marek z Dominiką wrócili dopiero późnym wieczorem. Wymawiając się nawałem pracy, błyskawicznie się pożegnałam. Na zewnątrz odetchnęłam głęboko mroźnym powietrzem. Było ciemno, tylko uliczna latarnia rzuciła mdlawe światło. Szłam powoli, delektując się brakiem „ciociu, a dlaczego?”. Przejeżdżający tramwaj ostrym sygnałem dał mi do zrozumienia, że znajduję się zbyt blisko torów. Odskoczyłam gwałtownie i zaczęłam poszukiwania swojego samochodu. Nie ruszałam go od rana, a padający śnieg białym puchem przykrył wszystkie pojazdy. W końcu znalazłam kupkę śniegu o odpowiednim kształcie i zaczęłam żmudny proces odśnieżania. Nagle ogarnęło mnie dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Obejrzałam się. Nikogo nie było. Przeklinając pod nosem stukniętą wrózkę razem z jej pechem prześladowczym, zaczęłam ruszać się coraz szybciej. Zrobiło mi się gorąco. Następny tramwaj. Z głośnym łomotem przetoczył się tuż obok. Stałam stanowczo za blisko torów. Obejrzałam się znowu i tym razem w pewnym oddaleniu zobaczyłam cień. Zmrużyłam oczy. Cień robił się coraz większy. W miarę jak się przybliżał, rozpaczliwie starałam się otworzyć drzwi od samochodu. Szarpanie za klamkę nic jednak nie dało, bo drzwi jak na złość nie reagowały na moje błagalne prośby. Najwyraźniej przymarzły! Słowa „pech prześladowczy” brzmiały mi w uszach coraz głośniejsze. Tuż za mną, tak blisko, że czułam wyraźnie jego śmierdzący czosnkiem oddech, zmaterializował się rosły mężczyzna o wściekłych oczach i czerwonej od mrozu łysinie. Patrzył na mnie z nienawiścią. Z rosnącą paniką rozejrzałam się dokoła. Jak na złość nikt nie przechodził. Bez słowa wsadził rękę do kieszeni.

Zamarłam.

- Ty... - wysyczał ze złością. - Nie ruszaj się!

Znieruchomiałam z ręką na klamce.

Zabije mnie? Zgwałci? A może tylko wyżyje się werbalnie?

- Jakiś problem? - usłyszałam za sobą znajomy głos.

Odwróciłam głowę. Wiesio! Ledwie go poznałam. Ubrany był w czerwoną skórzaną kurtkę, delikatnie mówiąc krzykliwą, a obcisłe białe spodnie przed kostki zachodziły na fantastyczne czerwone kozaki. Stroju dopełniał tęczy szalik zawiązany pod brodą w gruby węzeł.

- A tak, panie kolego! Wielki problem! - wrzasnął mężczyzna, przyglądając mu się krytycznie. - Mam tego dość! Żebym ja kolacji nie mógł zjeść w spokoju! Już od tygodnia ktoś próbuje buchnąć mi samochód! Ale tym razem mam cię, ty...

Przeżona spojrzałam na samochód. Model ten sam. Kolor ten sam. Ale rejestracja jakby inna. Nie mój. Zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko. Z głupią miną spojrzałam na Wiesia, a potem, zwróciwszy się w stronę mężczyzny, bezradnie rozłożyłam ręce.

- Strasznie pana przepraszam - wyjąkałam. - To pomyłka!

Przekonanie miłego pana o mojej głupocie i ewidentnym braku odpowiedzialności zajęło mi dobre dziesięć minut. W końcu zdecydował się mnie puścić.

- Tylko proszę pamiętać - pogroził mi palcem i niedbale wskazał na swoje wylupiaсте ślepia - ja nawet śpiąc, oczy mam otwarte. I następnym razem...

Złowieszco zawiesił głos, a potem zniknął w czeluściach kamienicy.

Opadłam z sił. Wiesio poklepał mnie krzepiąco po ramieniu.

- Ale z pani numerek, pani Agusiu. Tylko dlaczego nie skopała go pani tak jak mnie?

Rzucił mi upiorne spojrzenie. Że też ja zawsze muszę się władować w jakąś głupią sytuację!

- A jak twój zołądek? - zapytałam sarkastycznie,

- Dużo lepiej. Pani Stasia wyleczyła mnie jakimiś ziółkami. Wprawdzie zęby mi po nich zżółkły, ale przynajmniej jeść już mogę.

- Nic, tylko teraz ubierać się na brązowo. Idealny zestaw kolorystyczny... - bąknęłam, starając się odnaleźć swój pojazd. Udało się. Sprawdziwszy dokładnie numer rejestracyjny, zaczęłam ponownie żmudny proces odśnieżania. Wiesio pomagał mi gorliwie.

- A ty? Co tu robisz? - zapytałam, przyglądając mu się spod oka. - Na jakiejś manifestacji byłeś? Wyglądasz jak żywe hasło „Polska dla gejów”. Ale wdzianko fajne, a w każdym razie oryginalne.

- Myśli pani? - Machinalnie obciągnął za krótką kurtkę, nie przestając machać skrobaczką. - Kumpel mi powiedział, że dziewczyny to lecą na bajki w stylu „chyba jestem gejem, a może nie jestem, a może byś sprawdziła?”. Sam jest gejem i mówi, że każdą mógłby mieć, tylko że go to nie kręci. Taka strata... - zamyślił się. - W każdym razie pożyczył mi ten strój i wysłał w jedno miejsce, gdzie ponoć dużo jest takich sióstr samarytanek. Właśnie wracam do domu.

Pociągnęłam za klamkę. Drzwi otworzyły się bez problemów.

- I jak ci poszło?

- Ach! - machnął ręką. - Szkoda gadać. Musiałem zaraz wyjść, bo mnie taki jeden zaczął podrywać. A nachalny był...!

- Podwieźć cię? - przerwałam jego wynurzenia na tematy męsko-męskie.

Ochoczo skinął głową i wskoczył do samochodu. Włączyłam się do ruchu. Po chwili ciszę przerwał sygnał komórki.

- Dzwoniłaś? - głos Jacka zabrzmiał dziwnie nerwowo.

- A dzwoniłam! - oświadczyłam, starając się kierować i zmieniać biegi jedną ręką. - A teraz wyjaśnij mi, dlaczego widząc Mikołaja samego w sklepie, nie zainteresowałaś się nawet jego losem!?

- A co ja niańka jakaś jestem? A poza tym jeśli akurat był sam, to oczywiste, że przyszedł tam z tobą.

Przygryzłam wargi.

- Nie da się z tobą normalnie rozmawiać! - oświadczyłam obrażona. - I co to był za Superman!?

Skręciłam. Ktoś zatrąbił. No, przepraszam bardzo, ale nie jestem w stanie robić trzech rzeczy naraz. Kierunkowskaz jest tu najmniej ważny. Zatrzymałam się na czerwonym.

- Jaki Superman? O czym ty mówisz? - w głosie Jacka pojawiła się nutka zdziwienia. - Zresztą, to nieważne. Czy przysłała do ciebie paczka?

Nieważne!? Światło zmieniło się na zielone. Znowu ktoś zatrąbił. Ludzie! Może odrobina cierpliwości?! Święta idą.

- Najpierw odpowiedz mi na pytanie: czy to prawda, że jakiś facet powiedział Mikołajowi, że go gdzieś zabierze, jeśli nie oddam ci tego durnego krasnala?

Gwałtownie wcisnęłam nogą hamulec. Pisk i klakson z tyłu. Znowu ten chamowaty kierowca!

- Nic mi o tym nie wiadomo. A więc dostałaś paczkę?

- Czy chcesz mi wmówić, że Mikołaj kłamie?

- Musiał źle zrozumieć mojego znajomego. Masz tego krasnala?

Czerwone. W ostatniej chwili zdołałam wyhamować. Tylko lekko popchnęłam stojącego przede mną malucha.

- Jakiego znajomego?

- A co za różnica? Dziewczyno, czy ty zawsze musisz się wszystkiego czepiać i wchodzić w szczegóły!? Ja nie wiem, dlaczego chciałem się z tobą żenić! Po prostu oddaj mi moją własność i przestanę cię nachodzić. Zniknę na zawsze!

A wyrzuty sumienia!? A przyzwoitość?! I po tym wszystkim jeszcze będzie na mnie krzyczeć!? Łajza jedna!

- Ty... - wykrzywiło mi szczękę. Ja mu dam krasnala!

- Stop! - Wiesiu wykręcił mi kierownicę. Wcisnęłam hamulec do deki. Klakson i pisk z tyłu. Co za ludzie! Spojrzałam na Wiesia. Wyglądał nieco bladawo. Z wściekłością się obejrzałam i zaczęłam bębnić palcami po kierownicy. Ale cham za mną jedzie!

- Czy masz krasnala? - Jacek nie potrafił się skupić na niczym innym. Spojrzałam oburzona na telefon.

- Zostaw mnie w spokoju! Nie dzwoń do mnie więcej, bo mój znajomy killer wszystkie kości ci poprzetrąca! – warknęłam do słuchawki i rozłączyłam się. Facet z tyłu nie przestawał trąbić. Wściekła, rzuciłam telefonem i zgasilałam silnik. Otworzyłam drzwi.

Już ja mu powiem, jak powinno się traktować kobiety! Testosteron jeden!

Nagle poczułam na ramieniu czyjąś dłoń.

- Zielone, pani Agusiu... - uświadomił mnie niepewnie Wiesio. - Jedyne?

Odetchnęłam głęboko i uspokoiłam się. Muszę się nauczyć panować nad emocjami. Był facet nie może przecież mieć tak olbrzymiego wpływu

na moje czyny. Chamowaty kierowca wyminął mnie gwałtownie i trąbiąc wściekle, pojechał dalej. Zamknęłam drzwi i zapaliłam silnik. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do Wiesia.

- Naprawdę cieszę się, że jesteś teraz ze mną. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda?

- Taak... - mruknął, unikając mojego spojrzenia.

Postanawiając zmienić numery telefonów i wybać ceny psychoterapii, gwałtownie włączyłam się do ruchu, o mało co nie zderzając się przy tym z czarnym bmw.

ROZDZIAŁ 18

*The moment I wake up,
Before I put on my makeup,
I say a little prayer for you.
While combing my hair, now,
And wondering what dress to wear, now,
I say a little prayer for you.
Forever, and ever, you'll stay in my heart
and I will love you...*

Śpiewałam i śpiewałam w kółko tę samą piosenkę, aż w końcu Justyna zaczęła zagłuszać mnie jakimś klubowym przebojem, brzmiącym jak agonalne jęki zarzynanego prosiaka. A ja, nic sobie z tego nie robiąc, po dwóch pracowitych godzinach spędzonych w łazience wreszcie byłam gotowa. Stałam przed lustrem i wpatrywałam się w swoje odbicie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak wyglądałam. Czekoladowa sukienka, ta *trendy*, seksowna bielizna, szpilki (!), długie kolczyki z szafirem. Do tego mocno naturalny makijaż. A na wypadek, gdyby to wszystko nie podziałało, spryskałam się odpowiednio obezwładniającymi perfumami. Byłam z siebie bardzo zadowolona, aczkolwiek nowo zakupione szpilki nie obiecywały miłego zakończenia wieczoru.

Gdzieś przeczytałam, że mężczyźni lubią kobiety naturalnie piękne, choć nawet nie zdają sobie sprawy z tego, ile czasu i pieniędzy zajmuje kobiecie, by tak wyglądać. Jeśli o mnie chodzi, to całą godzinę zajęło mi układanie moich naturalnych loków, a moje naturalnie malinowe usta składały się z sześciu różnych podkładów i błyszczyków. Że nie wspomnę o moich naturalnie długich i krętych rzęsach. A naturalnie kształtny biust pod biustonoszem typu *push-up*? A moja naturalna opalenizna śródziemnomorska? Ale przekręć! A faceci zawsze dają się na to nabrać. I o to

właśnie chodzi. Gotowa byłam na każdy rodzaj zabiegu upiększającego i każdy kobiecy trik, żeby tylko wyglądać dobrze na pierwszej randce z Jerzym. Co ja mówię? Żeby wyglądać zjawiskowo...!

Taka właśnie naturalnie piękna weszłam do salonu. Justyna oglądała telewizję. Spojrzała na mnie i od razu na jej twarzy pojawił się ten złośliwy uśmieszek.

- Fiu, fiu, facet musi być niezły, że tak się dla niego poświęcasz, *ma chérie*.

- Co masz na myśli? - zapytałam zaskoczona.

- No, szpilki, sukienka. Wyglądasz całkiem, całkiem... - powiedziała, mierząc mnie wzrokiem z góry na dół. - Mówiłam, że można z ciebie coś zrobić. Wystarczyło trochę podrasować, i proszę.

W ustach Justyny zabrzmiało to jak komplement z najwyższej półki. Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością, ale ona musiała dodać:

- Szkoda tylko, że ten brąz to stanowczo nie twój kolor.

No cóż... Nie można za dużo oczekiwać. Zołza jedna! Ale i tak nie zepsuła mi humoru, a nawet jeśli podkopała trochę moją pewność siebie, to odzyskałam ją, kiedy przyjechał po mnie Marek. W ramach rewanżu za opiekę nad Mikołajem obiecał zawieźć mnie na Kazimierz, gdzie w pewnej knajpce umówiłam się z Jerzym. Nie chciałam, żeby Jerzy po mnie przyjeżdżał, bo miałam takie przeczucie, że spotkanie poza rzeczywistością, na zupełnie neutralnym gruncie, doda wieczorowi niezapomnianego uroku.

Marek zadzwonił domofonem. Kiedy wyszłam, otworzył szeroko oczy i wysiadł z samochodu.

- Facet musi być niezły - powtórzył znane mi skądinąd słowa i popatrzył na mnie uważnie. - Wiesz, siostra moja jesteś. Normalnie mam gdzieś, jak wyglądasz, ale muszę ci powiedzieć, że dziś wyglądasz tak, jak powinna wyglądać każda kobieta. Tak jakoś... naturalnie pięknie.

No i o to chodziło!

Wysadził mnie na Kazimierzu. Po krótkim spacerze zatrzymałam się przed wejściem do knajpy. Zrobiłam kilka wdechów. Buty już zaczynały się wpijać w moje stopy, ale postanowiłam nie zwracać uwagi na drobnostki. To był mój wieczór. I zapewne ostatnia szansa zdobycia mężczyzny przed sylwestrem.

Weszłam i powoli ściągnęłam płaszcz. Nogi mi drżały. Emocje? Szpilki? A co za różnica. Drżały i tyle. Ale było to drzenie przyjemne, przypominające szczenięce zauroczenia. Rozejrzałam się. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Nastrojowa muzyka wyzwaliała z szarej rzeczywistości i przenosiła w świat ukrytych emocji. Świece migotały, rzucając przytłumione światło. Kolejne magiczne miejsce poza czasem i przestrzenią.

Szukałam wzrokiem znajomej twarzy i nie mogłam jej dostrzec. Po dłuższej chwili, w ciągu której przeleciało mi przez głowę sto tysięcy myśli w stylu: nie ma go, wystawił mnie, buty mnie straszliwie gniołą, facet ze stolika pod oknem wygląda, jakby sobie dobrze robił... - zobaczyłam go. Siedział z tyłu w półmroku i wpatrywał się we mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, zbudził się gwałtownie i zerwał z miejsca.

- Witaj, Rusalko - powiedział miękko.

Wziął ode mnie płaszcz i niebezpiecznie zbliżył swoją twarz do mojej. Chwila wahania, oczy, w których widziałam dziwny blask, a potem ten nieśmiały pocałunek w policzek. Słodkie i obiecujące. Zalała mnie fala gorąca. Facet spod okna miał błogą minę; chyba mu ulżyło. Mnie również. Po tym, jak dyskretnie ściągnęłam pod stołem szpilki. Jerzy zamówił butelkę wina i patrząc mi prosto w oczy, szepnął:

- Onieśmieliłaś mnie. Nie pamiętam, kiedy mi się to zdarzyło ostatni raz. Chyba nigdy.

To był najoryginalniejszy komplement, jaki w życiu słyszałam. Zrobiło mi się ciepło i spuściłam wzrok. W głowie chochlik zawodził pijanym ze szczęścia głosem:

I've got you under my skin,

I have got you deep in the heart of me...

- Teraz już nie używa się wyrażen w stylu: ładnie wyglądasz? - zapytałam kokieterynie.

- To zbyt banalne - mrugnął okiem, a kiedy przyniesiono wino, wznieśliśmy toast za przeznaczenie, które zawiodło nas pamiętnego wieczoru do tamtej obskurnej knajpy przy Mikołajskiej.

Po godzinie upewniłam się, że to jest mężczyzna, z którym chcę spędzić całe życie. Pomna rad tatusia, bynajmniej nie dałam mu tego do zrozumienia. Przynajmniej nie od razu. Rozmawiało nam się fantastycznie.

Tematy rodziły się same, bez bólu, bez wysiłku, bez fałszywej spontaniczności.

- Dlaczego zostałeś lekarzem? - zapytałam w pewnym momencie.

- Lekarzem zawsze chciałem być - zaczął wspominać, a ja wsłuchiwałam się w jego ciepły, męski głos. - Mój dziadek był chirurgiem. Wspaniały człowiek, starej daty. Już nie ma takich ludzi. Wychowałem się na jego opowieściach pełnych krwi, amputowanych kończyn i flaków. W słoiku z formaliną trzymał raka żołądka, a na jego biurku stała najprawdziwsza czaszka, którą co sobotę pozwalał mi polerować szmatką do okularów. Jako dziesięciolatek przeprowadziłem swoją pierwszą operację na żabie. Kiedy dobrałem się do kota, zostałem pozbawiony kieszonkowego na rok, w zawieszeniu na dwa, a moja matka jeszcze do niedawna była przekonana, że mam skłonności sadystyczne, i przepowiadała mi karierę Kuby Rozpruwacza.

- Ale zostałeś ginekologiem, nie chirurgiem?

- Wszystko się wzięło z ciekawości. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego dziewczynki muszą siusiać na siedząco. Kiedy się dowiedziałem, że nie zostały obdarzone tym najważniejszym i, wydawałoby się, niezbędnym do życia narządem, postanowiłem za wszelką cenę ulżyć im w cierpieniach. Taki nadrzędny cel.

- A co najbardziej lubisz w swojej pracy? - wydusiłam zaczepnie pomiędzy kolejnymi atakami śmiechu.

Pachnące słońcem Hiszpanii czerwone wino miało doskonale owocowy smak.

- To oczywiste - powiedział rzeczowo. - Najbardziej lubię to, że mężowie nie mają nic przeciwko.

Mrugnął okiem i uśmiechnął się kpiąco. Dusząc się nieomal ze śmiechu, co było - rzecz jasna - wynikiem dowcipu mojego towarzysza, a nie oznaką spożytego w nadmiarze trunku, wzniosłam toast za wyrozumiałych mężów.

- Oby żyli wiecznie! - dodał Jerzy, patrząc na mnie odpowiednio namiętnie. - Jeszcze wina?

Nie czekając na pozwolenie, nalał mi następny kieliszek.

- Chcesz mnie upić? - zapytałam zalotnie, unosząc kieliszek do ust.

Nagle zobaczyłam coś, co sprawiło, że uśmiech zamarł na mojej twarzy. Spełniał się właśnie najstraszliwszy scenariusz balu Kopciuszka.

Czekoladowa jedwabna sukienka, seksowna, z dekoltem pobudzającym męską wyobraźnię, z nieprzyzwoicie długim suwakiem, z którym jednak każdy, nawet przeciętnie zręczny facet, powinien sobie poradzić, krótko mówiąc, sukienka idealna na randki, mające doprowadzić mężczyznę do stanu nieważkości.

Zdruzgotana, wpatrywałam się w swoją sukienkę okrywającą, o zgrozo, jakieś obce ciało. Z przerażenia odebrało mi mowę.

- Czy coś się stało? - Jerzy zaniepokoił się gwałtowną zmianą, jaka zaszła na mojej twarzy.

- Nie... Nic... - odpowiedziałam niepewnie.

Nie mogłam oderwać wzroku od tamtej, która też zresztą zauważyła rażące podobieństwo, bo zabijała mnie spojrzeniem. Jestem pewna, że obie natarczywie zadawałyśmy sobie to samo pytanie: która z nas wygląda lepiej?

Jerzy obejrzał się w chwili, w której zidentyfikowałam konkurencję. Toż to ta...

- Pani Marlena! - Jerzy nie miał najmniejszego problemu z pamięcią. A szkoda.

Miss solarium podeszła do nas z przyklepionym uśmiechem. Usta jakoś tak same wygięły mi się do dołu. Chwilowa słabość.

„Aa! Mój ulubiony pan doktor” - przedrzeźniałam w myślach jej piski, przypatrując się jednocześnie, jak wygląda. Na szyi miała srebrną obrozę. Pewnie przeciwpchelną.

- Aa! Mój ulubiony pan doktor! - zapiszczała słodko.

Niebezpieczne ogniki w jej oczach bynajmniej mnie nie onieśmieliły. Zmierzyłam ją wzrokiem odpowiednio. Nie pozostała mi dłużna.

Jerzy chrząknął znacząco i solaryczna przeniosła wzrok na jego osobę.

- Ależ pan doktor dziś szalowo wygląda - oświadczyła z prowokującym uśmieszkiem.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Pani również, pani Marleno!

No nie! Nie musi być aż tak uprzejmy!

- Ładna sukienka. Gdzieś już ją widziałem.

Zagryzłam wargę. Chyba zaczęła krwawić. Solaryczna spojrziała na mnie z nienawiścią.

- Pewnie na jakimś manekinie. A pan doktor nie szuka czasem towarzystwa prawdziwej... kobiety? Bo ja akurat mam wolny wieczór.

A co? Solarium zamknięte!?

Jerzy zakrztusił się lekko.

- Jestem wdzięczny za propozycję, pani Marleno, ale kobietę już znalazłem, i to nie tylko na ten wieczór.

Już po mnie. Zimna suka nieaktualna. Bo jak tu się oprzeć takiemu facetowi? Ciepło rozeszło się po całym moim ciele, a stringi w mgnieniu oka przestały uwierać.

Rzuciłam solarycznej zwycięskie spojrzenie. Podkuiliła swój koński ogon i wzruszyła ramionami.

- Nie będę się państwu dłużej narzucać. Pójdę już.

Wreszcie coś mądrego powiedziała. Ze wzruszenia pociągnęłam nosem. Postanowiła wykorzystać ostatnią szansę, by mi dogryźć.

- Ależ proszę nie płakać, ja nie odchodzę daleko. Na pewno wkrótce znowu się spotkamy.

- Ale kto tu płacze? Tylko jakąś spaleniznę w powietrzu czuć, nie uważała pani?

Najpierw poczerwieniała, potem zzieleniała, ale zblednąć i tak jej się nie udało. Kiedy zniknęła z horyzontu, Jerzy wybuchnął śmiechem.

- Z czego się śmiejesz? - zapytałam obrażona. Ale tylko troszeczkę.

- Nigdy nie zrozumieję was, kobiet. Gdybym spotkał faceta ubranego tak samo jak ja, od razu padlibyśmy sobie w objęcia, wypili po jednym i zostali najlepszymi kumplami. A wy, kobiety? Co robicie? Stajecie się śmiertelnymi wrogami. Czy ma sens obrażać się na kogoś, kto ma taki sam gust i lubi te same rzeczy?

Ci mężczyźni nic nie rozumieją! A stwierdzenie, że ta baba ma taki sam gust jak ja, to jak wymierzony publicznie policzek. Ale niech stracę, tym razem mu odpuszczę. Uśmiechnęłam się czarująco. No i nazwał mnie

swoją kobietą. Czy jakoś podobnie.

Powrócił magiczny nastrój. W zaufaniu opowiedziałam mu o moim ukochanym, który został księdzem, i o tym, który stwierdził, że jest gejem, i o tym, któremu rozjechałam psa... No i oczywiście o Jacku. Mam szczęście do facetów, nie da się ukryć.

- A twoja była żona? - zapytałam zaczepnie, kiedy już zakończyliśmy temat moich eks-kochanków.

Uśmiech zgasł na jego twarzy, a ja pożałowałam swojej zrozumiałej poniekąd ciekawości. Przez dłuższą chwilę milczał, po czym zaczął mówić:

- Wydawało mi się, że jesteśmy razem szczęśliwi. Dwa lata były niesamowite.

Poczułam ukłucie zazdrości.

- Potem zauważyłem, że coś jest nie tak. Była nerwowa, agresywna. Myślałem, że poświęcam jej za mało czasu. Chciałem wziąć urlop, wyjechać gdzieś tylko z nią, naprawić wszystko... Nie chciała jechać. Potem było już tylko gorzej. Pewnego dnia, kiedy wróciłem z pracy, jej już nie było. - Zamilkł. Miałam wrażenie, że kieliszek w jego zaciśniętej dłoni zaraz pęknie. Odstawił go jednak i mówił dalej: - Szalałem, błagałem, żeby wróciła. Na nic. Mówiła, że jest szczęśliwa. Jak się okazało, jej nowy partner wprowadził ją w świat narkotyków. A potem wykorzystał i zostawił. Trudno mi się było pozbierać po tym wszystkim, ale się udało. I, przyznam ci się, pomimo wszystko żał mi jej.

Patrzyłam na jego twarz i widziałam targające nim wciąż emocje.

- Wiesz, że jesteś pierwszą osobą, której o tym opowiadam? - Chwyił moją dłoń i pocałował, zanim zdążyłam zareagować. Potem przyjrzał się jej uważnie. - Masz dłonie artystki - dodał.

Dłonie artystki! Nie potrzebują liftingu!? Byłam jego.

Muzyka jak mgła unosiła się nad nami i omotała nas swoim czarem. Bruce Cockburn śpiewał *Last Night of the World*. Wsłuchując się w słowa piosenki, Jerzy zapytał:

- Gdybyś wiedziała, że to ostatnia noc w twoim życiu, co chciałabyś robić?

Patrząc na niego, wiedziałam bardzo dobrze, co i z kim chciałabym robić.

- Tańczyć - skłamałam niewinnie i mrugnęłam do niego okiem. - A ty?

Nie odpowiedział. Zamknął oczy i wsłuchiwał się w nastrojową muzykę. Potem wstał nagle i wyciągnął do mnie rękę.

- Chodź - powiedział, a w oczach miał tyle życia, że mogłabym wpatrywać się w nie bez końca.

- Dokąd? - zapytałam miękkiem głosem.

Czyżby czytał w moich myślach? Oby tylko nie kolejny wtórny analfabeta.

- Tańczyć.

A jednak...

- Jak to tańczyć? - zmieszałam się i rozejrzałam dookoła. - Tu? Teraz? Ale tu nikt nie tańczy.

- Jeszcze nikt - potwierdził, po czym dodał z wymownym uśmiechem: - Czyżbyś się bała? - Zaczął szczękać zębami. - Wyzywam cię, Agnieszko Rusalko...

Na dźwięk jego kpiącego tonu bez wahania wyciągnęłam dłoń i nie wkładając nawet szpilek, wstałam. Wyprowadził mnie na środek i objął delikatnie. Na oczach wszystkich zaczęliśmy naszą pierwszą niesamowitą wędrówkę przez świat cudownych emocji i zmysłowych wrażeń. Nasze ciała ocierały się o siebie w rytm muzyki, z dala od świata i czasu, a Vaya Con Dios śpiewało do moich myśli:

*How could she let a man like you
slip through her fingers?*

Głupia ta Renata, myślałam, kołysząc się w ramionach Jerzego. Jak można zostawić takiego faceta?

*I guess she didn't know
A good man is hard to find...*

Podniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy. Uśmiechnął się, a w jego uśmiechu tym razem nie było kpiny. Tylko czułość.

*I would have cherished and treasured that love
if I had been her...*

Zaproś go do siebie. Pomóż mu zapomnieć! - usłyszałam w głowie całym inteligentną sugestią chochlika.

Ale tam jest Justyna!

Zlikwidować ją - skwitowało moje psychopatyczne alter ego.

Postanowiłam to sobie jeszcze przemyśleć.

Baby, why don't you spend

an evening of love with me?

Jerzy przyciskał mnie do siebie coraz mocniej. Powoli traciłam oddech.

I rozum.

Let's make it

an evening of love to remember,

an evening away from the past...

Jedną ręką trzymał mnie mocno w talii, jakby bał się, że zaraz zniknę. Odejde. Jak tamta. Drugą niesamowicie zmysłowo gładził moje włosy. Zrobiło mi się gorąco.

W takiej sytuacji najzdrowiej byłoby się rozebrać - podpowiedział mi chochlik nie do końca niewinnie.

Maybe tomorrow you'll wake up to find

you don't need her,

maybe you'll realise

you never did...

A może zaprosi mnie do siebie? Ale z drugiej strony nie mogę tak od razu na pierwszej randce... Przecież ja wcale nie jestem łatwa!

I'm gonna hold you real close to my heart,

say the words that will heal you...

Wtuliliam się w niego całym ciałem. Mocno. Namiętnie. Ufnie. A on bez wahania odwzajemnił mój uścisk.

Jesteś łatwa. Pogódź się z tym i przestań się oszukiwać. Do dzieła... - dogadywał mi chochlik. Bezwstydy stręczyciel.

I'm gonna show you babe

show you how good it can feel...

Muzyka zamilkła.

Znieruchomieliśmy. Trzymaliśmy się kurczowo jedno drugiego i żadne z nas nie chciało puścić.

Chwilo, trwaj! - jęknęłam, niemalże na głos, wieszając się mu bezwstydnie na szyi.

- Jesteś piękna - usłyszałam ledwie słyszalny szept, który zginął w rytmie nowej piosenki.

A kiedy wreszcie, wykończeni i szczęśliwi, przy ogromnym aplauzie publiczności, a w szczególności pana spod okna, usiedliśmy przy stoliku, było już po północy.

- To jedna z najpiękniejszych nocy w moim życiu – wyszeptał Jerzy, głaszcząc mnie po policzku, a ton jego głosu poruszył moją wyobraźnię. - Dziękuję.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, coś, co na pewno chciałabym usłyszeć, ale wtedy do naszego stolika podszedł kelner i oznajmił konspiracyjnym szeptem:

- Pan Bond, prawda? Telefon do pana - wskazał ręką na bar.

Zabrzmiało to jak kwestia z filmu szpiegowskiego. Dostałam ataku śmiechu, a Jerzy pogroził mi palcem i podszedł do telefonu. Przez chwilę obserwowałam jego doskonały profil. Potem zaczęłam rozglądać się dookoła. Przy drzwiach zauważyłam solaryczną Marlenę. Rozmawiała przez komórkę. Pewnie zamawiała taksówkę. Cóż... jak się nie ma brania, to się wraca taksówką, i w dodatku do własnego łóżka. Po chwili wyłączyła telefon i nawet na mnie nie spojrzawszy, wyprowadziła się z lokalu. Do stolika wrócił za to Jerzy, poważny i skupiony. Po radości na jego twarzy nie zostało już ani śladu.

- Czas na mnie. Problemy w pracy.

Nastrój prysnął jak bańka mydlana. Podniosłam się z krzesła i nie mówiąc ani słowa, posłałam mu zawiedzione spojrzenie. A mogło być tak pięknie. Cóż ja mogę jednak wobec takiego argumentu?

Rządek rodzących kobiet, rozstawione nogi, para za parą, położne biegające po oddziale bezradne, zagubione. Gdzie lekarz!?! Wszystkie baby się chyba zmówiły, żeby rodzić właśnie tej nocy. Krzyk, płacz i zgrzytanie zębów. I ten specyficzny zapach potu i lekarstw. I strugi krwi... Lekarza! Lekarza! Lekarza!

Wzdrygnęłam się, Jerzy rozłożył ręce.

- Ja świat przed zagładą ratować muszę...

Nuklearna broń zagrażająca światu została wykradziona z tajnej bazy amerykańskiej armii. General X wzywa do działania: agenci wszystkich krajów, łączcie się. Walka z terroryzmem nadrzędnym celem każdego profesjonalnego szpiega. Wódka, zabawa i cizia mogą poczekać. Świat nie poczeka.

A kiedy stał za mną, pomagając mi założyć płaszcz, pochylił nagle głowę i pocałował mnie delikatnie w szyję.

- Umówisz się jeszcze ze mną? - wyszeptał mi do ucha.
- Muszę się zastanowić - odpowiedziałam z poważną miną. - Poza tobą jeszcze dwóch kandydatów przeszło do ścisłego finału.

Potem teatralnie zarzuciłam na ramię szal i z gracją Audrey Hepburn podeszłam do drzwi. W następnej sekundzie potknęłam się o próg i widowiskowo runęłam w dół, łamiąc sobie przy tym obcas.

ROZDZIAŁ 19

Następnego dnia obudziłam się później niż zwykle. Rozciągnęłam się zadowolona na łóżku i z rozkoszą wróciłam myślami do poprzedniego wieczoru. Moje nieszczęsne szpilki już od dawna tkwiły w koszu, nic więc nie przypominało mi drobnego incydentu, który o mały włos nie kosztował mnie połamanych kończyn. A poza tym... nie wolno się przejmować takimi drobiazgami! Życie jest piękne! I kto by pomyślał, że ja kocham poniedziałki!

W kuchni minęłam się z Justyną.

- Nienawidzę poniedziałków! - burknęła i zanim zniknęła w łazience, rzuciła mi jeszcze podejrzliwe spojrzenie. - Co się tak głupkowato uśmiechasz? Odbiło?

Uśmiechnęłam się do niej promiennie.

- Szczęśliwa jestem... - zaczęłam, ale już zdążyła zatrzaskać drzwi.

Włączyłam ekspres i zapatrzyłam się w okno.

Wróbelki: małe, duże, średnie. Ćwir, ćwir... Ćwierkają sobie wesoło, zmarznięte kruszynki. Ćwir, ćwir... Takie śliczne, takie nieporadne... Ćwir... ćwir...

Świr - szeptał mi w głowie złośliwy chochlik, ale nie miałam zamiaru się tym przejmować. Chwilowa niepoczytalność, zwłaszcza ta wywołana miłosną ekstazą, jest jak najbardziej korzystna dla zdrowia. Zebrałam okruszki i otworzyłam okno.

- Znowu karmisz te pasożyty? Tylko srają na parapet – Justyna skończyła poranną toaletę najwidoczniej w kiepskim humorze. - Zamknij okno, zimno jak cholera!

Spojrzała na ekspres.

- Mogę wypić twoją kawę, *ma chérie*? Strasznie się spieszę...

Nalewając sobie, nie przestawała narzekać:

- Ty wiesz, że wczoraj byliśmy w klubie na Brackiej i czipsy zrobili sobie akcję? Wpadli tacy w kominiarkach i tylko popłoch wywołali swoimi

zabawkami. Dobrze, że nikomu nic się nie stało. Wszystkich wymacali.

- A co konkretnie mieli nadzieję... wymacać?

- Jak to co? Towaru szukali! Chyba z dziesięć osób zatrzymali za posiadanie. I jednego za handel. A tak miło się wieczór zapowiadał - mruczała, parząc się kawą. - Gorąca! - rzuciła z pretensjami. - A nie wiesz, *ma chérie*, jak... Wiesław się czuje? - zapytała nagle.

Chwyliła płaszcz i zaczęła go szybko wkładać. Obserwowałam ze zdziwieniem, jak na siłę wpycha rękę do niewłaściwego rękawa. Po chwili szamotaniny udało się jej obezwładnić płaszcz i, gotowa do wyjścia, otworzyła drzwi.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Chyba lepiej. Ale może powinnaś do niego zajrzeć? Na pewno byłoby mu miło.

Wzruszyła ramionami i rzuciła jeszcze na odchodnym:

- A jak mu jednak coś zaszkodziło? Nie mam zamiaru się stresować. Poczekam, aż sam przyjdzie.

Nie minęło nawet pięć minut, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Powitały mnie podkrążone oczy mojego sąsiada.

- Dzień dobry - Wiesio wystawił głowę zza drzwi i ostrożnie zajrzał w głąb mieszkania.

- Co słyhać? Chodź na kawę - wciągnęłam go do środka.

Westchnął ciężko i powlókł się za mną do kuchni. Usiadł przy krasnalu, który dalej tkwił za stołem, i wpatrując się w niego z dziwną ekscytacją, wyjęczał:

- Spać nie mogłem. A Justyna jest?

- Minęliście się.

- To dobrze.

Popatrzyłam na niego spod oka. Rozwiany włos i szaleństwo w oczach przypomniały mi romantycznych poetów. Zawsze nieszczęśliwie zakochanych.

- Co się dzieje, Wiesiu? Wydajesz się jakiś nieswój.

Westchnienie.

- Pani Agusiu, bo ja... muszę pani coś powiedzieć. Coś, co na pewno panią szalenie zdziwi.

- Tak? - zaciekawiałam się, podnosząc do ust kubek z kawą. Cóż mnie może tak zdziwić szalenie?

Kolejne westchnienie.

- Bo ja... Bo ja się zakochałem. W Justynie - dodał, żeby nie było nieporozumień. Mówiąc to, przytulił się do krasnala, jakby oczekiwał od niego słów pocieszenia.

- Naprawdę? Nigdy bym nie zgadła.

Nie odkrył ironii w moim głosie. Pogrążony we własnych myślach, machinalnie obstukiwał gipsowy tors krasnala. Po chwili odsunął się od niego i chrząknął niepewnie:

- Tak... Bo ja się dobrze z tym kryję. I nie wiem, co mam zrobić. Przecież ona nigdy nawet na mnie nie spojrzy jak na faceta... - zapatrzył się gdzieś w dal.

Następne westchnienie.

- Musisz z nią porozmawiać. Albo zaproś ją gdzieś. Może do kawiarni?

Po raz kolejny przypomniałam sobie obiecujący wieczór z Jerzym. Wzię przerwał mi rozdzierający głos Wiesia:

- Ale... do jakiej kawiarni!? Na takie kluby, do których ona chodzi, to mnie nie stać, a poza tym przecież nikt by mnie tam nie wpuścił! Bo wie pani... Ja klasy nie mam. I kasy nie mam. A zresztą po co w bawełnę owijać? Wieśniak jestem i tyle, pani Agusiu. O! Nawet imię mam wieśniackie! Proszę mnie od dzisiaj nazywać Wiesiek Wieśniak! Tak! Tak się od dzisiaj nazywam.

Jego wybuch zupełnie mnie zaskoczył.

- Ależ Wiesiu...

- Wiesiu Wieśniaku! - poprawił mnie z naciskiem.

Nie wytrzymałam. Zaczęłam się straszliwie śmiać. Patrzył na mnie i patrzył, a w końcu sam się uśmiechnął.

- Odbiło mi, co?

- Zupełnie! Ale przynajmniej potrafisz się śmiać sam z siebie. Mało jest takich ludzi.

- Może i tak, ale widocznie dla dziewczyn nie poczucie humoru jest najważniejsze. Ale bicepsy też mam, wie pani? - Jednym ruchem podwinął rękaw bluzy. - Proszę, o!

Biceps, owszem, był, jak należy.

- Imponujący. Ciasteczko?

Pokręcił przecząco głową. Kolejne westchnienie i chwila ciszy.

- Pani Agusiu, a może dałaby mi pani tego krasnala, co? - wypalił nagle. Widząc moje zdumienie, dodał szybko: - Miałbym na kim ćwiczyć podrywanie.

- Wiesiu, chcesz ćwiczyć podrywanie na ogrodowym krasnalu? To już lepiej kup sobie dmuchaną lalę.

- Dmuchałą lalę?

- Tak. Przynajmniej kształty ma odpowiednie. I pleć.

Naburmuszył się jak dziecko, któremu odmawia się zabawki.

- Idę już...

- Wiesiu... - zaczęłam go jeszcze na pożegnanie.

- Tak? - spojrzał na mnie z nadzieją.

- Słoma ci z butów powypadała.

Pokazał mi język i już go nie było. Fajny chłopak. Szkoda, że Justyna tego nie widzi. Ale co ona może zobaczyć, jeśli grzywka przykrywa jej oczy i połowę idealnie symetrycznej twarzy?

A krasnal? Cóż... Następny nieczuły, powierzchowny samiec do kompletu. Postanowiłam uszczęśliwić nim jakąś niewinną duszyczkę i bynajmniej nie miałam na myśli jego prawowitego właściciela. Zgodnie z własnym sumieniem postanowiłam podarować krasnala przedszkolu.

Dochodziła dziewiąta. Szybko zapakowałam krasnala do reklamówki i wrzuciłam do bagażnika samochodu. Zadowolona, zapaliłam silnik. Ruch na drodze był ogromny. Ludzie spieszyli się do pracy, każdy każdemu przeszkadzał, autobusy tamowały ruch, pługi odśnieżały drogi, przysypując przechodniów, taksówkarze trąbili, a w powietrzu aż gęsto było od niewypowiedzianych przekleństw. Krótko mówiąc, dzień jak co dzień. Ale mnie nic nie było w stanie zepsuć humoru, taka byłam szczęśliwa. No i Jerzy miał zadzwonić.

Spokojnie podjechałam pod przedszkole Mikołaja i z satysfakcją wyciągnęłam krasnala. Weszłam do budynku, rozkoszując się słodką zemstą. No i możliwością uszczęśliwienia paru malców, oczywiście.

- Cześć, ciocia! - Mikołaj wypatrzył mnie już na korytarzu.

Włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach. Pogłaskałam go z uśmiechem.

- Co jest? Mama zapomniała uczesać?

- No co ty, ciociu! To tak w modzie jest, nie wiesz? Koleżanki mi postawiły na marmoladzie. Chcesz polizać? Malinowa! -Nadstawił głowę.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam z poważną miną. - Nie wiedziałam, że marmolada we włosach stała się modna. Wiesz, nie jestem ostatnio na bieżąco.

- Za stara jesteś - odpowiedział z anielskim uśmiechem. - A wiesz, że jak się jeszcze trochę zestarzejesz, to umrzesz? Dziadek tak mówi. Ale nie przejmuj się - dodał pocieszająco - wszyscy tak mają. Co tam trzymasz?

Postawiłam na podłodze krasnala, ignorując wcześniejszy komentarz.

- Krasnoludka. Może pani Jadzia zrobi z niego jakiś użytek?

Mikołaj obejrzał go uważnie.

- Przecież to Gapcio, ciociu, nie wiesz?

Na korytarzu zaczęły się pojawiać ciekawskie głowy. Gwar dziecięcych głosików zwabił panią Jadzię, która zgodziła się przygarnąć krasnala.

- Postawimy go na tarasie - oświadczyła podekscytowanym dzieciom.

- A możemy go dokarmiać? - zapytał malec w żółtym sweterku.

- I czytać mu bajki?

- Przecież on jest nieprawdziwy! - oświadczyła z pewną miną jakaś dziewczynka z zadartym nosem. - Mama mówi, że nie ma krasnoludków ani czarownic, ani smoków, ani kosmitów, ani królewien w wieżach, ani królewiczów na białych koniach.

Co za bzdury, przecież królewicze na białych koniach jeszcze się zdarzają. Królewicze o oczach błękitnych jak niebo w letni poranek...

- A Święty Mikołaj? - zapytała z przejęciem ruda dziewczynka.

Będąc już spóźniona, nie czekałam na rewelacje dziewczynki z zadartym nosem na temat Świętego Mikołaja. Ostatni raz rzuciłam okiem na

krasnala. Widząc oczyma wyobraźni wściekłą minę mojego eks, w wyjątkowo dobrym humorze pojechałam prosto do pracowni.

Okazało się, że nie wszyscy mają udany dzień. Malinowski dalej siedział zamknięty w swoim biurze i podobno nie wychodził stamtąd przez cały weekend. Żaluzje w przeszklonych drzwiach były szczelnie zasłonięte.

- Jesteś pewna, że jeszcze żyje? - zapytałam Ankę, która ponoć wiedziała, jak wymykał się do łazienki. Logicznie rzecz biorąc, jeśli wyszedł za potrzebą, to najprawdopodobniej wszystko było z nim w porządku.

- Tak - mruknęła, rozglądając się niepewnie. - Ale na twoim miejscu nie wchodziłabym tam teraz. Jest niezrównoważony psychicznie. Może czymś rzucić.

Hmm... Podeszłam ostrożnie do drzwi. Kiedy zastanawiałam się, czy zapukać, drzwi same się otworzyły. Przedemną, zupełnie niespodzianie, pojawił się owłosiony tors Malinowskiego w rozpiętej do połowy koszuli. W popłochu zasłoniłam się teczką.

- Projekty... - wyszeptałam, szykując się do obrony przed nagłym ciosem. Mimowolnie wpatrywałam się w jego klatę goryla.

- To proszę jechać do cholernego klienta i wreszcie, cholera, dać mi cholerny spokój! - wrzasnął i wybiegł z biura. Po drodze wpadł jeszcze na stół z wydrukami, przewrócił kosz na śmieci i wieszak. Kiedy wszystko ucichło, a kartki jak zwiędłe liście opadły na podłogę, odzyskałam władzę w nogach. Odwróciłam się do Anki. Z litością w oczach podała mi szklankę wody.

- Nie chciałabym teraz mieć projektu do zatwierdzenia. Ale ciesz się, że żyjesz - powiedziała pocieszająco. - Jedź do klienta, załatw z nim wszystko. Jestem pewna, że Yogiemu wkrótce przejdzie. I może nawet da ci urlop?

ROZDZIAŁ 20

I tak oto znowu znalazłam się przed drzwiami pięknej willi na Woli. Z westchnieniem przycisnęłam dzwonek. Moje myśli cały czas krążyły jednak wokół przystojnego ginekologa. Zastanawiałam się, kiedy zadzwoni, z kim teraz jest, co teraz robi... Zaciśnęłam wargi. Wielkie mi rzeczy. A co może robić ginekolog w godzinach pracy? Pracuje.

- Słucham? - z rozmyślań wyrwał mnie basowy głos antypatycznej gosposi.

Znowu ta jęcza.

- Ja do pana Ignacego.
- Domyślam się - warknęła.

Cierpliwości!

- Chciałam porozmawiać z nim na temat projektu...
- Pana nie ma - przerwała mi brutalnie.

W ostatniej chwili wsadziłam nogę między próg a zamykające się przed moim nosem drzwi.

- A kiedy będzie?
- Nic pani do tego. Musiał nagle wyjechać. Sprawy osobiste. I radzę natychmiast tę nogę zabrać, bo pozew o wtargnięcie na teren prywatny złożę.

Słucham!!? Zabrałam nogę. Z ludźmi chorymi psychicznie nie ma co dyskutować. Patrzyłam na nią i za bardzo nie wiedziałam, co zrobić. Jak tego nie załatwię, to nie mam po co wracać do Malinowskiego.

- To może... - odezwałam się z głęboką pokorą - to może ja zostawię mu te projekty do przejrzania i...
- Nie - oświadczyła krótko i szybko zamknęła drzwi.

Och! Jaka bezczelność! Zagotowało się we mnie i wściekła ruszyłam w kierunku samochodu.

Taka... jedna... nie będzie mnie... denerwować!!! Jestem małym kamyczkiem... - powtarzałam sobie wściekła, próbując się uspokoić.

Wsiadłam, automatycznie odpaliłam silnik i wrzuciłam wsteczny.

Ta... Jestem małą chmurką... - spojrzałam przed siebie, zmieniłam bieg na jedynekę, a potem znów na wsteczny i odwróciłam głowę. Moja noga machinalnie wcisnęła hamulec. Tuż za samochodem stała gosposia i przyglądała mi się ironicznie.

Najpierw samochód najeżdża na prawą stopę kobiety, odciskając na niej osobliwy tatuaż w kształcie bieżnika opony. Antypatyczna twarz wykrzywia się z bólu. Słysząc skowyt. Bas zamienia się w mezzosopran. Po chwili tej samej operacji zostaje poddana stopa lewa. Policzki kobiety tracą swój kolor. Słysząc cichy trzask miażdżonych kości. Krew barwi śnieg na piękny kolor. Szkarłat. Przejmujące błaganie o litość zamiera na nieruchomiejących ustach... Niech spoczywa w pokoju.

Tym razem chochlik wznosił się na wyżyny swoich możliwości twórczych. Otrząsnęłam się jednak szybko z obiecującej wizji, choć palce były niecierpliwie po kierownicy, a noga bezwiednie przesuwała się w kierunku pedału gazu. Otworzyłam okno.

- Proszę się odsunąć, bo panią rozjadę! - wycodziłam przez zęby.

Chochlik nawoływał do złego, a gosposia uśmiechała się prowokująco. Miałam wrażenie, że tylko na to czeka. Żeby potem zabić mnie w tak zwanej obronie własnej.

- Dzwonił pan. Będzie za chwilę. Ma pani zaczekać. - Odwróciła się na pięcie i weszła do domu.

Wyłączyłam silnik. Co to za osóbką! Zrobiłam parę wdechów i wydechów, wysiadłam z samochodu i powlokłam się w kierunku drzwi wejściowych. Były lekko uchylone. Weszłam do środka. Nikt się nie pojawił. Zdecydowałam zatem, by udać się prosto w kierunku sanktuarium pana domu. Znalazszy się na miejscu, usiadłam zrezygnowana na kanapie i zaczęłam przeglądać szkice fresków. Patrzyłam, jak bogowie Olimpu zabawiają się ludzkimi losami, popijając ambrozję. I ten Zeus. Protoplasta niewiernego mężczyzny. Antyczny playboy. Tak się zdenerwowałam, że w

ramach prywatnej zemsty zdecydowałam się dorysować mu małe desygnerskie rogi. Potrzebowałam ołówek. Jak na złość okazało się, że torebkę zostawiłam w samochodzie. Nie mając najmniejszej ochoty spotkać ponownie krwiożerczej gosposi, postanowiłam poszukać czegoś do pisania na biurku gospodarza. Wstałam i podeszłam do szacownego mebla. Na biurku panował nieskazitelny porządek, tak więc nie miałam najmniejszego problemu z lokalizacją ołówków. Przy okazji spojrzalam bezwiednie na otwarty kalendarz. Wśród kilku wpisów jeden, zapisany na czerwono, rzucił mi się w oczy. „J.Ż. tel. 676 75 43”.

J.Ż.? Tel. 676 75 43!!?? Przecież to telefon Jacka! Zdezorientowana, odwróciłam się i... stanęłam twarzą w twarz z żądną krwi gosposią. Absurdalnie ogarnęło mnie poczucie zagrożenia, a ona zaczęła zbliżać się jeszcze bardziej, nie odrywając ode mnie nienawistnego spojrzenia. Podeszła tak blisko, że czułam zapach krochmalu z jej fartuszka.

- A ładnie to tak grzebać w czyichś rzeczach? – wycedziła zimnym głosem.

Byłam przekonana, że szpiegowała mnie cały czas.

- Ja nikomu nigdzie nie grzebię! - oświadczyłam z godnością, starając się opanować drżenie głosu i odsunąć nieco. - Potrzebowałam ołówek i... znalazłam. - Pokazałam jej trzymany w ręce przedmiot.

- Wścibstwo, proszę pani, nie popłaca - syknęła z groźbą w głosie, sięgając do kieszeni.

- Słucham!?! - zaczynałam tracić panowanie nad sobą.

Moje spojrzenie bezwiednie zatrzymało się na kieszeni jej fartuszka. Ciekawe, co z niej wyjmie? Walek do ciasta? Śmietanę w sprayu?

- Marta! - ciszę przerwał rozkazujący głos.

Jak na komendę obie odwróciłyśmy głowy. W drzwiach stał mój sympatyczny zleceniodawca. Tym razem na krawacie mogłam podziwiać piękne choinki. Gosposia wyprostowała się, wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i wzruszyła ramionami.

- Dotrzymywałam pani towarzystwa! - oświadczyła obrażona i ordynarnie wysmarkała nos. - Ciągle coś ginie z domu. Wszystko by wynieśli. A ta to nawet ołówki kradnie.

Oniemiałam.

Mężczyzna niecierpliwym gestem odprawił gospozię i powoli wszedł do pokoju. Zgarbiony i przygaszony, wydał mi się dużo starszy niż ostatnio.

- Wszystko w porządku, pani Agnieszko? Marta potrafi być nieco szorstka. - Zmęczonym ruchem przetarł zaczerwienione oczy.

Nieco szorstka!!? To już szczotka do WC potrafi być miłsza.

- Ale jest dla mnie trochę jak... ciocia. To dlatego, że jestem nieco sentymentalny. Bo, widzi pani, zatrudnił ją dawno temu jeszcze mój ojciec. Marta ma wprawdzie lekką paranoję na punkcie gości, wydaje się jej, że każdy to bandyta - zaśmiał się ironicznie. - Za dużo telewizji, wie pani, zgubny wpływ seriali kryminalnych. Ale poza tym to bardzo poczciwa kobieta. I oczywiście niezwykle lojalna.

W to akurat nie wątpię! Przeszedł parę kroków po pokoju.

- Proszę. Projekty fresków - podsunęłam mu arkusze.

Zaczął przeglądać je rozkojarzony. Nie wytrzymałam.

- Panie Ignacy... Czy ja mogłabym pana o coś zapytać? - zawahałam się.

- Słucham panią?... - zawiesił wyczekująco głos.

- Biorąc ołówek z pańskiego biurka - pomachałam ołówkiem, żeby nie było nieporozumień - zauważyłam numer telefonu dziwnie znajomy.

- Naprawdę? Który numer?

- Ten przy inicjałach J.Ż. - odpowiedziałam, przygryzając wargi.

Podszedł do biurka i spojrzał na otwarty kalendarz.

- Ach, ten. To numer mojego dentysty, pana Żuka - powiedział obojętnie. - Pani go zna?

Uśmiechnęłam się cierpko.

- Aż za dobrze. To mój były dentysta i... były narzeczoney.

- Naprawdę? - zdziwił się przekonująco. - Cóż za zbieg okoliczności.

Ale powiem pani coś: w ramach solidarności z przyzwoitymi ludźmi zmienię dentystę.

Jaki on miły! Jaki szlachetny!

- Ależ nie trzeba... - zaczęłam, ale przerwał mi stanowczo.

na

- To już postanowione, pani Agnieszko. Ja staram się obracać tylko wśród ludzi godnych i lojalnych, nawet jeśli są nieco... – tu uśmiechnął się pod nosem i mrugnął do mnie zmęczonym okiem - ... ekscentryczni. Mam na myśli Martę.

Rzucił okiem na projekty.

- Przejrzę je i w przyszłym tygodniu zapewne zaproszę panią do siebie raz jeszcze. Wyjaśnimy sobie wątpliwości. Niestety, teraz mam dużo pracy. Trafi pani sama do wyjścia czy zawołać Martę?

- Ależ nie ma takiej potrzeby! - Zerwałam się z kanapy i uśmiechając się promiennie, szybkim krokiem wyszłam z gabinetu.

Na szczęście nie spotkałam nigdzie gosposi i spokojnie odjechałam w stronę domu. Po drodze wstąpiłam jeszcze do obuwniczego, gdzie rzucając wyzwanie całemu światu, kupiłam najwyższe szpilki, jakie tylko znalazłam. Potem, sprawdzivszy, czy oba moje telefony są sprawne, pograżyłam się w oczekiwaniu na wiadomość od mojego nowego mężczyzny.

ROZDZIAŁ 21

Nie zadzwonił.

Minęły dwa szare i niewarte wspomnień dni, które spędziłam, warując przy telefonie i obgryzając paznokcie. Po odciskach od moich szalowych szpilek nie było już prawie śladu, a on nie zadzwonił. Snułam się po mieszkaniu, nie wiedząc za bardzo, co z sobą zrobić. Nie mogłam uwierzyć, że to przydarza się właśnie mnie. I to kolejny raz. Moją jedyną rozrywką było denerwowanie Justyny, która już trzykrotnie groziła, że się wyprowadzi. Niestety, jak to w życiu bywa, obiecanki cacanki, a głupiemu radość. Projekt fresków został wstępnie zaakceptowany przez pana Ignacego, a Malinowski zaczął traktować mnie z dziwną poufałością, wzbudzając żywą dyskusję wśród moich kolegów z pracowni. Wzięłam zaległy urlop, czytałam stopy romansów, zużywając przy tym nieprzyzwoitą ilość chusteczek higienicznych, i zastanawiałam się bezustannie, co takiego zrobiłam nie tak. W końcu przełamalam się i sama do niego zadzwoniłam. Nie odbierał. Zostawiłam mu wiadomość na sekretarce. Nie oddzwonił. Wzrastało we mnie poczucie krzywdy i straszliwego gniewu.

- Miało być tak pięknie, a znowu jest jak zwykle! - żaliłam się Kasi i Julii, które przyszły pocieszać moje złamane serce i przy okazji zdezynfekować własne organy wewnętrzne niezastąpioną żubrówką. - Jak to możliwe? Randka była fantastyczna, iskrzyło między nami strasznie... Nasze ciała wytwarzały takie pole magnetyczne, że chwila nieuwagi, a sztucce same by się do nas przyklejały. I gdyby nie ten telefon, to chyba po raz piąty straciłabym dziewictwo - szlochałam, gryząc trawkę z butelki. - Na koniec mnie pocałował, zapytał, czy jeszcze się z nim umówię, i od tamtej pory cisza. Nic. Wielkie, bezdenne nic. Nie dał znaku życia! Buu... Czy ze mną jest coś nie tak?! Buu... Czy ja jestem jakaś nienormalna? Buu...

- Ależ skąd.
 - Buu... Czasami mam wątpliwości.
 - A ja nie - powiedziała stanowczo Julia, po czym wzniosła kolejny toast. - To za tych, co na morzu.
 - Mówisz, że dałaś mu nowe numery telefonów... A może po prostu coś mu się stało? - Kasia starała się mnie uspokoić za wszelką cenę.
 - Buu...
 - Wiesz co? Ty to jakaś pechowa jesteś. Jeden ksiądz, drugi gej. Ten gej to był wprawdzie niezły, ale gej. Temu trzeciemu to faktycznie nie ma się co dziwić. Jak można komuś ukochanego psa rozjechać?
 - Przecież niespecjalnie! I zapłaciłam za kremację.
 - Potem playboy Jacek, a teraz ten ginekolog.
 - Na pewno zadzwoni - Julia starała się myśleć pozytywnie. - Wiesz, jak to jest z facetami. Mamusia nie w humorze albo przegrany mecz i już obrażeni na cały świat. Daj mu trochę czasu.
 - A może się wystraszył? - rzuciła nagle Kasia.
- Zmarszczyłam brwi.
- Niby... mnie się wystraszył?
 - Faceci w tym wieku i po przejściach są bardzo wrażliwi na dźwięk słów takich jak małżeństwo, dzieci, zobowiązania.
- Czyżbym miała desperację wytatuowaną na czole?
- Musiałaś go czymś wystraszyć. Pewnie liczył na jednorazową przygodę i stwierdził, że z tobą nie da rady. Może jakąś łatwiejszą namierzył?
- Łatwiejszą ode mnie? Niemożliwe! Zacisnęłam zęby. Pewnie ta solaryczna zdzira! No tak, miała się konsultować w poniedziałek...
- Zresztą, powiedzmy sobie szczerze: facet wszystko wmówi kobiecie, byle tylko ją do łóżka zaciągnąć. Ale mówisz, że nie zdążył? Jesteś pewna, że... nie zdążył?
- „Przecież ci mówiłem, że królewicz na białym koniu i happy end to męska propaganda” - zabrzmiał mi w uszach uroczysty głos tatusia. Wypilam za jego zdrowie i świętą rację.
- Kaśka, a skąd wiesz, że faceci są tacy dwulicowi? - wtrąciła się podejrzliwie Julia. - Od ośmiu lat masz tego samego chłopca, który świata poza tobą nie widzi, a opowiadasz takie rzeczy, jakbyś pół życia na ulicy

spędziła, i to w dodatku pracując czterema literami.

- Bo w przeciwieństwie do ciebie koleżanki mi się zwierzają - odparowała urażona Kasia. - Przynajmniej słuchać potrafię. I pocieszyć.

- Ty życia nie znasz, dziecko, a facetów tym bardziej! - Julia spojrzała na nią z miną eksperta, pocierając przy tym swój czerwony od alkoholu nos.

- Przepraszam! Zapomniałam, że mam do czynienia ze znawcą męskich zachowań. W końcu prowadzisz na nich badania! Jeśli oni tacy święci i doskonali, to spróbuj wytrzymać z jakimś dłużej niż tydzień! Spróbuj dzieci mu urodzić! Spróbuj wybrać z nim kolor ścian albo zasłony!

Zabrakło jej tchu.

- Przecież ja daleka jestem od stwierdzenia, że są doskonali! - broniła się Julia. - Ale jeśli spotykam odpowiedniego mężczyznę, to zawsze przynajmniej próbuję, nie!?! Każdy jeden zasługuje na szansę! Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jakie to wyczerpujące. Czy ty myślisz, że oprócz chwilowej przyjemności to ja mam jakąś wymierną korzyść z tych wszystkich facetów? Po prostu trudno jest znaleźć tego jedyne. Ty masz szczęście! Ty masz Pawła! Nie musisz szukać wiatru w polu...

- Czyżbyś mi zazdrościła? - ironia w głosie Kasi była bardzo wyraźna.

- A tak - przyznała się nagle Julia, dopijając drinka. - Zazdroszczę!

- A ja zazdroszczę tobie. Stabilizacja doprowadza mnie do załamania nerwowego.

Patrzyłam na nie zaskoczona. Potwierdza się kolejna prawda życiowa, że zawsze chcemy tego, co mają inni. Trawa jest zawsze bardziej zielona u sąsiada. Postanowiłam załagodzić sytuację.

- Halo! Tu jestem, pamiętacie o mnie? Miałyście mnie pocieszać. To ja w jednym tygodniu dwóch facetów straciłam.

- Po prostu pechowa jesteś, ale przynajmniej wiesz interesujące życie uczuciowe - zamknęła mi buzię Kasia. - Ja muszę sobie chyba jakieś wczasy zafundować.

- Masz jakiś problem?

- Tak, odkryłam ostatnio, że mąż jest całkiem użyteczny, może śmieci wynieść albo okna umyć, ewentualnie dzieci przypilnować. Aha, i jeszcze od czasu do czasu obowiązki małżeńskie spełni. Natomiast intelektualne rozrywki odpadają, bo jest zmęczony. Wiecie, on intelektu w pracy używa. Romantyczne gesty też nie wytrzymują próby czasu. Jak mu wypomniałam, że mnie zaniedbuje i że nie pamiętam już, kiedy ostatni raz przyszedł z kwiatkami do domu, to mi powiedział, że on pamięta. Ja pytam: kiedy? A on na to, że w zeszły piątek. Myślałam, że go zabiję!

- Dlaczego?

- Bo to były kwiaty na pogrzeb ciotki Antosi.

- Ojej, przesadzasz - powiedziała z pobłażaniem Julia. - Doceń fakt, że przynajmniej budzisz się codziennie obok tej samej osoby. Ja czasami się budzę i mam blokadę, nie pamiętam, kto leży obok. A jedyny przedstawiciel rodzaju męskiego, który regularnie, miesiąc w miesiąc, przypomina mi o swoim oddaniu, to mój prawy jajnik... - wychyliła następny kieliszek i przegryzła ogórkiem konserwowym mojej mamy. Bez konserwantów.

- A ja budzę się sama - wtrąciłam nagle. - A to chyba jest najgorsze.

- To fakt - zgodziły się nagle. Każda zobaczyła światełko w tunelu. - Samotność jest najgorsza.

I jak tu nie wpaść w desperację? A może jeszcze zadzwoni?

- Ale nie licz, że zadzwoni - rzuciła na pożegnanie Kasia. - Pewnie wrócił do żony. Bo w końcu człowiek obiecywał „w zdrowiu i w chorobie, w szczęściu i w nieszczęściu”, wiem coś o tym, ale... ty nie znasz jeszcze tej kwestii.

Z ulgą zamknęłam za nimi drzwi. Niedługo jednak było mi dane cieszyć się samotnością. Justyna wróciła z próby pokazu w wyjątkowo dobrym humorze.

- Ależ miałam boski dzień, *ma chérie!* - oświadczyła, masując sobie stopy. - Żeby zawsze mieć takie szczęście! Wiesz, ta... no... - zacisnęła zęby i wycedziła z wysiłkiem: - nasza gwiazda, Biała Naomi, jak ją nazywają.

Okazało się, że przytyła parę kilo i nie mieści się w sukni ślubnej, która miała być zwieńczeniem pokazu - roześmiała się ubawiona. - Ale się jej dostało.

- I co teraz?

- Trafiała na ścisłą dietę, po której podobno zmienia się osobowość, i za karę nie będzie brać udziału w tym pokazie. A pokaz noworoczny to hit sezonu.

- To kto ją zastąpi?

- To jest najlepsze, miała taka następna... Karina się nazywa, ale ją - zaczęła chichotać - trądzik wyeliminował. No, ale jak się ma siedemnaście lat, to różne rzeczy się przytrafiają - rzuciła okiem w lustro, gładząc swój nieskazitelny policzek. - No i ja będę w sukni ślubnej. Ale mam szczęście, nie? Ale powiem ci, że tej całej Karinie to i tak miałam ochotę nogę podstawić. Pospolita strasznie, a zadziera nosa, jakby była co najmniej Claudią Schiffer.

- Tak, powód faktycznie wystarczający. To gratuluję sukcesu - powiedziałam z miną grabarza zabijającego wieko od trumny.

- A z tobą co, *ma chérie*? - zainteresowała się nagle. - Wyglądasz strasznie. Dalej o tym facecie myślisz? Przecież ci mówiłam, że z nimi to trzeba ostrożnie. Słuchaj, jak chcesz, to możesz ze mną wybrać się do klubu. Rozerwiesz się, może kogoś poznasz. Wiesz, jak to jest, najlepiej klin klinem. Musisz wyjść z domu. Dostają dreszczy na widok tych twoich podbitych oczu i drżączki na dźwięk telefonu. Jeszcze się powiesz albo co, a ja cię znajdę. Wiesz, jak ja się boję nieboszczyków? Mogłabym mieć później problemy emocjonalne.

- Zawsze się możesz wyprowadzić - mruknęłam pod nosem.

Postanowiła nie ciągnąć tematu.

- To jak, *ma chérie*! Idziesz? Dwa razy nie będę języka strzępić.

Zastanawiałam się przez chwilę. Co prawda to prawda, muszę gdzieś w końcu wyjść, bo zaczynam się dziwnie zachowywać. Nie będę z powodu jakiegoś faceta, choćby nie wiem jak doskonałego, gryźć poduszek. W końcu jeszcze ich kilku zostało na tym padole łez.

Pokiwałam głową. Desperacja robi swoje.

- Właściwie to przydałoby mi się trochę rozrywki.

Justyna uśmiechnęła się cierpko.

- Dobra, ale ja ci wybieram ciuchy i robię makijaż. I bez protestów - pogroziła palcem, widząc moją przerażoną minę. - Już ja zrobię z ciebie kobietę, *ma chérie!*

Zabrzmiało to dosyć złowieszczo, ale nie zdążyłam odpowiedzieć, bo ktoś zadzwonił do drzwi. Skoczyło mi ciśnienie, a Justyna potrząsnęła głową z dezaprobatą i poszła otworzyć. Długo nie wracała. Zaintrygowana ciszą, postanowiłam sprawdzić, kto przyszedł. Zobaczyłam Justynę stojącą w otwartych drzwiach. Podeszłam bliżej i moim oczom ukazał się zmierzwiły Wiesio, który wpatrywał się w nią jak cielę w malowane wrota.

- A, Wiesiu, wejdz, proszę - powiedziałam zaskoczona całą sytuacją.

Wszedł, nie spuszczając oczu z Justyny, która wzruszyła ramionami i powiedziała do mnie konfidencjonalnym szeptem:

- Chyba mu jednak zaszkodził ten obiad, głos stracił. Myślisz, że to ptasia grypa? W końcu to był kurczak, i to w dodatku po chińsku.

Potem szybko zamknęła się w swoim pokoju. Wiesio odprowadził ją wzrokiem, po czym, przepraszając mnie strasznie, usiadł na krześle.

- Muszę się uspokoić. Czy to anioł, pani Agnieszko!?

Spojrzałam na niego z litością.

- Anioł żaden, uwierz mi, Wiesiu. Kobieta z krwi i kości, z odrobiną jakiejś diabelskiej domieszki.

- To ja już pójdę - westchnął i ciężko się podniósł.

- Ale po co przyszedłeś, Wiesiu?

- Nie pamiętam - wyznał. - Jak sobie przypomnę, to wrócę...

Kiedy wyszedł, zapukałam do pokoju Justyny. Siedziała przed lustrem i pedantycznie rozczesywała włosy. Spojrzała na mnie tępo.

- A może zabierzemy do klubu Wiesia? Taki jakiś smutny ostatnio chodzi... - zaczęłam, ale przerwała mi bardzo szybko.

- No co ty? Zwariowałaś, *ma chérie!*? Na pewno by go nie wpuścili i nas przy okazji też nie! Przecież on już z daleka burakiem śmierdzi!

Faktycznie, to byłyby przecież koniec. Buraczany zapach przykleiłby się do nas na zawsze.

ROZDZIAŁ 22

Po tak zwanej biforce w mieszkaniu Arka, domniemanego mężczyzny Justyny, znaleźliśmy się w ulubionym klubie jej paczki, zwanym Explicit Content. Ku zadowoleniu Justyny szczęśliwie przeszłam selekcję, polegającą na tym, że umięśniony pan zwany selekcjonerem zatrzymywał co poniektórych dobrze i gustownie ubranych sympatycznych ludzi.

- To impreza zamknięta! - oświadczał krótko i nie tolerując żadnych dyskusji, stroszył się jak dorodny kogut i robił się tak subiektywnie groźny, jak subiektywnie poprawna była jego selekcja.

Dowiedziałam się od Arka, że pewnych osób się nie wpuszcza, bo są „nie w ten deseń”, cokolwiek to miało znaczyć. Z moich obserwacji wynikało, że w klubie w ten pożądaný deseń byli wszyscy ci podobni do ufoludków albo do spalonych słońcem dziewcząt rodem ze *Słonecznego parolu*. Grunt, żeby było s k a p o s m i c z n i e . . .

Tym oto sposobem znalazłam się na kanapie, ściśnięta między dwoma dziwnymi mężczyznami, z których jeden miał srebrne włosy, a drugi srebrne buty, ubrana w jakąś idiotyczną gumową kieckę, z biustem praktycznie na wierzchu i z makijażem zasługującym na Oscara w kategorii efekty specjalne. Justyna, bardzo zadowolona ze swojego dzieła, nic sobie nie robiła z braku aplauzu z mojej strony.

- Przynajmniej nie będę musiała świecić za ciebie oczami - oświadczyła, kończąc dyskusję.

Gdyby nie to, że w tym przebraniu rodzona matka by mnie nie poznała, nie odważyłabym się nawet spojrzeć w lustro, a co dopiero wyjść na ulicę.

Na dancefloorze, określanym w szczęśliwszych czasach parkietem, ludzie podskakiwali w rytm muzyki miksowanej przez najmodniejszego

ostatnio krakowskiego didżeja o smacznej nazwie Galaretka. Jeśli ktoś miał dość darcia kota, przemieszczał się w spokojniejsze rejony, zwane z europejską chilloutem. Klimaty, jak dla mnie, były dosyć abstrakcyjne, toteż postanowiłam wkrótce zniknąć.

- Elo, na co masz ochotę...? - mrugnął do mnie kelner w bardzo obcisłych białych spodenkach i stanowczo za małym podkoszulku, który wręcz pękał w szwach od pchających się na zewnątrz mięśni. Wyglądał jak drożdżowe ciasto, które wyrosło za duże i zaczęło wylewać się z formy, a w dodatku gdzieś po drodze dotkliwie się spiekło.

Na co ja mam ochotę? Na pewno nie na drożdżowe ciasto...

- Czerwone wino... - mruknęłam, patrząc na niego spod oka.

- Niezłe ciacho, nie? - Justyna ogładnęła się za znikającym tyłkiem kelnera.

- Mam się czuć zagrożony? - zapytał ironicznie Arek, nie do końca zdecydowany, którą orientację seksualną wybrać. Jak się dowiedziałam, homoseksualiści są ostatnio dżęzy.

Justyna usiadła mu na kolanach i rzuciła w niego brudnym spojrzeniem.

- A ja? Mam się czuć zagrożona?

Wszyscy zarechotali. Justyna, zwróciwszy się do mnie, powiedziała konspiracyjnym szeptem:

- Dalej masz deprechę?

Dyplomatycznie nie odpowiedziałam.

- Idź i pooglądaj sobie ludzi, *ma chérie*. Jak ci się ktoś spodoba, to mi powiedz... Przedstawię cię. Wszyscy tutaj jesteśmy jak jedna wielka rodzina. Pamiętaj, tu teoretycznie nie można podrywać, bo to wbrew zasadom. Trzeba wiedzieć, jak to robić dyskretnie, a ty zupełnie nie masz wycucia w tych sprawach...

Jasne, ja od razu zaczepiam jak płatna dziwka.

- Tu jest masa mężczyzn w twoim wieku. Wprawdzie preferują zwykle młodsze, ale... Kto wie? Może znajdzie się jakiś odmieniec - rozejrzała się zadowolona. - Niezła impreza! Najlepsze klimaty w mieście! To dopiero jest debsciarskie życie.

Wysłałam do łazienki. Spojrzałam w lustro. Dramat.

- Suszi? - zapytała pudrująca nos małolata z ewidentnie powiększonym biustem.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam rozkojarzona, próbując do cieć, o co chodzi z tymi rybami. - Nie lubię japońskiej kuchni.

Małolata oderwała wzrok od lustra i przyjrzała mi się z respektem.

- Niezła zalewajka, co? Takie suszi masz, że dalej bazy nie czaisz! Istna padaka... Bronksa chcesz?

Zachęcającym gestem wskazała na puszkę piwa. Spojrzałam na nią, delikatnie mówiąc, zdziwiona.

- Co tak karpia walisz? Chcesz czy nie?

Pokiwałam przecząco głową, zastanawiając się, czy totalny brak zrozumienia z mojej strony to efekt stresu, czy przeżytych lat. Ponoć starzy nigdy nie rozumieją młodych. Teraz zaczęło do mnie bardzo wyraźnie docierać, dlaczego tak się dzieje. Język, narzędzie służące komunikacji, zmienia się tak szybko i tak bardzo, że do poprzedniego pokolenia dociera, i to z opóźnieniem, może trzydzieści procent z tego, co taka małolata naprawdę chce przekazać.

- To turlaj beret! - powiedziała jeszcze, wzruszając ramionami, i spryskawszy dłonie odrobiną piwa, poprawiła fryzurę.

Wróciłam do stolika z mocnym postanowieniem zakończenia operacji „klin klinem”, która zresztą okazała się zupełnym niewypałem. Moje myśli nieprzerwanie krążyły wokół Jerzego. Przynajmniej do momentu, w którym nie zobaczyłam pewnej znajomej fizjonomii.

Na kanapie w rogu siedział nie kto inny, tylko inżynier Malinowski we własnej osobie. Jego twarz smutnego misia Yogi miała wyraz nadzwyczaj tragiczny i... Matko jedyna! Jak on wyglądał! Jakimś cudem wcisnął się w za małe spodnie, uszyte chyba z pluszowej zasłony w kwiatki. I ta koszula rozchełstana na piersiach! I ten złoty łańcuch... Desperacja, kryzys wieku średniego i syndrom rogowca w jednym. I kto go tu wpuścił!? Wesołych, dobrze ubranych nie wpuszczają, a takich desperatów tak? Co to za klub? Klub złamanych serc czy co? Zamarłam, nie mogąc oderwać od niego wzroku, a on, jakby przyciągnięty moim spojrzeniem, wstał nagle, podszedł do naszej grupki i sztucznym głosem zapytał:

- Elo... densusz?

Patrzył prosto na mnie. Uświadomiłam sobie, że mnie nie poznał. Z wrażenia zablokowało mi struny głosowe.

- Rzecz jasna, że densi, *mon chérie*, tylko nieśmiała jest - wyręczyła mnie Justyna, szczypiąc dotkliwie pod stołem.

Automatycznie wstałam i podeszłam do danceflooru. Nie dotykając się, zaczęliśmy podrygiwać w rytm muzyki, co, szczerze mówiąc, bardziej przypominało rozgrzewkę sumo niż taniec.

- Ja też jestem nieśmiały - zaczął rozmowę Malinowski. Ruszał przy tym głową jak przestraszona kura, starając się najwidoczniej wywołać odpowiednie wrażenie swoimi umiejętnościami tanecznymi. Udało mu się to w stu procentach. Przy którymś z kolei podrygu jego tupecik przesunął się zdecydowanie na bok. - Ale za to matka natura obdarzyła mnie dużym...

- Dość, proszę nie kończyć! - otrzępało mnie.

Malinowski spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem i skończył:

- ... dużym poczuciem rytmu. Uwielbiam tańczyć... eee... to znaczy densić, a ty?

- Owszem - wyjąkałam, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy. Postanowiłam się ujawnić. - Ale prawdę powiedziawszy, to muszę coś wyznać... To ja, panie inżynierze...

Spojrzał na mnie zatrwożony.

- Nie poznaję, co za ja?

- To przez ten kosmiczny makijaż... To ja, Agnieszka Rusalka.

Wpatrywał się we mnie w osłupieniu. Kiedy w końcu wyłowił jakieś znajome rysy z mojej twarzy, przełknął ślinę i odezwał się tak cicho, że ledwie go usłyszałam:

- Teraz może mnie pani szantażować.

- Ależ skąd. Zresztą pan może dokładnie to samo.

- Ale ja stanowisko mam, poważny człowiek jestem. I wrogów mam sporo, i żonę, która zrobi wszystko, byle rozwód z mojej winy orzec.

Usiedliśmy razem przy stoliku. Zachowywał się, jakby zaraz miał zamiar wybuchnąć płaczem. Za jednym zamachem opróżnił cały kieliszek czystej.

- Pani Agnieszko, ja chyba mam depresję! Moja żona... to puszczała, a ja jestem bankrut. Tak! I proszę mnie nie pocieszać. Jedyne, co

mogę zrobić, to strzelić sobie w łeb. Chciałem tylko przed śmiercią zakosztować młodego, świeżego i wreszcie chętnego ciała - oświadczył, patrząc tępo w kieliszek.

Matko jedyna! Czyżby to był przytyk do mnie!?! Wreszcie chętnie ciało?!

- Ależ proszę nie opowiadać takich rzeczy, panie inżynierze - przeknęłam ślinę. - Całe życie jeszcze przed panem. Przecież jest tyle do zrobienia...

- Moja żona, pani Agnieszko, to prawdziwy magik, wie pani? Sprawiała, że zniknęło wszystko, mój samochód, moje dzieci...

Włosy. Włosy ci zniknęły. Popraw tupecik. Popraw tupecik! - czarowałam w myślach.

- ... moja godność - spojrział na mnie z szaleństwem w oczach - a nawet mój ulubiony fotel. Rozumie pani!?! Zabrała mój ulubiony fotel!!!

Odchrząknęłam.

- Przecież to tylko fotel - próbowałam go pocieszać.

Przerwał mi zniecierpliwiony.

- To nie chodzi o fotel, ona zabrała mi wszystko, na czym mi najbardziej zależało! Wszystko chce! Pazera jedna. Nie wystarczy, że kochaś jej dom kupił, i to za moje pieniądze! Teraz grozi, że odbierze mi pracownię! - głos zaczął mu się łamać. - Wyobraża sobie pani!?! Moją pracownię!?!

Ręce mi opadły. To by było straszne.

- Ale ja się nie dam! - oświadczył, tknięty nagłą myślą. - Ja zdobędę pieniądze!! Za wszelką cenę!!! Spłacę ją i wpędzę do grobu!! Zabiję!

- To mi się podoba, panie inżynierze, tak trzymać! - zaczęłam gorliwie potakiwać, wiedząc, że od słów do czynów daleka droga. - Rogata dusza z pana... - zreflektowałam się. - To znaczy... chciałam powiedzieć...

- Proszę nic nie mówić... - machnął ręką i machinalnie pomacał się po głowie.

Tupecik sprawnie wrócił na miejsce, ale po chwilowym entuzjazmie Malinowskiego nie było już ani śladu. Nagle zaczął się straszliwie śmiać. Aż ciarki mnie przeszły.

- Zawsze panią lubiłem. Pani mnie rozumie... - wpadł w jakiś spazmatyczny szloch. Po dłuższej chwili uspokoił się i z wyczuciem postanowił zmienić temat. - A jak tam pani eks? Słyszałem dużo dobrego o jego klinice.

Ponoć świetne protezy wykonują. Mamusia mówiła, że klientela z wyższych sfer u niego bywa, czy to prawda?

Podniosłam kieliszek do ust.

- Wie pan, panie inżynierze, jak dla mnie to może sobie nawet być protetykiem prezydenta. Nie obchodzi mnie to. Chcę tylko, żeby wreszcie dał mi święty spokój.

- To on prezydenta obsługuje? - zakrzuszył się z wrażenia własną śliną.

- To naprawdę dobry musi być... A dlaczego panią nachodzi?

Muzyka stała się nie do zniesienia.

- A takie tam... bzdury. Krasnala chce odzyskać - opowiedziałam mu pokrótce całą historię, modląc się o pretekst, by wyjść. - Zupełnie zwariował.

- Faktycznie, dziwny facet - oświadczył Yogi mało przytomnym głosem. - Ale wie pani co, pani Agnieszko? To może byśmy go postraszyli? Znam jednego gościa, który by się chętnie podjął za odpowiednią kasę. Mogę nawet sfinansować pani tę przyjemność. Tylko proszę się szybko zdecydować, zanim żona położy na wszystkich swoje drapieżne łapy - zagrzytał zębami. - Albo jeszcze lepiej, postraszymy jego panienkę! I co pani na to?

Taak, załuczmy wszystkich i pozostawmy świniom na pożarcie.

Na szczęście zadzwoniła moja komórka i nie musiałam wypowiadać się na temat wynajęcia płatnego mordercy. Dzięki ci, Boże, za postęp cywilizacyjny!

- Witaj, Rusałko - usłyszałam znajomy ciepły głos. - Co robisz? Nie przeszkadzam?

Jerzy! Ogarnęła mnie złość. A pewnie, że przeszkadzasz! Przeszkadzasz mi w wybijaniu sobie ciebie z głowy!

- Nie, bynajmniej nie przeszkadzasz. Słuchamy z kuzynką muzyki.

Mmmm... Oczami wyobraźni zobaczyłam jego seksowny uśmiech i natychmiast mu przebaczyłam. Wygląda na to, że niektórym facetom wybaczymy więcej niż innym.

- Słyszę bardzo wyraźnie. Czyżbyś zmieniała preferencje?

- Ależ skąd! Kuzynka chce mi tylko udowodnić, że w tej „muzyce” tkwi duch naszych czasów.

Roześmiał się.

- Muszę cię jeszcze dzisiaj zobaczyć. Wiem, że już późno i... nie zadzwoniłem wcześniej, ale... po prostu muszę z tobą porozmawiać.

Nacisk na „muszę” sprawił, że serce zaczęło mi walić, a ręce trząść się i pocić.

- Ale... teraz? - wpadłam w panikę.

- Tak, to ważne. Jesteś w domu?

- No... niezupełnie, będę dopiero za pół godziny.

- Wspaniale. Wpadnę więc za pół godziny.

- Lepiej za godzinę - powiedziałam, ale zdążył już się rozłączyć.

Pożegnałam się ekspresowo z całym towarzystwem, a Malinowskiego osobiście wsadziłam do taksówki, nie bacząc na ironiczne spojrzenia Justyny i jej komentarze na temat moich dziwnych skłonności geriatrycznych (że niby to już krok do nekrofilii). Potem życzyła mi szczęścia z Jerzym i uprzedziła, żebym się jej spodziewała przed drugą.

- Wiesz, nie chciałabym przypadkiem na was wpaść, *ma chérie*, a muszę się dzisiaj wcześniej położyć. Sesję zdjęciową mam. Nie mogę mieć podkrążonych oczu.

Wybiegłam w poszukiwaniu taksówki.

- Niech to szlag! - mówiłam do siebie jak nakręcona. - Nie mogłam jeszcze jednego dnia poczekać? Ty łajzo skończona! I co teraz? Jak ty wyglądasz! Dobrze ci tak - mruczałam, ładując się do samochodu. Taksówkarz spojrział na mnie podejrzliwie i bardzo niechętnie ruszył. Znowu zadzwonił telefon.

- Hej, Julia z tej strony, zostawiłam u ciebie torebkę, przyjadę po nią za...

- Nie ma mowy! - gorączkowałam się, zmywając jednocześnie z twarzy tony makijażu. - Jerzy właśnie dzwonił. Ma być u mnie za chwilę i nawet pięciu minut nie mam, żeby się do porządku doprowadzić. Przecież jak on mnie zobaczy w tej atrapie sukienki... No w klubie byłam! - ryknęłam na jej głupie zapytanie. - Wiesz, jak ja wyglądam? Jak... jak... sama nie wiem kto! W najlepszym razie przypominam ufolodka wciśniętego w srebrną gumową rurę. Dziś się nawet nie pokazuj!

- Ale tam są moje dokumenty i karty kredytowe! I tabletki antykoncepcyjne.

- To trzeba było wcześniej myśleć! I kupić sobie plasterek! Nie wiesz, co teraz jest *trendy*? Do jutra! - rzuciłam z groźbą w głosie i rozłączyłam się.

- Ma pan chusteczki? - zaczęłam taksówkarza.

Podał mi paczkę, a ja nieudolnie próbowałam pozbyć się srebrnej szminki. Co to za świństwo, farba jakaś czy co?!

- A nawilżanych pan nie ma?

- Nawilżane to mam tylko gumki - zamknął mi buzię, po czym po chwili dodał z miną człowieka, który wszystko już widział: - Podwójne życie się prowadzi, co? Może by się przydały jednak te gumki? Tanio sprzedam. Szwagier ma hurtownię... A ile pani bierze za numerka?

- Słucham? Chce pan mieć sprawę za molestowanie seksualne? - wrzasnęłam, zabijając go spojrzeniem.

- Co pani taka drażliwa. Ja tylko rozmowę chciałem podtrzymać - mruknął urażony.

Nie odezwał się więcej. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, rzuciłam mu pieniądze i na złamanie karku pognałam do domu.

ROZDZIAŁ 23

Okazało się, że pech prześladowczy nadal depcze mi po piętach. Na wycieracze pod moimi drzwiami siedział nie kto inny, tylko Jacek i uśmiechał się głupkowato.

- Czego tu szukasz? - burknęłam wściekle, wiedząc doskonale, po co przyszedł.

Staralam się nie myśleć o srebrnej farbie na twarzy ani o gumowej tubie, w jaką byłam wtłoczona. Z podniesionym czołem podeszłam do drzwi i dodałam uprzejmie:

- Przesuń swoją szacowną dupę.

Potem z premedytacją nadepnęłam mu na rękę.

- Au! - syknął mój eks. - Aleś ty narwana!

Zerwał się z wycieraczki i przepuścił mnie pod drzwi.

- Już zapomniałeś, jak narwana potrafię być?

- No nie, nadal przychodzisz do mnie w marzeniach sennych, które w pewnych kręgach zwą koszmarami erotycznymi... A pani Hela ze wzmożoną siłą bombarduje ulotkami na temat zbawienia wiecznego i ognia piekielnego.

- Jeśli przyszedłeś po poradę, to źle trafiłeś. Polecam któregoś z seksuologów zajmujących się zaburzeniami emocjonalnymi spowodowanymi poczuciem winy!

Uśmiechnął się pod nosem, po czym jego wzrok zawisł na moim biuście, którego znaczna część malowniczo wylewała się ze srebrnej tuby.

- Całkiem nieźle się trzymasz. Gdybyś częściej się tak ubierała czy raczej... rozbierała, pewnie nie miałbym głowy do innych lasek.

- Zagranie poniżej pasa - skwitowałam spokojnie. - Ale czego się spodziewać po facecie, którego najlepszym przyjacielem jest ogrodowy kraśnal.

Roześmiał się.

- Tego mi właśnie brakuje, pszczołko. Krasnala. Twojego poczucia humoru trochę mniej.

- Jeszcze raz powiesz do mnie pszczołko, a tak cię uządlę, że rodzona matka cię nie pozna! Pytam, czego chcesz?

- Przyszedłem po swoje rzeczy - odparł z pokornym uśmiechem, opierając się o futrynę. - Mogę wejść?

- O tej porze!?

- W innych godzinach jesteś nieuchwytna. Poza tym staram się dozwonić do ciebie już od trzech dni i nic. Chyba masz zepsuty telefon. I komórkę też.

Spojrzałam na zegarek. Jerzy miał się zjawić za kwadrans... Zrobiłam miejsce w drzwiach.

- Pięć minut...

Weszliśmy do korytarza. Ze zdziwieniem zauważyłam, że w mojej sypialni świeci się światło. Weszłam do pokoju. Szafa była otwarta na oścież, a worek z rzeczami Jacka leżał na środku pokoju. Dziwne. Dałabym sobie głowę uciąć, że wrzuciłam go gdzieś na dno szafy. Pewnie Justyna znowu grzebała w moich ciuchach bez pozwolenia.

Zabrałam worek i wróciłam na korytarz. Jacek rozglądał się po mieszkaniu.

- Nie zaprosisz mnie do salonu? - rzucił i omijając mnie zgrabnie, rozsiadł się na kanapie.

Postanawiając nie tracić czasu na zbędne dyskusje, rzuciłam w niego workiem.

- Twoje śmieci.

Nie wstając, zajrzał do środka, a potem spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Co tak śmierdzi?

- A bo ja wiem? Pewnie twoje brudne skarpetki... Chyba nie liczyłeś, że wypiorę. Zapakowałam wszystko, co znalazłam, więc możesz już...

- Chcę zobaczyć.

Postanowiłam uzbroić się w cierpliwość i niczym się nie przejmować. Rzecz jasna, chce mi zrobić na złość. Nie dam się wyprowadzić z równowagi i nie zamierzam tracić więcej czasu.

- Słuchaj, idę się przebrać. Masz dokładnie trzy minuty. Zaraz wracam...

Zamknęłam się w łazience i przeklinając wszystkich eks-facetów tego świata razem z ich doskonałym wycuciem czasu, wzięłam błyskawiczny prysznic, pozbywając się srebrnej farby i smrodu papierosów. Kiedy wyskoczyłam spod prysznica, uświadomiłam sobie, że wszystkie moje ubrania są w pokoju. Ale wpadka. Klnąc pod nosem, owinęłam się ręcznikiem i wyszłam z łazienki.

- Mmm... chcesz sobie stare czasy powspominać? - Jacek patrzył na mnie bezwstydnie. - Po co ci ten ręcznik, przecież doskonale wiem, jak wyglądasz. Mógłbym cię opisać centymetr po centymetrze... - Po chwili jednak się zreflektował. - Ale, ale my tu gadu-gadu, a moje pięć minut już się skończyło. Wszystko mam z wyjątkiem mojego krasnala. Gdzie go schowałaś? Wiem, że dostałaś paczkę, bo sprawdziłem na poczcie. Na kwitku widnieje twój podpis i poniedziałkowa data. Dlaczego nie zadzwoniłaś? Przecież wiesz dobrze, jak mi na nim zależy. Prosiłem cię tyle razy - zaczął się zbliżać do mnie powoli, nie spuszczać ze mnie wzroku. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Już miałam posłać go do wszystkich diabłów, kiedy rozległ się dzwonek.

Zamarłam i spojrzałam na Jacka. Uśmiechnął się do mnie pytająco.

- Czekasz na kogoś? Jakiś mężczyzna? - domyślił się. - To może nas sobie przedstawisz? Mógłbym mu opowiedzieć to i owo. Przestrzec, doradzić...

Nie odpowiedziałam. Gorączkowo zastanawiałam się, co zrobić.

Faceci są wyrozumiali, ale nie aż tak. Jest noc, obok mnie stoi mężczyzna, z którym łączyły mnie bynajmniej nie platoniczne stosunki, a ja mam na sobie tylko ręcznik. Taka historia zaraz na początku znajomości nie wróży nic dobrego. Poza tym wiadomo, co by sobie o mnie Jerzy pomyślał...

Chochlik syknął do ucha wiązką miłych słów:

Zdzira, puszczalska, latawica, wydmuszka!?

- Mam otworzyć? - zapytał ironicznie Jacek, kierując się do drzwi.

Na szczęście zachowałam zimną krew i logiczne myślenie.

- Ani mi się waź! - syknęłam, chwytając go za rękę. - Jeśli chcesz kiedykolwiek... zobaczyć swojego krasnala, to rób, co ci mówię. Schowaj się

gdzieś... W łazience. Zostawię otwarte drzwi, a kiedy nie będzie cię mógł zobaczyć, natychmiast znikniesz. Rozumiesz!?

Rozbawiony spojrział na mnie, a widząc, że nie żartuję, wyszeptał:

- Dobrze, pszczołko. Pamiętaj tylko, że zabawa w szantażystów nie zawsze kończy się szczęśliwie. Aha, jedna ważna rzecz: krasnal ma być nietknięty. Jestem z nim emocjonalnie związany.

- Ścisnął moją rękę tak mocno, że aż syknęłam z bólu, a w jego głosie pojawiła się twarda nuta. - I muszę go mieć jutro! Teraz chyba zapamiętasz?

- Aga? - usłyszałam głos Jerzego. - Jesteś tam!?

Jacek zrobił dziwny grymas, chwycił worek ze swoimi rzeczami i zniknął w ciemnościach łazienki.

Odetchnęłam głęboko. Poprawiłam ręcznik i otworzyłam drzwi.

Wszedł Jerzy. Męski i czarujący jak zwykle.

- Ślicznie wyglądasz, każda kreacja wieczorowa leży na tobie, jakby była uszyta specjalnie dla ciebie.

- Dziękuję - powiedziałam, trzymając się kurczowo ręcznika, który osłaniał moją desperację przed zupełnym obnażeniem.

- Wiesz, co powiedzieć kobiecie, żeby częściej ubierała się wieczorowo.

- Zaczynałam się już martwić, sama jesteś?

- Owszem - skłamałam bez mrugnięcia okiem. - Brałam prysznic i nie słyszałam dzwonka.

- Dziwne, wydawało mi się, że z kimś rozmawiałas.

- Kawy? - zaproponowałam, zmieniając temat. - A może coś mocniejszego?

- Lampka wina byłaby mile widziana, miałem ciężki dzień - powiedział zamyślony. - Tu jest łazienka, prawda? - wskazał na drzwi, za którymi schował się Jacek. - Tylko umyję ręce...

- Nie! - krzyknęłam w popłochu i chwyciłam go za ramię. - A... Mamy problemy z... z... wodą.

- Z wodą?

- No... Strasznie zanieczyszczona jest. Można dostać... e... e... egzemmy? Jutro ma przyjść fachowiec. Na razie w łazience jest zakręcona... Woda jest zakręcona.

Nie wydawał się przekonany. Niestety, aktorką nie byłam najlepszą.

- Egzema? No nie wiem. A gdzie ty prysznic brałaś?

No właśnie! Oto jest pytanie! Gdzie ja, cholera, prysznic brałam!?! Kretynka!

- No... w kuchni. - Moje oświadczenie wypadło dosyć blado. - To może przejdziemy do kuchni? Tam mamy taki specjalny filtr... w kuchni mamy - mówiłam, ciągnąc go w kierunku wspomnianego pomieszczenia. Po chwili usłyszałam oczekiwany klik zamka i odetchnęłam z ulgą.

- Chyba ktoś otworzył drzwi - Jerzy najwyraźniej nie miał żadnych problemów z uszami.

- To pewnie u sąsiada. Przepraszam na chwilę - powiedziałam i wyszłam na korytarz.

Potem, tak na wszelki wypadek, sprawdziłam łazienkę. Nikogo nie było. Ubrałam się szybko i wróciłam do kuchni.

Obserwowałam Jerzego przez chwilę, niezauważona. Siedział przy stole i gapił się smętnie w okno, a kilkuniedniowy zarost na jego twarzy potęgował wrażenie posępnosci. Miałam straszną ochotę go przytulić, pocieszyć...

Bidulek - rozczulałam się w myślach. Taki przygnębiony, taki samiutki tam siedzi. Słodki chłopiec. Chłopiec!?! Nagle wstrząsnął mną dreszcz. Matko jedyna! Czy aby nie budzi się we mnie uspiiony mocną dozą realizmu instynkt macierzyński!?! Nieee!! Chrząknęłam, uzbroiwszy się najpierw w drapieżny uśmiech zimnej singielki. Doskonale pamiętałam rady Julii: jeśli facet zapyta, czy planuję potomstwo, odpowiedzieć, że na pewno nie w ciągu najbliższego dziesięciolecia. I koniecznie dodać, że potem się zobaczy. Mężczyźni lubią wiedzieć, że w razie czego ma się ten potencjał.

Kiedy podeszłam do niego, kołysząc prowokacyjnie biodrami i prezentując swój potencjał, wyprostował się, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Bardzo nikły cień.

- Co się stało? - zapytałam, ogarnięta złym przecuciem. Usiadłam obok i rozlałam wino do kieliszków. Stanowczo za dużo piję ostatnio... - O czym tak pilnie chciałeś ze mną rozmawiać?

- O życiu - rzucił zdawkowo. - Kwestia jak z niskobudżetowego filmu, prawda? Pewnie zastanawiałaś się, dlaczego nie dzwoniłem?

- Przeszło mi to przez myśl raz czy dwa...

Boże, raz czy dwa!? Kretynka!

- Przepraszam, powinienem był zadzwonić. Ale miałem pewne problemy natury zawodowej i... osobistej również.

Czyżby żona niewierna wróciła?

- Osobistej? Co masz na myśli? - Problemy natury zawodowej nie wydały mi się godne zainteresowania.

Zanim zdążył odpowiedzieć, jego marynarka zaczęła cicho, acz natarczywie buczeć. Niechętnie wyciągnął z niej telefon i spojrzął na numer. Odebrał. Przez chwilę słuchał. Potem zacisnął zęby i rozłączył się bez słowa.

- Złe wieści? - Zaintrygowała mnie zmiana, jaka zaszła w jego twarzy.

Milczał. Musiałam powtórzyć pytanie, by wreszcie mi odpowiedział:

- Nieee... Wszystko w porządku. Co to ja chciałem powiedzieć? Hm... Pamiętasz, opowiadałem ci o mojej żonie... - zaczął niepewnie, jak gdyby zgubił wątek. Nie patrzył na mnie. Miałam wrażenie, że myślami jest gdzieś daleko, zawieszony pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. W każdym razie gdzieś, gdzie mnie nie było i nie ma. Ale kto wie, może będę?

- Przywieźli ją do szpitala w poniedziałek. Przedawkowała. Z trudem ją odratowali...

Przez moją głowę przeleciało mnóstwo myśli i uczuć, od ulgi - jestem okropną i nieludzką egoistką - po smutek. W końcu ludzka egzystencja składa się ze wzlotów i upadków. A bycie świadkiem upadku kogoś bliskiego musi być szalenie trudne. Zrobiło mi się go żal. Urywanymi zdaniem przedstawił sytuację.

- Dalej leży w szpitalu. Ale to już wrak człowieka i ktoś zupełnie mi obcy. A jednak czuję się za nią w jakimś stopniu odpowiedzialny... Strasznie dziwne uczucie.

Przelknął ślinę i zapatrzył się w okno. Potem nagle zapytał, pozornie bez zainteresowania:

- Słuchaj... Ten cały Jacek... nie nachodzi cię czasem? Bo ja mogę go załatwić, jeśli masz z nim jakiś problem.

Aha!!

Zazdrość, uczucie niepokoju co do osoby KOCHANEJ!

Nie mogłam przestać się uśmiechać.

Zazdrosny jest! Chochlik znów zaczął zawodzić: *I've got you under my skin...*

- Nie! - machnęłam lekceważąco ręką. - Niech sobie z motylicą życie układa. Nie jestem aż taka mściwa. Do niczego nie jest mi już zresztą potrzebny. Czuję się całkowicie wolna...

Hmm... Czy ja jednak nie robię się za bardzo... oczywista? Może emanuje ze mnie desperacki krzyk: Ożeń się ze mną! Daj mi nazwisko i dziecko!

- Ale przychodzi jeszcze do ciebie?

- Był u mnie tylko po swoje rzeczy. Wziął co trzeba i zniknął.

- I wszystko już zabrał?

Ścisnął pięść tak mocno, że usłyszałam trzask. Pokiwałam twierdząco głową, zła z powodu ogarniającego mnie bliżej niesprecyzowanego niepokoju.

- A będziesz utrzymywać z nim jakieś... kontakty?

- Kontakty? Broń Boże! A dlaczego pytasz? Czy jestem o coś podejrzana? O jakieś nieczyste związki z byłym mężczyzną?

Jaki zazdrosny! Z moim szczęściem trafiłam pewnie na faceta z zespołem Otella.

Nic nie odpowiedział, tylko pocałował mnie w rękę.

- Późno się zrobiło. Lepiej już pójdę.

- To dopiero jest banalna kwestia z filmów niskobudżetowych - roześmiałam się, by ukryć rozczarowanie.

I nagle to do mnie dotarło. Dlaczego wypytuje o mojego eks? Dlaczego to wszystko tak go interesuje? Przecież żona go zdradziła! Jest przewrażliwiony! Trzeba dać mu trochę czasu, a znowu zaufa kobiecie, czyli mnie! Jakie szczęście, że ukryłam Jacka w łazience! Ma się ten szósty zmysł! No i te przebłyśki inteligencji...

Uśmiechnęłam się do niego czule.

- To do usłyszenia?

- Zadzwoń - obiecał, całując mnie w policzek na pożegnanie.

Czy ze mną jest coś nie tak!? Dlaczego zawsze całuje mnie w policzek albo w szyję, albo w rękę? A w usta nie? Czy to normalne? Może go fizycznie nie pociągam? Nie. Co ja wymyślam!? To ta desperacja mi szkodzi. Na rozum.

Schodząc po schodach, minął się z Justyną, która gapiała się nań natarczywie, dopóki nie zniknął w ciemnościach.

- No, całkiem, całkiem ten twój tajemniczy wielbiciel. Nie dziwię się, że tak szybko zapomniałaś o Jacku, *ma chérie*. Ale wiesz co?

- No? - zapytałam, nie będąc szczególnie ciekawa.

- Jakiś znajomy mi się wydaje... - na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego zamyślenia. Trybiki kręciły się w przyspieszonym tempie, ale nie zaskoczyły, jak należy. - Nie pamiętam. Ciemno było, więc nie mogłam mu się dobrze przyjrzeć, ale ta twarz... Takiego przystojniaka trudno zapomnieć. Tylko gdzie to było, gdzie to było...?

Spojrzałam na nią pobłaźliwie.

- Moja droga, nie masz monopolu na przystojnych mężczyzn. Innym też się zdarza takich spotkać.

Roześmiała się ironicznie.

- Trafiło się ślepej kurze ziarno! Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale ja znam tego gościa. I na pewno sobie przypomnę.

ROZDZIAŁ 24

Nazajutrz rano postanowiłam jak najszybciej odzyskać durnego krasnala i mieć problem z głowy. Zastanawiając się, jak wytłumaczyć milej pani Jadzi i przedszkolakom decyzję o konfiskacie prezentu, wsiadłam do samochodu i z westchnieniem włączyłam silnik.

Powiem, że krasnal tęskni za domem. A może czeka na niego królewna Śnieżka pogrążona w rozpacz? Albo bracia szklanej trumny unieść nie mogą, potrzebują pomocy. Przecież to bez sensu - mruczałam, wciskając pedał gazu.

Po drodze wstąpiłam po mojego chrześniaka, którego przy okazji postanowiłam podrzucić do przedszkola. Marek był wniebowzięty, a Dominika nadal w szlafroku. Uśmiechając się niewinnie, zapakowałam Mikołaja do fotelika.

- Dlaczego mnie odwozisz?

- Wyniknął problem z krasnałem - powiedziałam, odwracając wzrok.

Czułam, że będę bardzo niepopularna wśród jego kolegów z przedszkola. A co ta jego Ala będzie o mnie wygadywać? Tego się chyba najbardziej bałam.

- Chcesz go nam odebrać?

- Muszę, słoneczko. Widzisz, to był krasnal Jacka.

- Tego od kanta?

- Tak. I on chce go z powrotem.

- A nie możesz kupić innego?

Zahamowałam gwałtownie. To dziecko to wcielony geniusz!

- A wiesz, Mikołaj, że to świetny pomysł! Znam nawet miejsce, gdzie przy odrobinie szczęścia można jednego zdobyć. Jedziemy!

Pokiwał zadowolony głową i zajął się dłubaniem w nosie. Ze Starowiślniej skręciłam więc w ulicę Dietla, a potem udałam się już prosto w kierunku domu Julii, w której ogródku panoszyła się cała armia gipsowych

krasnali. Pytana, dlaczego je kolekcjonuje, Julia oświadczyła krótko: „Bo hiperaktywne kobiety muszą mieć statyczne hobby”. A poza tym, jak twierdziła, to jedyni stali mężczyźni w jej życiu. I nigdy nie odejdą.

Byłam już całkiem blisko domu Julii, kiedy moją uwagę zwrócił pewien samochód. Czarne bmw. Wydało mi się dziwnie znajome. Miałam wrażenie, że jedzie za mną już od dłuższego czasu. Po chwili zastanowienia postukałam się w głowę. Ta wróżka wpędziła mnie w manię prześladowczą!

- Jak to było? Strzeż się czarnych samochodów? Ta kobieta powinna się leczyć! - mówiłam do siebie ze złością, wpatrując się w lusterko.

Poczułam się jednak nieswojo. Skręciłam, a bmw za mną. Przyspieszyłam, ono też. Zwolniłam, jemu w to graj.

Uciekaj, myszko, do dziury, bo cię tu złapie kot bury...

Trochę się zdenerwowałam, bo miałam z sobą Mikołaja, a wizje pedofilów i szajek handlujących organami prześladowały mnie od czasu, kiedy zgubiłam go w supermarkecie. Co tu zrobić? Uciec nie miałam szans, bo stare clio, którego byłam dumną właścicielką, nie bardzo nadawało się do wyścigów. Moja zdolność logicznego myślenia nie zawiodła mnie jednak i tym razem. Przypomniałam sobie, że tuż przed ulicą Słonecznikową, przy której mieszka Julia, jest pewna uliczka, bardzo wąska, teoretycznie ślepa, bo zakończona dwoma słupkami. W praktyce, jadąc do Julii, wielokrotnie skracałam sobie nią drogę, jako że moje clio co do milimetra mieściło się między słupkami. A że miałam podrapany lakier, to już inna historia.

Taki duży samochód jak to bmw nie ma szans się zmieścić - uśmiechnęłam się diabelsko. No i zaraz zobaczymy, czy mam przywidzenia, czy faktycznie ktoś za mną jeździ.

Zgrabnie manewrując, dodałam gazu i z silnikiem ryczącym jak samolot odrzutowy skręciłam niespodziewanie. Potem z wyczuciem przemknęłam pomiędzy słupkami i... już mnie nie było. W lusterku zobaczyłam jeszcze dwóch mężczyzn, którzy wyskoczyli z czarnego bmw i gwałtownie gestykulowali, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

Cieszyłam się, jakbym co najmniej wygrała rajd Paryż - Dakar, dopóki nie spłynęło na mnie kolejne oświecenie. A jednak śledzili mnie! Czegoś

ode mnie chcieli? Obląłam się zimnym potem. Pech prześladowczy, tak? Lepiej nie wychodzić z domu, tak!?

Z piskiem opon zaparkowałam samochód na podjeździe przed domem Julii, gwałtownie wyciągnęłam Mikołaja z samochodu i rozglądając się podejrzliwie dookoła, zapukałam nerwowo do drzwi. Julia otworzyła mi lekko roznegliżowana, straszliwie ziewając. Widząc mnie i dziecko, zaczęła się gwałtownie przykrywać. Nie zwróciłam jednak na nią uwagi. Bezcere-monialnie władowałam się do środka i pociągając ją za sobą, szybko za-trzasnęłam drzwi. Wpatrywała się we mnie oniemiała.

- Ciociu, a dlaczego tej pani widać cycusie? - przerwał milczenie Mi-kołaj i zaczął sobie ssać palec.

Cóż, kobiece piersi różnie działają na chłopców...

Julia spojrzała po sobie i zażenowana zniknęła w drugim pokoju. Kie-dy wróciła, już w szlafroku, uśmiechnęła się przepraszająco, zrobiła Miko-lajowi gorącą czekoladę i włączyła mu jedyneczkę. Mnie zaprosiła na ka-wę.

- Co się dzieje? - zapytała w końcu, rozlewając kawę do filiżanek.

Sama zaczęłam się nad tym zastanawiać.

- Wiesz, jakieś czarne bmw mnie śledziło. Spanikowałam.

Westchnęła z cierpliwością psychoterapeuty.

- A dlaczego? - zapytała, skupiając się na mieszanii kawy.

- Jak to: dlaczego!? A bo ja wiem!? Różne świry chodzą po ziemi!

Jej wzrok powiedział mi wyraźnie, co o mnie myśli.

- Aga - westchnęła, ziewając bez skrępowania - ja wiem, że jesteś po przejściach, że przeżywasz trudne chwile, ale takie rzeczy to naprawdę tylko w filmach się zdarzają. A jeśli nawet w rzeczywistości też, to najwy-żej w jakimś podejrzanym świątku. Zastanów się... Dlaczego ktoś miałby cię śledzić!? Kim ty jesteś, nie uwłączając twojej osobie, żeby się komuś chciało ruszyć dupę i jeździć za tobą, co?

Na poczekaniu wymyśliłam historyjkę o kidnaperach i okupach. Nie zadziałała. Zaczęłam bełkotać coś o organach i pedofilach, ale po jej minie poznałam, że tylko pogrążam się coraz bardziej.

- Ale jechało za mną właściwie od domu aż tutaj.

- Jesteś pewna, że to było to samo bmw? Patrzyłaś na nie cały czas? Odpisałaś numery? Wiesz, ile czarnych bmw jeździ po Krakowie?

Prawda! Że też o tym nie pomyślałam! Kretynka jedna!

Pożaliłam się na swoją durnotę, a Julia niespecjalnie mnie pocieszała. Potem ktoś zapukał do drzwi. Podskoczyłam przerażona. Julia spojrziała na mnie jak na osobę mającą nie po kolei w głowie i ze stoickim spokojem otworzyła. Do domu władował się młody człowiek, lat około dwudziestu, z bukietem róż i świeżymi bułeczkami. Patrzyłam to na nią, to na niego, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć. Julia chrząknęła z zakłopotaniem:

- Aga, poznaj...

- Kamil jestem - przerwał chłopak. Obciągnął swoją kurtkę bejsbolową i mrugnął okiem do Julii. - Nie było francuskich, tylko zwykłe, ale pomyślałem sobie, że też będą dobre. Trochę dłużej mnie nie było, bo pomagałem jakimś gościom z Krętą się wydostać. Wjechały tłumoki w ślepa. Ale auto fajne mieli. Bmw, czarne. Pewnie mafia jakaś...

Zamarłam. Spojrzałam na Julię. Ta westchnęła z dezaprobatą i wkładając różę do wazonu, zapytała: - I co zrobili?

- No, odjechali. W stronę centrum. Drogę zgubili. Facet mówił, że jechali za jakimś renault w nadziei, że dojedzie do głównej, a ten przejechał przez Krętą jak wariat i tyle go widzieli.

Byłam naprawdę czerwona ze wstydu. Spuściłam głowę i powoli usiadłam przy stole. Usłyszałam jeszcze jakiś szept Julii o sytuacji kryzysowej, po czym chłopak wyszedł, pogwizdując radośnie.

Julia usiadła koło mnie i wrzuciła do kawy kostkę cukru.

- Jak zwykle miałam rację - oświadczyła jakby nigdy nic.

Tym bardziej postanowiłam poruszyć temat, którego ona starała się uniknąć. Wskazałam na bukiet.

- Nie chcesz mi przypadkiem o czymś... opowiedzieć?

Wzruszyła ramionami, wrzuciła do filiżanki jeszcze dwie kostki i zaczęła nerwowo mieszać.

- A tak. Spotykam się z Kamilem. Nie chciałam mówić, bo jest trochę młodszy.

- Tak na oko będzie z dziesięć lat.

- Jedenaście - poprawiła mnie z błyskiem w oku. Jeszcze jedna kostka wylądowała w kawie. - Ale czy to ważne? Dobrze mi z nim.

- Nie przypuszczałam nawet, że z ciebie taka pani Robinson...

- Pani Robinson? - zirytowała się. W jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski. Machinalnie wrzuciła do kawy kolejną kostkę. - Wiedziałam, że tak będzie! Wszyscy patrzą tylko na różnicę wieku. A miłość? Ta prawdziwa jest ponad wszelkie podziały! Weźmy choćby taką Demi Moore! Jak taka czterdziestoletnia baba sypia z dwudziestoparolatkiem, to jest wszystko w normie, może jest nieco ekscentryczna, a ja? Czy ja jestem gorsza od jakiejś aktoreczki? Zresztą... - zamyśliła się. - Dlaczego, jeśli dziewczyna spotyka się z facetem dużo starszym od siebie, to jest wszystko w porządku? Najwyżej syndrom ojca jej wytkną, ale całe społeczeństwo akceptuje, stare kwoki gdaczą po cichu i nic się nie dzieje. A jak kobieta ma młodego faceta, to już zdzira, tak!? Zdziobać, bo niebezpieczna dla ich synalków!

Zaskoczył mnie zupełnie jej wybuch. Gdybym jej nie znała, pomyślałabym, że jej naprawdę zależy.

- Ale... Julia, ja bynajmniej nie mam nic przeciwko temu. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa...

- A tacy mają przecież największe potrzeby i możliwości! - huczała, przekładając bezwiednie zawartość cukierniczki do filiżanki, dopóki ze zdziwieniem nie odkryła, że łyżeczka sztywno stoi w cukrowej masie.

Uśmiechnęła się ponuro. Z trudem wyciągnęła łyżeczkę, a potem podejrzliwie zamoczyła usta w gęstej cieczy. Odstawiła ją zniesmaczona.

- Boże, ile ja bym dała, żeby być dziesięć lat młodsza. Albo chociaż pięć.

- Każda by chciała - odezwałam się pojednawczo.

- Ale widziałaś, ile ja mam już siwych włosów?

- Nie masz żadnych siwych włosów! Za często myjesz głowę i kolor ci się ściera, ot i cała filozofia! A fryzjerów nie słuchaj, bo wszystko ci wmówią, żeby dorobić ekstra na farbowaniu. To zupełnie jak z chirurgami plastycznymi, wyglądamy świetnie, a oni chcą nas botoksem szpikować.

Spojrzała na mnie ogarnięta nagłą myślą.

- Myślisz, że mi potrzeba?
- Czego? - zapytałam, słabnąc.
- Botoksu.
- Nie, no... Roześmiała się nagle.
- Słuchaj, porozmawiamy na ten temat kiedy indziej. Muszę się zbierać do pracy. Czy jeszcze coś, oprócz czarnego bmw, cię męczy?

Przypomniałam sobie właściwy cel mojej wizyty.

- Krasnala potrzebuję. Najlepiej Gapcia.
- Odbiło ci! - stwierdziła, otwierając szeroko oczy. - Teraz nie mam żadnych wątpliwości! Jeśli myślisz, że oddam ci mojego Gapcia, to naprawdę masz nierówno pod sufitem!

Tego się niestety obawiałam. Poddąła się dopiero po dość zacieklej walce, kiedy obiecałam jej w zamian bon do centrum ogrodowego. Na co najmniej trzy nowe okazy. Mikołaj szybko odnalazł Gapcia w zaśniewanym ogródku, zapakowaliśmy go do bagażnika i odjechaliśmy w stronę centrum. Postanowiłam nie jechać tym razem na skróty. Omijając Krętą i nie łamiąc już żadnych przepisów, grzecznie podążałam we właściwym kierunku. Droga była przykryta sporą warstwą zmrożonego śniegu. Jechałam bardzo powoli. Mikołaj zaczął przysypiać. W radiu jak co roku niemiłosiernie eksploatowali świąteczny przebój *Last Christmas I gave you my heart*, który bardzo miło mi się kojarzył. Jak najbardziej poczułam magię tych świąt. Uśmiechnęłam się zadowolona. Spojrzałam w lusterko, żeby poprawić włosy, i... znowu zobaczyłam złowrogi pojazd.

ROZDZIAŁ 25

Zamknęłam oczy.

Otworzyłam.

Czarne bmw.

Jedzie za mną.

Może to tylko moja wybujała wyobraźnia? Nie! Ten Julii też je widział. Na wszelki wypadek zablokowałam zamki, zacisnęłam zęby i wbiłam się głęboko w fotel, widząc już oczyma wyobraźni nagłówki gazet: młoda, utalentowana (to powinno być tłustym drukiem) projektantka wnętrz ofiarą mafii tudzież szajki sprzedającej organy, tudzież... Spojrzałam na sennego Mikołaja. Po moim trupie! Wcisnęłam gaz do deski.

Niestety, brak doświadczenia w tego typu rajdach i zdradliwy teren, a także, nie oszukujmy się, słabe parametry techniczne mojego samochodu zadecydowały o mojej porażce. Zostałam zablokowana przez czarne bmw, z którego wyskoczyło dwóch mężczyzn. Przyglądałam się uważnie, jak zbliżają się do mojego samochodu, a lodowaty wiatr rozwiewa poły ich czarnych płaszczy. Doświadczałam dziwnego stanu nieważkości. Wszystko wydawało się takie nierealne, jakbym oglądała film, i to w zwolnionym tempie.

Pewnie Julia dosypała mi czegoś do kawy na uspokojenie. Już ja jej nagadam! Choć z drugiej strony, ja chyba i tak powinnam zażywać prozac. Profilaktycznie.

A oni powoli szli w moją stronę. Czarne okulary przeciwsłoneczne i śródziemnomorska opalenizna kontrastowały z bielą śniegu i świąteczną muzyką w radio. W miarę jak się zbliżali, stawali się coraz bardziej do siebie podobni. Nagle ze zgrozą zauważyłam, że wyglądają identycznie. Jak z Matriksa. Bliźniacy!

Zamrugałam oczami ze zdumienia. Ostatnio coraz więcej bliźniaków rozrabia na tym świecie. Kto by pomyślał, może to jakaś moda? A może

Matrix jest bardziej realny, niż nam się wszystkim wydaje?

To musi być sen. Postanowiłam obudzić się ponownie. Zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, wszystko było takie samo. Przepraszam, prawie wszystko. Jedyna różnica to ta, że jednego z bliźniaków mogłam sobie pooglądać w znacznym zbliżeniu. Stukał w szybę i szczyrzył do mnie zębami w czymś, co miało być zachęcającym uśmiechem. Próbował nawiązać ze mną kontakt słowny.

- Nic nie słyszę - powiedziałam wyraźnie do szyby, uśmiechając się przy tym jak idiotka i rozkładając ręce. - Okno zamknięte... zimno... zamarzło...

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Spojrzał na swoje lustrzane odbicie i szepnął mu coś na ucho. Gangster numer dwa zaczął obchodzić samochód, a kiedy zauważył Mikołaja, pomachał mu spontanicznie. Mikołaj wyciągnął język.

- Dobra robota - pochwaliłam dziecko, drżąc z emocji.

Nagle zobaczyłam, że gangster numer jeden zbliża się do mnie ponownie i powoli rozchyła płaszcz. Zamarłam. Czyżby jednak jakiś zboczeniec? Ekshibicjonista!? Na pewno zaraz wyciągnie swój...

Pistolet.

Patrzyłam na jego broń. Nie jestem ekspertem, ale pistolet wyglądał na autentyczny. Jako że nie wydawało mi się prawdopodobne, by w starych renault montowali szyby kuloodporne, postanowiłam negocjować. Otworzyłam okno, dosłownie na milimetr, i szczykając mimowolnie zębami, z zimna oczywiście, wydyszałam:

- Czym mogę służyć? Jeśli chodzi panom o drogę, to jestem nietutejsza...

Gangster numer jeden uśmiechnął się do mnie filmowym uśmiechem. Zbliżywszy usta do szpary w oknie, wycedził wolno i wyraźnie:

- Proszę otworzyć drzwi. Przecież nie chce pani, żebym sam to zrobił, prawda? Nie chciałbym przestraszyć dzidziusia. Chcemy tylko zamienić z szanowną panią kilka słów.

Poczułam wyraźny zapach kłopotów. I gumy miętowej.

- Nie jestem żadnym dzidziusiem - odezwał się z tylnego siedzenia urażony Mikołaj. - Mam sześć lat i dziewczynę. I niczego się nie bojem.

Zaczynałam się cieszyć, że jest unieruchomiony w foteliku. Gorączkowo analizowałam sytuację. W końcu jeśli nie chcą przestraszyć dziecka, to może nie mają złych intencji. Zresztą nie miałam chyba wyboru. Kretynka jedna! Że też władowałam się w taką sytuację, i to jeszcze z Mikołajem!

Jasne, komu by się chciało ruszyć dupę i mnie śledzić! - prze-drzeźniałam w myślach Julię, otwierając drzwi. Zamarłam, kiedy gangster numer dwa władował mi się na tylne siedzenie obok Mikołaja, a gangster numer jeden nachylił się nade mną w groźnej pozie.

- Jest nam niezmiernie przykro, że zabieramy pani czas - odezwał się superuprzejmym tonem. - Ale dostaliśmy informację, że jest pani w posiadaniu czegoś, co należy do naszego szefa. I ślicznie prosimy o zwrot.

Patrzyłam na niego osłupiała. Czy to ja zwariowałam? Przez myśl przemknęło mi całe życie. Nic nigdy nie ukradłam... no może z wyjątkiem kufła po piwie, który po jednej intensywnej nocy dziwnym trafem znalazł się w mojej torebce, ale z tego powodu nikt by za mną nie jeździł z pistoletem. Poza tym to było tak dawno. Nikt nie zostawił mi nic na przechowanie, spadku żadnego nie dostałam, a jedyną podejrzaną rzeczą w moim mieszkaniu był gulasz mamy.

- Czy mógłby pan być nieco bardziej... konkretny? - zapytałam, przykajac ślinę. - Jakoś nic nie przychodzi mi na myśl.

Z dezaprobatą pokiwał głową i westchnął ciężko.

- Wszyscy tak mówią. A potem trzeba sobie ręce brudzić.

- Przestań - skarcił go z tylnego siedzenia gangster numer dwa. Wyglądał dokładnie tak samo jak numer jeden, tylko jego oczy były jakies takie... melancholijne. - Niepotrzebnie panią straszysz. Ale ma tu pani ślicznego chłopczyka! - dodał zachwycony. - Kocham dzieci. Ja mam chrześniaczkę w tym wieku. Strasznie rezolutna. Pewnie by się zaprzyjaźnili...

- Zamknijże się! - syknął gangster numer jeden. - Bez osobistych szczegółów, ty głąbie!

Gangster numer dwa spojrział na niego z odrazą i zajął się rozmową z Mikołajem, który uświadamiał go, że ćwiczy karate, w związku z czym może być niebezpieczny, a jako osoba niepełnoletnia nie odpowiada za swoje czyny.

- To jak będzie? - powoli pytanie gangster numer jeden, zgrzytając zębami. - Odda pani po dobroci?

- Proszę brać, co pan chce - odpowiedziałam dyplomatycznie.

- To gdzie to jest?

Zastanowiłam się. Gdzie to może być? Hmm... Nie miałam zielonego pojęcia.

- Może w bagażniku? - podpowiedział mi gangster numer dwa i mru-gnął okiem.

- A ty skąd wiesz, głąbie? Poza tym pyta się ciebie ktoś!?! Że też ja mu-szę z takim pracować! - wściekł się gangster numer jeden i wyciągnął rękę: - Kluczyki proszę.

Nerwowo podałam mu kluczyki. Patrząc na mnie spod oka, podszedł do tyłu samochodu i otworzył bagażnik. Obserwowałam w lusterku, jak jego twarz rozświetlił nagle promienny uśmiech. Wyglądał, jakby odnalazł świętego Graala. Ostrożnie wyciągnął ogrodowego krasnala Julii i zamknął bagażnik.

- Jest - rzucił do gangstera numer dwa. - Ewakuujemy się!

- Ciociu, on zabiera naszego krasnala! - rozdarł się Mikołaj.

Gangster numer dwa okazał się wyjątkowo wrażliwy na krzywdę dziec-ka.

- Kupisz sobie innego, no... - pogłaskał go po policzku.

Mikołaj ze złością wywalil język.

- Jaki ty zapalczywy jesteś - zachwycił się gangster numer dwa. - Po-dobasz mi się, masz duszę wojownika. Kiedy dorośniesz, to może ci znajdě pracę. Całuję rączki miłej pani.

Kiedy wreszcie wysiadł, gangster numer jeden spojrzal jeszcze na mnie, jakby sobie o czymś przypomniał, i głaszcząc pieśczożliwie krasna-la, powiedział:

- Tylko nikomu ani słowa. Jeśli się okaże, że ktoś z policji się dowie-dział, a uprzedzam, nasi są wszędzie... - złowrogo zawiesił głos - ... to sa-ma pani rozumie, że będziemy zmuszeni w jakiś sposób się panią zająć. I nie tylko panią - uśmiecnał się sztucznie do Mikołaja. - Ostrzegam z troski o panią i rodzinę. My naprawdę dbamy o ludzi, którzy z nami współpracują. To do widzenia!

Mam nadzieję, że nie! - pomyślałam cała roztrzęsiona i kiedy czarne bmw oddaliło się w niezidentyfikowanym przeze mnie kierunku, wrzuciłam

wsteczny. Buksując przez chwilę w śniegu, wyjechałam w końcu na prostą i zawróciłam do Julii.

Złapałam ją, kiedy wyjeżdżała już z garażu swoim pięknym mercedesem. Po wysłuchaniu całej historii zaciągnęła się papierosem, spojrzała na mnie podejrzliwie i zapytała Mikołaja:

- Tak było?

Mikołaj potwierdził i smutnym głosem dodał:

- I porwali krasnoludka.

Julia mruknęła coś na temat gwałtownie rozprzestrzeniających się w społeczeństwie chorób umysłowych, po czym niechętnie wysiadła z samochodu i zaprosiła nas do domu.

- No i co ja mam ci poradzić, moja droga? - zapytała, robiąc następną kawę i wyciągając dietetyczne herbatniki. - Ja bym chyba poszła na policję.

- Jasne! I co im powiem? Że dwóch mężczyzn z Matriksa ukradło mi ogrodowego krasnala? Przecież natychmiast mnie odwiozą do wariatkowa! I to na sygnale! A poza tym jak ci bandyci mnie znajdą, to co wtedy!? Nie wyglądali na żartownisiów! - Przerażona spojrzałam na Mikołaja. - Nie ma mowy! Na żadną policję nie idę! Przynajmniej na razie. Poza tym to był twój krasnal!

- No i co z tego, że mój? - obruszyła się. - Mam jeszcze dwanaście takich. I nigdy nikomu się nie podobały! Może ten był jakiś unikatowy? - Zamyśliła się. - Nie. Niemożliwe. Na pewno byłabym tego świadoma. Bo wiesz - zaczęła wyjaśniać - ludzie zbierają różne najdziwniejsze rzeczy, od znaczków po nocniki, i uwierz, niektórzy są nawet w stanie zabić za taki unikatowy przedmiot do kolekcji - dodała złowieszczco.

Odniosłam wrażenie, że sama ma co nieco na sumieniu.

- Zabić za nocnik? No, nie wiem... Poza tym co jest unikatowego w takim krasnalu? Sprzedają je przecież w każdym centrum ogrodowym. Spokłaskaś się kiedyś z unikatowym krasnałem ogrodowym?

Prychnęła oburzona.

- Oczywiście, że tak, moja droga! Ty się nie wypowiadaj, bardzo cię proszę, na tematy, o których nie masz zielonego pojęcia - dosunęła mi z wszystkowiedzącą miną. - Uwierz, dziecko, istnieją egzemplarze, za które mogłabym słono zapłacić.

Przez chwilę przeżuwałyśmy herbatniki, wsłuchując; się w głośne dźwięki dochodzące z pokoju obok, gdzie Mikołaj bawił się z Euzebiuszem w orkiestrę.

Nagle oczy Julii rozbłysły, a z ust wyrwał się dziwny skowyt.

- Ja wiem! Ja już wszystko wiem!

Utkwiłam w niej wyczekujące spojrzenie.

- To na pewno te gnojki z Frontu Wyzwolenia Krasnali Ogrodowych! - wypaliła, cała czerwona z przejęcia.

Herbatnik wypadł mi z ręki.

- Frontu Wyzwolenia Krasnali Ogrodowych? Kobieto, co ty pleciesz!?

- A tak! Wyobraź sobie, nie tylko ja uważam, że krasnale to takie rozkoszne stworki. Kiedy ostatnio szukałam w internecie jakichś ciekawych egzemplarzy, natrafiłam na artykuł poświęcony temu całemu Frontowi. Ponoć we Francji to prawdziwa plaga. Bo wiesz, to jacyś ekstremiści! Postawili sobie za punkt honoru wyzwolenie wszystkich krasnali z ludzkiej niewoli. Jakbym wykorzystywała swoje krasnale do jakichś niecnych celów! Kradną je podobno z ogródków i wywożą do lasu! Dewianci! - Wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, czy jakiś wywrotowiec nie czai się Cza-sem w jej ogródku z zamiarem kidnapingu.

- Daj spokój, Julia - pokręciłam powątpiewająco głową i zrezygnowana dopiłam kawę. - Żyjemy w Polsce, tutaj ludzie mają naprawdę poważne problemy. W końcu tkwią w szarej sieci rzeczywistości, w której nawet władza nie da się już przekonać, że białe jest białe, a czarne jest czarne. Na pewno nie zajmują się takimi głupotami, a poza tym ci gangsterzy bliźniacy wyglądali mi na prawdziwych skurczybyków. Takich, którzy dobrze wiedzą, czego chcą. I dałabym sobie głowę uciąć, że na uwolnieniu krasnala i wywiezieniu go do lasu na pewno im nie zależało.

- Może masz rację - Julia nie upierała się zbyt - ale i tak warto to rozważyć... Słuchaj, a po co ci w ogóle był ten krasnal?

Po co mi był ten krasnal?

- Dla Jacka.

Obdarzyła mnie odpowiednio miażdżącym spojrzeniem.

- Zdradził cię, a ty mu jeszcze prezenty robisz!?

- Nie robię mu żadnych prezentów! Zresztą... to skomplikowane. Właściwie tego twojego krasnala to chciałam dla dzieci, do przedszkola

Mikołaja zawieźć. Bo tam zostawiłam tego krasnala Jacka, a teraz muszę mu go oddać.

Jej oczy robiły się coraz bardziej okrągłe. Spasowałam.

- Zresztą, opowiem ci wszystko kiedy indziej. Słuchaj, Julia, daj mi jeszcze jednego.

- Chcesz jeszcze jednego? Może lepiej nie wozić z sobą krasnali. Dziwne czasy nastały. Jeszcze cię ktoś weźmie za królowną Śnieżkę i wtedy dopiero będziesz w tarapatkach.

W końcu uległa mojej sile perswazji. Zapakowałam krasnala do bagażnika i puszczając mimo uszu jej dobrą radę, by ograniczyć spożycie jabłek, zwłaszcza tych ofiarowanych przez wiedźmowate staruszki, ponownie wyruszyłam w drogę do przedszkola. Cały czas oglądałam się nerwowo za siebie. Na szczęście tym razem nie zobaczyłam nawet cienia BMW.

Kiedy wreszcie dojechaliśmy do przedszkola, zadzwonił telefon.

- Pszczółko, wszystko w porządku? Gdzie krasnal? – Głos Jacka był przepełniony niepokojem.

Gdzie krasnal!? Czy oni wszyscy powariowali!?

- Ze mną jest - odpowiedziałam ostrożnie. - A dlaczego tak ci na nim zależy? Stało się coś?

- Już ci mówiłem, jestem z nim emocjonalnie związany.

- Jasne - odburknęłam i pokazałam telefonowi język.

Zastanawiałam się, czy opowiedzieć Jackowi o dwóch takich, co ukradli krasnala.

- Jesteś tam? - przerwał moje rozmyślenia. - Musisz oddać mi krasnala, i to jak najszybciej, dotarło? - Jego głos zaczynał wchodzić w piskliwą i znienawidzoną przeze mnie tonację, która zawsze budziła przekorną stronę mojej osobowości. - Kiedy możemy się spotkać? Tylko dobrze ci radzę, bez wymówek!

- Za pół godziny muszę być w pracowni. Będę tam może do trzeciej. Jeśli łaskawie pojawisz się na parkingu, to krasnal jest twój. Jeśli cię nie będzie, to go zostawię pod tym wielkim drzewem...

- Ani się waż! Będę o trzeciej. - Wyłączył się.

ROZDZIAŁ 26

Czas ciągnął się niemiłosiernie. Malinowski, wyglądający, jakby znalazł się na samym dnie, unikał wszelkich spotkań i nie było mi dane z nim rozmawiać. Zresztą za kilka dni wyjeżdżał na Karaiby i miałam nadzieję, że wróci w lepszym stanie.

Odbębniwszy, pomimo urlopu, niecierpiące zwłoki spotkanie z jednym klientem z sektora państwowego, wreszcie mogłam wyjść. Była za dziesięć trzecia. Nie spiesząc się, ruszyłam w kierunku samochodu.

- Pst... - usłyszałam nagle.

Rozejrzałam się zdziwiona i nic nie zobaczywszy, szłam dalej.

- Pst... - Szept dochodził zza czerwonego fiata zaparkowanego pod murem. Zaintrygowana, podeszłam i ostrożnie zajrzałam za samochód. Zobaczyłam Jacka w ciemnych okularach i kapturze na głowie. Siedział na krawężniku i udawał, że czyta gazetę. Rzuciłam mu podejrzliwe spojrzenie.

- Zapomniałeś o lekach? Odbiło ci już zupełnie? Zabierz sobie tego krasnala i zostaw mnie w spokoju. Mogę ci jeszcze dorzucić adres dobrego psychiatry.

Nie zwracał uwagi na moje docinki. Rozglądając się niespokojnie, zapytał zniecierpliwiony:

- Gdzie masz samochód?

Wskazałam na drugi koniec parkingu. Zmrużył oczy, jakby oceniał odległość.

- Idź do auta. Zaraz tam przyjdę. - Zniknął pomiędzy samochodami.

Muszę przyznać, że dało mi to do myślenia. Kiedy doszłam do samochodu, usłyszałam następne: - Pst... Zaczęło mi to powoli działać na nerwy.

- Słuchaj - odezwałam się lekko poirytowana - jeśli tak wielką emocjonalną wartość ma dla ciebie ten durny krasnal, to trzeba było uprzedzić kolegę w Petersburgu, żeby go przysłał na twój własny adres, bo puszczasz się z taką jedną i ze ślubu i z przejścia mieszkania twojej narzeczonej może nic nie wyjść.

- Po prostu mi go daj, pszczołko - rzucił przez zęby. Jego rozbiegane oczy nie były w stanie skupić się na jednym miejscu.

- Tylko nie pszczołko! - Z wściekłością otworzyłam bagażnik i wyciągnąwszy krasnała, rzuciłam nim w Jacka. - A udław się nim!

Nie mogłam już patrzeć na tę jego zdradziecką głębę.

Zgiął się pod niespodziewanym ciężarem, ale utrzymał równowagę. Rzucił jakimś przekleństwem i wtedy nagle na parking wjechała policja. Chyba z pięć wyjących i świecących jak bożonarodzeniowa choinka granatowych polonezów, z których wyskoczyła cała grupa zamaskowanych i uzbrojonych policjantów z długą bronią. Zanim ze zdumienia zupełnie mnie sparaliżowało, przez głowę przemknęła mi myśl: jak oni się tam, do cholery, wszyscy zmieścili!?

Jacek obdarzył mnie nienawistnym spojrzeniem i kilkoma nienaturalnymi epitetami, wśród których „kurwa” zabrzmiało jak śpiew skowronka, po czym, nie czekając bynajmniej na pozwolenie, odwrócił się i zniknął między samochodami. Policjanci, zdziwieni nieco jego posunięciem, rzucili się za nim, krzycząc, rzecz jasna, jak tego wymaga procedura: „policja”, „policja”, a także „zatrzymać się!”, i zaczęli się wpychać za nim między te samochody, aż porysowali lakier swoimi zabawkami chyba wszystkim zaparkowanym w pobliżu pojazdów. Stałam i w emocjach obserwowałam całe zajście, stawiając na Jacka.

Wywinie się. Cały czas mu się udaje. Choćby z motylicą, też mu się udało, choć mogłam go w afekcie na przykład zadźgać. Ale nie! I jeszcze mu przysługi wyświadczam, i przywożę jakieś durne krasnale. Co by o mnie Jerzy pomyślał...?

Moje rozważania przerwał zimny dotyk metalu i jeszcze zimniejszy głos jakiegos mięśniaka z czołem sięgającym karku.

- Podkomisarz Koziółek - błysnął swoją legitymacją. – Jest pani tymczasowo zatrzymana i proszę się nie wyrywać, bo będę musiał zastosować

środki przymusu bezpośredniego - zagroził, śliniąc obrzydliwie wargi.

- Przepraszam, ale czy kajdanki nie są czasem uznawane za przymus bezpośredni? - zadałam niewinne pytanie, nie będąc specjalną miłośniczką metalowych bransoletek.

Mężczyzna tylko uśmiechnął się bezczelnie.

- To proszę złożyć skargę! Przysługuje pani prawo do złożenia zażalenia, a także prawo do... - zastanawiał się przez chwilę. - Szeregowka Krówka, odczytajcie zatrzymanej jej prawa!

Nie wiadomo skąd zjawiła się młoda pani policjantka i zaczęła recytować głosem drżącym z podekscytowania:

- Zatrzymana ma prawo do złożenia wyjaśnień lub zachowania milczenia...

Nie zdążyłam do końca zapoznać się z owym fascynującym tekstem, a tym bardziej zaprotestować, bo na parking powrócili już zdyszani specjaliści, ciągnąc za sobą swoje zabawki.

- Melduję, że... zwiął, szefie... - wydyszał jeden rudy. - Samochód miał podstawiony. Czarne bmw z zakrytą rejestracją. Padł strzał z naszej strony. Nie odniósł rezultatu... Podejrzani nie zatrzymali się... Pościg się nie powiodł z powodu braku pojazdu, który sprostałby parametrom technicznym wspomnianego bmw.

- No, tak - Koziółek nie był pod wrażeniem przegranego, aczkolwiek bohaterkiego pościgu. - Trudno, chłopcy. Czasami się nie udaje. Ale przynajmniej panią mamy. - Wszyscy spojrzeli na mnie. - Lepszy rydz niż nic, nieprawdaż?

- Nie jestem żadnym rydzem, proszę pana, ja... - zaczęłam protestować, ale przerwał mi w pół zdania:

- O tym, kim pani jest, a kim pani nie jest, to już my zadecydujemy i proszę pamiętać: wszystko, co pani teraz powie, może być użyte przeciwko pani.

Wzruszyłam ramionami. Doszłam do wniosku, że nie ma sensu się odzywać. Jeśli fakt, że nie jestem rydzem, może być użyty przeciwko mnie, to naprawdę nie warto się denerwować. Spokojnie zamknęłam swoje auto. Odprowadzona ciekawskimi spojrzeniami gapiów, zostałam zapakowana do śmierdzącego petami poloneza, a już na komisariacie do śmierdzącej ludzkim brudem celi, w której moją jedyną rozrywką było liczenie małych

czarnych stworzonek buszujących po pryczy. Cóż... Temida też ma prawo czasami sobie wałnąć jednego i zaspać. Ta to dopiero ma ciężkie życie.

Po najdłuższej godzinie mojego marnego żywota, w ciągu której ilość powietrza wdychanego przeze mnie do płuc na minutę drastycznie spadła, zostałam doprowadzona przed oblicze sprawiedliwości, które, jak się okazało, należało do słynnego już w mieście inspektora Bogusia. Tenże inspektor, patrząc na mnie surowo, zapytał zdumiewająco cienkim głosem:

- W co to się pani wmieszała, pani Rusalko?

Zaczęłam się zastanawiać, jaka odpowiedź by go zadowolila. Nie mając żadnego z kół ratunkowych, nawet telefonu do przyjaciela, postanowiłam spasować.

- Nie mam pojęcia, chyba będzie mnie pan musiał oświecić - uśmiechnęłam się do niego urzekająco.

Chciał odpowiedzieć coś niemiłego, ale podświadomie odwzajemnił mój uśmiech i zapisał:

- Pani Agnieszko, mogę się do pani zwracać po imieniu?

- Ależ oczywiście, panie inspektorze, jak najbardziej.

- Rozumie pani, że nie mogę zaferować tego samego, bo jest tu pani w charakterze osoby zatrzymanej... składającej wyjaśnienia.

- Ależ oczywiście, panie inspektorze, ja wszystko rozumiem.

- Spoufalanie się jest wbrew regulaminowi - tłumaczył się, gładząc swoją bujną czuprynę, a jego piwne oczy zdawały się przewiercać mnie na wylot.

- Ależ oczywiście, panie inspektorze.

- A więc pani Agusiu, po pierwsze, czy zna pani osobnika, z którym rozmawiała pani w momencie zatrzymania?

- Oczywiście, panie inspektorze, i to... wydawało mi się, że znam go całkiem nieźle. Widzi pan, mieliśmy się pobrać.

- Gratulacje - wymknęło mu się. Zaraz jednak ugryzł się w język. - To znaczy chciałem powiedzieć, że decyzja może nie najtrafniejsza.

- No właśnie, ostatnio też do tego doszłam i postanowiłam nie mieć z tym człowiekiem już nic wspólnego.

W prawym oku inspektora Bogusia pojawił się błysk zainteresowania, podczas gdy jego lewe oko pozostało niezmiennie spokojne i nieodgadnione.

- A dlaczego?

Przepraszam, czy to jakaś nowa komisja, tym razem do badania przyczyn rozpadu związków!?

Przygryzłam wargi, a mój nastrój pogarszał się z minuty na minutę.

- Zdradził mnie. Czy tego typu pytania osobiste mają jakiś konkretny cel? - spojrzałam na niego cierpko. Spuścił wzrok. - Bo wie pan, panie inspektorze, ja nadal cierpię! - Mój zbolały ton zrobił swoje.

- Proszę się nie denerwować, myślałem, że odkryła pani jego prawdziwą naturę. - Boguś najwidoczniej bał się kobiecych łez. Jak każdy normalny facet miał pewnie w tym względzie niemiłe doświadczenia. - Bo widzi pani... To człowiek, wobec którego od jakiegoś czasu mamy podejrzenia... Rozumie pani? Podejrzenia...

Nadstawiłam uszu.

- To znaczy, że jest oskarżony o jakieś przestępstwo?

- Jeszcze nie - Boguś zasępił się. - Mamy jednak pewność, że obywatel Żuk współpracuje z pewną grupą przestępczą. Teraz to tylko kwestia dowodów. Ale nie mogę zdradzać szczegółów, dla dobra śledztwa, rozumie pani.

- Ależ oczywiście, panie inspektorze - jego oświadczenie zrobiło na mnie pewne wrażenie. - A mogę się chociaż dowiedzieć, w co jest zamieszany?

- W obecnej sytuacji nie. Jeszcze nie. - Rozłożył bezradnie ręce. - To by mogło zaszkodzić sprawie. Ale teraz pani kolej, pani Agusiu. Proszę mi wszystko jak ojcu opowiedzieć. Co pani robiła na tym parkingu?

- No właśnie, co pani robiła na tym parkingu, jeśli nie utrzymuje pani już żadnych... kontaktów ze wspomnianym wcześniej podejrzanym? - uszczypliwie wtrącił siedzący dotąd cicho w kącie Koziółek.

- Na parkingu, jak to na parkingu, stał mój samochód. Bo ja tam pracuję. To znaczy obok. A jeśli chodzi o Jacka, to przywiozłam mu tylko jego własność - zignorowałam zupełnie Koziółka, zastanawiając się, czy inspektor naprawdę chce, bym mu wszystko opowiedziała jak ojcu.

Wyczuł moje wahanie.

- Jak ojcu! - przypomniał Boguś, grożąc po ojcowsku palcem.

Wpatrując się jak zahipnotyzowana w jego palec, mówiłam:

- Jakiś przyjaciel Jacka z Petersburga przysłał mu na mój adres ogrodowego krasnala i Jacek koniecznie chciał go odzyskać. Powiedział, że jest z nim emocjonalnie związany. Więc przywiozłam... krasnala i oddałam, mówiąc, żeby mnie już więcej nie nachodził, bo nowe życie zaczynam, i wtedy... poznałam tego miłego podkomisarza, który założył mi kajdanki - spojrzałam z niechęcią na Koziołka. - To tyle mam do opowiedzenia, panie inspektorze. Proszę mi wierzyć, Jacek nigdy nie wtajemniczał mnie w ciemną stronę swojego życia. Myślałam, że jest po prostu dentystą i oczywiście szanowanym i uczciwym obywatelem, jak każdy z nas - powiodłam wzrokiem po obecnych.

- To się dopiero okaże, czy każdy z nas... - mruknął wrogo Koziołek, a ja w ostatniej chwili powstrzymałam się przed pokazaniem mu języka.

Boguś patrzył na mnie przez chwilę. W jego rentgenowskim spojrzeniu wyczytałam nieufność. Po chwili jednak uśmiechnął się rozbrajająco i zapytał jeszcze plotkarskim tonem:

- A z kim Żuk panią... - nie dokończył, jak gdyby bał się mojej reakcji. Westchnęłam melodramatycznie.

- Z taką jedną motylicą... to znaczy... blondynką... Pacjentką.

Boguś wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. Liczyłam jego kroki, zastanawiając się, czy opowiedzieć mu o gangsterach w czarnym bmw. W końcu od takich rzeczy jest policja.

„Nasi są wszędzie” - przypomniałam sobie jednak słowa gangstera. A jeśli to prawda? W sumie ten Koziołek to mi wygląda na bandytę.

Nie zdążyłam rozważyć wszystkich za i przeciw, bo nagle Boguś zatrzymał się i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym bólu.

- Tak bardzo liczyłem na powodzenie tej akcji. I ten krasnal... Pani nawet nie ma pojęcia, jaki on był dla nas cenny.

Pomyślałam bezwiednie o armii krasnali w ogródku Julii.

- Przepadło! Krasnal, bonusy i awans... Wszystko przepadło! - jęknął jeszcze bliski płaczu, po czym wziął się w garść i oświadczył: - Liczymy na pani współpracę. Gdyby kiedykolwiek Żuk próbował się z panią skontaktować, proszę dać znać...

Sumienie gryzło się z moim wrednym *alter ego*. Powiedzieć? Nie powiedzieć? Powiedzieć - nie powiedzieć...?

- I proszę pamiętać. W tym momencie jest zbiegiem poszukiwanym przez policję. Ukrywanie przestępcy jest karalne.

- Panie inspektorze, ja... - w jednej chwili zdecydowałam się wyśpiewać wszystko jak na spowiedzi.

Niestety. Nie zdążyłam. A przecież niewykorzystane okazje zwykle mszczą się jak odrzucone panny. Hmm... Do biura wpakowała się bowiem znana mi już z parkinga szeregową Krówka w niebieskim mundurku.

- Melduję, że Chrząszcz został aresztowany na schodach komisariatu.

- Jaki Chrząszcz, co pani, oszalała? - uprzejmie zwrócił jej uwagę Boguś.

Dziewczyna spojrzała zdenerwowana w notatkę.

- Melduję, że Żuk został aresztowany na schodach komisariatu.

- Jak to na schodach komisariatu? - zdziwił się Boguś po raz drugi.

Tu dziewczyna nie miała żadnych wątpliwości.

- Ktoś go podrzucił w stanie pobicia, panie inspektorze.

- Co proszę?

- Ktoś mu obił mordę, jak na to zasługiwał, i zostawił jego marne zwłoki na schodach komisariatu - pospieszył z wyjaśnieniami Koziółek. - Dobrze zrozumiałem? - zwrócił się do młodej policjantki.

- Tak jest - wykrzyczała dumna ze spełnionej misji szeregową Krówka. - To znaczy, tak jest i tak nie jest. Tak jest, porzucono go, ale nie zwłoki, tylko żywego. I zarekwirowano gipsowego krasnała.

- Inicjatywa obywatelska, jak mniemam. Samowolka. Za grosz zaufania do policji. Czy ludzie statystyk nie czytają? Przecież mamy taką wysoką skuteczność - mruknął Koziółek. - Dawać tu to ścierwo! Aresztować!

- Krasnała też? - zdziwiła się nieprofesjonalnie szeregową Krówka.

- No, jak mówię, że aresztować, to aresztować, a nie głupio pytać, rozumiano!? Bo ja nie będę powtarzać!

- Tak jest! - odmeldowała się szeregową.

Koziołek westchnął ciężko, po czym zwróciwszy się do mnie, powiedział:

- Pani sobie popatrzy i się zastanowi, czy na pewno nie wie czegoś więcej.

Do pokoju wprowadzono Jacka. Właściwie trudno go było rozpoznać, bo twarz miał w opłakanym stanie. Oko we wszystkich kolorach tęczy, rozciętą wargę i zmasakrowany nos. Poza tym trzymał się dzielnie, choć... br... boleć musiało. Posadzili go na krześle, a ja wpatrywałam się w niego z przerażeniem. Ci gangsterzy naprawdę nie żartują!

- A trzeba było uciekać? - zwrócił się do niego uprzejmie Boguś, po czym zajrzał do worka, który został wniesiony razem z Jackiem, i wyciągnął z niego krasnala z rozłupanym torsem. Na pewno nie była to robota tych z Frontu Wyzwolenia Krasnali Ogrodowych.

- Same skorupy. Nic ciekawego - zazgrzytał zębami rozczarowany.

- Po sprawie, panie inspektorze - szepnął mu Koziołek. - Trzeba dalej inwigilować. Może się jeszcze trafi jakaś informacja. Poza tym... - spojrzął na Jacka - może uda nam się przekonać niektórych tu obecnych do współpracy.

Mój czas się skończył. Zostałam wyprowadzona na korytarz, gdzie czekałam, dopóki nie przesłuchano Jacka. Jacek z dziwną gorliwością potwierdził moje zeznania. W międzyczasie zadzwonił mój telefon. Dzwonił najnowszy obiekt moich westchnień, który niezwłocznie postanowił pośpieszyć mi na ratunek i wyciągnąć mnie z pazurów policji.

ROZDZIAŁ 27

Po podpisaniu różnych papierków stałam się znowu osobą wolną - w przeciwieństwie do mojego eks, którego postanowiono złamać siłą policyjnej perswazji i namówić do zwierzeń. Nie mogłam przestać myśleć o jego opuchniętej twarzy ani oprzeć się wrażeniu, że to ja w jakimś stopniu jestem za nią odpowiedzialna. Szczerze mówiąc, owo wrażenie było dziwnie satysfakcjonujące.

Siedziałam zamyślona na korytarzu, kiedy zjawił się Jerzy. Błękitny szalik podkreślał kolor jego oczu, a skomplikowany węzeł, ciasno zawiązany pod szyją, prowokował do podjęcia natychmiastowej akcji reanimacyjnej. Profilaktycznie.

- Jak się czujesz, Rusalko? Co się stało? Chodźmy stąd, opowiesz mi wszystko w samochodzie. - Rozglądał się niespokojnie. Otulił mnie ramieniem i czule pogłaskał po policzku.

Idąc korytarzem w kierunku wyjścia, minęliśmy Jacka, którego dwóch policjantów eskortowało do celi. Mój eks nawet na mnie nie spojrział. Całą swoją uwagę skupił na Jerzym, a jego opuchnięta twarz eksplodowała nagłą czerwienią. I mogłabym przysiąc, że usłyszałam zgrzyt zębów.

Westchnęłam ostentacyjnie i wywróciłam oczami. Faceci są okropni! Uważają kobiety za swoją własność nawet wtedy, kiedy o nieudanym związku pamiętają już tylko wredne ciotki. Co on sobie wyobrażał? Że ja do końca życia będę go opłakiwać!? Że powinnam po nim żałobę nosić!? Niedoczekanie jego!

Jeszcze mocniej wtuliłam się w ramię Jerzego. Było twarde i naprężone. No, w końcu ma się ten seksapil! *Seksapil to nasza broń kobieca...* - nucił mi słodko chochlik, a ja, czując swoją siłę, uśmiechnęłam się zwycięsko. Tak. Żaden nie pozostanie obojętny na ciepło mojego ciała, na uścisk mojej ręki...

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, z radością wciągnęłam do płuc mroźne powietrze i spojrzałam na idącego tuż obok mężczyznę. Milczał dłuższą chwilę.

- Ten twój narzeczony to musi być niezły gagatek - powiedział wreszcie, niecierpliwym gestem uwalniając się od szalika. - Powiedz mi, Rusałko, dlaczego wy, kobiety, macie słabość do takich gangsterów i zabijaków? Co oni mają takiego w sobie, co was tak fascynuje? Lubicie takich twardej i brutalni? Czy was to jakoś... kręci? Czy pod jakimś względem są lepsi od nas, miłych, normalnych chłopców?

- A bo ja wiem? - Przez chwilę nie odzywałam się, czekając, aż wyjący radiowóz, który właśnie wyjechał z policyjnego parkingu, zniknie za zakrętem i zabierze z sobą zimne światło razem z zagłuszającym wyciem syreny. - To chyba jakiś atawizm. Od niepamiętnych czasów lepiej było kobiecie żyć z kimś, kto grabił i mordował, niż z kimś, kogo grabiono i mordowano. A jeśli chodzi o ciebie, to... trudno mi się wypowiadać, bo jeszcze nie poznałam cię pod każdym względem, tak jak bym chciała.

Roześmiał się nagle, a jego oczy znów zabłysły kpina.

- Rusałko, Rusałko, w każdej chwili mogę ci udostępnić numery telefonów moich pacjentek.

Wsiadliśmy do samochodu.

- To opowiadaj - powiedział i zapalił silnik. - Cała jesteś?

- Tak, oprócz obtartych nadgarstków i nadszarpniętej reputacji wszystko w porządku.

- A o co w tym wszystkim właściwie chodzi?

- Żebym to ja wiedziała! - westchnęłam i patrząc w te jego błękitne oczy, dodałam: - Opowiem ci, co wiem, ale nie jak ojcu.

Spoważniał.

- Co masz na myśli?

- Boguś chciał jak ojcu, więc powiedziałam tylko oficjalną część. Ale to tajemnica... Daj mi słowo honoru, że nikomu nie powiesz. Przynajmniej na razie.

Zgasił silnik i spojrzał na mnie z uwagą. Światło księżycy oświetlało jego dziwnie skupioną twarz.

- W coś ty się wpakowała?

- Najpierw daj słowo!

- Słowo - powiedział w końcu, a ja uśmiechnęłam się beztrudno i zaczęłam swoją opowieść.

- Napadło cię dwóch bandziorów!? - przerwał mi nerwowo. - Kobieto, w takiej sytuacji idzie się chyba prosto na policję!

- Zastanów się, kto by uwierzył, że dwóch bandziorów mnie napadło tylko po to, żeby mi ukraść ogrodowego krasnala? Zresztą... Może i pójde, coś mi mówi, że sprawa jest jeszcze w toku...

Kiedy doszłam do momentu akcji na parkingu i ucieczki Jacka, Jerzy spojrział na mnie z uwagą.

- Przynajmniej te bandziory się od ciebie odczepią. Zgarnęli, co chcieli, prawda?

- Właśnie chyba nie... - Zagryzłam wargi w niewinnym uśmiechu.

- Aga... - Jego palce coraz głośniej bębniły w kierownicę.

- Prawdę mówiąc, to byłam strasznie ciekawa, o co chodzi z tym krasnalem, a wiedziałam, że Jacek mi nic nie powie, więc żeby móc się uważnie przyjrzeć oryginalnemu krasnalowi, Jackowi oddałam tamtego drugiego, wiesz, tego od Julii. One przecież wszystkie wyglądają podobnie - zrobiłam pokorną minę.

Obrócił się do mnie i odezwał się zmienionym głosem:

- Dałaś Jackowi innego krasnala? A gdzie jest ten oryginalny!?

- W przedszkolu Mikołaja.

Opadł na siedzenie i patrzył przed siebie, nie odzywając się.

- To nie było najmądrzejsze posunięcie - powiedział w końcu. - Nie przyszło ci czasem do głowy, że ładujesz się w jakąś niebezpieczną grę? Wygląda na to, że ten twój Jacek, gangsterzy i policja z jakichś powodów chcą dorwać tego oryginalnego krasnala. A ty po raz drugi zrobiłaś z gangsterów idiotów. Nie chcę cię straszyć, ale teraz to dopiero się mogą zdenerwować.

Pojedyncza seria z karabinu maszynowego. Kierowca renault clio sztywnieje, a przez wielką dziurę w jego głowie można zobaczyć kawalki mózgu. Samochód wpada na przeciwegły pas i zderza się czołowo z tirem. Doszczętnie spalony samochód... To kolejny tragiczny wypadek spowodowany niezachowaniem należytej ostrożności na drodze.

- A dlaczego nie powiedziałaś policji, gdzie jest oryginalny krasnal? - w makabryczny obraz wdarł się głos Jerzego.

- Tak jakoś wyszło - spojrzałam na niego z miną stereotypowej blondynki. - A poza tym nie pytali konkretnie.

Milczał przez chwilę. Komentować mojej głupoty stanowczo mu nie wypadło.

- I co teraz?

Westchnęłam zrezygnowana.

- Pojadę po krasnalą i oddam go Bogusiowi. Pomożesz mi?

Nie musiałam nawet odwoływać się do mojego błagalno-płaczliwego tonu. Wystarczył jeden uśmiech. Bond pokiwał potakująco głową.

- Pewnie. To akcja w sam raz dla agenta 007 i... jego dziewczyny. To gdzie to przedszkole?

Zobaczyłam siebie w otoczeniu wszystkich pięknych i seksownych dziewczyn 007 i poczułam się naprawdę wyjątkowo.

ROZDZIAŁ 28

Powitała nas zamknięta brama, za którą w pewnym oddaleniu majaczył jasny budynek przedszkola.

Spojrzałam niepewnie na Jerzego. Intensywnie wpatrywał się w bramę.

- Próbujesz użyć siły woli? - zagadnęłam go złośliwie. - Muszę cię zmartwić. Te bramy są wyjątkowo odporne na polecenia umysłu.

- Nic się nie bój. Coś wymyślę.

Zaczął się bawić grubym łańcuchem. Łańcuch stukotał złowieszczo.

Co on ma zamiar wymyślić? Przecież nikogo tu już nie ma. Zamknięte!

Mimowolnie rozejrzałam się dokoła. Teren przedszkola był otoczony wysokim ceglany murem.

- Chodźmy stąd, wrócimy jutro.

- Nie ma mowy! - zaskoczył mnie zdecydowany ton jego głosu. - Krasnała trzeba jak najszybciej zabezpieczyć, bo może trafić w niepowołane ręce.

- To może zabawimy się we włamywaczy? Na pewno w zegarku masz jakieś urządzenie do cięcia metalu, prawda, 007? Moglibyśmy wyciąć w bramie dziurę - zasugerowałam niewinnie.

Jerzy nie odpowiedział. Przeszedł parę kroków wzdłuż muru. Zatrzymał się dopiero poza mętym światłem latarni.

- Przestań dowcipkować, moja miła Rusalko, i chodź tu na chwilę. Chcę ci coś pokazać.

Spojrzałam podejrzliwie.

- Jakieś tajemnicze przejście w murze? Jakiś kanał teleportacyjny?

Nie odpowiedział, tylko czekał, uśmiechając się tajemniczo. Po chwili namysłu wzruszyłam ramionami i podeszłam do niego zaintrygowana.

Przejeżdżający samochód oślepił nas nieoczekiwanie i zniknął, zabierając z sobą światło. I wtedy Jerzy przyciągnął mnie nagle do siebie i mocno przytulił. Zamarłam. Słyszałam tylko bicie serca. Jednego serca. Nie zdążyłam jednak zweryfikować czyjego, bo mój towarzysz zrobił coś jeszcze bardziej niespodziewanego. Poczulałam, że tracę grunt pod nogami i wbrew wszelkim prawom fizyki unoszę się w powietrzu. Następną rzeczą, z jaką przyszło mi się zmierzyć, był oblodzony wierzchołek muru.

- Jezu! - wymusknęło mi się.

Uchwyciłam się kurczowo wystających cegieł i bez namysłu wykonałam perfekcyjny skok w dół, lądując miękko w wielkiej zaspie po drugiej stronie muru. Zaraz za mną, zwinnie jak kot, wyładował Jerzy.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał niewinnie, otrzepując się ze śniegu. - Jak ci minął lot?

Oszołomiona, próbowałam wygramolić się z wielkiej zasy.

- Jesteś stuknięty! - zdołałam wreszcie wydusić. - Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Bobyś się nie zgodziła - odparł bezczelnie, podając mi rękę. - Nie mam racji?

- Ależ oczywiście, że masz rację! Wtargnęliśmy właśnie na teren prywatny bez zgody właściciela. O ile się nie mylę, to chyba jest karalne.

- Ten twój inspektor Boguś na pewno przymknie na wszystko oko, jeśli tylko dostarczysz mu oryginalnego krasnala.

- Może tak, ale najprawdopodobniej nie. Poza tym jest jeszcze Koziołek, który na pewno postawi mnie bez sądu przed plutonem egzekucyjnym.

- Nie bądź taką pesymistką, moja droga, to szkodzi na serce. To gdzie ten krasnal?

Rozejrzałam się dookoła. Znajdowaliśmy się na przedszkolnym placu zabaw, który teraz, pusty i ciemny, wydawał się jakimś nieprzyjaznym królestwem pełnym dziwnych konstrukcji. Podeszłam do tarasu i szybko wbiegłam po schodkach na górę. Na samym środku majaczył znany mi kształt krasnoludka. W miarę jak zbliżałam się do niego, mój uśmiech zamieniał się w grymas przerażenia.

- Rany boskie! - wyszeptalam, nie wierząc własnym oczom.
W geście rozpaczry rzuciłam się przed krasnałem na kolana.
- Co się stało? - Jerzy w momencie znalazł się tuż obok mnie.
Spojrzałam na niego w osłupieniu.
- To nie ten!
- Jak to nie ten? Przecież jest tutaj, tak jak mówiłaś, wszystko się zgadza.
- Ale to nie ten.
- Przypatrz się dobrze. Jesteś pewna!?
- Tamten brzusek miał odpowiedni i czerwoną czapkę. Ten ma niebieską i jest chudy jak Szymon Słupnik po całej aferze ze słupem. Tak, jestem pewna. To nie ten.
- Nic nie rozumiem - mruknął, przyglądając się podejrzliwie krasnałowi. - To w takim razie gdzie jest tamten?
- Może Julia?

Opowiedziałam Jerzemu o mojej rozmowie z Julią na temat unikatowych nocników, za które ludzie gotowi są zabić. Wpatrując się w zmarzniętego krasnała, przysięgłabym, że jeszcze rano widziałam takiego samego w jej ogródku. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo w sumie one przecież wszystkie wyglądają podobnie.

Jerzy rozejrzał się dookoła. Jakiś pies za bramą próbował zawyć się na śmierć.

- Trudno, nic tu po nas. Chodźmy.
- Wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę muru.
- Tylko tym razem nie zagłądaj mi pod spódnicę! - mrugnęłam ostrzegawczo okiem.

Roześmiał się tylko. Nieco przerażona, pozwoliłam objąć się wpół. Uniósł mnie bez wysiłku, ponownie demonstrując jeden ze swoich atutów. Męskie bicepsy zawsze zrobią wrażenie na kobiecie.

Potem powtórzyliśmy operację „przerzut przez mur”, z tą różnicą, że na chodniku bynajmniej nie było zasy, więc nieco obilałam sobie tak zwane cztery litery. Podnosiłam się właśnie po upadku, masując wspomnianą część ciała, kiedy nagle ktoś złapał mnie za ramię. Uniósłam rozbawioną głowę, spodziewając się zobaczyć Jerzego. Mój wzrok napotkał jednak

małą głowę osadzoną na wielkim ciele jakiegoś bardzo podstarzałego herkulesa. Jego oczy wpatrywały się we mnie oskarżycielsko, a serdelkowaty palec wpijał się w moją skroń jak lufa rewolweru gotowego wypalić w każdej chwili.

- Rany boskie! Ale mnie pan przestraszył! Proszę mnie puścić! - Staralam się uwolnić z bolesnego ucisku. Na próżno.

- Ty ladaco! Ładnie to imienia boskiego nadaremno wzywać? A ładnie to demolować dzieciom plac zabaw!? A wydawałoby się, poważna pani w sile wieku!

Slucham!?! Poważna pani w sile wieku!?! Rozejrzałam się przerażona, czy czasem Jerzy tego nie słyszy, a mężczyzna kontynuował podniesionym głosem:

- Już dość chuligaństwa! Dość sprayów, czy jak wy to nazywacie! Mam dość tych waszych krzyków po nocy! Złapałem na gorącym uczynku i nie popuszczę! Dzwonię na policję!

Ciągnął mnie w kierunku bramy. Opierałam się, jak mogłam, ale starszek był nadzwyczaj krzepki jak na swój wiek, nie mówiąc o tym, że jego krzyki zaczęły już dawać rezultaty. Głowy ciekawskich pojawiły się za firankami jak harpie gotowe na każdy rodzaj sensacji.

- Ależ... proszę pana, to jakieś nieporozumienie! Czy ja wyglądam na chuligana!? Przecież ja nie jestem żadnym chuliganem... - Moje tłumaczenia nie dawały rezultatu.

Rozglądałam się histerycznie w poszukiwaniu zaginionego w akcji Jerzego. Byłam pewna, że schował się gdzieś i ze śmiechu płacze jak dziecko. Wreszcie, po dłuższej chwili, wyrósł jak spod ziemi. Mrugnawszy do mnie okiem, powiedział poważnym głosem:

- Patrol sąsiedzki. - I podsunął krzepkiemu starszuskowi pod oczy jakąś legitymację, którą zresztą szybko schował do kieszeni.

W moim odczuciu za szybko. Kto się na to nabierze, panie Bond?

Mężczyzna spojrział na niego, nie rozumiejąc.

- Proszę puścić tę panią - zażądał Jerzy stanowczym głosem. - Ta pani jest ze mną. Patrolujemy okolicę w ramach straży sąsiedzkiej. Wie pan, taki rodzaj samoobrony przed chuliganami i złodziejami.

Mężczyzna dalej patrzył na niego ze zdziwieniem, ale nieco rozluźnił swój żelazny uścisk.

- Pilnujemy przedszkola, wie pan, tyle teraz chuliganów. Taka samoobrona.

Dopiero wtedy mężczyzna rozjaśnił się w promiennym uśmiechu, jakby spełniało się jakieś długo wyczekiwane proroctwo. W końcu okres świąteczny to czas cudów.

- Samoobrona! Nareszcie! Nasze prośby zostały wysłuchane! - wykrzyknął w nagłej euforii. - Wiecie państwo, co tu się czasami wyprawia? Wiecie państwo, ile musimy znosić? Od lat piszemy listy do dzielnicowego, prosząc, żeby ktoś w końcu zrobił porządek z tymi wandalami, i wreszcie... - nagle zreflektował się. - Ale dlaczego ta pani przechodziła przez mur, jeśli można zapytać?

Jerzy pochylił głowę w kierunku mężczyzny i wyjaśnił konspiracyjnym szeptem:

- Właściwie to tajemnica, ale panu powiem. Takie mamy teraz metody, żeby nie spłoszyć kryminalistów, podchodzimy ich jak myśliwi sarenki, wie pan, cicho i z wyczuciem. Instynkt trzeba mieć, szanowny panie. Instynkt łowcy. Ale panu nie muszą tego przecież tłumaczyć, prawda? Przez bramę każdy może wejść i przy okazji spłoszyć zwierzynę. Trzeba z wyczuciem, jak na sarenki.

- Na sarenki...? - Mężczyzna z uznaniem spojrział na Jerzego. - Jak dobrze, że profesjonalistów nam tu przysłali, a szczęście wam Boże. Będzie lepiej!

- Tylko nikomu ani mru-mru, wie pan, żeby nie spłoszyć sarenek. - Jerzy uniósł palec do ust z nakazem milczenia.

- Ależ oczywiście! - Mężczyzna rozejrzał się dookoła i ściszył głos. - Żeby nie spłoszyć sarenek.

Jerzy chwycił moje ramię i uśmiechnąwszy się jeszcze konspiracyjnie do mężczyzny, pociągnął mnie do samochodu. W milczeniu wsiedliśmy do środka i spojrzeliśmy po sobie. Po sekundzie płakałam ze śmiechu jak dziecko.

- Czemu cię tak długo nie było!?

- Nie mogłem się oprzeć! - śmiał się Jerzy, obserwując w lusterku znikającą powoli postać starszego pana. - Wyglądałaś, jakbyś nagle zobaczyła Kubę Rozpruwacza! I ta „pani w sile wieku”...

Kiedy nasza chwilowa niepoczytalność i spazmy śmiechu zostały opanowane, zapytał, gryząc wargę:

- Mówisz, że krasnala może mieć twoja koleżanka?

- Nie wiem. Pewnie nie, ale tylko ona przychodzi mi do głowy. Byłaby do tego zdolna, bo kolekcjonuje takie figurki. Wiesz, raz widziałam, jak wymieniała się na jednego za pierścionek z perłą. Ludzie mają różne dziwactwa. No i wiedziała o krasnalu - zamyśliłam się. - A może to jednak Front Wyzwolenia Krasnali Ogrodowych? - rzuciłam, obserwując go spod oka.

- Słucham? - obdarzył mnie dokładnie tym samym spojrzeniem, którym ja obdarowałam Julię.

- Nawet nie pytaj - machnęłam ręką. - Poczekaj, spróbuję zadzwonić do Julii.

Wyciągnęłam z torebki telefon i wybrałam numer.

„Witam... - z telefonu zaczął wydobywać się seksowny głos Julii - ... jeśli jesteś miłym panem i dałam ci swój numer, wciśnij 1, jeśli dzwonisz w sprawie nowej kolekcji ślubnej, wciśnij 2, jeśli jesteś panią z pretensjami, wciśnij 3, jeśli dzwonisz w innej sprawie, wciśnij 4...”

Jeśli już nie pamiętasz, po co dzwonisz, wciśnij 5 - odezwało się moje złośliwe *alter ego*.

Westchnęłam z dezaprobatą i wściekła wciśnęłam 4. Po chwili usłyszałam: „Niestety, nie mogę w tej chwili podejść do telefonu...”.

Przygryzłam wargi i postanowiłam zostawić jej wiadomość.

- Trudno - oświadczyłam Jerzemu, który uprzejmie odwoził mnie do domu. - Jutro wybadam sprawę. Dzisiaj już i tak jest za późno. Julia poszukuje pewnie swojego Romea.

- Tak to już ten świat jest skonstruowany, że każdy poszukuje swojego Romea albo swojej Julii - odpowiedział mi Bond, filozofując. - A w dodatku te poszukiwania zazwyczaj kończą się jeśli nie tragicznie, to przynajmniej źle.

Pewnie pomyślał o żonie. To znaczy o byłej żonie.

- Ależ skąd - uśmiechnęłam się promiennie. - To zależy od punktu widzenia. Jeśli miłość jest wieczna, to Romeo i Julia żyją sobie gdzieś tam w zaświatach, szczęśliwi...

Spojrzał na mnie i zaczął się śmiać.

- Wam, kobietom, to same sentymentalizmy powciskali do głów! Nic dziwnego, że romanse do was przemawiają!

Obraziłam się.

- Nie jestem sentymentalna, tylko staram się myśleć optymistycznie. A romansów nie czytam! - dodałam, myśląc o ostatnim, który przeczytałam. Płakałam jak bóbr. Bohaterkę spotykały same nieszczęścia, zupełnie jak mnie. A królewicz z bajki okazał się jakimś psychopata.

Jerzy zaparkował przed moim blokiem.

- Dziękuję i do widzenia - powiedziałam oschle i nie czekając na nic, wygramoliłam się z samochodu.

Faceci naprawdę są okropni! A nigdy nie chciałam wierzyć tatusiowi. I co? Znowu miał rację!

- Ruszaj!

Odwrociłam się.

- Poczekaj, odprowadzę cię do drzwi - powiedział pojednawczo i podszedł do mnie.

Tak! Nie odchodź jeszcze!

- Nie jestem tu pierwszy raz. Trafie.

- Ale możesz się poślizgnąć i stłuc sobie... nogę. A wtedy będę miał okazję wziąć cię na ręce i zanieść do domu.

Ten jego głos... Czuję, jak topnieje moje serce.

- Więcej masz z anioła stróża niż z agenta specjalizującego się w kobiecych przypadłościach - odezwał się kpiąco.

- A ty masz więcej z krnąbrnego dzieciaka niż z poważnej pani w sile wieku - nie pozostał mi dłużny.

Aż stanęłam z wrażenia.

- Odwołaj to - zagroziłam, a jako przekonującego argumentu użyłam śniegowej kulki.

- Tylko spokojnie - usłyszałam w odpowiedzi. - Uważaj na swoje ciśnienie.

Dostał w ucho.

- Całkiem nieźle jak na twoje lata - rzucił ze śmiechem i uchylił się przed następną. Zaraz potem ja dostałam. Po krótkiej śniegowej bitwie Jerzy dał się pokonać, a ja w nagłym przypływie pozytywnej energii zrobiłam orła na śniegu. To był szalony dzień! I pomimo wszystko już dawno się tak dobrze nie bawiłam. Jerzy położył się koło mnie zdyszany i patrząc na rozgwieżdżone niebo, rzucił rozbawionym głosem:

- Już dawno się tak dobrze nie bawiłem.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Czytasz w moich myślach, panie Bond.

Odwrócił się do mnie i podparł głowę ręką. Jego błyszczące jak u małego chłopca oczy do końca roztopiły moje serce.

- Pewnie, a ty potrafisz? O czym teraz myślę? - zapytał rozmarzonym głosem, wpatrując się we mnie intensywnie.

Ton głosu i ta intensywność spojrzenia powiedziały mi wyraźnie, o czym myśli. Jak dobrze, że moje policzki już były zaczerwienione od mrozu. Wstałam szybko i otrzepałam się ze śniegu.

- Późno już. Nie chcę cię zatrzymywać.

- Późno, ale przy tobie zapominam o upływie czasu.

Zaraz, zaraz, czy ja kiedyś powiedziałam, że nienawidzę mężczyzn? Odwołuję publicznie.

Powiedziałam „dobranoc” i cmoknęłam go w policzek. A potem szybko uciekłam na górę.

W mieszkaniu zastałam Justynę i Wiesia, który przyszedł naprawić skrzypiące drzwi. Odniosłam wrażenie, że dogaduje się z Justyną coraz lepiej. Justyna miała wyjątkowo miły wyraz twarzy. Przynajmniej dopóki była jedyną królową na włościach.

- I jak, Wiesiu? Da się naprawić? - zapytałam, przynosząc mu herbatę.

- O, dziękuję - ucieszył się. - Już prawie. Jeszcze raz jutro naoliwię i wszystko powinno być w porządku.

Zapatrzył się na Justynę. Justyna chrząknęła, a na jej twarz wrócił sarkastyczny uśmieszek.

- Gdzieżeś się podziewała, *ma chérie*? Już strasznie późno! Musiałam sama iść do sklepu. To znaczy... - zreflektowała się - Wiesław mi pomógł. I ugotował dla mnie zupę. Sam!

- To miło - powiedziałam radośnie i mrugnęłam znacząco do Wiesia. Zaczerwienił się, więc szybko zmieniłam temat. - Wiecie, jaki miałam niesamowity dzień? Takie rzeczy to się tylko w filmach zdarzają. Najpierw napadli mnie gangsterzy...

Wiesio słuchał z otwartymi ustami, a Justyna obojętnie kiwała się na krześle, jakby jej takie rzeczy zdarzały się codziennie.

- ... potem aresztowała mnie policja...

Wiesio nadal słuchał z otwartymi ustami, a Justyna nadal kiwała się obojętnie na krześle.

- ... i w końcu pojechaliśmy do przedszkola po krasnalą, a tego nie ma.

Wiesio zamknął usta, a Justyna znieruchomiała.

- Jak to go nie ma? To gdzie jest?

- To się dopiero okaże. Ale miałam dzień!

- I ten facet... przekonał cię, żebyś tak przez mur? Nie uważasz, że to dziwne? Facet naraził cię na poważne problemy. Ja bym mu tak nie ufała, *ma chérie*. - Justyna najwidoczniej nie mogła pogodzić się z faktem, że jakiś przystojny facet jest w stanie popełnić dla mnie przestępstwo. - Żebyś jeszcze pamiętała, skąd go znam...

Wiesio spojrzał na mnie przeciągle.

- A nie bała się pani, pani Agusiu? Przecież to chyba karalne. No i trochę nieodpowiedzialne, prawda? Aha, i gdyby pani znalazła tam tego krasnalę i go sobie wzięła, to przecież byłaby kradzież.

- Dokładnie - dołączyła się Justyna. - Gdyby ten facet był odpowiedzialny, namówiłby cię na rozmowę z policją, a nie... przerzucał przez mur po nocy, *ma chérie*.

Mój dobry humor zniknął gdzieś za dziewiątą górą.

- Późno już - wybąkałam. - Dobranoc.

- Twoja matka znowu dzwoniła.

- Zostawiła wiadomość? To coś pilnego?

- Owszem. Zrobiła pierogi. Masz przyjechać jutro, bo odłożyła dla ciebie czterdzieści. Mam nadzieję, że podzielisz się ze swoim gościem.

- I z biednym sąsiadem - uśmiechnął się Wiesio.

A mam inne wyjście?

ROZDZIAŁ 29

Przez całe przedpołudnie próbowałam dodzwonić się do Julii, ale wciąż była nieuchwytna. Jednocześnie dezorganizowałam przyjęcie weselne, co wcale nie było zajęciem przyjemnym ani prostym. W końcu, po upokarzającej walce z własnymi słabościami, postanowiłam jechać do mamy i wypłakać się na jej miękkiej matczynej piersi. A przy okazji zabrać te cholerne pierogi. I nie zamęczać się więcej głupimi wątpliwościami na temat Jerzego. Bo, powiedzmy sobie szczerze, czy facet, który ma taki uśmiech, może być nieodpowiedzialny?

Na klatce schodowej wpadłam na ciotkę Kryskę.

- A! Agnisia! Co za niespodzianka! Ja też do twojej mamy w odwiedziny. Słyszałam, że zapowiada ci się kolejny chudy rok.

A niech to szlag! I nienawidzę, jak się mówi do mnie Agnisia! Uzbroiłam się w anielską cierpliwość i postanowiłam tym razem nie dać się sprowokować.

- Cóż ciociu, okazało się, że...

- Ależ nie przejmuj się! - przerwała mi, wyjątkowo zadowolona. - Wierz mi, jeszcze znajdziesz jakiegoś sympatycznego chłopca. Chociaż... - spojrzała na mnie krytycznie i po chwili dokończyła powątpiewająco: - chłopca to ty już raczej nie znajdziesz...

- Słucham?!

- Chłopca nie znajdziesz - powtórzyła nielitościwie. - W twoim wieku i... sytuacji. W końcu, spójrzmy prawdzie w oczy, używana narzeczona jesteś.

Używana narzeczona!?

- Zostają ci co najwyżej jacyś wdowcy, rozwodnicy i ci... no... gaje, czy jak tam się ich nazywa. Ale wierz mi, na nich nie ma co liczyć - mówiła konspiracyjnym szeptem, rozglądając się, czy czasem któryś nie podsłuchuje. - Generalnie zostają ci z odzysku. No i wieczni kawalerowie, ale z

nimi to jak z tymi... no... gajami. Na dłuższą metę bezużyteczni.

Wyżywałam się na dzwonku, ale jak na złość nikt nie otwierał drzwi.

- Mamy chyba nie ma, więc...

- Ale głowa do góry - ciągnęła pocieszającym tonem, chwyciwszy mnie za ramię. - Jak to mówią: każda potwora znajdzie swego amatora, czyż nie?

Nie wytrzymałam.

- Chyba nie. Cioci na przykład się nie udało.

Wyraz jej twarzy uległ gwałtownej zmianie. Z triumfującej harpii przestoczyła się w bezbronną ofiarę. Rzuciła mi spojrzenie zarzynanego prosięcia.

- No wiesz, Agnisiu, nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała. - Na moment puściła moją rękę, tragicznym ruchem wyciągnęła z torebki odpowiedni rekwizyt, czyli sztywno wykrochmaloną chusteczkę, i zaczęła teatralnie smarkać. Zaraz potem chwyciła mnie jeszcze mocniej. - Tak się wyśmiewać ze starszej kobiety. Tak kopać leżącego!

Otworzyłam szeroko oczy.

- Ależ ciociu... Ja przepraszam. Ja tylko...

- Nic nie mów, dziecko. Ja wiem. Ja wszystko wiem. Kpisz sobie ze mnie, ale gdybyś wiedziała, co ja przeżyłam przez mężczyzn, ile ja się wycierpiałam w życiu... Ja mam zdiagnozowany mężczyznowstręt; to jak powracająca nerwica. Ale gdybym tylko chciała, to...

Jasne! Zdecydowałam jednak, że nie warto z nią zadzierać. Poza tym rodzina jest najważniejsza.

- Przepraszam, ciociu, ja naprawdę nie chciałam cioci urazić.

Nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Skupiała się tylko i wyłącznie na swojej roli nowożytnej Pytii.

- Zobaczysz, przyjdzie taki czas, że ty też odkryjesz, że się starzejesz, a mężczyźni...

Dzyń! Dzyń!!! Dzyt! Matko jedyna, zepsułam dzwonek! Puk!!!! Puk!!!! Nikogo nie ma. Dlaczego, do cholery, rodziców nigdy nie ma wtedy, kiedy ich najbardziej potrzebujemy!?

- Mężczyźni zawsze wolą młodsze. Zobaczysz, jak to jest. Jak co miesiąc będziesz wyczekiwać okresu, bo menopauza stanie się twoim

największym koszmarem. Jak kobiety zaczną ci ustępować miejsca w tramwaju. Jak życie zacznie się kręcić wokół styp, a twoją największą rozrywką będzie czytanie klepsydr i pocieszanie wdów. Wszystko przed tobą. Pamiętaj, ja nie mam monopolu na samotność, a tym bardziej na starość!

W jej podstarzałych ustach zabrzmiało to złowrogo i dziwnie przekonująco. W obawie o własne zdrowie psychiczne zdecydowałam się na ucieczkę.

- Przepraszam, ciociu, muszę uciekać.

- Z twoim charakterkiem po czterdzieście będziesz nie do życia - zawyrokowała, nadal nie puszczając mojej ręki.

- Ależ ciociu, podobno życie zaczyna się dopiero po czterdzieście - rzuciłam pojednawczo, starając się odzyskać władzę nad swoim ramieniem.

- Życie po czterdzieście to się, kochaniutka, najwyżej zacina - powiedziała dobitnie, po czym, przyjąwszy w końcu do wiadomości, że nikogo nie ma w domu, westchnęła ciężko. - Na twoją matkę też nigdy nie można liczyć, a ten twój ojciec jest absorbujący jak małe dziecko. Możesz już iść - powiedziała łaskawie i zwolniła wreszcie moją rękę. Gwałtownie odskoczyłam. - Do widzenia, Agnisiu. Przebaczam ci twoje złośliwości, bo wiem, że przeżywasz trudne chwile. Cóż... Może ci się jeszcze uda złapać męża - dodała powątpiewająco i nie spojrzawszy na mnie więcej, poszła sobie.

Ciężko dysząc, oparłam się o drzwi. Zapowiada się pechowy dzień. Spotkać ciotkę Kryskę to jak zobaczyć czarnego kota. Nie żebym była przesądna, ale uważam, że tych parę kroków do tyłu nie zaszkodzi zrobić. Na ciotkę Kryskę jednak żadne odczyniania nie pomagają. Po prostu przynosi pecha. Nieodwracalnego pecha.

Po chwili doszłam do siebie i wściekła, postanowiłam pojechać prosto do przedszkola, zapytać o los krasnala numer jeden. Po drodze humor znacznie mi się poprawił, kiedy uświadomiłam sobie, że Jerzy jest w sumie z odzysku. A więc, drogie panie, *let's recycle!*

ROZDZIAŁ 30

W przedszkolu panowało niezwykle zamieszanie, bo dzieciaki miały próbę generalną jasełek. Na scenie stała wielka stajenka zbudowana z kartonów po mleku, na której jakieś dziecko zdążyło już napisać czarną kredką KUPA. Ze żłóbka wypełnionego siankiem malowniczo wystawały nogi lalki grającej Jezuska. Lalka miała pomalowane na czerwono paznokcie i mocny makijaż, nad którym biedził się już od jakiegoś czasu wyspecjalizowany zespół przedszkolnych wizażystek w składzie: dwie anielice i trzy gwiazdki. Na krześle obok żłóbka siedział Józef, dłubiąc w nosie i przyglądając się z zaciekawieniem garstce rodziców, którzy przyszli na próbę generalną. Trzej królowie bawili się doskonale, szczypiąc jeden drugiego po pupie, a aniołki z czwartego rzędu pluły na te z pierwszego, co z kolei wywoływało diabelski śmiech pozostałych dwóch rzędów aniołków. Brakowało Maryi, która zniknęła gdzieś, zawodząc histerycznie, bo jedna gwiazdka powiedziała jej, że jest za gruba, żeby grać Maryję, i dostała tę rolę tylko dlatego, że jest wazeliniarą. Pozostawało pytanie: co to jest wazeliniara?

Czekałam cierpliwie na panią Jadzię, której fioletowe kozaczki na kornach wyjątkowo rzucały się w oczy. Obserwowałam, jak niezwykle zaferowana biega w kółko, nie będąc w stanie udzielić właściwej odpowiedzi na żadne pytanie niezwiązane z przedstawieniem. Postanowiłam zatem przeczekać całe piekło i porozmawiać z Mikołajem. Niestety, jak na złość nie mogłam go nigdzie znaleźć.

- Słoneczko, nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Mikołaj ze starszaków?
- zaczęłam jednego pucatego chłopczyka, który cudnie wyglądał z aureolą przyczepioną do złotych loków.

- Nie jestem pani słoneczkiem - odburknął. - A Mikołaj nie jest ze starszaków, tylko z Laponii, a poza tym przychodzi tylko do grzecznych dzieci, nie wie pani? - Spojrzał na mnie krytycznie i na odchodnym rzucił

jeszcze: - Na pani miejscu nie liczyłbym na wiele.

Co? Czyżby następny rozczarowany prezentem? Szukałam dalej. Nagle usłyszałam dziwny odgłos dochodzący spod długiego stołu przykrytego ciemnozielonym obrusem. Zaraz potem coś chwyciło mnie za nogę.

- Rany boskie! - przestraszyłam się.

- Pst, ciociu! - usłyszałam zduszony głos Mikołaja.

Przykucnęłam i zastanawiając się, czy tym razem jest pod wpływem Ali czy Euzebiusza, wlażłam pod stół. Powitały mnie kłęby kurzu unoszące się leniwie nad zgnilozielonym linoleum i Mikołaj ssący nerwowo kciuk. Jego oczy wyglądały jak wielkie latające spodki.

- Dobrze, że przyszłaś, bo nie wiem, co robić! No bo jadłem bułkę z serem i wtedy zawołała mnie Ala, i ja poszłem, i poszłem jeszcze po drodze do WC, a ona chciała mi coś pokazać i pokazała, a ja kogoś zobaczyłem, no i ja sobie przypomniałem i od razu się schowałem - gorączkował się.

- Zaraz, zaraz kochanie. Jeszcze raz, powoli. Co ci, na miłość boską, Ala pokazała!? O co chodzi?

- On tu jest - wyszeptał czerwony z emocji.

- Ale kto!? Euzebiusz?

- Nie, ten gangster, ciociu! Ten podwójny! Tylko że teraz jest pojedynczy.

Uśmiechnęłam się do niego łagodnie. Biedne dziecko. Cała ta historia wywarła na nim większe wrażenie, niż myślałam. Przecież jak się Marek dowie, to mnie zamorduje. Może by tak dzieciaka do terapeuty?

- Ale to niemożliwe, kochanie... - postanowiłam przegonić jego strachy.

Nie dokończyłam, bo nagle mignęły mi charakterystyczne kozaczki pani Jadzi i jak zwykle zareagowałam bez zastanowienia.

- Poczekaj chwilkę, Mikołaj - rzuciłam i gwałtownie wyłoniłam się spod stołu tuż przed przemykającą przedszkolanką. O mały włos nie spowodowałam poważnej w skutkach kolizji.

- Jezus Maryja! - oniemiała pani Jadzia. Chwyciła się kurczowo oparcia krzesła i zaczęła przyglądać mi się podejrzliwie. - Pani Rusałka!?

Chrząknęłam zażenowana.

- Przepraszam, ja tylko małe pytanko! Pamięta pani na pewno tego krasnoludka. Taki nieduży... - zmieszałam się, widząc jej podejrzliwy wzrok - gipsowy, taki do ogrodu.

Pokiwała potakująco głową, nie przestając trzymać się krzesła. Miałam wrażenie, że obawia się jakiegoś niespodziewanego ataku z mojej strony.

- Czy mogłabym go dostać z powrotem? - wypaliłam w końcu cała czerwona. - Bo widzi pani... Au! - wrzasnęłam nagle.

Mikołaj niespodziewanie pociągnął mnie za nogę. Cały podniekscytowany, machał mi ręką, o mało co nie ściągając obrusa razem ze wszystkimi świątecznymi wypiekami.

- Aj! - krzyknęła pani Jadzia i zasłoniła się krzesłem. - Co się dzieje!? Co pani jest!?

Odsunęłam się nieco od stołu.

- Nic takiego, chodzi o krasnalą, bo się okazało, że jeszcze mi będzie potrzebny.

Pani Jadzia spojrzała na mnie pogardliwie.

- Taak. Potrzebny? W takim razie muszę panią zmartwić. Ktoś go zdewastował, droga pani, pomalował w jakieś swastyki i jeszcze niecenzuralne słowa się na nim pojawiły. - Rozejrzała się wokoło, czy nikt nie słyszy. - Uczą dzieci angielskich przekleństw.' Jakieś FUCK i PIS OFF. Pewnie globaliści. Za grosz szacunku dla pięknej tradycji polskich wulgaryzmów! No i wyrzuciłam. Nie miało sensu go trzymać. Żeby dzieciom nie było przykro, przyniosłam innego. Jeśli chce pani tamtego z powrotem, to obawiam się, że śmieci już wywieźli. Ale wie pani, że ktoś już mnie o niego dziś pytał? Taki sympatyczny pan. Czarnym samochodem przy jechał...

Przerwał jej nagły huk. Dwa rzędy aniołków runęły na szopkę. Nie żegnając się nawet, pobiegła ratować scenografię, a ja zostałam sama koło stołu z zielonym obrusem, zastanawiając się, kto to mógł być.

Spojrzałam z zamyśleniem na Mikołaja, który po raz setny dawał mi jakieś znaki. W końcu podążyłam za jego spojrzeniem i... zamarłam. Ale tylko na chwilę. Zaraz potem bezwiednie opadłam na kolana. Jakaś pani w czerwonej spódniczce z limitowanej serii „z tyłu liceum, z przodu muzeum” spojrzała na mnie ze zdziwieniem i na wszelki wypadek wycofała

się dyskretnie. Na widowni, w pierwszym rzędzie, tuż obok stajenki, siedział gangster numer jeden lub dwa, trudno powiedzieć, i z szerokim uśmiechem przyglądał się całej jasełkowej katastrofie oraz Józefowi, któremu całe to zamieszanie ani na chwilę nie przeszkodziło w dłubaniu w nosie.

- A nie mówiłem? - oświadczył triumfalnie Mikołaj. - I co teraz robimy, ciocia? Będziem bić?

W głowie mi huczało. I co teraz? Bynajmniej nie miałam zamiaru się ujawniać. A może powinnam od razu zadzwonić na policję?

- A wiesz, że to jest chrzestny Ali? - dobił mnie Mikołaj.

Spojrzałam na niego zrozpaczona.

- Słucham!?

- Ale nie przejmuj się, Ala nas nie wsypie, prawda, Ala? - zwrócił się do kogoś, kto najwidoczniej umknął mojej uwagi. Schowana za obrusem, siedziała wyrośnięta dziewczynka z zadartym nosem.

- To jest Ala - przedstawił mi ją Mikołaj.

Dziewczynka nic nie mówiła, tylko wpatrywała się we mnie przenikliwie. Potem nagle poderwała się i uciekła.

- Fajna, nie?

- Tak.

Zamyśliłam się. Z bezruchu wydobyło mnie dopiero delikatne chrząknięcie.

- Przepraszam, czy coś się stało? - zapytał jakiś mężczyzna w czerwonej koszuli. Zgięty wpół, trzymał brzeg obrusa, uśmiechając się zachęcająco do mojego dekoltu.

- Nie, a dlaczego? - zrobiłam zdziwioną minę, jak gdyby siedzenie pod stołem było szeroko przyjętą normą społeczną.

Mężczyzna speszył się, ale odpowiedział:

- Bo siedzi pani pod stołem i rozmawia sama z sobą.

Spojrzałam tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się Mikołaj. Już go nie było. Wyruszył zapewne na poszukiwanie Ali.

- Ależ skąd! - obruszyłam się. - Ja tylko... kolczyk zgubiłam.

- To ja pomogę szukać - zaoferował się gorliwie i padł koło mnie na kolana. - Wie pani, wyczerpują mnie takie imprezy - zaczął konfidencyjnym szeptem. - Tyle dzieci. A ja mecz mam w telewizji. Dzieciaki to nas

do poświęceń zmuszają Ale, ale... Przecież pani ma w uszach oba kolczyki. Odruchowo chwyciłam się za uszy.

- A czy ja powiedziałam, że ten kolczyk noszę w uchu?

- A niby gdzie? - zbaraniał.

- To moja tajemnica - szepnęłam i mrugnęłam okiem, dając pole do popisu jego wyobraźni.

Z wrażenia uderzył się w głowę. Dziwne, jak na facetach robią wrażenie takie rzeczy. Te ich fantazje erotyczne. Wystarczy dać facetowi do zrozumienia, że się ma jakiś gadżet czy rysunek w intymnym miejscu, a zrobią wszystko, żeby go zobaczyć. Na moje szczęście zaraz zjawiła się żona milego pana i zmusiła go do wyjścia spod stołu. Biedak, ale się musiał natłumaczyć!

Powolutku wychyliłam głowę. Bez zmian. Gangster nadal tkwił w centralnym miejscu sali i w dodatku rozglądał się ciekawie dookoła. I co tu robić? Co robić? Mikołaja nigdzie nie było widać. Postanowiłam zniknąć. Na kolanach zaczęłam przesuwać się w kierunku wyjścia.

- Patrz, mamó, jakaś niedorozwinięta... - dziewczynka w różowej sukience okazała się bardzo spostrzegawcza.

- Kochanie, nie pokazuj palcem, bo możesz kogoś urazić.

Ależ skąd. Niby czemu?

Dopelzłam do końca stołu. Do drzwi zostało jeszcze jakieś pięć metrów bez żadnej osłony. Rozważałam przez chwilę swoje szanse i już, już miałam poderwać się do lotu i zniknąć, kiedy nagle na wysokości moich oczu pojawiły się dwie pary nóg. Jedna para męska, obuta w piękne czarne mokasyny, i druga dziecięca, w różowych tenisówkach.

- Tu jest... - usłyszałam złośliwy szept zdradzieckiego bachora. - Schowała się pod stołem.

Zagryzłam wargi. Po chwili konsternacji nogi przykucnęły, a ich właściciel wsadził głowę pod stół.

- Witam panią, jaki ten świat mały, prawda? - gangster miał wyjątkowo przyjazny ton głosu.

Od razu go rozpoznałam. Gangster numer dwa, bez cienia wątpliwości.

- Za mały - mruknęłam pod nosem i uśmiechnęłam się cierpko.

Ala pobiegła obserwować zamieszanie na scenie, a on chwycił mnie za ramię i wyciągnął spod stołu. Zdziwił mnie jego delikatny uścisk i ałtosa skóra rąk.

- A pani wie, że nasz szef to się dopiero teraz zdenerwował...

- A niby czemu? - zapytałam, patrząc mu prosto w oczy. - Ja w ogóle nie rozumiem, o co panom chodzi.

Uśmiechnął się czarująco i puścił moje ramię.

- Nie wiem, czy pani udaje, czy naprawdę nie wie, o co chodzi. Muszę jednak przyznać, że robi to pani z ogromnym wdziękiem. - Przynął swoje usta do mojej dłoni. - Może kolacja?

Zbaraniałam.

- Nie rozumiem.

- Zapraszam panią na kolację. Już ostatnio wywarła pani na mnie pewne wrażenie. Oczywiście, wtedy nie mogłem zrobić pierwszego kroku, bo etyka zawodowa zabrania mi mieszać pracę z przyjemnością, rozumie pani. Ale to musi być przeznaczenie, jakaś niepojęta siła pcha nas ku sobie jak fale do brzegu. Nie uważa pani? Ja... chciałbym z panią porozmawiać. A właściwie to czuję taką potrzebę... Obiecuję, że zagram dla pani swój popisowy numer.

- Popisowy numer? - zrobiłam wielkie oczy.

- Tak. Wie pani, jestem pianistą i kompozytorem. Litościwi wielbiciele nazywają mnie nawet Mozartem - spuścił skromnie oczy.

Tego mi jeszcze brakowało! Rozchwianego emocjonalnie gangstera-artysty!

- Ach tak. To znaczy nie! To znaczy, ja nie wiem, czy...

- Pani jest artystką, jak ja. Jesteśmy pokrewnymi duszami, czy pani tego chce, czy nie. Malarstwo i muzyka od zawsze się uzupełniały.

Skąd on, matko jedyna, wie, że ja maluję!?

- To jak? Kiedy wyświadczy mi pani ten zaszczyt? - Jego wzrok zawisł wyczekująco na moim biuście.

- Wie pan, ja...

- Musi się pani zastanowić nad terminem, prawda? Ależ oczywiście - wcisnął mi do ręki numer telefonu. - Tylko proszę się szybko zdecydować, to dosyć istotne. A tutaj... - rozejrzał się i pomachał Ali, która stała przy

szopce, jawnie nas szpiegując - to nie jest miejsce na rozmowę. A tak poza tym to Konstanty jestem, dla przyjaciół Mozart. Proszę dzwonić o każdej porze, tylko... gdyby przypadkiem spotkała pani mojego brata... Pamięta go pani, prawda? Taki trochę podobny do mnie. Proszę mu nic nie mówić. To będzie nasza tajemnica. On nie rozumie takich rzeczy. Zero inteligencji emocjonalnej - powiedział z niesmakiem. - To taki prostak.

Jak zwykle w takich momentach zadzwonił telefon, dając mi chwilę na odzyskanie równowagi. Trzęsącą się ręką odebrałam.

- Cześć, Julia mówi. O co ci, kochaniutka, chodzi, bo nie do końca do mnie dotarło? Masz jakiś problem!? Myślisz, że ja nie mam nic innego do roboty, tylko chodzić po przedszkolach i jakieś krasnale podmieniać!?

Nie przerywałam jej. Gangster patrzył na mnie namiętnie.

- Aga, jesteś tam, do cholery?

- Tak, jestem. Strasznie cię przepraszam. Coś mi się pomyliło.

- No - uspokoiła się. - Brałaś coś wczoraj? Z tym facetem byłaś?

- Tak.

- No i...? Może byś coś ciekawego opowiedziała? Całowałaś się z nim w końcu?

- Daj spokój! - Mrugnęłam okiem do gangstera, który i tak tego nie widział, bo jego wzrok znowu zjechał na mój dekolt.

- No co? Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, nie? Mam prawo wiedzieć! A może nie chcesz gadać, bo zasłizście już dalej, co? Świntuszyło się...

- Proszę cię...

- Ty latawico!

- Julia, zadzwonię do ciebie później. - Wyłączyłam się bez pożegnania.

Uśmiechnęłam się przepraszająco do gangstera.

- Przepraszam, ja...

Znowu dźwięk dzwonka. Wściekła, odebrałam.

- Słuchaj, zapomniałam ci powiedzieć. Nigdy byś nie zgadła, kto się u mnie zjawiał.

- No?

- Zgadnij!

- Święty Mikołaj? - zapytałam zjadliwie. - Słuchaj, ja nie mam teraz czasu...

- Biuściasta blondyna z wytatuowanym na dłoni motylem! - usłyszałam triumfalny głos. - Jacek ją do mnie przysłał! To musi być ta jego kochanka! Nazywa się Aneta Zaleska!

- Słucham!?! - Gwałtowny skurcz sparaliżował mi pół twarzy.

- I chciała kupić moje krasnale! Wyobrażasz sobie, jaki tupet!?! Oczywiście odpowiednio ją potraktowałam. Potem mi powiedziała, że ja nic nie rozumiem i żebym skontaktowała ją z tobą.

- Ze mną? - A już wydawało mi się, że nic mnie bardziej nie może zdziwić.

Gangster Konstanty, czekając cierpliwie, aż skończę, bezustannie wpatrywał się w mój biust. Jezu, ile czasu facet może jednorazowo gapić się kobiecie w dekolt!?

- Tak! - produkowała się podekscytowana Julia. - Błagała, żebyś do niej zadzwoniła, to ona ci wszystko wyjaśni.

Co ona mi może wyjaśnić!?! Że cierpi na miłosną kleptomanię?

- Wypytywała, czy nie zostawiłaś mi żadnego krasnala na przechowanie. I muszę ci powiedzieć, że... nawet żal mi się jej zrobiło.

- Że co proszę!?! - wycodziłam, z trudem utrzymując równowagę. Odniosłam wrażenie, że gangster ćwiczy rozpinanie mojego biustonosza siłą umysłu. - Żal!?!

- Wiesz, strasznie wyglądała. Taka jakaś była... zastraszona. W każdym razie przyślę ci esemesa z jej numerem.

- Dzięki. - Skończyłam rozmowę, a gangster nareszcie spojrzął mi w oczy.

- Proszę do mnie zadzwonić. Będę czekał.

- Tylko, że ja...

Dzwonek. Do cholery jasnej!

- Zapomniałam ci powiedzieć, że zawsze możesz na mnie liczyć. I pamiętaj, jak zaczniesz się wydawać, że jesteś królową Śnieżką, to daj mi znać. Znam dobrego psychiatrę. Bardzo dyskretny.

Gwałtownie wyłączyłam telefon.

- Przepraszam, muszę pędzić. Praca.

- Ależ oczywiście. Było mi niezmiernie miło. I proszę pamiętać - pogroził mi palcem - nie da się oszukać przeznaczenia. Proszę koniecznie do mnie zadzwonić... Aha, i wie pani co? Nie radzę dzwonić na policję. To w

niczym nie pomoże, tylko zaszkodzi. Naprawdę, nie warto. Będę czekał na wiadomość.

Zaczął się przedstawienie. Gangster Konstanty pożegnał mój dekolot krótkim, acz intensywnym spojrzeniem i wrócił na swoje miejsce koło stajenki, gdzie czekała na niego zniecierpliwiona Ala. A ja zamknęłam za sobą drzwi i trzęsąc się ze strachu, znalazłam się wreszcie na świeżym powietrzu.

Musiałam wyglądać jak rybka, która wyskoczyła z akwarium, bo przechodząca akurat pani sprzątaczką koniecznie chciała napić mnie wodą. Miała z sobą tylko wiaderko z szaroburymi pomyjami, tak więc na wszelki wypadek podziękowałam gwałtownym ruchem ręki. Widząc jednak, że pod pachą ściska worki na śmieci, na migi poprosiłam o jeden. Podała mi szybko, patrząc na mnie podejrzliwie. Gwałtownie zaczęłam dmuchać. Po kilkunastu sekundach mój oddech się unormował.

- Dziękuję - wydyszałam.

Gałki oczne powoli wracały na swoje miejsce.

Kobieta pokręciła z niedowierzaniem głową i chwyciła za wiaderko.

- Nie może pani robić tego gdzie indziej? Przecież w każdej chwili jakieś dziecko może panią zobaczyć! Jak pani nie wstyd! Morfinistka! - Jednym szarpnięciem odebrała mi worek i nie oglądając się na nic, zatrzasnęła drzwi.

Ze stanu osłupienia wyrwał mnie dopiero dźwięk przychodzącego esemesa. Julia przysłała mi numer motylicy. Usiadłam w samochodzie i bez zastanowienia wstukałam te cyferki. Z drżeniem serca czekałam na nieznaną, a już znienawidzoną głos kobiety, która zniszczyła moje marzenia, zniweczyła plany, odebrała mężczyźną i darmową opiekę stomatologiczną.

Ciekawe, co takiego ma mi do powiedzenia? Ciekawe, co za chwilę usłyszę?

„Nie ma takiego numeru!”

Podskoczyłam, słysząc męski głos. Po chwili dotarło do mnie, że to tylko nagranie z automatu.

Nie ma takiego numeru?

Zadzwoiłam do Julii, która potwierdziła, że ten właśnie numer podała jej Zaleska. Przez chwilę biłam się z myślami, a potem postanowiłam działać. Zero tolerancji dla kochanek! To był doskonały pretekst, by rozmówić się z motylicą jak kobieta z kobietą. Raz-dwa po twarzy i do widzenia. Postanowiłam pojechać do niej osobiście. Najpierw jednak zadzwoniłam do Jerzego i opowiedziałam mu o spotkaniu z gangsterem i wizycie zastraszonej Anety u Julii.

- To jak? Jesteś zainteresowany wycieczką do pani Zaleskiej? - zapytałam, udając, że ta cała sprawa obchodzi mnie mniej niż zeszłoroczny śnieg.

- Tak - wydawał się nieco rozkojarzony. - A masz jej adres?

- Nie. Ale znam kogoś, kto ma.

- Kogo?

- Recepcjonistkę z kliniki Jacka. Ma dostęp do bazy danych wszystkich pacjentów. To może przyjadę po ciebie i...

- Nie! - głos w słuchawce przerwał mi zdecydowanie. - Umówmy się przy klinice.

- W porządku - zgodziłam się, gryząc wargi. - A co? Wstydzisz się mnie?

- Nie, ale jeśli chcesz przyjść na wizytę, musisz umówić się przynajmniej dwa dni wcześniej - usłyszałam jego śmiech. - Poważnie mówiąc, mam jeszcze tylko jedną pacjentkę i nie zdążyłabyś dojechać.

- Aha, nie tłumacz się! - Pokazałam język telefonowi.

Długa kolejka fantastycznych dziewcząt odpowiednio obdarzonych przez naturę. Czy to casting na modelkę? A może przesłuchanie do reality show? Nie! To kolejka do gabinetu doktora Bonda. Czy zdąży przebadać wszystkie? Nie! Dostępny będzie jeszcze tylko przez pół godziny. Jeszcze tylko jedna pacjentka. Jedna szczęśliwa. Która to będzie? Która? Doktor Bond wychodzi na zewnątrz, tłum zrywa się z ławek, jak sztandary powiewają zdjęte w emocjach koszulki. Ja! Ja! Proszę wybrać mnie! Pisk, krzyki, przepychania...

- Może pani Marlena.

Otrząsnęłam się.

- To za pół godziny. Na razie.

ROZDZIAŁ 31

Skierowałam się prosto do kliniki stomatologii przy ulicy Kazimierza Wielkiego, w której Jacek praktykował leczenie zębów, a także, jak się okazało, wymachiwał czymś więcej niż tylko końcówkami unitu stomatologicznego. Powoli wjechałam na parking i zgasiałam silnik. Przez chwilę wpatrywałam się nieruchomo w oświetlone okna, a wspomnienie wbiło mnie w fotel. On i ona w blasku lampy. Jak w scenariuszu jakiegoś filmu erotycznego z serii „przychodzi pani do dentysty”.

Bardzo niechętnie wysiadłam z samochodu i weszłam do środka. Poczulałam ten nieprzyjemny zapach gabinetu dentystycznego, od którego od razu rozboleły mnie zęby. W recepcji niezmiennie królowała Ilona i piłowała sobie paznokcie. Była jedną z tych dobrze utrzymanych kobiet, które zawsze mają czas na *manicure*.

- A!!! Kto tu w końcu zajrzał! - ryknęła Iżawo, nieudolnie starając się ukryć podekscytowanie. - Jak tam, pani Agnieszko? Strasznie pani współczuję!

Taak. W takich sytuacjach zawsze można liczyć na miłe, współczujące koleżanki.

- Cóż... Jakoś się trzymam. Co mi innego pozostaje?

Ilona była podobnego zdania. Rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje, po czym oświadczyła konspiracyjnym szeptem:

- Wie pani co? To mój szef, ale nie mogę uwierzyć, że potrafił takie świństwo komuś zrobić! Zostawić przed ołtarzem!

- To ja go zostawiłam - sprostowałam cierpliwie.

Wydawała się nie słyszeć.

- A wie pani przynajmniej dla kogo? My tu wszyscy umieramy z ciekawości! A... może herbaty? - Ilona była święcie przekonana, że herbata uczyni ją nieśmiertelną. A jeśli nie nieśmiertelną, to przynajmniej młodą aż do śmierci.

- Nie, dziękuję, ja właściwie tylko chciałam o coś zapytać.

- Tak?
- Pamięta pani może jedną pacjentkę? Nazywa się Aneta Zaleska.

Utkwiła we mnie wzrok i zmrużyła oczy, starając się sobie przypomnieć.

- Duży biust, tlenione włosy i tatuaż motyla na prawej dłoni.
- Właśnie ta - potwierdziłam, odwracając wzrok.
- Ja...

Przerwałam, bo wydała z siebie urywany dźwięk, przypominający ostatnią sekwencję hejnału krakowskiego. Na jej końskiej twarzy zobaczyłam olśnienie.

- Och! To ta zdzira!
- Słucham?
- To ta zdzira!?! To ona, prawda!?! A ja myślałam, że pan Jacek pracy się poświęca, że zostaje wieczorami, żeby klientka była zadowolona!

- Pewnie była - mruknęłam pod nosem, obserwując jej płonąca twarz. Ale będzie miała do opowiadania.

- To ja ją specjalnie wieczorami... jako ostatnią... rejestrowałam! A ta nawet próchnicy nie miała!?! Żeby jej wszystkie zęby wypadły! - Ilona stanowczo nie mogła się pogodzić z faktem, że przeoczyła taką sensację. A przecież o wszystkim mogła wiedzieć pierwsza.

- Potrzebuję jej adresu.
- Adresu? Czyjzego adresu?
- Jej adresu - powtórzyłam z niewinnym uśmiechem.
- A po co?
- Muszę z nią porozmawiać.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie przenikliwie.

- Chce pani jej przyłożyć? Nie spodziewałam się po pani takiej fantazji - perfidnie zmrużyła oczy.

- Życie jest pełne niespodzianek.
- Rany! Ale ja nie mogę! Wie pani, te ustawy o ochronie danych. Mogłabym pracę stracić, gdyby się ktoś dowiedział. Ale wie pani co? Ja muszę wyjść na zaplecze. - Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. - Koniecznie muszę sobie zrobić herbatę.

- Ostentacyjnie włączyła odpowiedni program w komputerze, a potem wyszła, nucąc pod nosem jakąś wojenną pieśń.

Rzuciłam się do komputera i drżącą ręką odszukałam właściwe nazwisko. Najpierw sprawdziłam numer telefonu. Był identyczny z tym, który

podała mi Julia. Zapamiętałam więc adres. A zaraz potem wróciła Ilona z filiżanką herbaty.

- Dzięki, Ilonka.

- Niech jej pani dołoży! Pokaże, że tak się nie robi! Niektórym to się wydaje, że im wszystko wolno. A potem proszę do mnie przyjść na herbatę. Jestem żadna plotek - uśmiechnęła się konspiracyjnie. - A widziała pani zdjęcia ślubne Marzeny? - wypaliła nagle ni w pięć, ni w dziewięć.

Spojrzałam na nią nieprzytomnie. Jakiej Marzeny!?

- Kojarzy pani Marzenę? Nie?

Nie.

- Ta technik, co u nas w piątki bywa.

- Jasne!

Coś mi zaczynało świtać. Ale kogo interesują zdjęcia ślubne jakiejś Marzeny!?

- Ja muszę pani pokazać! - Ilonę najwidoczniej pasjonowały, bo chwyciła mnie za ramię i zaczęła ciągnąć w kierunku zaplecza. - Miała suknię marzenie! Musi pani zobaczyć! Francuską!

Nie było mi to na rękę, ale zważywszy na okoliczności i fakt, że Jerzy miał się zjawić dopiero za dziesięć minut, postanowiłam sprawić jej przyjemność. Z wypiekami na twarzy przytargała gruby album, otworzyła na pierwszej stronie i podetknęła mi go pod nos.

- Proszę spojrzeć, jakiego ona ma przystojnego męża. Nie uważa pani? Taka maskara. To znaczy w sumie to nie jest jakaś strasznie brzydka, ale... taka nieproporcjonalna. Nogi ma strasznie długie, jak szczudła, nie uważa pani? A biust? Przecież jak dzieci wykarmi, będzie go musiała na taczkach wozić. A ten jej Andrzej taki słodki. Pan Jacek też przystojny, ale... Przepraszam, pani Agnieszko - zakryła sobie dłonią usta - nie chciałam.

Z przyklejonym uśmiechem niecierpliwie przerzucałam stosy zdjęć, mimo uszu puszczając jej barwne komentarze. Na szczęście w recepcji rozległ się dzwonek. Ilona z głębokim niezadowoleniem na twarzy wyszła spełnić swój obowiązek. W końcu za to jej płacono. Szybko zamknęłam album i postanowiłam się ewakuować.

Podchodząc do drzwi, usłyszałam nagle podniesiony głos:

- Jak to: nie ma!?

Rozpoznałam go od razu.

- Proszę się uspokoić, panie Malinowski! - Dramatyczne wysiłki Ilony, zmierzające do uspokojenia wściekłego mężczyzny, spełzły na niczym. Z doświadczenia wiedziałam, że Malinowski uspokoi się dopiero wtedy, kiedy sam będzie chciał.

- To gdzie on jest!? Jestem przecież umówiony!

Zaciekawiona, ostrożnie zerknęłam przez szparę w drzwiach.

Malinowski miotał się z kąta w kąt, trzymając nerwowo swój tupecik. Postanowiłam się nie ujawniać.

- Niestety, dziś nie przyjmuje. Przecież zostawiłam panu wiadomość. Wizyta została przesunięta.

- Co mi tu pani opowiada!? Jak nie przyjmuje!? A gdzie on jest!?

- No... - Ilona zawahała się. - Jak by to powiedzieć? Zatrzymało go coś...

- Co mi tu pani opowiada! Proszę do niego zadzwonić i ma się tutaj natychmiast stawić! Inaczej kajdankami się przykuję do drzwi! I nie ręczę za siebie!

O mało nie parsknęłam śmiechem. Jemu najwyraźniej do śmiechu nie było. Tym bardziej Ilonie, która na widok Malinowskiego ściągającego kurtkę zaczęła piszczeć jak pensjonarka i, o zgrozo, obgryzać swoje wypielęgnowane paznokcie.

- Ależ panie Malinowski! To naprawdę nie jest możliwe! Ja nie powinienam nikomu tego mówić, ale pan Jacek został aresztowany...

Zapanowała cisza. Po chwili usłyszałam zmieniony głos swojego szefa:

- Aresztowany? Dureń! Akurat dzisiaj dał się aresztować!? Przecież ja go...

Dotarły do mnie jeszcze jakieś przerażające dźwięki i po chwili drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Wszystko to wydało mi się co najmniej dziwne.

Ilona siedziała w recepcji, dochodząc do siebie. Nerwowo piłowała paznokcie.

- Wszystko w porządku? - zapytałam.

- Słyszała pani, jaki świr? Jezu kochany!

Miałam wrażenie, że pilnik w jej dłoniach zaczyna się topić.

- Niezadowolony pacjent?

- Kolejny niezadowolony czubek! Chyba muszę pracę zmienić! Tu ciągle zjawiają się jacyś dziwni ludzie. Ostatnio było dwóch takich... - Wypuściła pilnik z rąk i rozglądając się bojaźliwie dokoła, ściszyła głos. - Wyglądali jak dwie krople wody. Zamknęli się z panem Jackiem w gabinecie i siedzieli tam chyba z godzinę. Nie wiem, co oni tam robili, ale kiedy wyszli, to pan Jacek wyglądał!, jakby mu wszystkie zęby rwali.

Gubiąc się w domysłach, wyszłam na parking. Nabrałam pewności, że Malinowski ma jakiś udział w całej tej historii. Pozostawało tylko pytanie: jaki?

Czarne volvo stało już na parkingu. Wsiadłam.

- Witaj, Rusalko - usłyszałam elektryzujący głos Jerzego.

Przy takich facetach świat od razu staje się bardziej ekscytujący.

Opowiedziałam mu o wszystkim ze szczegółami.

- I gangster chce się z tobą umówić? - zmarszczył czoło.

- Tak.

Moja kobieca próżność triumfowała, a chochlik stepował. Jako dowód rzeczowy wyciągnęłam z torebki wizytówkę z numerem telefonu gangstera numer dwa.

- Hmm.. - mruknął Jerzy, oglądając wizytówkę. - Nie podoba mi się to.

A mnie tak!

- Mnie też nie... Ale najgorsze jest to, że Mikołaj musiał opowiedzieć tej całej Ali o krasnalu i gangsterach. Mała najwyraźniej skojarzyła fakty i poleciała do wujka. Bo wyobraź sobie, ten gangster rozpytywał już w przedszkolu o krasnała.

- Skąd wiesz? - popatrzył na mnie uważnie.

- Pani Jadzia mi powiedziała. Sympatyczny pan w czarnym samochodzie - zacytowałam słowa przedszkolanki. - Gdybym nie widziała tam tego gangstera, pomyślałabym, że to ty - mrugnęłam żartobliwie okiem. - W każdym razie to już nieważne. Krasnal i tak przepadł. Pomyślałam sobie, że spotkam się chociaż z... Zaleską i dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

Przerwał mi dźwięk telefonu. Nawet nie sprawdziłam, kto dzwoni.

- Do cholery, Julia, jeśli dzwoniysz po to, żeby mi jeszcze raz powiedzieć, że jestem latawicą albo królewną Śnieżką, to ci przyłożę! - warknęłam do słuchawki.

- Jaka latawica? Dziecko, o co tu chodzi? - usłyszałam zatroskany głos mojej rodzicielki.

Gwałtownie poczerwieniałam.

- Zadzwoń później, mamó. Teraz nie mogę rozmawiać, bo siedzę w samochodzie i muszę się skoncentrować.

- To uważaj na siebie i koniecznie zadzwoń, jak tylko gdzieś staniesz. Mam dla ciebie pierogi.

Postanowiłam wyłączyć telefon, który już nie wydawał mi się ułatwiającą życie zdobyczą cywilizacyjną. Wręcz przeciwnie. Komórki zostały wynalezione w celu permanentnej inwigilacji, by matki mogły tłamsić swoje dzieci, mężowie szpiegować żony, a szefowie lokalizować swoich pracowników w najbardziej sekretnych miejscach. To narzędzie zagłady spokoju. Początek końca naszej prywatności. Dowód na istnienie Wielkiego Brata.

Jerzy mrugnął do mnie kpiąco, ale nie skomentował.

- To jak? Pojedziesz ze mną do tej Zaleskiej? - zapytałam, patrząc na niego spod oka.

- Może lepiej do niej zadzwonić. Po co od razu tam jechać?

- Dzwoniłam. Ma zepsuty telefon. A poza tym... taka rozmowa... Kto wie? Może uzdrowi mi duszę?

Kąciki jego ust uniosły się delikatnie do góry, tworząc kpiący i niesamowicie seksowny uśmiech.

- Jeśli to ma uzdrowić ci duszę, to może faktycznie warto. - Roześmiał się już zupełnie głośno. - Tylko wytłumacz mi, w jaki sposób?

- Niech to zostanie moją tajemnicą - odpowiedziałam zagadkowo i zapatrzyłam się w okno.

Prawy sierpowy i po sprawie. Pod wpływem uderzenia twarz zawodniczki Zaleskiej (w czarnych spodenkach) odchyła się gwałtownie, a z karminowych ust wypadają trzy zęby. Zaleska pada na deski. Sędzia podchodzi i wśród huku i wiwatów rozpoczyna odliczanie. Po chwili wzywa lekarza. Potem podchodzi do zawodniczki w białych spodenkach

i podnosi jej dłoń w zwycięskim geście. Nokaut w pierwszej rundzie! A wszystko trwa nie więcej niż pięć sekund.

Jechaliśmy w milczeniu. Zaczęłam jeszcze raz o wszystkim myśleć.

Po co chcę do niej jechać? Przecież to oczywiste. Najzwyczajniej w świecie byłam ciekawa. Byłam ciekawa, o co chodzi z krasnałem, byłam ciekawa, co ona chce mi właściwie powiedzieć, ale najbardziej byłam ciekawa jej samej. Nieee. Ja umierałam z ciekawości! Jak wygląda Aneta Zaleska, kim jest kobieta, która odebrała mi narzeczonego. I jeszcze ma czelność nachodzić moje przyjaciółki! Poczulałam przypływ gniewu. Rozmówię się z nią raz na zawsze! Wyśpiewa mi wszystko, co chcę wiedzieć! Choćbym miała ją torturować! W mojej głowie pojawiła się kusząca wizja torturowania Anety, zainspirowana widzianą jakiś czas temu wystawą średniowiecznych narzędzi tortur.

Co by tu wybrać? Kolo? Nieee. Zbyt pospolite. Ona jest stworzona do bardziej wyrafinowanych rozrywek. To może malezyjski trzewik? Albo kołyskę Judasza? A może zgniatacz głowy? Hmm... A może coś bardziej na czasie, jak wyrywanie paznokci czy biczyk sprawdzający się nie tylko przy chłości? W końcu dziewczyna lubi pofantazjować. Co by tu wybrać? Błada twarz panny Zaleskiej vel motyliicy wskazuje na targającą nią emocje... A może sama wskaże narzędzie tudzież urządzenie, które miałyby ochotę wypróbować? Jaka szkoda, że prerażenie odebrało jej mowę... Ach! Ale przecież znamy dobrze jej preferencje! Tak! Na pewno wybrałyby fotel dentystyczny!

Nie. Nie po to cywilizowany świat idzie do przodu, żebym ja chowała się w mrokach średniowiecza. Westchnęłam głęboko i niechętnie wyrzuciłam z głowy obrazek Anety mdlejącej na widok fikuśnych szczypczyków do wrywania paznokci.

- To tu - przerwał moje rozmyślenia Jerzy.

Spojrzałam na niego zdumiona.

- Niezły jesteś. Masz nawigację satelitarną? Byłeś tu kiedyś?

Nie odpowiedział. Dziwnie spięty wyszedł z samochodu i przypatrywał się uważnie budynkowi z numerem jedenaście. Wzruszyłam ramionami i poszłam w jego ślady. Domek był biały, otoczony niskim czerwonym murem i równo przyciętym żywopłotem. Otwarta furka zachęcała do wejścia. Podeszliśmy do drzwi.

Poczułam lekkie ukłucie w dołku.

- Ja chyba... zmieniłam zdanie. Jednak nie chcę z nią rozmawiać. Jerzy...

- Tak? - zapytał automatycznie, zupełnie mnie nie słuchając.

Nacisnął dzwonek. Przez chwilę nerwowo wpatrywałam się w drzwi. Pozostały zamknięte.

- A nic. Chyba nic - machnęłam ręką.

Trzeba być konsekwentnym. Na wszelki wypadek zaczęłam sobie masować pięść. A może jej nie ma?

Tym razem ja zadzwoniłam, znowu bez powodzenia. Jerzy zniknął za rogiem domu. Spróbowałam jeszcze raz. Drzwi pozostały zamknięte.

- Jerzy, chodź już! Nikogo nie ma - zawołałam z zadowoleniem.

Nie usłyszałam odpowiedzi. Czekałam dłuższą chwilę, po czym zmarznięta, przeklinając pod nosem swojego wiernego przyjaciela pecha, ruszyłam na poszukiwanie Jerzego. Za domem był ogród i taras. Jerzego nie było widać, ale zostawił ślady na ośnieżonych schodach wiodących do drzwi tarasowych. Poszłam więc po śladach. Zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie, a do tego lodowaty wiatr zabawiał się perfidnie moimi włosami.

- Jerzy! - zawołałam bez przekonania.

Trochę zaniepokojona podeszłam do drzwi. Były otwarte. Ogarnęły mnie złe przecucia.

- Jurek, jesteś tam? - Nikt nie odpowiedział. - Halo, jest tam kto!? - krzyknęłam głośniej.

Nic. Przeraziłam się nie na żarty i już miałam wrócić do samochodu, kiedy wreszcie wynurzył się z mroku. Milczący i bez uśmiechu. Odetchnęłam z ulgą.

- Po coś tam włąził? - syknęłam wściekła. - Pewnie zapomniała zamknąć drzwi. Nie wolno się tak komuś ładować do domu. Jesteś nieodpowiedzialny! A jak mnie zaraz nie odwieziesz do domu, to zadzwonię na policję! - oświadczyłam prowokująco, schodząc po schodach.

- Tak właśnie zrobisz - usłyszałam jego opanowany głos.

Obejrzałam się gwałtownie i spojrzałam na niego zdziwiona.

- Ona nie żyje - powiedział.

ROZDZIAŁ 32

Dojście do samochodu, gdzie zostawiłam komórkę, i wystukanie numeru zajęło mi jakieś dwie minuty, choć miałam wrażenie, że trwa to całą wieczność. 997. Boże, jaki to długi i skomplikowany numer!

- Halo? - usłyszałam jakiś zaspany głos. - Policja.

Nerwowo zaczęłam wyjaśniać, co wiedziałam, czyli tylko tyle, że taka a taka nie żyje, i kazałam zawiadomić inspektora Bogusia tudzież podkomisarza Koziolka. Wyłączyłam się. Zrobiło się tak przeraźliwie cicho, że słyszałam, jak moje myśli krzyczą. Najgłośniejszą krzyczała myśl, że morderca mógł jeszcze być w pobliżu. Szybko zablokowałam więc drzwi i siłą umysłu zaczęłam ćwiczyć dematerializację. Przez głowę przelatowały mi tysiące innych krzyczących myśli. Jerzy powinien wrócić do samochodu, a nie siedzieć z trupem! Nie jest patologiem, więc trupy go raczej nie powinny interesować. Trupa już zresztą nie zreanimuje, a jako lekarz jest w stanie chyba od razu stwierdzić zgon. No, chyba że ginekolodzy tylko ciążę potrafią stwierdzić. I to nie zawsze... Ciekawe, czy zwłoki są świeże? Boże drogi, zwłoki? Przeraziłam się własnych myśli. Przecież jak ją widziałam z Jackiem, to była taka żywa, że aż za żywa. A jak nogami fikała...

Postanowiłam śmiertelnie zaryzykować i odnaleźć Jerzego. Drżąc ze strachu, powoli otworzyłam drzwi samochodu i wyszłam na mróz. Był pogodny grudniowy wieczór. W okolicznych oknach migotały choinkowe lampki. Nie rozglądając się, przekonana, że z moim szczęściem mogę gdzieś wypatrzeć mordercę, przebiegłam szybko przez ogród. Śnieg skrzył mi pod nogami. Miałam wrażenie, że słyszą mnie wszyscy w promieniu kilometra. Znowu znalazłam się na tarasie. Rdzawy księżyc odbijał się w przeszklonych drzwiach.

- Jerzy - mojego szeptu nie wychwyciłby nawet ultraczujny radar.

Rozejrzałam się nerwowo. W oknie pokoju na piętrze widać było światło. Przez otwarte drzwi tarasowe weszłam do ciemnego salonu.

- Jerzy...

Nie odpowiedział. Zdesperowana, ruszyłam po schodach na górę. Wpatrując się w jasną smugę światła padającą z pokoju, szłam powoli, starając się opanować drzenie kończyn. Nagle się potknęłam. Spojrzałam pod nogi i zobaczyłam... ją. Leżącą na schodach nieruchomą postać. Zakryłam sobie usta, żeby nie krzyknąć. Jej szkliste oczy wpatrywały się we mnie bez wyrazu, niepokojąco puste i przeraźliwie zimne. Prawa ręka wyciągnięta w oskarżającym geście blokowała przejście, a wytatuowany na dłoni czarny motyl podrywający się do lotu kontrastował z niezwykle białą jej skóry. Odsunęłam się. Pomyślałam bezwiednie, że chyba zrobiła sobie rude pasemka. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to zakrzepła krew. Miała dziurę w głowie.

- Co tu robisz? - Jerzy chwycił mnie zniemacka za rękę.

Podskoczyłam z przerażenia i przytuliłam się do niego z ulgą.

- Boję się - wyszeptalam, nie mogąc oderwać wzroku od jej pustych, patrzących, ale niewidzących oczu.

- Wiem, dziecinko - powiedział, głaszcząc mnie po włosach. - Nie chciałem, żebyś na to patrzyła.

- Gdzie byłeś?

Milczał przez chwilę.

- Sprawdzalem, czy nikogo nie ma - powiedział w końcu. - Telefon nie działa. Chodź, zobacz, co znalazłem.

Pociągnął mnie na górę, do jej sypialni. Na łóżku w najlepsze wylegiwał się... ogrodowy krasnal Julii, uśmiechając się tym swoim beznamietnym uśmiechem. Na szyi miał zaciśnięty sznur, a w brzuchu wielką dziurę.

Wyrażenie „pętla się zaciska” było tu jak najbardziej na miejscu.

Spojrzałam niepewnie na Jerzego.

- To... dowcip jakiś?

- Dowcipny zabójca? Wątpię. Myślę, że to raczej jakiś znak. Ostrzeżenie.

- Znak?

- Tak mi się wydaje. Cała ta heca z krasnałem nie jest przecież przy-
padkowa, prawda?

Wpatrywałam się przerażona w gipsową figurkę.

- A dla kogo to... to ostrzeżenie?

Nie odezwał się, tylko wyprowadził mnie z pokoju. Staliśmy u szczytu
schodów, a ja wyraźnie czułam na sobie oskarżający wzrok nieboszczki.

- Myślisz, że dla mnie? - niebezpiecznie drążyłam temat.

- Myślę, że nie. Raczej dla kogoś, kto nie wywiązał się z umowy. Naj-
wyraźniej Jacek miał dostarczyć komuś krasnała i tego nie zrobił. Więc
ten ktoś postanowił go zastraszyć.

- Ostrzeżenie dla Jacka - wyszeptalam.

Jezu kochany, jak dobrze, że motylca się z nim puściła! Gdyby nie
ona, kto wie, może to ja leżałabym teraz z dziurą w głowie!? No, teraz to
się autentycznie bałam. Chciałaś wrażeń, Rusałka? *Voilà!*

Spojrzałam z wdzięcznością w martwe oczy leżącej nieopodal kobiety.
Kupię jej piękny bukiet na pogrzeb. I mszę zamówię. Albo, co mi tam, pięć
mszy!

- Jak myślisz, kto ją zabił?

- Posłuchaj mnie - powiedział i przyciągnął mnie do siebie. W oddali
słychać było syreny policyjne, które z każdą chwilą stawały się coraz gło-
śniejsze. - Dla ciebie nie ma to najmniejszego znaczenia, dlaczego ona nie
żyje i kto to zrobił. Ty musisz teraz myśleć o sobie. Obiecuj mi, że będziesz
na siebie uważać. - Przycisnął mnie mocniej. - Obiecuj!

Czarne plamki zaczęły mi tańczyć przed oczyma. Nie popłaca zemsta w
stosunku do byłych facetów. Mała złośliwość wzmocniona niezdrową cie-
kawością - i co z tego wychodzi!? Jakiś totalny galimatias, i to w dodatku
śmiertelnie niebezpieczny.

- Obiecuję - wydyszałam podekscytowana jego uściskiem i troską.

Jeszcze raz spojrzałam na leżącą na schodach postać. W tym świetle
stanowczo nie wyglądała korzystnie.

- Halo, policja! - usłyszeliśmy stukanie do drzwi wejściowych.

Jerzy przytulił mnie jeszcze mocniej i zaczął mówić:

- Wszystko będzie dobrze i pamiętaj: cokolwiek się stanie... ja... Możesz na mnie liczyć, bo ja... Wiesz, ja... siebie...

No, dokończ! Wyduś to wreszcie z siebie!

- No, no, no - usłyszeliśmy nagle kpiący głos.

Jerzy puścił mnie gwałtownie. Podkomisarz Koziółek, który najwidoczniej odkrył otwarte drzwi tarasowe, stał na dole i obserwował nas z zadartą głową, paląc papierosa. Papieros musiał być bez filtra, bo wkrótce dotarła do nas toksyczna chmura dymu, a Koziółek, po chwili wnikliwej obserwacji miejsca zbrodni, jakże ważnej dla każdego wzorowego policjanta, upuścił papieros na piękny perski dywan Anety i mocno przydeptał, nie przejmując się zupełnie mętnym spojrzeniem gospodyni.

- Pan Bond, jaka niespodzianka! - Sarkazm w jego głosie był aż za nadto wyraźny.

Nie kryjąc się ze swoim bezczelnym spojrzeniem, zlustrował mnie z góry na dół, a na jego ustach pojawił się ironiczny uśmieszek.

- Jak ty to robisz, Bond, że gdziekolwiek mam tę wątpliwą przyjemność cię spotkać, to zawsze masz przy sobie, powiedzmy, atrakcyjną kobietę.

Powiedzmy!?! A co to, u licha, ma znaczyć!?

- Kwestia nazwiska zapewne. Nie widzę innej możliwości - ciągnął Koziółek.

Co za palant!

Jerzy nie dał się sprowokować. Prawie.

- Prawda, jaki ze mnie szczęściarz? Zawsze mam przy sobie piękną kobietę. Ale ty chyba też nie narzekasz, co? Zawsze ci się trafiają młodzi chłopcy.

Trzech policjantów, którzy zabierali się właśnie do pracy, dziwnym zbiegiem okoliczności dostało napadu strasznego kaszlu.

- Kurz, panie podkomisarzu! - wykaszłał jeden z nich i rozłożył ręce. Potem wszyscy trzej wypadli na zewnątrz, tropić ślady na śniegu.

Koziółek poczerwieniał z gniewu. Spojrzał na rozciągniętą na schodach nieruchomą Anetę.

- Co my tu mamy? Trup na schodach. Włamanie. Ciekawe, jak zamierzają się państwo z tego wywinąć? Czekam na wyjaśnienia! - rzucił groźnie.

Na szczęście los się zlitował i w drzwiach pojawiła się bujna czupryna inspektora Bogusia, który, zostawiwszy Jerzego w pazurach Koziółka, zabrał mnie do salonu Anety na bynajmniej nie ojcowską pogawędkę.

- Chyba z tym ojcem to nie bardzo trafiłem, prawda? - Jego rozczarowane spojrzenie przeszło moje wrażliwe serce.

- Nie bardzo - przyznałam się ze skruchą.

- To teraz proszę wszystko jeszcze raz, jak Panu Bogu.

To przyznałam się do wszystkiego. Z wyjątkiem zabójstwa, oczywiście.

Boguś patrzył na mnie surowo, a ja chciałam tylko cofnąć czas i zmienić bieg wydarzeń.

- Pani Agusiu, tak się na pani zawiodłem. Ja rozumiem, że pani nie miała złych intencji, ale tak nas w bambuko...

Przerwał mu Koziółek, który władował się do pokoju bez pukania.

- Panie inspektorze, skończyłem z Bondem. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania...

Boguś przeprosił mnie na chwilę i zostawił z Koziółkiem, który, zaciągając się mocno toksycznym papierosem, przyprawiał swoje serce o stan przedzawałowy. Poza tym cały czas przypatrywał mi się uważnie, co mnie niezmiernie krępowało.

- Gratuluję pani - rzucił w końcu, znowu wdeptując w dywan resztki peta.

- Niby czego?

- Wygrała pani konkurs na głównego podejrzanego.

- Słucham!?

- Pani ma fantastyczny motyw. Z tego, co pamiętam, to nasz wspólny znajomy, Jacek Żuk, zostawił panią przed ołtarzem dla Zaleskiej.

- To ja go rzuciłam - uściśliłam obrażona.

- I wpadła pani na genialny pomysł zemsty, prawda? Dwie rzeczy, na których Jackowi najbardziej zależało: krasnal i kochanica.

Odebrało mi głos. Co ten człowiek opowiada!?

- Schowała pani krasnalą, mając nadzieję, że Jacek zostanie ukarany przez zleceniodawcę, a Zaleską ukatrupiła pani osobiście.

- Zwariował pan!? - nie wytrzymałam. - Kiedy tu przyjechaliśmy, ona już nie żyła. Proszę zapytać Jerzego...

- Pana Bonda to my tu dobrze znamy - przerwał mi z satysfakcją i zbliżył się na niebezpieczną odległość. - Jako świadek jest... Jak by to powiedzieć? Niewiarygodny. Nie mogę pani zdradzić szczegółów... Powiem tylko, że na pani miejscu nie ufałbym mu tak bardzo. A poza tym pan Bond wydaje się zbytnio ulegać niewieścim wpływom. No, proszę powiedzieć, jakie łączą panią stosunki z Bondem? Bo chyba daleko im do platońskich?

- Jak pan w ogóle śmie zadawać takie pytania! - wykrzyknęłam oburzona.

Nie zdążyłam jednak potraktować go, jak należy, bo do pokoju wszedł Boguś i pospieszył mi z pomocą.

- Koziółek, zachowuj się. Skup się lepiej na śledztwie, a nie denerwuj mi świadków. Idź, sprawdź, czy jakieś istotne ślady zostały zabezpieczone.

Kiedy podkomisarz, ociągając się, wyszedł, Boguś westchnął:

- I co ja mam teraz z panią zrobić? - spojrzał na mnie spod oka. - Muszę pani powiedzieć, że skonsultowałem się z tymi na górze i pojawiło się pewne rozwiązanie, powiedzmy sobie... korzystne dla obu stron. Pani pomaga nam, a my zapominamy o tej niefortunnej historii. Rzecz jasna, jeśli dowody wykluczą panią z grona podejrzanych, w co nie wątpię. Pozostaje pytanie: czy chce pani pomóc policji?

Czy ja chcę pomóc naszym wspomniałym organom ścigania?

- Ależ oczywiście, panie inspektorze! - wydusiłam, gryząc się w język. - Jestem przecież wzorową obywatelką.

- Świetnie. Pora więc wyjaśnić pani kilka niezbędnych rzeczy, nie wdając się na razie w szczegóły. Po pierwsze, jak już się pani na pewno domyśliła, w krasnalu jest coś, na czym bardzo zależy pewnej grupie przestępczej, a jeszcze bardziej policji. Ale policji zależy najbardziej na tym, żeby to coś znalazło się w posiadaniu przestępców. Chodzi o to, żeby policja mogła zgarnąć i to coś, i szefa owej grupy w jednym momencie, rozumie pani?

- No niby tak... Właściwie to... Ale... - zaczęłam niepewnie.

- No właśnie! - oświadczył triumfalnie. - Dlatego już od jakiegoś czasu obserwowaliśmy pani narzeczonego.

- Eks-narzeczonego.

- Mieliliśmy się nie wdawać w szczegóły, prawda? - spojrzął na mnie z wymówką i kontynuował: - Wiemy, że zlecono mi zorganizowanie przesyłki. Przyszła, że przez pewien czas pani także była... pilnowana. Nie mogliśmy wykluczyć pani współudziału.

Aż zagotowałam się z oburzenia. Państwo policyjne! Bogu ducha winnych obywateli inwigilować!? Ja!? Współudział!?

Inspektor Boguś nie przejmował się jednak wypisanym na mojej twarzy świętym oburzeniem, tylko pischzał dalej:

- W dodatku sytuacja się skomplikowała, kiedy okazało się, że postanowiła pani wziąć udział w całej zabawie. No i uzyskaliśmy informację, że krasnal zawiera coś, czego się nie spodziewaliśmy. Zostaliśmy zmuszeni do natychmiastowego działania. Stąd akcja policyjna na parkingu. Nieudana zresztą. Cóż... Sama pani wie, jak to się dalej potoczyło.

- Tak, panie inspektorze, ale żeby od razu inwigilować?

- Wie pani, jak to jest, ponoć kto z kim przestaje, takim się staje.

- Tak? A co pan powie na temat Judasza?

- Proszę pani, nie prowadzimy tu żadnych dysput teologicznych, tylko śledztwo. Czyli twierdzi pani, że krasnal znaleziony w łóżku denatki to ten sam, którego ukradli pani gangsterzy w czarnym bmw?

- W każdym razie wygląda tak samo.

- Będziemy to jeszcze musieli ustalić z panią...?

- Julią Skowronek.

- A teraz wyjaśnijmy sobie, jak będzie wyglądać pani rola w całej sprawie. Dziś jeszcze zwolnimy z aresztu pani narzeczonego.

Eks-narzeczonego!!!

- Jesteśmy pewni, że pierwsze, co zrobi, to skontaktuje się z panią.

- Taak?

- Pani mu powie, gdzie jest krasnal, a reszta należy już do nas.

Zrobiłam wielkie oczy.

- Ale, panie inspektorze, przecież mówiłam, że krasnala już nie mam, proszę zapytać w przedszkolu, ja naprawdę nie kłamie. Wylądował na miejskim wysypisku śmieci!

- Ja wiem - inspektor Boguś podszedł do mnie i mrugnął okiem - ale Jacek o tym nie wie. Powie mu pani, że krasnal znajduje się w schowku bagażowym na Dworcu Głównym i przekaże mu pani klucz do schowka. Liczymy, że ta informacja dotrze do jego szefa. A reszta należy już do nas. Proszę się o nic nie martwić. Schowek numer 21.

ROZDZIAŁ 33

Siedziałam na zielonej kanapie Anety i drżąc z zimna, wpatrywałam się tępo w zarys ludzkiego ciała pod białym prześcieradłem. Obok uwijała się ekipa profesjonalistów z kryminalnego. Anonimowy tłum. Szare postaci pozbawione twarzy. Któraś z nich wyjaśniała mi coś bezbarwnym tonem. Nie doczekawszy się żadnego komentarza z mojej strony, kazała mi otworzyć usta i sprawnie wsunęła do środka patyczek, zabierając próbkę DNA. Ofiarowałam ją niemalże z radością. Przynajmniej tyle mogłam zrobić, żeby pomóc w śledztwie. Na pamiątkę zostawiłam także swoje odciski palców. Zostawiłabym pewnie i własne majtki, gdyby chcieli, tak bardzo zobojętniałam na cały świat. Kiedy moja prywatność została już całkowicie pogwałcona, dostałam do ręki kluczyk od schowka numer 21 i po podpisaniu przeróżnych świstków wreszcie pozwolono mi przekroczyć policyjną taśmę. Jerzy czekał już na mnie w samochodzie, szary i zgaszony. W milczeniu odjechaliśmy, zostawiając za sobą migoczące światła radiowozów i karetki. Wpatrywałam się tępo przed siebie, zastanawiając się, co dalej. Nic już nie wydawało się śmieszne ani ważne. A do tego wszystkiego, kto wie, może zawdzięczam życie kochance mojego eks? To takie nie na miejscu. Biłam się z myślami, czy jest to wystarczający powód, by jej przebaczyć.

- Wszystko w porządku? - Jerzy spojrzał na mnie badawczo. Jego czoło przecinała ostra zmarszczka, której wcześniej nie zauważyłam.

- Cóż, bywało lepiej - mruknęłam. Dalej miałam dreszcze na samą tylko myśl o martwej Anecie. - Wiesz, ja nigdy wcześniej nie widziałam trupa. To znaczy trupa widziałam, tylko zabitego trupa nie widziałam.

- To jakiego trupa widziałaś? Żywego?

- Nie nabijaj się! Pierwszy raz widzę trupa, który nie umarł śmiercią naturalną, tylko ktoś mu pomógł zejść...

- No, jej raczej zejść nie pomogli. Zostawili ją w połowie schodów.

- Zejść z tego świata! Przestań! To mnie wcale nie śmieszy!

Nie odezwał się więcej, a ja zaczęłam żałować, że nie palę.

Podobno to uspokaja.

- Jerzy - powiedziałam z desperacją. - Potrzebuję czegoś na uspokojenie. Nie palę, nie chcę pić, bo to i tak na dłuższą metę nie pomaga. Daj mi jakieś pastylki albo kropelki. Wszystko jedno, czy po nich odlecę, czy świat będzie różowy. Chcę coś wziąć.

Nadal nic nie mówiąc, sięgnął do schowka i wyciągnął z niego buteleczkę z kolorowymi pastylkami. Podał mi jedną. Nie zastanawiając się długo, szybko ją połknęłam. Zrobiło mi się niedobrze. Kiedy już dojeżdżaliśmy do Alej, nie wytrzymałam.

- A co ty mi właściwie dałeś? - zapytałam łamiącym się głosem.

- Ekstazy - powiedział poważnie.

- CO?

Zrobiło mi się naprawdę słabo.

Świat staje się karuzelą, zaczyna wirować coraz szybciej i szybciej, i szybciej... Serce zaczyna bić coraz mocniej i mocniej, i głośniejsze, i głośniejsze... Kolory bledną, pojawia się światło.

Boże drogi, mówią, że przed śmiercią człowiek widzi światło! Czy to już!?

Zobaczywszy moją minę, Jerzy zaczął się śmiać.

- Przecież żartuję! To tylko witamina. Wyglądałaś, jakbyś potrzebowała czegoś na wzmocnienie - dorzucił kpiącym tonem.

Niezidentyfikowanym źródłem jasności okazał się jadący z naprzeciwka samochód na długich światłach.

- Na problemy nie pomagają żadne leki, Rusalko. Trzeba je po prostu rozwiązać. Życie toczy się dalej. Zrób, jak ci kazali, a ja ci pomogę najlepiej, jak będę mógł.

- I tak masz przeze mnie same kłopoty... Dlaczego jeszcze chcesz mi pomagać? - zapytałam podchwytliwie.

Przypomniało mi się, jak ten palant Koziołek przerwał najpiękniejszą scenę dramatyczną mojego życia. Gdyby to była scena z filmu, na pewno pobiliaby swym dramatyзмом nawet pamiętną scenę z *Casablanki*.

Jerzy przez chwilę nic nie mówił. Odwróciłam głowę, nie licząc na obiecujące zakończenie.

- Bo mi na tobie zależy, Rusałko - usłyszałam niespodziewanie.

Spojrzałam w jego stronę zaskoczona. Te słowa zdziwiły chyba bardziej jego samego niż mnie, bo zakrztusił się nagle i przez chwilę wyglądał, jakby udławił się własnym językiem. Jego gardło najwyraźniej odwykło od tak zobowiązujących słów. Jeśli liczyłabym na dalszy ciąg, to srodze bym się zawiodła.

- Dasz sobie radę? - zapytał po chwili, zatrzymując samochód przed moim blokiem.

- Owszem. Może tego nie widać na pierwszy rzut oka, ale jestem już dużą dziewczynką.

Odprowadził mnie pod same drzwi mieszkania. Nagle usłyszeliśmy szybkie kroki. Jerzy odwrócił się niespokojnie, zasłaniając mi cały widok. Kiedy kroki umilkły tuż obok, zaciekawiona wychyliłam się zza pleców Jerzego.

- Witam, pani Agusiu! - usłyszałam głos Wiesia.

W pierwszej chwili go nie poznałam. W niczym nie przypominał już wymiętego dresiarza ani fantastycznego chłopca spod znaku tęczy. Ubrany był w dżinsy i gustowny czarny sweter, który wystawał spod rozpiętej czarnej kurtki. Stroju dopełniała czarna czapka. Nie wyglądał już nawet na seryjnego mordercę. Najwyżej na członka jakiejś radykalnej organizacji terrorystycznej.

- Już chyba za późno na pierogi, co? Idę na piwo. To spokojnej i... - spojrzał porozumiewawczo na Jerzego - przyjemnej nocy życzę!

Rozpłynął się w mroku.

Jerzy zagryzł wargi, starając się niezdarnie ukryć uśmiech. Kiedy weszliśmy do mieszkania, wyjrzał dyskretnie przez okno i zasłonił żaluzje, a potem przytulił mnie mocno.

- I tak na wszelki wypadek nie wpuszczaj nikogo, Rusałko...

Jaki dobry, troskliwy mężczyzna! Takiego właśnie mi trzeba. Pomimo okropności i zawiloci tego świata on jest jak skała. Chochlik zaczął śpiewać elektryzującym głosem Sade: *Yoa are the lovers rock, the rock that I cling to, you're the one, the one I swim to in a storm*, a ja zrobiłam się sentymentalna. Zależy mu na mnie! Nie może mi się oprzeć! Moje dołujące ostatnio na giełdzie próżności akcje wzrosły gwałtownie. Nagle jednak

przypomniałam sobie rozmowę z Koziółkiem i wyswobodziłam się z uścisku.

- Jerzy, a skąd ty właściwie znasz Koziółka?

- Cóż... - mruknął, nie patrząc mi w oczy. - Miałem już z nim do czynienia. Kiedyś ci wszystko opowiem.

Gwałtownie ruszył w kierunku wyjścia.

- Ale nie teraz?

- Nie teraz.

- Czyli miałeś problemy z policją? - drażyłam temat.

- To skomplikowane. - Nie wdawał się w szczegóły. Otworzył drzwi.

- Nie wiedziałam.

- Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz.

Roześmiałam się słabo.

- Chcesz mnie uspokoić?

- Nie. Muszę pędzić. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mógł, i wszystko ci wytłumaczę. W porządku? Uważaj na siebie. I umów się z Jackiem w jakimś publicznym miejscu.

Wyszedł na klatkę schodową.

- Zazdrosny? - rzuciłam jeszcze za nim.

Tak strasznie chciałam, żeby został!

- Jak cholera - usłyszałam jeszcze jego kpiący głos, niknący gdzieś w ciemnościach nocy.

Co to miało znaczyć? Jest zazdrosny czy nie jest? Cholera!

ROZDZIAŁ 34

Pogrążona w ponurych rozmyślaniach zamknęłam starannie drzwi i poszedłam do telefonu. Trzy wiadomości. Ostatnio zrobiłam się niezwykle popularna. Cóż... Nie co dzień trafia się porzucona przed ołtarzem kobieta do pocieszenia. Postanowiłam podbudować swój optymizm i włączyłam sekretarkę.

„Cześć, mówi mama. Miałaś pierogi zabrać. A jak się czujesz? Jesz coś? Naprawdę umrzesz z głodu, jak tak dalej pójdzie. Dbaj o siebie, córeczko, i zadzwoń, bo sypiać po nocach nie mogę ze zmartwienia. Słuchaj, pamiętasz moją koleżankę Stasię? Ma ta kiego miłego syna. W twoim wieku. Też stary kawaler. Może zaprosisz go na kawę? Hmm... Jeszcze do tego wrócę. To pa. Aha, i włącz sobie komórkę”. Klik.

„Słuchaj, Aga! - usłyszałam podekscytowany głos Julii. - Policja była u mnie w sprawie tej Zaleskiej. Aresztowali mojego krasnala! Wyobrażasz sobie!? Mało brakło, a zakuliły go w kajdanki, żeby nie uciekł! A ta Zaleska, nie uwierzysz, ktoś ją zamordował!! Zadzwoń do mnie. Aha, i może byś włączyła komórkę? Bo ja w ogóle nie mogę się z tobą skontaktować!” Klik.

„Tu Justyna... - jej głos co chwilę gubił się w huku jakiejś nowoczesnej muzyki. - Dzwonię... przypomniałam sobie... znam... I w klubie... aresztowali... Narkotyki sprzedawał... twój kochaś... *chérie*... odpuść... raz... powtarzam... go sobie od... Uważaj!” Klik.

Zmartwiałam, a potem opadłam ciężko na krzesło.

Czy ja dobrze zrozumiałam? Jerzego aresztowano za handel narkotykami!? Co ta dziewczyna za bzdury wymyśla! Ewidentnie mi zazdrości faceta, zołza jedna! Coś jej się musiało pomylić!

Jako osoba trzeźwo myśląca postanowiłam się w ogóle tym nie przejmować i wziąć kąpiel. Starając się ograniczyć proces myślowy do minimum, do gorącej wody dodałam podwójną dawkę soli uspokajających i

cały gar rumianku. Jeszcze maseczka z glinki na twarz i pełny relaks. Błogość. Jestem chmurką na niebie. Niebo jest niebieskie. Niebieskie jak oczy Jerzego. Jerzy został aresztowany... Nie! Jestem małą kropeczką na szyi żyrafy. Żyrafia szyja kołysze się lekko na wietrze. Żyrafa pije czystą niebieską wodę. Niebieską jak oczy Jerzego... Nie! Nie! Jestem...

Mój relaks został niespodziewanie przerwany dźwiękiem przekreścanego w zamku klucza.

- Wróciła, zołza jedna! - zazgrzytałam zębami. - Zaraz jej wygarnę, co myślę o tych jej podłych kłamstwach! Intrygantka!

Wyszłam z wody i narzuciłam szlafrok. Otworzyłam drzwi. Cisza. Czyżbym się przesłyszała? Hmm... Poczułam lekkie ukłucie w żołądku. Nie wiedzieć czemu, powrócił do mnie obraz leżącej nieruchomo na schodach Anety.

- Justyna? - zawołałam niepewnie.

Cisza. Potworna cisza przerywana tylko stukotem przejeżdżającego za oknem tramwaju.

- Justyna? To nie jest śmieszne!

Rozejrzałam się po przedpokoju i chwyciłam za pierwszy lepszy przedmiot, który wpadł mi w ręce: parasol. Aneta w mojej głowie miała teraz moją własną twarz. Z zaciśniętymi zębami starałam się przekonać sama siebie, że przecież nic mi nie grozi. Nic mi nie grozi. Weszłam powoli do swojego pokoju. Nic. Do sypialni Justyny. Pusto. Weszłam do kuchni. Nikogo nie było. Odetchnęłam z ulgą i byłabym już zupełnie spokojna, gdyby nie to, że nagle ktoś złapał mnie za ramię. Poczułam, jak kamienieję. Centymetr po centymetrze. Uratował mnie parasol - otworzył się automatycznie, dając mi tym samym impuls do działania. Mój mózg, pomimo znacznego opóźnienia, zareagował, jak należy.

- Aaa!!!! - z mojego zaciśniętego gardła wydobył się dźwięk zarzynanej owieczki.

Ten dramatyczny krzyk musiał dotrzeć nawet do moich wiecznie pijanych sąsiadów, bo momentalnie usłyszałam dobiegający zza ściany odzew, zwykłą ludzką troskę o sąsiedzkie życie i zdrowie:

- Nie drzeć się, kurwa, cisza nocna jest!! Mam policję wezwać!?

Proszę! Błagam! Policję!

Powoli odwracałam głowę, spodziewając się zobaczyć śmierć, kościotrupa z kosą.

Przedemną stał Jacek. Wpatrując się we mnie ze zgrozą, puścił moje ramię i odskoczył gwałtownie.

- Aaa!!!! - wrzasnął i chwycił się za serce. W jego oczach pojawił się strach. - Jezu, Agnieszka, co ci się stało!!? Kto ci to zrobił!?

Uświadomiłam sobie, że nadal mam na twarzy niebieską glinę. Dyśząc ciężko, usiadłam na podłodze i starałam się oddychać równomiernie. Jacek robił dokładnie to samo.

- Co ty, do cholery, robisz w moim mieszkaniu!? Jak tu wszedłeś!?

Kiedy dotarło do niego, że moja niebieska twarz jest tylko i wyłącznie efektem chybionego zabiegu upiększającego, odetchnął głęboko i pokazał mi klucz.

- Sama mi go dałaś, pamiętasz?

- Tak, ale to było jeszcze wtedy, kiedy planowałam mieć z tobą co najmniej tuzin dzieci, chatkę na karaibskiej plaży i szczęśliwą starość! To już zamierzchła przeszłość! Powinieneś był go oddać już dawno.

- No to przyszedłem oddać. Proszę bardzo. - Wręczył mi klucz.

- Trzeba było zadzwonić do drzwi!

- Po co? Przecież miałem klucz!

Spojrzałam na niego bezsilna i nagle w mojej głowie zakiełkowało podejrzenie, które po sekundzie zamieniło się w pewność.

- To ty przeszukałeś moje mieszkanie tamtego wieczoru! Nie znalazłeś krasnala, dlatego czekałeś na mnie pod drzwiami.

Wzruszył ramionami, ale nie zaprzeczył. Zerwał się tylko z podłogi i zaczął nerwowo krążyć w kółko.

- Mam problemy - wyjął ponuro.

- Naprawdę? - zapytałam zimno, opatulając się szlafrokiem. - A co się stało?

- Aneta, ta moja... znajoma, nie żyje.

Zamknęłam oczy. W mojej głowie znowu pojawiła się nieruchoma postać na schodach.

- Przykro mi. A przyszedłeś z tym do mnie, bo...?

- Będę szczery...

- Co za odmiana! - przerwałam mu sarkastycznie.

Nie zareagował.

- Wygląda na to, że zabili ją ludzie, z którymi prowadzę pewne... interesy. Mnie też zabiją, jeśli nie dostarczę im tego cholernego krasnala. Aga... - spojrzał na mnie zmęczonymi oczyma - dlaczego mi go jeszcze nie oddałaś? Dlaczego ty zawsze musisz coś zepsuć? Zresztą ... - machnęła nagle ręką i opadła na podłogę. - Tak czy inaczej mam przechlapane. Pewnie mnie zabiją.

Zapadła złowroga cisza.

- Jeśli oddasz im tego krasnala, też cię zabiją? - zapytałam dziwnie spokojnie.

Przecież to wszystko nie może dziać się naprawdę. Takie teksty to wypisują tylko w najgorszych kryminałach.

Jacek roześmiał się cynicznie i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

- Powiedzmy, że zrobiłem coś... nierozważnego. Ale nie będę cię wta jemniczać, nie chcesz wiedzieć. No, to zdradź mi wreszcie, gdzie on jest?

Nie odpowiedziałam. Obserwowałam, jak zapala papierosa, starając się ukryć drżenie rąk.

- Pamiętaj, że już raz cię znaleźli - próbował podejść mnie ponownie. - Wprawdzie masz u nich widać specjalne względy... - uśmiechnął się pod nosem, jakby wiedział dokładnie, o jakie względy tutaj chodzi. - Najwyraźniej nie chcą ci zrobić krzywdy, ale pamiętaj: to bandyci. Zawsze mogą zmienić zdanie. Pamiętaj o Anecie...

Uderzyła mnie obojętność, z jaką to powiedział, jak gdyby Aneta przestała go obchodzić już w tamtym momencie, kiedy jej ciało ostygło i zesztyniało, nie nadając się więcej do miłosnych igraszek pod lampą dentystyczną. Cholerny cynik.

- Coś nie wydajesz się wstrząśnięty jej śmiercią?

- No, wiesz... Ja jestem zdruzgotany, ale teraz muszę myśleć o sobie. Gra się jeszcze nie skończyła.

Gra się jeszcze nie skończyła...

- W porządku. Powiem ci, gdzie jest krasnal, ale najpierw ty odpowiesz mi na parę pytań.

Wypuścił z ust szary obłok trującego dymu i skinął głową.

- Umowa stoi, tylko szybko, bo czasu mam coraz mniej.

- Dlaczego się w to wpakowałeś?
- W dzisiejszych czasach trudno o dobre układy, a ten był doskonały. - Zaciągnął się mocno. - Od czasu do czasu wyświadczałem drobne przysługi pewnym... wpływowym ludziom, a oni sponsorowali moją klinikę. Proste, prawda? Tak w dzisiejszych czasach robi się wielkie interesy. Oczywiście czterdzieści procent zniżki na leczenie grupowe członków organizacji zostałem zmuszony zaproponować. Rozbój w biały dzień, tak nawiasem mówiąc, choć i tak się kalkulowało... - mruknął i machnął ręką. - No i znieczulenie gratis. Wiesz, ja naprawdę nie robiłem nic złego. To był tylko korzystny układ finansowy.

- Ta... ta Aneta, wysłałeś ją do Julii?

- Tak - przyznał otwarcie. - Miałem nadzieję, że dołączyłaś tego cholernego krasnala do jej pomyłonej kolekcji. Najwyraźniej się przeliczyłem.

- A o co właściwie chodzi z tym krasnałem? Dlaczego jest taki cenny? Spojrzał na mnie pobłaźliwie.

- Nie domyśliłaś się jeszcze? Jestem rozczarowany. Narkotyki, pszczołko. Ale nie takie zwykle narkotyki, tylko nowy rodzaj, zwany krodylem. Nowość na rynku. Policja dużo by dała, żeby go dorwać. Taak... Produkt najwyższej jakości, wart miliony.

Nie zszokowało mnie to bardzo. W końcu, jeśli nie chodzi o seks (krasnal naprawdę nie miał odpowiedniego przyrodzenia) ani o broń (nic ciekawego by się w nim nie zmieściło), to na pewno chodzi o narkotyki. Postanowiłam dowiedzieć się jeszcze więcej.

- Kto to jest Y?

Tym razem nie był skłonny do wynurzeń.

- Pewnych rzeczy nie mogę ci zdradzić, pszczołko. Nie pytaj.

- A kto zabił Anetę?

- Skąd mam wiedzieć dokładnie, kto ją zabił? Dopiero co wypuścili mnie z aresztu. Chociaż... jest szansa, że znasz gągatka osobiście.

- Nie rozumiem!?! - zaniepokoiłam się nagle. Serce zaczęło mi bić w przyspieszonym tempie.

- Kiedy spotkał się na komisariacie, wychodziłaś z pewnym facetem, pamiętasz?

- Pamiętam. - Zrobiło mi się dziwnie ciepło.

To ta cholerna maseczka! Muszę ją szybko zmyć.

- Skąd znasz tego gościa? - drążył, patrząc na mnie uważnie. Zacisnął pięść.

- A co cię to obchodzi!?

- Właściwie nie obchodzi, ale dużo razem przeszliśmy i pomimo wszystko chcę dla ciebie jak najlepiej. I dlatego dam ci dobrą radę...

- Nie chcę twoich dobrych rad!

- A ja nie chcę, żebyś skończyła jak Aneta, pszczołko! - Stał tuż przy mnie i zaciągnął się papierosem. - Oduść go sobie - powiedział powoli, wydmuchując przy tym dym prosto w moją twarz.

Zamurowało mnie. Z Justyną rozmawiał czy co!?

- Słucham!?! - wycharczałam wściekła, próbując uciec trującym wyziewom.

- Mówię z dobrego serca. Ja znam tego gościa. Kręci się w podejrzanym towarzystwie.

- To znaczy takim jak twoje?

Mówił dalej, jakby mnie w ogóle nie słyszał:

- To spec od brudnej roboty. Zajmuje się też handlem prochami na zlecenie. Wiesz, taka umowa o dzieło. Ostatnio nawet go przyskrzynili. Nie wiem, dlaczego wyszedł, ale ja bym nie dał za niego złamanego grosza.

Jego zatroskana mina wyprowadziła mnie z równowagi. Święty się znalazł! Nerwowym ruchem wyrwałam mu z ręki papierosa i wyrzuciłam do kosza. Nie zaprotestował. Wiedział dobrze, że każde jego słowo boli jak przypalana papierosem skóra. Z widoczną satysfakcją rzucił mi w twarz kolejne insynuacje.

- Powiem więcej, nie zdziwiłbym się, gdyby jakimś cudem był w pobliżu domu Anety, kiedy została zamordowana. Ja nic nie chcę insynuować, ale rozumiesz... Martwię się o ciebie. Powiem tylko, że człowiek, dla którego pracuję, postanowił go wynająć. A może już wynajął? Oczywiście największym atutem pana Bonda jest twoje zaufanie, bo cóż by innego? Wszyscy wiedzą, że się za tobą kręci, a ty...

Bezczelnie poglądził mnie po ręce. Odsunęłam się wściekła.

- Ty nie masz nic przeciwko. Przyznaj się, kiedy go poznałaś? Czy czasem nie wtedy, kiedy wyniknęła cała ta afera z krasnałem?

Wpatrywałam się w niego bez słowa.

- Wierzysz w takie zbiegi okoliczności? Wszyscy wiedzą, że to ty masz krasnala. Początkowo nie chciałem nikomu powiedzieć, bo... bałem się o ciebie...

Akurat!

- ...ale musiałem to wyjawić, choć i tak długo wytrzymałem. Dopiero przy górnej szóstce udało im się mnie złamać.

Na samo wspomnienie drastycznych wydarzeń jego twarz wykrzywiła się w paroksyzmie bólu. Udawałam głuchą, niemą i sparaliżowaną. I bynajmniej nie było mi go żal. Ani trochę.

- Śledzili cię od tamtej pory. A myślałaś, że ja przypadkiem robiłem zakupy w tym samym supermarkecie co ty? Potem zobaczyli pana Bonda i zdecydowali, że naprawi to, co ja zepsułem. A mówił ci już, że mnie zna? Dzielimy pewne... niemiłe wspomnienia z przeszłości. Nie będę się jednak wdawał w szczegóły. Jeśli jesteś ciekawa, to go zapytaj.

Ależ mnie głowa rozboleła! Przecież to jakiś koszmarny dowcip!

- Nie zrozum mnie źle, nie chodzi mi o to, że nie mogłabyś tak od razu faceta poderwać, ale...

Nagle uświadomiłam sobie, że usłyszałam już wystarczająco dużo.

- Schówek bagażowy na Dworcu Głównym. Numer 21 - przerwałam jego tłumaczenia i drżącą ręką wyciągnęłam z torebki kluczyk, który dostałam od Bogusia. Moje policzki płonęły, a łzy same cisnęły się do oczu. - A teraz wynocha! Dla mnie cała ta historia już się skończyła. Nie chcę cię więcej widzieć!!!

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym pokazał ludzką twarz człowieka, którego kiedyś kochałam.

- Przepraszam cię za wszystko. Fajna z ciebie dziewczyna, Agnieszko Rusalko - powiedział jeszcze i wyszedł.

Z wściekłością zatrasnęłam drzwi. A zaraz potem rzuciłam się do gaszenia śmieci, które zapaliły się od jego papierosa, zasnuwając całe mieszkanie szarym, złowrogim dymem.

ROZDZIAŁ 35

Powoli zmywałam z policzków niebieską masę. Nie było łatwo, bo moje kończyny przypominały nóżki w galarecie. Drżące i bezwładne. Piętnaście minut zalecane na opakowaniu przeciągnęło się do czterdziestu. Bolało tak, jakby skóra schodziła mi z policzków razem z maseczką. Ale serce bolało bardziej.

Po nieudanej próbie zlekceważenia całej sytuacji, wyparcia ze świadomości uzyskanych informacji, a także ponawianej dwukrotnie telefonicznej próbie konsultacji psychiatrycznej, postanowiłam pomyśleć racjonalnie i bez emocji ustosunkować się do faktów.

A fakty przedstawiały się następująco.

Fakt numer jeden: Jerzy pojawia się w moim życiu, kiedy zostawiam Jacka.

Nie ma w tym nic podejrzanego. Przecież gdybym nie chciała się upić, nie znalazłabym się w tej spelunie przy Mikołajskiej i nie poznałabym go. Takie zbiegi okoliczności są na porządku dziennym.

Fakt numer dwa: Jerzy nie mówi mi, że zna Jacka.

Może nie było okazji? Jasne! Okazji było aż nadto! Może po prostu nie chciał mnie do siebie zrażać!?! O! Właśnie tak! Na pewno z jakichś powodów obawiał się mojej reakcji. A poza tym nawet jeśli Jerzy zna Jacka, to nie znaczy, że jest przestępcą. Ja też w końcu znam Jacka.

Fakt numer trzy: Justyna i Jacek twierdzą, że Jerzy handluje narkotykami.

A niby dlaczego mam wierzyć zazdrośnicy i przestępcy, który ma powody osobiste, by kłamać?

Fakt numer cztery: Jerzy zawozi mnie do Anety.

Owszem, ale na moją własną prośbę.

Nagle przypomniałam sobie łatwość, z jaką do niej trafił. Bez mapy, bez pytania o drogę, jakby już tam kiedyś był. Niee. Może po prostu zna tamtą okolicę?

Fakt numer pięć: Jerzy znajduje Anetę.

Zobaczyłam mroczki przed oczyma. Znalazł Anetę, bo wszedł do jej domu bez pozwolenia. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby ją zabić, a potem udawać, że ją znalazł.

Ale dlaczego miałby ją zabijać? Zaraz... Czy czasem nie wyjaśnił mi tego osobiście u Zaleskiej? To miało być ostrzeżenie dla Jacka. Ale z drugiej strony, przecież wiedział ode mnie, że krasnal jest w przedszkolu. „Ktoś już o niego pytał. Taki sympatyczny pan. Czarnym samochodem przyjechał...” Czarny samochód. „Kolor czarny niedobry...”

Musiałam usiąść i napić się wody. A więc... on? Mroczki przed oczyma stawały się coraz bardziej wyraźne. Przypomniałam sobie jego zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło Jacka i krasnala. Jezu kochany! Czy gdybym nadal była z Jackiem, to czy ja stałabym się ostrzeżeniem?? Zaraz... Ale jeśli zabił, to dlaczego kazał mi zadzwonić na policję? Czyżby starał się zachować pozory? A dlaczego Boguś go wypuścił, skoro Jerzy miał przeszłość kryminalną? Hmm... Może z tego samego powodu, dla którego wypuścili Jacka? Bo jest im do czegoś potrzebny? A może... Jerzy zabił dla mnie!? Żeby mi sprawić przyjemność. W końcu sugerowałam, że chcę ją pobić. Ale od pobicia do zabicia daleka droga, a ze słuchem nie ma najmniejszego problemu. Przypomniałam sobie jego niespodziewaną wizytę i dziwne zachowanie. Chciał mi o czymś powiedzieć. Może zabrakło mu odwagi? I Justyna go poznała. A Malinowski? Neurotyk jeden. On mi bardziej pasuje na bandytę niż Jerzy. I szukał Jacka, chciał wynająć kille-
ra...

O co w tym wszystkim chodzi!?

Do wniosku doszłam tylko jednego. Sama sobie z tym wszystkim nie poradzę. Postanowiłam zatem szukać pomocy specjalisty i chwyciłam za telefon.

- Julia? Słuchaj, mam poważny problem, mogę do ciebie wpaść? - pytałam trzęsącym się głosem.

- Uhm... A kiedy będziesz? - w odpowiedzi usłyszałam głośne ziewnięcie.

- Za pół godziny!
- Uhm... I pewnie to sprawa życia i śmierci, tak?
- Jak najbardziej!
- Taak. Jak musisz, to przyjeżdżaj.

I to właśnie postanowiłam uczynić. Bez zwłoki. Za to ze zwłokami na myśli. Przypomniałam sobie jednak, że mój samochód nadal stoi pod kliniką Jacka, tak więc zamówiłam taksówkę. Kiedy zamykałam drzwi, dziwnym trafem znowu napatoczył się Wiesio.

- Proszę się dobrze ubrać, zimno przeraźliwie. A gdzie to pani ucieka? Myślałem, że miły wieczór pani spędzi z tym sympatycznym panem.

- Wiesz, Wiesiu, tamten pan okazał się znacznie mniej sympatyczny, niż myślałam - chlipnęłam załamana.

Zrobił groźną minę. Aż sama się przestraszyłam.

- To może ja bym go postraszył albo co? Nie jestem groźny, ale potrafię rzucać strasznymi spojrzzeniami. Ponoć potrafię paraliżować wzrokiem, jestem jak ten wąż, kobra chyba...

Wyobraziłam sobie Wiesia zaklinającego swoje ofiary i humor odrobinię mi się poprawił.

- Dziękuję, Wiesiu, pomyślę nad tym.

- Idzie pani się zabawić?

- Ależ skąd. Jadę do koleżanki. Wypijemy coś, pogadamy, a jutro umówię się z psychiatrą w sprawie depresji.

- Aż taki okropny ten facet? Głupi jest, pani Agusiu, i tyle. Proszę się niczym nie przejmować. A może panią odprowadzić?

- Dziękuję, zamówiłam taksówkę. A jak tam... - zawahałam się. - Jak tam sprawy z Justyną?

Spojrzał na mnie z boleścią.

- Postanowiłem wybić ją sobie z głowy - zakomunikował głosem asce-ty, który decyduje się wyrzec wszelkich uciech doczesnego świata.

- Ale dlaczego? - zapytałam, choć tak naprawdę doskonale rozumiałam jego decyzję.

Uśmiechnął się smutno, a jego twarz mordercy wyglądała tragicomicznie w bladym świetle żarówki.

- Pewne rzeczy po prostu nie są dla nas. Możemy sobie wmawiać, że jest inaczej, choć w głębi serca doskonale zdajemy sobie sprawę, że nie jest. Ale wie pani co?

- Hmm?

- Może to i lepiej? Czasami chyba lepiej, żeby marzenia pozostały tylko marzeniami, wtedy na zawsze pozostają piękne, nieskażone prozą życia - uśmiechnął się do mnie smutno. - I nikt nam ich nie odbierze.

Wsiadłam do taksówki, rozmyślając nad dojrzałością emocjonalną niektórych osobników płci męskiej. Taki facet to skarb.

ROZDZIAŁ 36

Przed domem Julii minęłam się z zaspanym Kamilem, który bynajmniej nie wyglądał mi na dojrzałego emocjonalnie. Julia, straszliwie ziewając, wpuściła mnie do środka.

- Co jest? - zapytała cierpliwie, przyzwyczajona już widocznie do moich dziwacznych wizyt. - Znowu jakieś czarne bmw? A może gangsterzy w identycznych wdziankach?

Zaczęła krzątać się po kuchni i parzyć kawę, a ja, załamana, siedziałam przy stole i obgryzałam paznokcie. Kiedy w końcu raczyła na mnie spojrzeć, zauważyła, że mój stan emocjonalny trudno nazwać stabilnym.

- Kobieto! Ty paznokcie obgryzasz! Co się dzieje? Umarł ktoś!?

Zaczęłam chlipać.

- Bo... Bo...

- Co bo? - zniecierpliwiła się Julia.

- Bo Jacek jest przestępcą i powiedział, że Jerzy jest gangsterem, handluje narkotykami i mógł zabić Zaleską, a w dodatku wydaje mi się, że Malinowski też jest gangsterem! – wybuchnęłam płaczem.

Julia spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Taak... Wszyscy są gangsterami? To znaczy Jacek, Jerzy i twój szef, tak?

- Nie patrz na mnie jak na idiotkę! Ja wiem, że to trochę dziwnie brzmi, ale...

- Dziwnie? - przerwała mi ze stoickim spokojem i usiadła. - Dziwnie!? To brzmi co najmniej, jakbyś upaliła się trawą. Ale jestem osobą otwartą na ludzkie problemy, więc słucham, opowiadaj, tylko wszystko ma być chronologicznie i logicznie poukładane. Jeśli zacznę mieć wątpliwości, to z miejsca dzwonię na pogotowie. W końcu od tych świątecznych porządków niejedna kura domowa zwariowała.

Opowiedziałam więc o Jacku i o jego rewelacjach dotyczących Jerzego, co potwierdzała niezależna wersja Justyny.

- Wszystko zaczyna się układać w logiczną całość, tylko pomyśl, poznałam go w barze, to on pierwszy mnie zaczął...

Julia wydeła lekceważąco wargi.

- Posłuchaj, to jeszcze nie dowód, że ktoś jest gangsterem, moja droga. Gdyby każdy facet, który zaczepia mnie w barze, był gangsterem, świat chyliłby się ku zagładzie. Mówię ci z doświadczenia, facet zaczepiający kobietę w knajpie myśli tylko i wyłącznie o seksie, nie żeby normalnie myślał o czymś innym, ale...

Przestałam słuchać i zrobiło mi się gorąco. W mojej głowie pojawił się obraz pokoju z książkami i *Kamasutra*!

- Julia, ja... teraz sobie przypominałam. Ja znalazłam w jego mieszkaniu broń!

- Znalazłaś w jego mieszkaniu broń? - powtórzyła przeciągle.

Pokiwałam przerażona głową. Matko jedyna, spałam u mordercy! Umawiałam się z psychopata!

Julia wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

- Ale jak to: znalazłaś? Tak po prostu leżała na stole?

- Nie. Była schowana za... jedną książką w biblioteczce.

- Znalazłaś u niego ukryty pistolet?

- Tak! Ja wiem! Powinam już wtedy pomyśleć racjonalnie! Trzeba było zgłosić na policję! Jezu, jaka ja jestem naiwna!

Julia nie odzywała się przez dobrą chwilę. Kiedy w końcu zaczęła wydawać ludzkie dźwięki, po jej minie poznałam, że nie jest dobrze.

- I ty się dziwisz, że twoje związki nie mogą przetrwać próby czasu!? Powinnaś się wstydzić!

Wpatrywałam się w nią zdziwiona.

- Przecież zaufanie to podstawa związku! - grzmiała. – Jak możesz tak od razu przekopywać facetowi rzeczy! Skarpetki też mu przegładnęłaś, czy dziurawych czasem nie ma? Dziecko, ile razy ja ci powtarzałam, że facet potrzebuje przestrzeni! – Pokręciła z dezaprobatą głową. - Dobra, wróćmy do tego później. A ten twój szef? Malinowski? Co ci, do cholery, strzeliło do głowy?

Zamyśliłam się.

- Sama nie wiem. Wydawał mi się jakiś dziwny ostatnio. I ciągle na niego wpadałam. Był nawet w klubie. Czy to nie podejrzane? Może mnie

śledził? Poza tym, kiedy zamordowano Anetę, widziałam go w klinice. Szukał Jacka i krzyczał, że Jacek jest durniem, skoro się dał aresztować. Niby z jakiego powodu tak się zachowywał? Może to on się za tym wszystkim kryje? A poza tym Jacek powiedział mi bardzo zastanawiającą rzecz. Powiedział, że jeszcze żyję, bo mam tam u kogoś specjalne względy. A Malinowski ostatnio traktował mnie naprawdę z czułością. Taka jedność zdradzonych kochanków.

Nagle poraziła mnie jeszcze jedna myśl.

- Słuchaj, a może ta Aneta to była jego żona!? To by się zgadzało! Bo czy to nie dziwne, że żona doprawiła mu rogi akurat wtedy, kiedy Jacek mnie zdradził? Ja nigdy nie widziałam jego żony. A poza tym groził, że ją zabije! I proponował wynajęcie płatnego mordercy. Ach!!! Malinowski wynajął Jerzego, żeby zabić Anetę!

- Jaka żona? Jego żona miała przecież z Nigeryjczykiem się puszczać - oświadczyła przytomnie Julia.

- Jasne! Czy ty wiesz, jak trudno w Polsce o Nigeryjczyka? A poza tym to biurowa plotka! Najmniej wiarygodna forma przekazu. Hmm... Zresztą może faktycznie to nie była jego żona, ale kochanka? Albo siostra? Albo matka!?

Julia koniecznie chciała znaleźć dziurę w całym.

- Matka? - popukała się po głowie. - Masz po prostu bujną wyobraźnię i na tym polega twój problem. Ale to się chyba da leczyć. Zastanów się, gdzie tu sens, gdzie tu logika?

- Jeszcze nie wiem. - Moja głowa pęczniała z każdą sekundą, starając się ogarnąć całą sytuację.

- Przecież on wygląda na zupełnie nieszkodliwego gościa - Julia kiwała głową, przypatrując mi się z coraz większym niepokojem. - I wydaje się bardzo sympatyczny, zupełnie jak...

- Yogi! Och! To jest właśnie to! Y! - Zatrzęsłam się z emocji.

Julia nie do końca nadążała za moim tokiem rozumowania, więc wyjaśniłam jej wszystko od początku do końca. Pomyślała przez chwilę i bębniąc palcami o stół, zapytała:

- Słuchaj, a o co właściwie chodzi z tym krasnałem? Gangsterzy, policja... Dlaczego wszyscy chcą go dorwać? Co w nim jest takiego szczególniego? To jakiś prototyp? Jakiś dowód zbrodni?

Zachłysnęłam się kawą.

- To ja ci jeszcze nie powiedziałam!?! W tym krasnalu jest krokodyl! - oświeciłam ją, pewna wrażenia.

Julia była jak najbardziej pod wrażeniem, bo sięgnęła po torebkę i wyciągnęła notes. Zaczęła przerzucać kartki.

- Czego szukasz? - zainteresowałam się w końcu.

- Numeru tego znajomego psychiatry. Bałam się, że możesz mieć depresję, ale to mi raczej wygląda na poważny przypadek schizofrenii.

- Przestań! - Rzuciłam w nią łyżeczką. - Jacek mi to wyjaśnił. Podobno krokodyl to nazwa jakiegoś straszliwego narkotyku, który zaczynają rozprowadzać po Europie. Ponoć jest niezwykle mocny i straszliwie niebezpieczny!

Roztoczyłam przed nią wizję piekieł. Potem, żeby jej udowodnić, włączyłam komputer i w wyszukiwarce Onetu wpisałam słowo „krokodyl”. Pojawiły się setki haseł na temat krokodyli kubańskich, nilowych tudzież butów z krokodylej skórki i to jedno, które spodziewałam się znaleźć:

„Media szwedzkie i norweskie ostrzegają przed pojawieniem się na rynku nowego, bardzo groźnego rosyjskiego narkotyku o nazwie »krokodyl«. Specyfik ten trafił już do północnej Szwecji i Norwegii, przemycany z rosyjskiego Murmańska. Krokodyl produkowany jest na bazie syntetycznej heroiny, ale według lekarzy rosyjskich jest od niej mocniejszy aż tysiąc razy. Uważa się, że jednorazowe jego zażycie spowodować może trwałe uzależnienie. Natomiast przedawkowanie, i to nawet niewielkie, kończy się najczęściej śmiercią. Niedawno w Szwecji zanotowano pierwszą ofiarę śmiertelną nowego narkotyku. »Krokodyl« został podobno opracowany w Petersburgu i jest tam wytwarzany. Dystrybucją zajmują się zorganizowane grupy przestępcze, które na północnych terenach Szwecji i Norwegii rozprowadzają go przy pomocy rosyjskich prostytutek oraz ich rosyjskich opiekunów. Podobnie dzieje się w Finlandii, dokąd »krokodyl« też zawitał”.

Triumfalnie wskazałam na monitor. Julia przestała grzebać w notesie i zajęła się czytaniem. Kiedy skończyła, wydawała się zupełnie oszołomiona, prawdopodobnie faktem, że a nuż, moje zdrowie psychiczne jest jak w najlepszym porządku.

- Dziewczyno, jak ty to robisz!?! Gdzie się obrócisz, to jacyś tajemniczy mężczyźni, krokodyle i trupy! Jakiś film sensacyjny można nakręcić, nawet

mam tytuł: *Jeśli nie chcesz mojej zguby, krokodyla daj mi, luby!* Wzruszyłam ramionami.

- Chcesz, to się chętnie zamienię. Nie potrzebuję takich rozry...

Przerwałam w pół słowa, bo nagle rozległo się głośne stuka nie do drzwi.

Spojrzałyśmy po sobie przestraszone, a Julia sprawdziła godzinę. Była pierwsza.

- Kto to może być o tej porze? - zapytała półgłosem.

- Nie mam pojęcia, ale w obecnej sytuacji przychodzi mi do głowy tylko bandyci albo policja. Gdyby to była policja, to na pewno usłyszałybyś okrzyki „policja!”...

- Czyli uważasz, że bandyci?

- Jeśli faktycznie mnie śledzą, jak twierdzi Jacek, to bardzo prawdopodobne.

Pukanie do drzwi stawało się coraz bardziej natarczywe. Julia nie była jednak przekonana co do mojej teorii.

- Przecież bandyci by nie pukali, nie uważasz? Sami by się wprosilili do środka, w końcu to bandyci, nie?

- Niekoniecznie - obstawałam przy swoim. - Pomyśl, może czekają spokojnie, aż otworzysz drzwi, a potem dadzą ci w głowę i po kłopotcie. I żadnych śladów włamania.

Julia spojrzała na mnie poważnym wzrokiem. Stukanie nie ustawało.

- Ty się naprawdę powinnaś leczyć. Teorię spisku sobie stworzyłaś. Co ty myślisz, że każdy chce cię teraz sprzątnąć? Ja się nie boję! - oświadczyła bojowo, zaciskając zęby i biorąc do ręki miotłę.

- To po co ci ta miotła? - zapytałam ironicznie, chwytając za rondel.

- A tak dla zabawy - odpowiedziała. Jej twarz zablęśla nagłym podskocytowaniem. Kochała takie przygody. - To ja między nogi, a ty w głowę.

Przytaknęłam gorliwie i ruszyłyśmy po cichu w kierunku drzwi, postanawiając jak najszybciej wprowadzić w życie naszą strategię obronną.

Kiedy dotarłyśmy do korytarza, pukanie ustało. Nasłuchiwałyśmy przez dłuższą chwilę. Julia ostrożnie wyjrzała przez okienko. Nikogo nie

było. Nastąpiła cisza przerywana tylko naszymi ciężkimi oddechami.

- I co teraz? - szepnęłam niepewnie do Julii. - Otwieramy?

- A po co? Ktokolwiek to był, już sobie poszedł... - odszepnęła.

Wróciliśmy do kuchni. Julia wydeła wargi i chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. W tym samym momencie usłyszałyśmy straszliwy łomot dochodzący z salonu. Podskoczyłyśmy ze strachu i nie namyślając się długo, uzbrojone w miotłę i rondel rzuciłyśmy się w tamtą stronę. Łomot dochodził zza drzwi tarasowych. Julia na palcach podeszła do włącznika światła i oświetliła ciemną przestrzeń za oknami. W ostrym świetle żarówki pojawiła się postać, która przy bliższym rozpoznaniu okazała się jak najbardziej znajoma. Julia pospiesznie otworzyła drzwi.

ROZDZIAŁ 37

Za drzwiami stała Kasia.

- Cześć, widzę, że balujecie beze mnie! - rzuciła z pretensjami i władowała się do środka. - A co to? Sabat czarownic?

Julia szybko odłożyła miotłę i spojrzała na mnie znacząco. Kłopoty.

- Co się stało? - zapytała zdeorientowana.

- Jak to: co się stało! Co się stało! Nie można tak sobie odwiedzić przyjaciółki, tylko od razu: co się stało!?

- No, można - zgodziła się ostrożnie Julia - ale... jest pierwsza w nocy.

- No i...? - zirytowała się Kasia. - Przecież nie śpisz!

- No, nie śpię - przyznała się Julia.

- A Agnieszka co tu robi? Jest pierwsza w nocy!?

- Aga ma... problemy.

- Problemy!? - wykrzyknęła Kasia. - Ona ma problemy? Wy w ogóle nie wiecie, co to są problemy!

Aha, a jednak coś nie tak!

- To co się stało?

- Wyprowadziłam się z domu!

Zamarłam z wrażenia. Jezu kochany, najlepsze małżeństwo, jakie w życiu spotkałam! Paweł, kochany i cudny mąż, dzieci, owszem, urwisy, ale też kochane, a ona się wyprowadziła z domu!?

- Ale... jak to? - Julia opadła na krzesło. - Tak na zawsze?

- No co ty, odbiło ci? Tylko do jutra. Przeżywam kryzys. Słuchajcie - powiedziała przerażonym głosem - myślicie, że to kryzys wieku średniego? Jezu, ale ja mam dopiero 30 lat. Czy to już wiek średni?

- Co się stało? - powtórzyła cierpliwie Julia.

- Co się stało!?! Najpierw, dwa dni temu, teściowa dzwoni, że będą na wigilii. Trochę sceptycznie do tego podeszłam, bo od pięciu lat mają być i

nigdy ich jeszcze nie było. Zawsze wybierają wczasy na Wyspach Kanaryjskich. Ale tym razem mówi, że będą na pewno, że zaczęli się starzec (wreszcie, ileż można udawać, że się jest siostrą własnego syna), że z wnuczkami chce pobyc, że nie wiadomo, ile jeszcze pożyją. Takie teksty, że aż się normalnie zaczęłam martwić! Paweł pojechał do sklepu, kupił ryby i wpuścił do wanny. Zwykle kupujemy przygotowane, ale teściowa się uparła, że muszą być świeżutkie, że ona niby padliny nie jada. A poza tym dzieci będą się cieszyć. Zgodziłam się na to, sama nie wiem dlaczego, przecież ja naprawdę nie jestem podatna na jej wpływy. No więc te ohydne karpie pływają sobie w mojej nowej wannie. Racja, przynajmniej dzieci miałam z głowy. Na jakieś piętnaście minut. Piekę ten cholerny makowiec, teściowa uważa, że bez makowca nie ma świąt, nagle wchodzi Jaś i mówi, że karp nie działa. Idę do łazienki. Faktycznie, padł. Biorę go delikatnie i wyciągam, choć brzydę się ryb, wynoszę. Dzieci w ryk. W końcu się uspokajają. Idę do kuchni. Spalił mi się makowiec. Wyrzucam makowiec i zabieram się do sernika. Takiego jak lubi teściowa. Paweł spóźnia się już godzinę. Wchodzi Małgosia i mówi, że Jaś zepsuł rybę. Ja pytam, jak to możliwe, że rybę zepsuł, a ona, że Jaś chciał ją tylko namydlić, żeby szybciej pływała, i teraz w ogóle nie pływa. Nie mogę w tym momencie wyjść z kuchni, proszę więc Małgosię, żeby powiedziała Jasiowi, aby ten absolutnie nie dotykał ryb. Po chwili słyszę straszny krzyk. Wbiegam do łazienki, a tam Małgosia siedzi w wannie razem z karpami, a Jaś krzyczy: „Patrz, mamo, Małgosia będzie karpie tresować”. Przebieram Małgosię, wypycham dzieci do pokoju. Przynoszę ozdoby i każę im ubierać choinkę. Wiem, że teściowa nie będzie zadowolona, bo ona ubiera w Wigilię, ale ryzykuję. Dzieci bawią się znakomicie i w ogóle ich nie słyhać. Pawła oczywiście ciągle nie ma. Nagle wchodzi Jaś i mówi, że choinka się pali. Ja mu na to, że się nie pali, tylko świeci. A on mówi, że zasłony też świecą!

Spojrzała na nas wyczerpana całą opowieścią.

- Kiedy tylko ugasiłam cholerne zasłony, zadzwoniła teściowa, że nie przyjadą, bo oni jednak na te Kanary. I wrócił Paweł, i zapytał, czy znowu obiad przypaliłam! - westchnęła westchnieniem wbijanego na pal. - Jestem psychicznie wyczerpana. Ja chyba muszę gdzieś wyjechać, do jakiegoś sanatorium albo lepiej do jakiegoś SPA. Naprawdę, ten cały stres już

mi się na zdrowiu zaczyna odbijać. Nie wspominając o urodzie. Popatrzcie na moje podkopy pod oczami! A te zmarszczki!? Przecież ja wyglądam co najmniej na czterdziestkę! - zademonstrowała skórę pod oczami, naciągając ją do granic możliwości. - Ja już z nerwów wymiotuję co godzinę!

Nagle o czymś sobie przypomniała.

- A Aga? Jakie ty masz zmartwienia?

Julia nie pozwoliła mi nawet dojść do słowa.

- Wplątała się w aferę narkotykową i morderstwo, a w dodatku podejrzewa, że Jerzy może być w mafii. A kto wie, może zamordował kochankę Jacka!? - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Kasia nie odzywała się dobrą chwilę. Wyraz jej twarzy wskazywał na intensywny proces przetwarzania danych.

- Wygrałyście - powiedziała w końcu zrezygnowana, ściągając płaszcz. - To jaki mamy plan?

Planu jeszcze nie było, więc usiadłyśmy przy stole, każda z filiżanką mocnej kawy, i zaczęłyśmy intensywnie myśleć. Zrobiła się trzecia. Potem wpół do czwartej. O czwartej Julia wpadła na kolejny, po wyjeździe na Madagaskar i zmianie tożsamości, genialny pomysł.

- Będziemy go śledzić!

- Co ty? Jak się zorientuje, to pomyśli, że mu nie ufam.

- A ufasz mu?

- No nie... - przyznałam niepewnie. - Ale tak... śledzić kogoś? To poważna sprawa.

- No - wtrąciła się Kasia - a poza tym, jeśli naprawdę jest w mafii i jeśli to on zamordował kochankę Jacka, to może nas wszystkie... - Teatralnie poderżnęła sobie palcem gardło i dramatycznie wywalila język na wierzch.

- Daj spokój, przecież on by nie mógł czegoś takiego zrobić - mimowolnie zaczęłam bronić Jerzego.

- To bardziej humanitarnie: kulka w łeb i do piachu. Powiedzenie, że każdy lekarz ma swój cmentarzyk, nabiera zupełnie nowego znaczenia, prawda?

- Mówię wam, że on taki nie jest. Nie wierzę, żeby mógł komuś zrobić krzywdę dla jakichś narkotyków. Zresztą, prochy to jedna rzecz, a morderstwo to zupełnie coś innego. Przecież go znam.

- Jacka też znałaś. Strasznie naiwna jesteś, dziewczyno.

I tu mnie mają. Mój główny argument okazał się niewypałem. Jako osoba chwilowo niepoczytalna i nie zrównoważona emocjonalnie dałam się ubezwłasnowolnić moim dwóm stukniętym przyjaciółkom. Zgodziłam się na wszystko i wyszłam na chwilę do łazienki. Popłakać w samotności i łyknąć odrobinę whisky, którą Julia trzymała na wzmocnienie w szafce za lustrem. Kiedy wróciłam, dziewczyny pakowały olbrzymią torbę.

- Po co wam ta torba? - zapytałam podejrzliwie.

- Jak to po co? Przecież mamy niebezpieczną misję do spełnienia, musimy mieć wszystko, co potrzeba.

- To znaczy co?

- No, sznurek, jakby trzeba było kogoś związać, pieprz w sprayu do samoobrony, młotek... Wiesz, zawsze może się przydać. Swetry, kosmetyki i w ogóle takie tam. Aha, i proszę... - Julia triumfalnie wręczyła mi pilniczek do paznokci. - Na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego? - zapytałam, dla świętego spokoju chowając pilniczek do kieszeni.

- Pomyśl trochę, ja nie będę odpowiadać na głupie pytania! Ty nie masz w ogóle zmysłu praktycznego, kobieto! Przecież zawsze można komuś wydłubać oko.

No tak, przecież to takie oczywiste.

- A składaną gilotynę i paralizator w długopisie spakowałyście?

Spojrzały na mnie surowo.

- Wszelkie złośliwości są niepotrzebne. Wiemy, co robimy. A poza tym mamy się dobrze bawić, pamiętasz? Chodzi o to, żeby nudę przelać, żeby zastrzyk adrenaliny był. Żeby nam się wszystkim lepiej zrobiło. Powyglupiamy się jak za dawnych dobrych czasów.

- Tylko że dla mnie to wcale nie jest zabawne!

Ale Julia nie zwracała na nic uwagi, tylko szczyrzyła zęby w nieobecny uśmiech, wspominając dawne czasy. Nagle przypomniała sobie o czymś szalenie istotnym.

- Czekajcie, czekajcie! Jeszcze dziesięć minut potrzebuję! - Szybko zniknęła za drzwiami łazienki.

Spojrzałyśmy z Kasią po sobie i zaczęłyśmy powoli wkładać płaszcze.

Po dziesięciu minutach opadłyśmy na kanapę. Zrobiło się ciepło. Minęło pół godziny i każda z nas odpłynęła w swój sen.

- Nie spać! - obudził nas po godzinie radosny okrzyk Julii. Była świeża, przypudrowana i pachnąca. - Do dzieła!

- Jezu, Julia, gdzieś ty była tak długo? - zapytała Kasia, ziewając.

- Musiałam sobie nogi wydepilować - oświadczyła nonszalancko, wciągając swoje modne kozaczki i wkładając na głowę zawadiacki beret.

Rzuciłam jej spojrzenie pełne znaków zapytania. Kasia była bardziej bezpośrednia.

- Na mózg ci padło? Każesz nam tu czekać godzinę, a sama nogi depilujesz!?

Julia bynajmniej nie uważała swojego zachowania za dziwne.

- Posłuchaj mnie, moja droga - powiedziała nauczycielskim tonem. - Okazuje się, że jeszcze możesz się ode mnie nauczyć pewnych rzeczy: z domu nie można wyjść, wyglądając nieestetycznie, zwłaszcza w naszym wypadku. A jak ktoś mnie postrzeli!? Albo wpadnę pod samochód!? I znajdę się w szpitalu!? Wiesz, jaki byłby wstyd?! Poza tym nigdy nie wiadomo, co ci się może przytrafić. A przystojni mężczyźni czają się na każdym rogu ulicy. Trzeba być zawsze przygotowanym na wypadki losowe, czyli, moje panie... - mrugnęła okiem - odpowiednie majtki zawsze w pogotowiu!

ROZDZIAŁ 38

Zapakowały mnie razem z torbą na tylne siedzenie ślicznego mercedesa Julii i ruszyliśmy ku wielkiej przygodzie. Już od początku wszystko szło nie tak, jak należy.

- Stój! - wrzasnęła nagle Kasia, choć dopiero co włączyliśmy się do ruchu.

Julia zahamowała gwałtownie, o mały włos nie powodując wypadku. Okazało się bowiem, że jedzie za nami jakiś samochód, którego kierowca najwyraźniej nie przestrzegał zasady zachowania bezpiecznego odstępu. Na szczęście zdążył wyhamować i Julia odetchnęła, poprawiając lusterko, w którym przed chwilą oglądała swoje prawe ucho. Włożyła nowe kolczyki i była ciekawa, jak wyglądają.

- Jak jeździsz, kobieto! Od razu widać, że blondyna! - wrzasnął wąsaty dryblas w polonezie i pojechał dalej.

Julia mruknęła niecenzuralnie pod nosem, po czym spojrzała pytająco na Kasię. Ta, przeraźliwie blada, otworzyła drzwi i, jak to się literacko mówi, dostała torsji. Kiedy wróciła do siebie, słabym głosem oświadczyła:

- Przepraszam, chyba mam wrzody na żołądku. To ten stres tak na mnie działa. Ciągłe mi niedobrze.

- A test ciążowy sobie zrobiłaś? - zapytałam z głupia frant.

- No, coś ty! Absolutnie nie! - zaprzęła się. - Niby po co? I proszę mi tu nic nie insynuować!

Nie odezwałam się więcej, bo nie wykazywała najmniejszej ochoty na kontynuowanie tematu. Po drodze Julia musiała stawać jeszcze dwa razy. Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, zrobiła się siódma. Było przeraźliwie cicho i ciemno. Zauważyłam jednak, że w oknie Jerzego pali się światło. Najwyraźniej nie mógł spać.

Pewnie gryzą go wyrzuty sumienia - pomyślałam zła na siebie z powodu ogarniającej mnie cikliwości i starając się stłumić w sobie ciepłe uczucie, zapytałam na głos:

- Co teraz?
- Czekamy - odpowiedziała Julia ze stoickim spokojem.
- Ale na co?
- Na tego twojego gangstera przecież, a potem będziemy go śledzić.
- A jak nie wyjdzie, to co?
- No, nie wiem, skąd mam wiedzieć? Jakiś prorok jestem czy co? Zobaczmy...

Zapanowała cisza. Siedziałyśmy tak, popijając kawę z termosu, kiedy Kasia nie wytrzymała.

- Wiecie co? Ja w ciąży jestem.
- To fantastycznie!?

Nasz entuzjazm nie spotkał się z oczekiwanym odzewem. Kasia smutno zwiesiła głowę.

- No. Tak. Tylko, że... Myślałam, że w tym roku wrócę już do pracy, do normalnego życia. Mam przedszkole załatwione. Wiecie, ja broń Boże niczego nie żałuję, kocham swoje urwisy, tylko że... czasami jest mi tak trudno - zaczęła pociągać nosem. - A Paweł myśli, że jestem najszczęśliwsza na świecie, bo nie muszę pracować, mam wszystko, mogę spokojnie wychowywać dzieci. - Spojrzała na nas z desperacją. - Jacy ci faceci są nieżyciowi. A ja mam już dosyć rozmów na poziomie czterolatków, prania, gotowania i mam dość siedzenia w domu! - Rozplakała się. - Jestem strasznie sfrustrowana. A tu wszystko od początku!

- A rozmawiałaś o tym z Pawłem? - zapytałam współczująco.

- Jeszcze nie. A jeśli chodzi o moje kryzysy, to... co ja mam mu mówić? Chyba widzi, że jestem jednym kłębkim nerwów, przecież frustrację mam na twarzy wypisaną i bynajmniej nie da się jej przykryć koloryzującym fluidem.

- Musisz z nim poważnie porozmawiać. Z mojego doświadczenia wynika, że facetom trzeba wszystko prosto z mostu, wycebulić, podać na tacy, bo do nich inaczej nie trafia. Nie reagują na wymowne milczenie. Jak

by to ująć prościej...? Nie grzeszą domyślnością - Julia była niezastąpiona, jeśli chodziło o znajomość nie tylko męskiego ciała, ale i duszy.

- Po prostu zmęczona jestem - westchnęła ciężko Kasia. – Ale masz rację, muszę z nim w końcu porozmawiać. I tak się zorientuje.

Zwłaszcza jak ci brzuch urośnie, kochaniutka. Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Ciszę przerwała Julia.

- A ja i tak ci zazdroszczę. Zawsze mi się wydawało, że życie jest za krótkie, żeby się wiązać, że jest tyle do przeżycia... Tyle do odkrycia... Ale niedawno zaczęłam sobie uświadamiać, że to wszystko jest bardzo względne. Jak to ktoś powiedział: „Czym innym jest czekać na niedzielę, a czym innym przeżyć ją do wieczora”. Tak sobie myślę, że ty właśnie przeżywasz coś naprawdę, a ja tylko czekam. Czekam na niedzielę, która nigdy jeszcze nie nadeszła. No i Kamil... - zamyśliła się. - Ile ja bym dała, żeby być młodszą...! Czasem pokrewne dusze odnajdują się w nieodpowiednich ciałach, w nieodpowiednim momencie i wszystko się komplikuje.

Zaczęłam się zastanawiać, czy chciała pocieszyć Kasię, czy naprawdę zmieniła swoją filozofię życiową. Matko, a może w jakąś sektę dała się wpuścić!? A ten Kamil? Kto wie, może wierzy w międzygalaktycznego morsa?

Kasia zdawała się nie słyszeć.

- Wiecie co, ja mam straszną ochotę na hot doga.

Rozważania egzystencjalne zawsze przegrają z pustym żołądkiem.

- No, co ty! Nie wolno ci jeść takich świństw! - wykrzyknęłam jednocześnie z Julią.

- Ostatnio oglądałam taki program o parówkach... - zaczęła Julia podkscytowanym głosem.

- Też go oglądałam! - zapiszczałam, przypominając sobie wszystkie okropieństwa.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co jest w takim hot dogu!? - wyrzuciłyśmy z siebie.

- Parówka? - zaryzykowała Kasia zdziwiona naszym wybuchem.

- Parówka! Ale nie wiesz, co jest w takiej parówce! Wszystko!! Do parówek ładują wszystko, łącznie z uszami, ryjem, flakami, skórą, kopytami!
- produkowała się Julia.

- To już chyba przesadziłaś - wtrąciłam. - Kopyt nie miałą, ale na pewno dodają sierść. A poza tym nie ma żadnej gwarancji, że w takiej parówce to faktycznie jest świnia. Może to być na przykład psina. Myślę, że w tym dowcipie o psinie rąbanej razem z budą jest więcej prawdy, niż można by przypuszczać. Jak ostatnio jadłam parówkę, to też znalazłam w niej coś takiego drewnianego. Choć z drugiej strony, normy unijne chyba by na to nie pozwoliły. Ale, kto wie, może to wieprzowina rąbana razem z chlewikiem? I...

Nie dokończyłam. Usłyszałyśmy trzask otwieranych drzwi i charakterystyczny dźwięk wychodzącej przez usta treści żołądkowej. Po chwili wszystko ucichło.

- W porządku? - zapytałam z miną winowajcy.

Kasia nie zdążyła odpowiedzieć, bo oto rozległ się przenikliwy szept Julii:

- Cii, ktoś idzie.

Wskazała na mężczyznę, który wyszedł z budynku. Wpatrywałyśmy się w niego z takim przejęciem, jakby był co najmniej Bradem Pittem. Mężczyzna rozglądnął się podejrzanie dookoła i znieruchomiał. Nagle rozpiął rozporek i zaczął załatwiać potrzebę fizjologiczną tuż pod swoim blokiem.

- Fuj! - jęknęłyśmy wszystkie z obrzydzeniem.

- Dlaczego facet przed wyjściem z domu nie może wypróżnić się we własnej łazience!?

- Pewnie żona ciągle zamyka mu klapę od sedesu i nie chce mu się podnosić.

- Albo mu się marzy powrót do natury!

- A może mają podział mieszkania i łazienka mu nie przysługuje? W każdym razie to nie ten - oświadczyłam, obserwując uważnie, jak zapina rozporek i znika między blokami.

Wypatrywałyśmy dalej. Zaczęło się pojawiać coraz więcej ludzi. Ulica budziła się do życia.

- A ten?

Pojawiła się następna postać.

- Nie, za stary. A poza tym... to kobieta! Gdzie ty masz oczy!
- Kobieta? Przecież ma wąsy - mruknęła powątpiewająco Kasia, przecierając rękawiczką zaparowaną szybę.

- Nie wiesz, że mamy równouprawienie? Wszyscy mają prawo nosić, co się im żywnie podoba. To facet z długimi włosami jak najbardziej, a baba z wąsami to niby jakaś żenada? A facet z piersiami? Przecież niektórzy to naprawdę mają cycki, że aż zazdroszczę, i w dodatku nie muszą sobie robić operacji plastycznych, nic z tych rzeczy. Po prostu piwko dziś, jutro i tak codziennie...

- A tamten? - Julia wskazywała teraz na wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu, który niczym duch przemknął pod murem i zniknął wewnątrz budynku. Jego sylwetka wydała mi się dziwnie znajoma.

- To nie on - powiedziałam powoli, zastanawiając się, kto to mógł być.

Po chwili mężczyzna pojawił się znowu, rozglądając się uważnie dookoła. I wtedy go rozpoznałam.

- Jeden z gangsterów bliźniaków - wyszeptałam przejęta i chwyciłam Julię za ramię.

Przywarłyśmy do szyby. Z bijącym sercem obserwowałyśmy nieświadomego bycia obserwowanym gangstera, do którego dołączył... Jerzy! A jednak...

- Jerzy to tamten z prawej - powiedziałam powoli, identyfikując Bonda.

Odsunęłam się od szyby.

Ogarnął mnie przeraźliwy smutek. Nagle dotarła do mnie cała naga prawda, którą ukrywałam gdzieś pod kołdrą złudzeń i marzeń.

Niewierny, kłamliwy samiec, niegodny uczucia przyzwoitej dziewczyny dwulicowy łajdak, lotr, drań, gangster! A w dodatku na pewno impotent, bo z jakich innych przyczyn nigdy jeszcze nie pocałował mnie nawet, jak należy? Normalny, zdrowy mężczyzna wykorzystałby sytuację.

Julia zmrużyła oczy po kociemu i zmierzyła go fachowo.

- Ty! Rozkoszny jest. Szkoda, że przestępca. Taka strata!

- Ten drugi maczał palce w porwaniu twojego krasnala, Julia... - dodałam wściekle.

Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość. A jednak mafia negocjuje z Jerzym. Takie rozmowy o pracę. A może nawet kontrakt już podpisany. Pewnie krwią.

Oczy Julii zabłyśły. Obudził się w niej instynkt łowcy.

- To co robimy!?! Co robimy!?! - gorączkowała się Kasia.

- Idziemy! - zdecydowała Julia i wyskoczyła z samochodu.

- Poczekaj na mnie! - rozdarła się Kasia.

- Nie wrzeszcz tak! Przecież cię usłyszą! Gdzieś ty się chowała, w buszu!?! - warknęła w odpowiedzi Julia. - Za grosz wyczucia!

Pomimo ogarniającej mnie depresji chciało mi się śmiać. Wsiadłam powoli i udałam się za moimi dwiema przyjaciółkami, które zachowywały się, delikatnie mówiąc, dziwacznie.

- Musimy podejść bliżej - wyszeptwała Julia. - Stąd nic nie usłyszymy.

Rozejrzałam się dookoła. Pojedyncze drzewa dawały pewną szansę powodzenia w podchodach. Pomimo krwawiącego serca poczułam zastrzyk adrenaliny. Ja im wszystkim jeszcze pokażę! Jackowi, Jerzemu, Malinowskiemu, wszystkim! Jeszcze mnie wszyscy popamiętają! Nie ma nic bardziej groźnego niż zdradzona, oszukana i doprowadzona do ostateczności kobieta! Drzyjcie, wiarołomni mężczyźni! Oto nadchodzi chwila zemsty! W tym momencie poczułam się prawdziwą Amazonką, nawet do głowy przyszło mi oderżnięcie sobie piersi na znak oddania sprawie, ale szybko zrezygnowałam. Gdybym miała łuk, to co innego! Spojrzałam na Julię. Ta, przytomnie kierując całą akcją, wskazała na drzewa. Każda z nas wybrała więc po jednym i dając sobie niejasne sygnały, przebiegłyśmy spory kawałek, ruszając histerycznie rękami, piszcząc i przetasowując się po drodze. Okazało się bowiem, że dziwnym trafem każda z nas wybrała to samo drzewo. Kiedy, zdyszana, zdołałam wreszcie skryć się za jakimś samotnym pnem, przytuliłam płonąca twarz do chropowatej kory i odechnęłam. Nie będę myśleć o samounicestwieniu! Wszystko się ułoży. Do dalszego życia motywowały mnie chęć krwawej zemsty i ulubiona sukienka, którą miałam odebrać z pralni. Bo jeśli w grę wchodzi życie, każdy powód jest dobry, żeby ciągnąć je dalej.

Zauważyłam, że Julia próbuje zwrócić na coś moją uwagę. Ostrożnie wychyliłam się zza pnia. Nasze ofiary zbliżały się do parkingu, a więc nie miałyśmy chwili do stracenia. Zaraz odjadą i nasza ekspedycja się zakończy. Fiaskiem. Gdyby jeszcze mieć tu samochód... Nagle Julia jakby nigdy nic wyszła zza drzewa i pogwizdując, ruszyła w moją stronę. Kiedy dotarła do mnie, oświadczyła wściekła:

- Żeby go szlag trafił!
- Jerzego?
- Psa! Wlazłam do psiego gówna!

Pokazała mi swój piękny, modny kozaczek oblepiony psim ekskrementem.

- I tak go trafi. Ponoć przez zanieczyszczenie powietrza psy padają tu na spacerach jak muchy.

- Świetnie! - oświadczyła bezlitośnie. - Mam nadzieję, że padnie razem z właścicielem, który zapomniał po nim zebrać.

- To co robimy? - zapytałam z niepokojem, wychylając się ostrożnie zza drzewa. Gangster tłumaczył coś zapalczywie Jerzemu.

- Słuchaj, przecież on mnie nie zna!

Spojrzałam na nią oszołomiona. Fakt.

- Ani Kaśki!

Kolejny fakt. I kto tu jest ofiarą?

- Słuchaj, podejźmiemy tam z Kasią i będziemy podsłuchiwać na bezczelnego, a ty idź po samochód i zaparkuj gdzieś w pobliżu, dobra? I włącz sobie komórkę jakby co.

- Tak jest - posłusznie włączyłam telefon.

- Co ona...? - zdumiała się nagle Julia.

Kasi najwidoczniej znowu żołądek robił na złość. Wymiotowała.

- Idę do niej - powiedziała zrezygnowana, ale przerwał jej dzwonek mojego telefonu. Spojrzałam na numer. Jerzy! Wychyliłam się zza drzewa. Z telefonem przy uchu rozglądał się zdumiony, słysząc dzwoniącą komórkę.

Spojrzałyśmy po sobie przestraszone. Szybko odrzuciłam połączenie, a Julia, widoczna dla wszystkich, ostentacyjnie demonstrowała swoją oldskulową nokię „banan”. Mężczyźni, uspokojeni, zajęli się rozmową. Wiele bym dała, żeby wiedzieć, o czym mówią. Wydawali się bardzo poruszeni.

Zwłaszcza Jerzy, który nerwowo gestykulował. Julia, maszerując sztywno, podeszła do drzewa, za którym Kasia rozpaczliwie starała się przemówić swojemu żołądkowi do rozumu, a ja zgodnie z planem wycofałam się w stronę samochodu Julii, rozmyślając po drodze nad naszym wątpliwym ilorazem inteligencji. Przesławna Mandaryna ma zapewne wyższe IQ niż cała nasza trójka razem wzięta. Ale my za to lepiej śpiewamy.

Przypomniały mi się studenckie wypadki w góry i nocne porykiwania zdartych gardel przy akompaniamencie rozstrojonej gitary. To były czasy. Wtedy człowiek nie szukał taniej sensacji, śledząc jakichś cholernych gangsterów, tylko przed niedźwiedziami się uciekało. Albo przed właścicielami gruntów, na których bezprawnie stały nasze namioty. To były czasy...

Wsiadłam do mercedesa Julii i podjechałam na parking, a moje niezastąpione przyjaciółki władowały się szybko do środka. Zostałam brutalnie skierowana na tylne siedzenie, po czym Julia z piskiem opon ruszyła za oddalającym się czarnym volvo. Kasia gorączkowo opisywała mi sytuację.

- Rozmawiali o jakimś porwaniu. Nie wiem dokładnie, o co chodziło. Mówili bardzo cicho i przerwali, kiedy tylko się zbliżyliśmy. Potem twój ginekolog odjechał, a gangster w czarnym płaszczu odszedł w kierunku Rynku.

- Kto ma kogo porwać? - zapytałam, słabnąc.

- No właśnie, w tym sęk, że nie wiemy. Wygląda na to, że ginekolog ciebie.

Roześmiałam się histerycznie.

- Gdyby miał mnie porwać, zrobiłby to już dawno. Miał ku temu mnóstwo okazji. Sama z przyjemnością dałabym mu się porwać.

- Ale może dopiero teraz dostał polecenie? Na przykład ten gangster mu to zlecił przed chwilą.

Julia gwałtownie zahamowała i z piskiem opon skręciła w Królewską.

- Widzisz? Jedzie do twojego mieszkania!

- Jezu, Julia, zwolnij, bo będziesz musiała czyścić tapicerkę - jęknęła Kasia, chwytając się za usta.

- Na twój koszt - rzuciła ostrzegawczo Julia i z wyczuciem kierowcy rajdowego wjechała na parking po przeciwnej stronie mojego bloku.

Niemal nie oddychając, obserwowałyśmy, jak Jerzy wysiada szybko z samochodu i bez wahania wchodzi do budynku. Ogarnęła mnie dzika furia.

- Muszę z nim porozmawiać! - zdecydowałam nagle i otworzyłam drzwi.

- Nie wolno ci! - wykrzyknęły naraz moje towarzyszki. - Może ci grozić niebezpieczeństwo! Pamiętaj, że mógł zabić Zaleską!

Wysiadłam pomimo protestów.

- Poczekam na niego przed wejściem. Będziecie mnie dobrze widzieć. Wygarnę mu wszystko, może skopię, a potem jedziemy prosto na policję. Już ja mu pokażę!

Nie czekając na aprobatę z ich strony, przebiegłam przez ulicę i zdecydowanym krokiem udałam się w kierunku drzwi wejściowych do mojego bloku. Co jakiś czas odwracałam się, sprawdzając, czy jestem dobrze widoczna. Niestety, jak na złość nadjechał tramwaj i zasłonił samochód Julii. A już w następnej sekundzie ktoś położył mi rękę na ramieniu. Odwróciłam się gwałtownie. Zobaczyłam nieznanego odpowiednio umięśnionego mężczyznę w ciemnych okularach. Nie spodobały mi się te okulary, bo znowu bezwiednie pomyślałam o Matriksie.

- Pani Agnieszka Rusalka?

- To zależy, kto pyta... - odpowiedziałam niepewnie, starając się wybadać sytuację. Jego akcent wydał mi się dziwnie znajomy.

Chyba udzieliłam złej odpowiedzi, bo zaraz potem podjechał samochód, który, tak nawiasem mówiąc, też mi się dobrze nie kojarzył. Czarne bmw. W mojej głowie zapaliła się lampka ostrzegawcza. Usłyszałam miauczenie kota i zawodzący głos *Madame* Klary: „Kolor czarny niedobry”. Nie miałam jednak czasu na dłuższe rozmyślenia, bo nagle ze zdumieniem zaobserwowałam, że kłapa bagażnika powoli się unosi. Zerknęłam niepewnie na stojącego obok mężczyznę. Uśmiechnął się szeroko, a następnie chwycił mnie w swoje wielkie łapska, zatkał mi usta i jednym wyćwiczonym ruchem, jak jakąś walizkę, zapakował do bagażnika.

Zdezorientowana i sparaliżowana, nie byłam w stanie zareagować. Kłapa z nieprzyjemnym zgrzytem zamknęła się tuż nad moją głową, odcinając dopływ światła. I stała się ciemność. Ogarnął mnie klaustrofobiczny lęk i poczułam przedsmak trumny. Zaraz potem wszystko gwałtownie ruszyło i zaczęłam obijać się o ścianki bagażnika, modląc się, żeby kierowca został zatrzymany przez policję za nadmierną prędkość. Po dłuższej chwili, zapewne na skutek uderzenia w głowę, uspokoiliam się i wrócił mi rozum. Ale i tak jedyne, co mogłam zrobić, to oddychać głęboko i przygotowywać się na najgorsze.

- Jestem małą kropeczką na szyi żyrafy... - próbowałam się relaksować. Na darmo.

Chwilowe ukojenie przyniosła dopiero myśl: zaraz, zaraz, przecież ja mam pilniczek do paznokci... Aha! Wyciągnęłam triumfalnie wspomniany przedmiot i choć nie byłam w stanie dostrzec nawet jego konturów, zaczęłam oglądać, czy raczej macać go ze wszystkich stron, jakby był czarodziejską różdżką i miał za chwilę zamienić samochód w dynię, a kierowców w myszy.

- I jak ja niby mam tego użyć, do cholery!?! - Po dłuższej chwili zaczęłam sobie na oślep piłować paznokcie. Przynajmniej mnie to uspokoilo. Grunt to racjonalne myślenie. Kiedy doszłam nieco do siebie, usłyszałam sygnał telefonu. Podskoczyłam gwałtownie, znowu uderzając się dotkliwie w głowę. Telefon mi dzwoni!!! Przecież ja mam telefon! Jezu kochany! Po omacku i z wielkim trudem wyciągnęłam go z kieszeni płaszcza i odebrałam. Zrobiło się nieco jaśniej.

- Dziecko moje, ja naprawdę się martwię o ciebie! - mama stanowczo nie dawała za wygraną. - I pierogów nie wzięłaś!

Uśmiechnęłam się pod nosem. Jakie wyczucie chwili! Zaraz mnie zamordują, a ona się martwi, że pierogi się zmarnują!

- Przyjadę, jak tylko będę mogła, teraz naprawdę nie mogę rozmawiać. I... Kocham cię, mamó - powiedziałam tak na wszelki wypadek, gdyby jednak mieli mi coś zrobić.

- Córeczko, czy ty się aby dobrze czujesz? Jakoś dziwnie się z tobą rozmawia.

Ponarzekłam chwilę na niskie ciśnienie, a kiedy się uspokoila, rozłączyłam się. Postanowiłam trochę podzwonić, zanim zupełnie pozbawią

mnie komunikacji ze światem i kto wie, czego jeszcze.

- Julia? Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło...

- Gdzieś ty jest!? Ten twój gangster przed chwilą odjechał! - ogłuszył mnie zdenerwowany głos Julii. - Wracaj natychmiast! Kaśkę trzeba odwieźć! Ciągłe wymiotuje!

- Wcale nie wymiotuję, tylko mnie trochę mdli. - Głos Kasi nie brzmiał przekonująco.

Usłyszałam odgłos szarpaniny i słuchawkę najwyraźniej przejęła Julia:

- To gdzie jesteś? Na policję mamy jechać!

- Ktoś mnie porwał.

Cisza w słuchawce. A zaraz potem przeraźliwy wybuch śmiechu.

- Co ty, Aga! Lepiej się przyznaj od razu, że postanowiłaś zostać panią gangsterową - rechotała do słuchawki Julia, wspomagana dzielnie przez Kasię.

- Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w bagażniku czarnego bmw. Skontaktuj się z inspektorem Bogusiem i wytłumacz mu wszystko. Mam nadzieję, że was jeszcze zobaczę - szepnęłam melodramatycznie i nie czekając na komentarz, rozłączyłam się.

Zaczynało mnie wszystko boleć. Okazuje się, że bagażniki w bmw są niezwykle niewygodne - stanowczo zniechęciłam się do zakupu auta tej marki. Raz na zawsze.

ROZDZIAŁ 39

Po pewnym czasie, który wydał mi się dłuższy niż samotny wieczór przed telewizorem, kołysanie ustało. Zamarłam. Potem szybko wcisnęłam komórkę do biustonosza, a pilniczek do kieszeni, nie mając złudzeń, że jedyne, co z nim mogę zrobić, to najwyżej wsadzić oprawcy do oka, o ile zdążę oczywiście. Usłyszałam jakieś głosy. Znowu cisza. Nic. A potem oślepiło mnie światło i do moich płuc wdarło się mroźne powietrze. Przetarłam oczy. Nade mną pochylał się ten sam muskularny mężczyzna, który wcześniej z taką gracją załadował mnie do środka. Znowu nie mówiąc ani słowa, jednym ruchem ręki wyciągnął mnie z czeluści piekiel. Rozprostowałam kości i zlustrowałam teren. Znajdowałam się przed jakąś podejrzaną kamienicą, która musiała pamiętać jeszcze smoka wawelskiego. Tak na pierwszy rzut oka Podgórze, aczkolwiek trudno mi było dokładnie zlokalizować okolicę. W oknie zamieszkaney jeszcze części budynku stała piękna choinka z gwiazdą betlejemską na szczycie. Pokój ludziom dobrej woli, prawda? Wprowadziło mnie to w bardzo optymistyczny nastrój, bo Boże Narodzenie to czas dobroci, miłosierdzia i miłości bliźniego.

- Idziemy, tylko bez numerów, bo będę musiał uspokoić. Niby byłem już u spowiedzi, ale zawsze mogę pójść jeszcze raz. Proszę o tym pamiętać - odezwał się milczący dotychczas mężczyzna. Jego akcent intrygował mnie coraz bardziej.

- A ksiądz rozgrzeszenie zawsze daje? - zapytałam, idąc grzecznie obok gangstera i rozglądając się uważnie.

- A ma inne wyjście? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Najwidoczniej nie bardzo.

- Siła perswazji zapewne? - zapytałam ironicznie.

- Jakiej Perswazji? Moja siła! - odpowiedział urażony. - Proszę spojrzeć! - Jednym ruchem zdjął kurtkę, podciągnął rękawy bluzy i wypiął

swoje żelazne mięśnie. - Od dziesięciu lat ciężary dźwigam. Nie potrzebuję pomocy żadnej Perswazji!

- Taak, robią wrażenie! - oświadczyłam, próbując się uspokoić, nie tyle na widok ręki, która stworzona została do bicia, co wielkiego, czerwonego S na jego niebieskiej bluzie. Superman. A więc Mikołaj mówił prawdę. To z tym osiłkiem musiałam rozmawiać przez telefon! Skojarzyłam wreszcie jego akcent. - Mam nadzieję, że nie wykorzystuje ich pan do ciemnienia cnotliwych niewiast.

Spojrzał na mnie, robiąc dziwną minę, i więcej się nie odezwał. Potem wprowadził mnie do sutereny i kazał usiąść w małym, zimnym pomieszczeniu, które najwyraźniej było przystosowane do goszczenia takich dziwnych tudzież nieobliczalnych ludzi jak ja, bo drzwi miały porządną zamek, a przez małe zakratowane okienko nie przecisnęłoby się nawet dziecko.

- Proszę usiąść i czekać - oświadczył obojętnie mój porwacz.

- Na co?

- Zaraz się pani wszystkiego dowie. Ja tu nie jestem od gadania - powiedziawszy to, zniknęła za drzwiami i usłyszałam tylko niepokojący zgrzyt zamka.

Zaczęłam nerwowo krążyć po pokoju. Po krótkiej chwili usłyszałam czyjeś głosy i drzwi ponownie się otworzyły. Do pokoju wszedł Jacek, a za nim znany mi już Superman. Wpatrywałam się wściekła w swojego eks.

- Co to ma, do cholery, znaczyć!? Dlaczego kazałeś mnie porwać!? Czego jeszcze chcesz ode mnie!?! Ty...!!! - wrzasnęłam, nie czekając na żadne kurtuazyjne pytania w stylu: „Jak ci minęła podróż?” i „Czy mama zdrowa?”. Miałam ochotę rzucić się na niego z pięściami.

Jacek na wszelki wypadek odsunął się na bezpieczną odległość, a gangster uraczył mnie brzydkim spojrzeniem.

- Książd znowu mi zabronił walić, ale ja normalnie nie mogę wytrzymać. Nie mogę znieść, jak ktoś się wydziera. Od razu mam ochotę uciszyć. - Jego pięść zaczęła jednostajnie uderzać w ścianę.

Owa demonstracja siły zrobiła na mnie kolosalne wrażenie. Automatycznie usiadłam i starałam się nie oddychać. Jacek z cierpkim uśmiechem zajął krzesło obok.

- To nie ja kazałem cię porwać, pszczołko - oświadczył ponuro. - Myślisz, że ja tu jestem z własnej woli? Spójrz na mnie. - Teraz dopiero zauważyłam, że jest nieco poobijany. - Zgarnęli mnie zaraz, jak od ciebie wyszedłem. Tłumaczę im, że jadę po towar, że w schowku jest, no, tak jak mi powiedziałaś...

Przelknęłam ślinę.

- ... a oni mi na to, że dość ze mną mieli problemów, że oni to załatwią.

Mroczi przed oczami zrobiły się bardzo wyraźne.

- Przez chwilę myślałem, że już po mnie, ale potem mi mówią: dość fuszerki, trzeba to załatwić sprawnie i bez żadnych wpadek. Dziewczyna schowała tam towar, to ona go teraz wyciągnie.

Niedobrze. Tego chyba nikt nie wziął pod uwagę.

- I dlatego zostałeś tu zaproszona, pszczołko. Zaraz zabiorą cię na dworzec.

Spojrzał na Supermana.

- Antek, może byś wyszedł na chwilę?

Superman zrobił głupawą minę.

- Niby po co?

- No - Jacek uśmiechnął się porozumiewawczo - ta pani to moja narzeczona. I, rozumiesz, potrzebujemy chwili...

- Niby na co? - Porozumienie jak na razie nie zostało osiągnięte.

- Wiesz... Nie widzieliśmy się długo i chciałbym ją przytulić i takie tam... Rozumiesz.

- A! - Antek doznał olśnienia i mrugnął domyślnie okiem. - Mnie też przed akcją różnych numerków się zachciewa, tylko ksiądz mi potem wierci dziurę w głowie. Co ja z nim mam! Na nic oka nie chce przymknąć! Chyba będę musiał księdza zmienić, zanim to ja jemu wywiercę dziurę. Ale słuchaj, stary, ja nie mogę wyjść.

- Na chwilę... Proszę... Przecież nie mamy dokąd uciec, prawda?

Superman zawahał się. Patrzył to na Jacka, to na mnie, a wreszcie, ociągając się straszliwie, oświadczył:

- Dobra, ale tylko na chwilę. Zmówię litanię i zaraz wracam.

Kiedy trzasnęły drzwi, Jacek odwrócił się do mnie z przerażoną miną potęgującą grozę sytuacji.

- Posłuchaj mnie uważnie. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, wykończą nas oboje, rozumiesz!? Nie będzie zmiłuj się!

- Rozumiem - powiedziałam, wpatrując się tępo w odrapaną ścianę.

- Powiedzieli, że już dość zabawy. Przypomnij sobie, jak mnie pobili, kiedy krasnal, którego łaskawie mi oddałaś, okazał się nie tym! A Aneta!? Zabili ją! Czy ty jesteś absolutnie pewna, że towar znajduje się w tym schowku?

- A co? Nie ufasz mi?

- A powinienem?

- Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze - spojrzałam na niego pogodnie i uśmiechnęłam się. - A jak mama, zdrowa?

Zrobił dziwną minę.

- Zdrowa...

- A jak ruch w interesie?

Przez chwilę się nie odzywał.

- Pszczółko, czy ty aby nie starasz się zmienić tematu?

- No, wiesz!

Nie zdążyłam się zanadto oburzyć, bo do pokoju włądowało się jeszcze dwóch moich znajomych, groźny gangster numer jeden i muzyczny gangster numer dwa, czyli Konstanty *vel* Mozart.

- Gdzie Antek? - warknął gangster numer jeden, patrząc na mnie spode łba. - Miał tu czekać.

- Wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza i odmówić litanie - wyjaśnił usłużnie Jacek.

- Niekompetentny świr. - Gangster numer jeden zniknął za drzwiami.

- Świetnie pani wygląda, pani Agusiu - gangster Konstanty dorwał się do mojej dłoni i spojrzał na mnie uważnie. - Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - oświadczyłam z pogodnym uśmiechem. - A u pana?

- Cóż... - Konstanty rzucił okiem na Jacka, który, zdziwiony cywilizowaną wymianą zdań, obserwował nas z narastającym zainteresowaniem. Odniosłam wrażenie, że gangster chce powiedzieć mi coś ważnego, ale obecność Jacka zdecydowanie mu w tym przeszkadza. - W święta człowiek zawsze ma więcej pracy. Wie pani, grywam na przyjęciach noworocznych.

Ale dlaczego pani do mnie nie zadzwoniła? Przecież mówiłem, że to ważne! - nie wytrzymał.

Nie zdążyłam mu jednak odpowiedzieć, bo w tym momencie wrócił wściekły Antek i rozpoczął ewakuację. Na Jacka czekał jakiś samochód dostawczy z odrapanym napisem „Najlepsze sklepy mięsne” (miałam nadzieję, że nie przerobią mojego eks na parówki), a mnie zaproszono z powrotem do bmw.

ROZDZIAŁ 40

Zanim wsiadłam do samochodu, zostałam pouczona przez gangstera numer jeden:

- Po pierwsze: słuchać, po drugie: pamiętać, że w każdym momencie może pani zarobić kulkę, więc żadnych numerów, po trzecie: od tego, jak cała akcja przebiegnie, zależy, czy zje pani wigilię z rodziną. *Comprende?* Jeśli coś będzie nie tak, ja osobiście się panią zajmę. Świątek czy piątek, rano czy po godzinach. Zawsze sprawi mi to wielką przyjemność. - Nie dbałym ruchem rozsunął płaszcz, pokazując mi swoją błyszczącą broń.

- To bardzo budujące, że są jeszcze ludzie tak oddani swojej pracy - odpowiedziałam, wpatrując się jak zahipnotyzowana w złowrogi przedmiot.

Były to ostatnie słowa, na jakie pozwolił mój układ nerwowy. Potem język stanął mi w gardle ze strachu i osłabłam. Dziwnie wiotka osunęłam się na miejsce pomiędzy gangsterem numer jeden a Supermanem. Konstanty prowadził, zerkając na mnie co chwila w lusterku. Ale ja bynajmniej nie byłam w nastroju do flirtów. Zaczęły mnie nachodzić różne niepokojące myśli.

Przed wszystkim przyszła mi do głowy stara prawda, że dobrym ludziom to się zawsze złe rzeczy przytrafiają. A nie? Żyłam sobie spokojnie, nie kradnąc, nie kłamiąc jakoś szczególnie, oddana pracy i mężczyźnie z potencjałem, myśląc, by dzieci po chrześcijańsku wychować, i proszę, co mnie spotyka.

Potem moje myśli skoncentrowały się na policji. Czy będą na dworcu, żeby mnie uratować? Miałam nadzieję, że Julia dodzwoniła się do inspektora Bogusia, i zrobią wszystko, by odbić mnie żywą. Czy w schowku cokolwiek będzie? Kiedy spotkam Jerzego? Bo nie miałam żadnych wątpliwości, że w końcu go spotkam. Znowu zaczęły ogarniać mnie zniechęcenie i depresja. Mam szczęście do dziwnych i niebezpiecznych facetów, nie da

się ukryć! To jest silniejsze od wszystkiego. Jak fatum! Nigdy więcej już z nikim się nie związę. Pójdę na terapię i zostanę zimną suką! A może zakonnica?

- *Siostra Agnieszka przynosi wstyd naszemu zgromadzeniu, znowu dzisiaj zaspala na jutrznię! Siostrze modlić się nie chce.*

- *Ależ ja się modłę! Pięć razy dziennie, to nie wystarczy?*

- *Siostrzo, my spędzamy pogrążone w modlitwie całe godziny. Na tym polega powołanie. A o czym siostra tak rozmyśla całymi dniami? Jakieś problemy natury religijnej? A może egzystencjalnej?*

- *Jak najbardziej egzystencjalnej. Myślę o księdzu Franciszku. Taki przystojny mężczyzna, dlaczego został księdzem? Jakie miałby śliczne dzieci... Co za szczęście, że celibat nie jest dziedziczny.*

- *Siostrzo Agnieszko!!!*

Hmm... Klasztor zdecydowanie odpada.

Nie miałam jednak czasu na dalsze rozmyślanie, bo przed nami pojawił się żółty budynek Dworca Głównego. Gangsterzy zwinnie wyskoczyli z samochodu i rozglądając się dookoła podejrzliwie, jednym wyćwiczonym ruchem założyli ciemne okulary. *Let's play*. Gangster numer jeden chwycił mnie za ramię, przypomniał o bezwzględnym posłuszeństwie i zaczął popychać w stronę głównego wejścia. Pod pachą czułam zimno metalu. Ludzie mijali nas obojętnie, nie widząc lub bojąc się zobaczyć. Nie rozróżniałam twarzy. Nie słyszałam głosów. Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy tak się nie bałam. Lufa pistoletu wbijała się w moje ciało z każdą sekundą coraz głębiej. Weszliśmy do hali głównej, gdzie panował przedświąteczny ruch. Studenci z ogromnymi plecakami pełnymi brudów i pustych słoików wracali do domu na święta. Każdy się spieszył, wszyscy gdzieś biegli, potracali się wzajemnie, a słoiki w plecakach pobrzękiwały w rytmie pogrzebowego marsza. Zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy, najchętniej inspektora Bogusia, choć nieprzyjemna fizjonomia Koziółka byłaby już wystarczającym pocieszeniem. Bez rezultatu. Nie zauważyłam nikogo, kto by mógł, choć z daleka, ujść za przedstawiciela organów ścigania. Najwyraźniej byłam sama. I znowu pojawił się pewien drobny problem.

- *Gdzie teraz? - z groźbą w głosie zapytał gangster numer jeden.*

Gdzie teraz!?! Cholera. Rozejrzałam się nerwowo. To wszystko ich wina! Policji! Trzeba było mnie lepiej przygotować! Przewidzieć taką sytuację! A skąd ja mam wiedzieć, gdzie są schowki bagażowe, jeśli nigdy nie były mi do niczego potrzebne!?

Na moje szczęście gangster Konstanty bez wahania wskazał właściwy kierunek. Jego brat bliźniak pociągnął mnie zachęcająco w tamtą stronę.

- Dalej! Na co pani czeka!?! Idziemy!

No to szlam dalej. Jak na ścieżce. Konstanty i Superman Antek ubezpieczali nas zza kiosku z gazetami. Kiedy dotarliśmy na miejsce, gangster podał mi kluczyk i wymownym ruchem głowy wskazał na schowek.

- Proszę otworzyć.

Wiedziałam, że nie będzie powtarzać. Wyciągnęłam drżącą rękę w kierunku drzwiczek, modląc się, by przy ich otwieraniu nic nie wybuchło. Modliłam się przy okazji jeszcze i o inne rzeczy. Na przykład o szybki atak antyterrorystów. Albo choć małe trzęsienie ziemi. Albo natychmiastowe nawrócenie wszystkich grzeszników tego świata. Wszystko jedno co, byle tylko uwolniło mnie z rąk okropnych bliźniaków i Supermana, który stanowczo nie zachowywał się, jak na Supermana przystało. Niestety. Jeśli liczyłam na gwałtowny trzask i apokaliptyczne błyski, to się grubo przeliczyłam. A w dodatku nie mogłam trafić do dziurki od klucza. Gangster lekko się zdenerwował i mocniej przycisnął lufę rewolweru. Podziałało natychmiast. Drżąc już na całym ciele, przekręciłam kluczyk. Drzwiczki otworzyły się z lekkim zgrzytem i... powitał mnie głupawy uśmiech znajomego krasnala. Uff! Wprawdzie na piersiach dopisany miał niecenzuralny napis i brakowało mu lewego ucha, ale był w jednym kawałku. Osłabłam jeszcze bardziej. Tym razem ze szczęścia. No, to już po wszystkim. Zaraz pójde do domu.

- Proszę wyciągnąć - zażyczył sobie gangster, rozglądając się nerwowo.

Wyciągnęłam.

- Trzymać mocno i wychodzimy.

- Ale gdzie? - wyjąkałam niepewnie. - Przecież macie, co chcieliście. Teraz proszę mnie puścić!

- Jasne, złotko. Puścimy, ale najpierw musimy odzyskać towar. Już nas raz nabrałaś na puste skorupy, pamiętasz? Nie będziesz miała następnej szansy, a o brak zaufania miej pretensje tylko do siebie.

I miałam. Ale zdecydowałam, że nie dam się znowu zniewolić.

- Nigdzie nie pójde!

- Słucham? - syknął, wciskając mi lufę pistoletu prawie do żołądka. - Ja tu nie negocjuję, ja wydaję polecenia!

- A ja odmawiam, nigdzie nie jadę. Zresztą... pana szef nie będzie zadowolony, jeśli mnie pan tu zastrzeli, tak przy wszystkich. - Rozejrzałam się dookoła. Tłum gęstniał z minuty na minutę. - Rozgłos w tej sytuacji chyba nie jest wskazany. Miałby pan problemy z dostarczeniem krasnała szefowi, a chyba nie chce go pan rozczarować, prawda?

Ale się wkurzył! Zagwizdał przeciągle i od razu zjawił się Superman, dysząc straszliwie. Miałam wrażenie, że zaraz zacznie szczekać.

- Mamy problem. Dziewczyna nie chce się ruszyć. Skontaktuj się z szefem i zapytaj, czy możemy posprzątać - mruknął gangster do Antka. - Ale już!

Superman bez słowa odwrócił się i pobiegł w stronę telefonów. Gdyby nie powaga sytuacji, zaczęłabym się przeraźliwie śmiać. A komórki? A postęp cywilizacyjny? Z czym do ludu! No, chyba że chodzi o to, żeby nikt nikogo nie namierzył... Hmm... Może to wcale nie jest takie głupie... Zraz, zaraz... Posprzątać!? Czyli niby mnie... posprzątać!?

Z rosnącym przerażeniem obserwowałam, jak podchodzi do telefonu, wykręca numer i zaczyna rozmawiać, mocno przy tym gestykulując. Zamarłam w oczekiwaniu na cud. I kiedy tak moje oczy ślizgały się nieprzytomnie po dworcu, szukając ratunku, zauważyłam znajomą sylwetkę. Nie kto inny, tylko inżynier Malinowski krążył od jednej kasy biletowej do drugiej, zasłaniając się w jakimś bliżej nieokreślonym celu gazetą. Rozglądał się przez chwilę nerwowo, a potem ostentacyjnie spojrział na zegarek i rozkład jazdy. Następnie najzwyczajniej w świecie usiadł na ławce i rozłożył gazetę. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. A więc miałam rację! Malinowski jest w to wszystko zamieszany! Przecież chyba nie czeka tu na

pociąg na Karaiby! A może zaraz pojawi się Bond? Otrząsnęłam się gwałtownie. Przecież to nie ma sensu!

Superman wrócił i wyszeptał coś gangsterowi do ucha. Nasłuchiwałam, ale ryki niecywilizowanych studentów zagłuszały wszelkie szepty. Po chwili Antek wycofał się, a gangster zazgrzytał zębami i rzucił mi ponure spojrzenie.

Wyglądało na to, że nie dostał pozwolenia na świąteczne porządki. Zanim zdążył się jednak odezwać, usłyszałam za sobą znajomy głos:

- A gdzie to się pani wybiera, pani Agusiu?

Aż podskoczyłam z wrażenia. Odwróciłam się. Zobaczyłam Wiesia, który stał z tym swoim morderczym uśmiechem na morderczej twarzy. Gangster numer jeden spojrzał na mnie, potem na Wiesia i znowu zagwizdał. Zza kiosku z gazetami wyłonił się gangster Konstanty.

- Musisz na nas tak ciągle gwizdać? To chyba lekka przesada - burknął i niechętnie stanął obok swojego sobowtóra.

Wiesio popatrzył na nich zdziwiony, po czym przeniósł na mnie pytające spojrzenie.

- Wszystko w porządku, pani Agusiu?

- Tak - wyręczył mnie gangster numer jeden z mało przekonującym uśmiechem.

- A ci panowie to kto? - Wiesio był wyraźnie zainteresowany dwoma towarzyszącymi mi mężczyznami.

- Jacek i Placek - warknął gangster, po czym zniecierpliwiony dodał: - Spadaj pan!

Zaczęłam się martwić. Wiesio próbował przestraszyć go swoim zabójczym wzrokiem, ale trafiła kosa na kamień. Postanowiłam załagodzić sytuację i nie narażać swojego sąsiada na ewentualny uszczerbek na zdrowiu i umyśle tudzież potencjalne straty moralne.

- Wszystko w porządku, Wiesiu, ja ci wszystko wieczorem wytłumaczę - zrobiłam błagalną minę.

Przyjrzał mi się badawczo i nagle odpuścił.

- To proszę na siebie uważać i gdyby coś było nie tak, proszę dzwonić. Ja się zaraz zjawię.

Odwrócił się i rzucił jeszcze na odchodnym, jakby od niechcenia:

- Pani koleżanka dzwoniła. Kazała przekazać, że rozmawiała z tym specjalistą i żeby się pani nie martwiła. Operacja odbędzie się bardzo szybko. A na razie musi pani spokojnie kontynuować... leczenie i zachować całkowity spokój. Absolutnie się nie denerwować, a wszystko będzie dobrze.

Zrobiłam wielkie oczy.

- Która koleżanka?

- Chyba Julia miała na imię, a może... Bogusia?

- Dziękuję, Wiesiu - powiedziałam, żeby coś powiedzieć, bo tak naprawdę nic z tego nie rozumiałam.

- Aha, i kazała jeszcze przekazać bardzo ważną rzecz.

- Tak?

- Że musi pani koniecznie słuchać mistrzów muzyki klasycznej. To podobno dobrze wpływa na serce.

Mrugnął jeszcze okiem i zniknął w tłumie.

Gorączkowo przetwarzałam usłyszane informacje. Julia dzwoniła do Wiesia? To niemożliwe. Przecież Julia nawet nie zna Wiesia, a już na pewno nie ma do niego numeru telefonu. A żadnej Bogusi nie znam. Chyba że... nie wiedzieć skąd, w mojej głowie pojawiła się pewna myśl. I to całkiem inteligentna. Chyba że chodzi o Bogusia inspektora! Czyli wszystko pod kontrolą! Akcja jest w toku. Tylko skąd tu Wiesio? Hmm... Może go zwerbowali do pomocy? Operacja? Chyba policyjna. A o co chodzi z tymi mistrzami muzyki klasycznej? Nic mi nie przychodziło do głowy. Dopiero po chwili, kiedy spojrzałam na nieco pobladłą twarz gangstera Konstantego, spłynęło na mnie olśnienie. Przecież to jego nazywają Mozartem! A kto, jeśli nie Mozart, zasługuje na miano mistrza muzyki klasycznej?

Ogarnął mnie nagły entuzjazm. Tym razem nic nie zawalę! Tym razem ja im wszystkim pokażę!

- To wychodzimy? Chcę jak najszybciej wrócić do domu. Mam słabe serce. Muszę zażyć leki.

Gangster numer jeden odetchnął z ulgą.

- Teraz to pani rozsądnie mówi.

Zagwizdał głośno i zaraz zjawił się wierny Superman.

- Jakieś podejrzone typy? Potencjalne gliny?

- Czysto - oświadczył Antek i nie ociągając się więcej, opuściliśmy dworzec.

Ponownie zostałam zapakowana do dobrze znanego mi samochodu, obiecując sobie w duchu, że już nigdy w życiu nie wsiądę do bmw. Oczywiście nie dlatego, że moje życie chyli się ku końcowi. Muszę jednak przyznać, że z każdą chwilą moja nadzieja słabła, a entuzjazm i rogata dusza zaczynały robić mnie w konia.

W co ja się znowu pakuję!? Po co ja z nimi jadę!? Komu chcę coś udowodnić!? Trzeba było zacząć krzyczeć albo uciekać, albo chociaż gryźć! A ja dobrowolnie wsiadłam do tego pechowego samochodu! Przecież teraz pewnie mnie zamordują, a policja jak zwykle nie zdąży na czas! Ściskając w rękę ogrodowego cudaka, tępo patrzyłam na przesuające się za oknem domy, ludzi, drzewa. Nagle uświadomiłam sobie, że te przesuające się za oknem obrazy są coraz bardziej znajome. Z rosnącym niepokojem obserwowałam trasę, jaką pokonuje samochód, i wkrótce sprawdziły się moje przecucia. Konstanty zaparkował samochód na tyłach znanej mi posesji.

ROZDZIAŁ 41

Nie wiedząc, czy się cieszyć, czy płakać, wysiadłam z samochodu i kurczowo trzymając się krasnala, podążyłam we wskazanym kierunku. Przy drzwiach rzuciłam jeszcze okiem na mosiężną tabliczkę z napisem „I. Grek”. No tak... Y. Oł, i cała tajemnica. Banalne jak wszystko inne. Drzwi otworzyła znajoma gosposia, a ja nagle zdałam sobie sprawę, że swoich kwalifikacji z pewnością nie zdobyła w kole gospodyń wiejskich. Bez słowa zaprowadziła mnie do gabinetu właściciela. Usiadłam i wbrew wszystkiemu starałam się rozluźnić.

- Miło panią spotkać ponownie.

Podniosłam głowę. Przede mną, w nieskazitelnie białej koszuli i krawacie w rechoczące renifery, stał tajemniczy Y.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo.

Ignacy Grek roześmiał się ubawiony.

- Lubię ludzi z poczuciem humoru. Przeglądałem projekty fresków, pani Agnieszko. Muszę przyznać, że szalenie mi się podobają. Oczywiście nigdy nie planowałem tak ekstrawaganckich malowideł w swoim gabinecie, chodziło raczej o to, żeby mieć panią na oku. Ale kto wie...? Pani narzeczony...

- Eks-narzeczony - przerwałam mu, dziwnie spokojna w zaistniałej sytuacji.

Spowaźniał i spojrzał na mnie badawczo.

- Oczywiście. Przepraszam za nieścisłość. Eks-narzeczony miał rację. Doskonały z pani fachowiec.

Uśmiechnęłam się cierpko.

- Może pan sobie darować. Chyba nie po to pan mnie tu ściągnął z tym czymś - wskazałam na krasnala - żeby mi wręczyć bonus, prawda? Poza tym muszę się przyznać, że nie podejrzewałam pana o gustowanie w takim kiczu.

- Kicz? Wydaje się, że pani nie docenia wartości kiczu. Wie pani, anki to przedwczorajsze kicze, jak to ktoś kiedyś powiedział. A poza tym, pani Agnieszko, już dawno nauczyłem się cenić przedmioty nie tylko ze względu na ich wartość artystyczną, ale również ze względu na ich wartość, powiedzmy sobie, użytkową. A tak się składa, że ten egzemplarz sztuki... ludowej wart jest w tym momencie więcej niż niejedna kolekcja.

- Dlaczego kazał mnie pan porwać? - Nie byłem zainteresowana jego wykładem.

Zachnął się.

- Porwać? Ale co to za okropne słowo, pani Agnieszko. Przecież umawialiśmy się, że zaproszę panią, żeby przedyskutować szczegóły projektu, tak? A że nie umawialiśmy się konkretnie? Cóż... Zmusiła mnie pani do podjęcia takich, a nie innych kroków.

Spojrzał z uczuciem na krasnała.

- Czy to na pewno ten, pani Agnieszko? - zapytał rzeczowo.

- Niby który? - Moje impertynencje nie robiły na nim żadnego wrażenia.

- Ten, który przyszedł z Rosji - odparł cierpliwie.

- A jeśli nie ten? - rzuciłam zaczepnie.

- Proszę nie kusić losu, pani Agnieszko.

W jego oczach zauważyłam groźbę. Bardzo wyraźną groźbę. Tracił równowagę.

- Pani dobrze wie, jak panią szanuję. Ja naprawdę chciałbym, żeby pani zjadła kolację wigilijną z rodziną.

- Chce mi pani powiedzieć, że po tym wszystkim będę mogła tak po prostu wrócić do domu? - zapytałam powątpiewająco, widząc się już w sosnowej skrzyni tudzież klasycznym siermiężnym worku. Żadnych luksusów. Śmierć taka jak i życie: skromne i bez fantazji.

- Nawet więcej. Osobiście wezwę taksówkę. - Pewny ton, jakim wypowiedział to zdanie, dał mi nikły promyczek nadziei na dzień jutrzejszy.

- I nie będzie się pan obawiał, że komuś... - głos mi lekko zadrżał - powiem?

Uśmiechnął się do mnie czarująco.

- Pani Agnieszko, przecież jest pani bardzo rozsądną kobietą...

Rozsądna kobieta? W jego ustach zabrzmiało to jak dobry dowcip.

- Pani doskonale zdaje sobie sprawę, że my wszystko o pani wiemy. Nie tylko gdzie pani mieszka, ale także gdzie mieszka pani rodzina, do którego sklepu mama chodzi po mięso i o której godzinie brat kończy pracę. Nie mówiąc już o małym uroczym Mikołaju, który, proszę sobie wyobrazić, chodzi do tego samego przedszkola co siostrzenica moich ludzi. Jaki zbieg okoliczności, prawda? Proszę mi więc powiedzieć, czy ma jakiś sens odbieranie pani życia?

Gorliwie zaprzeczyłam. Absolutnie nie ma sensu! Ma głowę ten Grek, trzeba mu przyznać! Tylko on jeszcze nie wie, że ma dużą szansę spędzić święta w areszcie. Choć na obecną chwilę nic na to nie wskazuje. Zaczęłam się szczerze niepokoić, bo nie działa się zupełnie nic.

Wtedy do pokoju weszła gosposia. Zamiast granatowego fartuszka miała na sobie obcisłe skórzane wdzianko, w którym wyglądała jak Lara Croft grana przez Angelinę Jolie, z tą różnicą, że porównanie jej do aktorki było jak porównanie ostu do róży - niby to roślina i tamto roślina, a jednak... Nie wspominając już o różnicy pokoleniowej, choć muszę przyznać, że jak na swój wiek figurę miała całkiem niezłą.

Podeszła do Greka, skrzypiąc przeraźliwie skórzanymi spodniami.

- Sprzątamy już, szefie? Bo jestem umówiona - spojrzała na mnie wymownie.

Okazuje się, że sprzątanie niekoniecznie oznacza porządki przedsięwzięte. A pozory... czasami jednak nie mylą. Zadrzałam i starałam się udawać, że nie wiem, o co chodzi.

- Myślę, że tym razem nie będzie to konieczne, prawda, pani Agnieszko? - Grek mrugnął do mnie i usiadł przy biurku. - Ale przejdźmy do sedna sprawy. Marta, zwolaj ich.

Zjawili się natychmiast. Gangsterzy bliźniacy i Superman Antek, który popychał przed sobą bladego Jacka. Pojawiło się także dwóch nieznanym mi mężczyznom.

Gangster numer jeden bez słowa podszedł do mnie i pewnym ruchem odebrał mi krasnala. Zupełnie absurdalnie poczułam się nagle bezbronna

i straszliwie samotna. Ale wkrótce przypominałam sobie o pilniczku. Cóż... Lepszy pilnik w garści niż...

Gangster położył krasnała na biurku i podwinął rękawy. Zza paska wyciągnął kieszonkową maczetę. Brr... Wytarł ją ostrożnie o nogawkę spodni i spojrzał na Greka. Ten skinął głową. Kazano mi podejść bliżej. Zapanowała cisza przerywana jedynie przyspieszonymi oddechami obecnych. Wszyscy wpatrywali się w krasnała, który niczym Helena Trojańska świadoma swej wartości demonstrował ogrodowe wdzięki i permanentny uśmiech, oczekując na ostateczne cięcie. Czulałam się jak wyrwana z obrazu Rembrandta *Lekcja anatomii doktora Talpa*. To samo skupienie na twarzach, ten sam zestaw kolorystyczny i światłocienie. Tylko gangsterowi numer jeden brakowało kapelusza.

Gdzie, do cholery, ta policja!? Jakiś poślizg mają!? Przecież zaraz otworzą tego nieszczęsnego krasnała! A jak w środku nic nie będzie!? Przecież zakatrupią mnie na miejscu! Nawet noża nie zdezynfekują! Już ja im wszystkim nagadam, kiedy się w końcu raczą zjawić! Z zapartym tchem przyglądałam się całej operacji, kiedy nagle ktoś chwycił mnie mocno za ramię.

ROZDZIAŁ 42

Jedno gwałtowne pociągnięcie. Zupełnie zaskoczona, zwałam się z głośnym hukiem na marmurową posadzkę. Wykonując owo *salto mortale*, zauważyłam jeszcze, że Konstanty mruga do mnie znacząco okiem. Potem poczułam już tylko ból rozchodzący się po moich biednych kościach i przeraźliwe zimno kamienia. Nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać, postanowiłam udawać trupa.

Nieprzyjemne dźwięki ustały. Usłyszałam opanowany głos Greka.

- Co się dzieje?

Konstanty wziął sprawy w swoje ręce:

- Zasłabła. Podobno jest chora na serce.

- Agnieszka? Na serce? Pierwsze słyszę! - głos Jacka zabrzmiał nad wyraz powątpiewająco. - Przecież ona jest zdrowa jak wyścigowa klacz!

Ostatkiem sił opanowałam ochotę wgrzyzenia się w jego aortę.

Przez chwilę panowała cisza. Pomimo zamkniętych oczu czułam na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Miałam wrażenie, że każdy widzi, jak zmieniam barwy z prędkością światła. Jak jakiś szczytujący kameleon.

Teraz mnie pewnie zabiją! Albo oderzną mi palec! Albo ucho! Och!

Przez chwilę z drżącym sercem czekałam na egzekucję, ale jakoś nikt nie złapał mnie za nos, nikt nie przystawił naostrzonego noża do ucha. Za to ponownie usłyszałam lodowaty głos Greka, którym z powodzeniem mógłby zamieniać świeże warzywa w mrożonki tudzież pluszowe misie w krwawe polarne niedźwiedzie:

- Przyczyna jej choroby powinna być dla pana oczywista, panie Jacku. Dla mnie to też było dramatyczne przeżycie, kiedy się dowiedziałem, że

majstruje pan mojej dziewczynie nie tylko w zębach. Byłem z tym u terapeuty, kazał odreagować, wykrzyzczyć, wyjaśnić. Z Anetą już rozmawiałem i wszystko sobie wyjaśniliśmy. Było jej przykro, a jakże! Szkoda, że nie zdążył się pan pożegnać.

Cisza. Nadstawiłam ucha. A więc motylca na fotelu dentystycznym to była dziewczyna Greka! Tym razem to się Jacuś chyba nie wywinie.

- Zdrada Anety, panie Jacku, była dla mnie wielkim ciosem. I jeśli myśli pan, że dostawa krokodyla, spóźniona zresztą, jakoś pana uratuje, to się pan grubo myli.

A więc to nie tyle było ostrzeżenie dla Jacka, co zbrodnia w afekcie. W tym towarzystwie zdrada karana jest śmiercią. Ciekawe, czy moja współpraca z policją też kwalifikuje się do zdrady?

- Poza tym nie przypominam sobie, żebym pozwolił się panu odezwać. Marta, weź go już posprzątaj. Dość mam tego kretyna.

- Nie! Ja... przepraszam! - zapisał Jacek głosem, który zapewne byłby mu dany, gdyby urodził się kobietą.

A gdzie się podziała wieczna buta i arogancja? Jego zwierzęca agresja?

- Uhm... - usłyszałam delikatne mlaskanie, będące ewidentnym odgłosem zadowolenia, i skrzypienie skórzanych spodni. Najwidoczniej Marta czerpała niewymowną przyjemność ze swojego sprzątania. Po chwili szamotania wszystko ucichło. Domyśliłam się, że Jacek został wyprowadzony.

- A ją... - głos Greka zamilkł niezdecydowanie.

- To ja może wyniosę ją na powietrze. - Poczułam w pasie delikatny uścisk ręki Konstantego. Po chwili wisiałam już na jego ramieniu, starając się wyglądać jak najbardziej żałośnie. Kiedy zamknęły się za nami drzwi i w cudowny sposób odzyskałam siły vitalne, Konstanty nachylił się nade mną zdenerwowany:

- Wychodzimy stąd, i to szybko! Do tylnego wyjścia - wskazał ręką w głąb korytarza. - Antyterrorysty powinni już być w budynku. Może się zrobić niebezpiecznie. Że też oni zawsze się muszą spóźniać!

Pokręcił głową z dezaprobatą, ale nie zdążył już nic powiedzieć, bo jak na zamówienie naszym oczom ukazało się kilku zamaskowanych

mężczyzn, którzy bezszelestnie niczym duchy zmaterializowali się w różnych częściach domu. Obserwowaliśmy ich z niepokojem, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Mężczyźni dawali sobie jakieś dziwne znaki, a potem usłyszeliśmy krótki okrzyk, brzęk tłuczonego szkła i olbrzymi wybuch, który wstrząsnął budynkiem. W powietrzu czuć było intensywny zapach prochu. Zrobiło się szaro i nieprzyjemnie.

- Zaczęło się! - rzucił Konstanty, schylając się automatycznie. - Proszę za mną!

Pochyleni, biegliśmy wzdłuż korytarza, starając się dostać do wyjścia. Nagle w środku tego całego zamieszania, krzyków i sinego dymu zamajaczyła znajoma postać. Inspektor Boguś! Nareszcie! Na nasz widok ewidentnie puściły mu nerwy.

- Co wy tu jeszcze robicie?! Miało was już tu nie być! Jak was przez przypadek zabiją, to żadnych zeznań z was nie wyciągnę! - tupnął nogą ze złości.

- Nie dało się wcześniej... - zaczął wyjaśniać Kostek.

Boguś uciszył go jednym ruchem ręki. Zaprowadził nas na tyły domu i pod groźbą więzienia kazał czekać. I nie dać się zabić. Przynajmniej do momentu złożenia zeznań. Potem zniknął.

Zostałam sama z Konstantym. Siedzieliśmy w małym ciemnym korytarzyku z szeregiem różnych drzwi, tuż obok tylnego wyjścia, każde pograżone we własnych, ponurych myślach. Przez chwilę cieszyłam się, że uszy mam w komplecie. Potem spojrzałam na swojego towarzysza. Jego twarz miała kolor cementu.

- Kim pan w ogóle jest, panie Mozart? - wyrwało mi się.

- Kim jestem? Kim ja właściwie jestem? - zapytał sam siebie i teatralnym gestem rozłożył ręce. - Ja już sam nie wiem, kim jestem, pani Agnieszko. Dla jednych jestem gnidą, zdrajcą własnej krwi, sprzedawczykiem, który za zeznania kupi sobie nowe życie. Dla innych becznym świadkiem. Dla wybranych Mozartem, muzykiem, kompozytorem, który wybrał zdradę, by móc tworzyć w spokoju...

- A pana brat? Czy też...?

Przerwał mi, ogarnięty nagłym atakiem furii.

- Mój brat!? Mój brat to wcielone zło! To moje wredne *alter ego*! Przez całe życie go słuchałem, przez całe życie zmagiałem się z jego chamstwem, nadmiarem testosteronu, brakiem zrozumienia! Przecież ja mu od

lat tłukę, że się nie nadaję do takiej roboty! Ja jestem pianistą, a nie mordercą! Przez niego mam problemy z tożsamością! Ja mu mówię, że Kocham sztukę, on mi na to, że sztuką jest tak komuś przywalić w zęby, żeby nie było widać... - przerwał zrezygnowany. - Ja nie wiem, jak to się stało, że my w ogóle jesteśmy spokrewnieni. Któryś z nas musi być adoptowany.

Nagle rozległ się jakiś pojedynczy przeciągły krzyk. Potem, jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko ucichło. A wkrótce tuż przed nami zmaterializował się Boguś.

- Czyżbyśmy ustanowili nowy rekord? - powiedział sam do siebie. Niedbale wyciągnął krótkofalówkę z kieszeni swojej czarnej kurtki i wymamrotał parę słów. Odpowiedziała mu głucha cisza. - No, nie! Znowu ustawili złą częstotliwość, matoly jedne! Muszę to sprawdzić. A tak przy okazji, panie Mozart - rzucił skulonemu Konstantemu przelotne spojrzenie - podjął pan słuszną decyzję. Dobra robota!

Konstanty pokiwał smętnie głową, ale nie odezwał się.

- Siedzieć mi tu. Zaraz wracam! - dorzucił jeszcze Boguś i znowu zniknął.

Zbierałam siły, by zapytać Konstantego o Jerzego. Czy dał się zwerbować Grekowi? Czy naprawdę chciał mnie porwać? Ile lat mu grozi? Ciekawe, czy wyjdzie, zanim dobiegnę czterdziestki. Potem trudno o dziecko.

Moje rozmyślania przerwał zdecydowany głos:

- Pani popilnuje na sekundę!

Zanim zdołałam zaprotestować, Boguś, niczym Struś Pędziwiatr, zniknął ponownie za jakimiś drzwiami, a ja wyczułam na kolanach znajomy kształt. Znowu ten przeklęty krasnal. Brr... Przyjrzałam mu się niechętnie. Jego tors przypominał nadkrojony tort. Uśmiechał się, jak zwykle głupawo, nie przejmując się zupełnie, że jest przyczyną takiego zamieszania.

Usłyszałam rozdzierające westchnienie. To Mozart wydawał agonalne jęki. Nie wyglądał najlepiej. Choć w jego sytuacji kryzys i depresja były jak najbardziej na miejscu. W końcu zdrajca dla każdego pozostanie zdrajcą. Ciekawe, czy zeznaniami obciąży też Jerzego? Zamknęłam oczy i już miałam zadać nurtujące mnie pytanie, kiedy nagle zupełnie podświadomie

ogarnęło mnie przecucie niebezpieczeństwa. Czerwona lampka, która zapaliła się w mojej głowie, nakazywała natychmiastową ewakuację.

Otworzyłam oczy. Nie zdążyłam się jednak ruszyć, bo ktoś chwycił mnie od tyłu za szyję, i znowu poczułam ten nieprzyjemny zimny ucisk pod żebrami. Przerażona obserwowałam, jak Konstany zrywa się z miejsc, a z jego krtani wydobywa się ochryply szept:

- Puść ją, przecież już po wszystkim.

- Kluczyki i żadnych numerów. Jeśli zobaczę, że choćby mrugasz bez pozwolenia, to ją zabiję, a tobie oderznę wszystkie palce u rąk. I już nigdy nie zagrasz... - usłyszałam zmieniony głos Jacka.

Zrobiło mi się gorąco. Jak to...? Jacek? Świąteczne porządki gosposi się nie udały?

Staralam się odwrócić głowę, ale skutecznie blokował moje ruchy.

- Zostaw mnie - wydyszałam pojednawczo. - Nic ci to nie da!

- Spokój, pszczołko, przynajmniej spróbujemy.

W uchu poczułam jego pałący oddech.

- Nie spróbujemy, bo ja nie mam zamiaru do tego ręki ani nawet nogi przyłożyć! - warknęłam wściekła, próbując uwolnić się z żelaznego uścisku, ale tylko mocniej zacisnął palce wokół mojej szyi.

- Tylko zastanów się nad stwierdzeniem „po moim trupie”, pszczołko, i nie wierć się tak, bo mogłoby ci się przytrafić coś złego.

Znieruchomiałam. Jakaś nuta w jego głosie mówiła mi, że nie żartuje.

Konstany posłusznie podał mu kluczyki do samochodu. Jacek sugestywnym ruchem głowy wskazał otwarte drzwi, zza których sam przed chwilą się wysunął.

- Do piwnicy! Jazda!

Konstany posłusznie podszedł do drzwi. Przed schodami zatrzymał się jednak niezdecydowanie. Wtedy Jacek na krótką chwilę oderwał broń od mojego boku i rękojęścią wymierzył Konstantemu precyzyjny cios w potylicę. Bezwładne ciało stoczyło się po schodach. Jęknęłam ze zgrozą. Jacek spojrział na mnie, a jego rozbiegane, chore spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego.

- Zabieraj krasnala i wychodzimy! - rzucił przez zęby.

Posłusznie podniosłam z ziemi przeklętą figurkę i otworzyłam tylne drzwi. Pechowe bmw zaparkowane było tuż pod murem. Przy samochodzie, którego, o dziwo, nikt nie pilnował, Jacek bezceremonialnie wyrwał mi z rąk krasnala, a potem wepchnął mnie brutalnie za kierownicę. Sam usiadł z tyłu i rzucił we mnie kluczami.

- Ruszaj!

- Słuchaj, ja fatalnie jeżdżę - próbowałam jeszcze negocjować, ale nie odezwał się, tylko zdecydowanym ruchem przystawił mi do skroni pistolet. Straciłam wszelką chęć do dyskusji.

Brama była otwarta na oścież, a policja przekonana, że wszyscy gangsterzy mają założone metalowe bransoletki. Czyżby znowu coś im się pomyliło? Najwyraźniej. Z piskiem opon, żeby zwrócić na siebie czyjaś uwagę, wyjechałam za bramę. Nic. Zmarznięty pan policjant pogroził mi tylko żartobliwie palcem i zapalił kolejnego papierosa. A jednak papierosy szkoda na koncentrację.

Warunki na drodze były fatalne. Śnieg padał gęsto, zapowiadając piękne białe święta, ale ja bynajmniej nie myślałam o prezentach. Zastanawiałam się, czy i tym razem uda mi się wybrnąć bez szwanku. I jak to zrobić? Może spowodować wypadek? Ale wtedy Jacek może mnie zastrzelić, choćby przez przypadek... Kątem oka widziałam wymierzony we mnie złowrogi przedmiot. W radiu nadawano starą śpiewkę pod tytułem „zima znów zaskoczyła drogowców”, ale tym razem nie miałam im tego zupełnie za złe. Zresztą po jakimś czasie Jacek kazał mi zatrzymać samochód. Wsiadł, otworzył drzwi kierowcy i wywłókł mnie na zewnątrz. Kiedy się podniosłam, nieco poobijana i bardzo przerażona, znowu wcisnął mi do rąk krasnala.

- Radzę nie zgubić!

Znajdowaliśmy się gdzieś na ulicy Kopernika. Było pusto i szaro, a jedynym bożym stworzeniem był jakiś bezdomny, który siedział na ławce w towarzystwie prawie pustej butelki po wódce. Wyglądał, jakby przepił własną duszę. Jacek, popychając mnie przed sobą, podszedł do bezdomnego.

Mężczyzna wyciągnął błagalnie rękę w poszarpanej rękawiczce, wietrząc okazję.

- Na obwarzanka dajcie, nie odmówicie! Przecież święta.

Jacek miał dla niego znacznie lepszą propozycję.

- A samochód chcesz? Fajny.

Mężczyzna nie zrozumiał. Patrzył na Jacka nieprzytomnym wzrokiem, a Jacek, nie puszczając mojego ramienia, rzucił mu kluczyki.

- Prezent świąteczny. Jeśli odjedziesz w ciągu pięciu sekund, samochód jest twój.

Mężczyzna bez słowa wstał, wszedł do bmw i odjechał, zarzynając skrzynię biegów. Zostawił po sobie tylko biały kurz i butelkę na zamrożonej ławce. Jacek chwycił butelkę. Przez chwilę miałam wrażenie, że da mi po głowie, ale on tylko dopił resztkę podejrzanego napoju. Faj! Potem zaciągnął mnie za róg jakiegoś budynku. Nie czekaliśmy długo. Już po chwili usłyszeliśmy wycie syren policyjnych i cztery radiowozy minęły nas w pogoni za bezdomnym. Jak łatwo było przewidzieć, Boguś zauważył brak mojej osoby i jednego ze swoich cennych kryminalistów.

- Idziemy - rzucił Jacek, rozglądając się podejrzliwie. - Szybko!

Zaczęłam się opierać.

- Puść mnie. Do czego ci jeszcze jestem potrzebna?

Chwycił mnie za ramię, przyciągnął do siebie i mocno objął.

Jego stalowe oczy miały chory blask. Mówił cicho i z jakąś taką nienawiścią w głosie, której nigdy wcześniej nie słyszałam:

- Jak mówię idziemy, to idziemy. To wszystko przez ciebie! I teraz mi pomożesz. Masz szansę odkupienia swojej winy. Choć w ostateczności zemsta zawsze przyniesie mi jaką taką satysfakcję. Ostrzegam więc, jeśli zrobisz choć jeden ruch, na który ci nie pozwoliłem, to...

- To zaryzykuję potępienie wieczne i rozwalę ci głowę - usłyszałam nagle opanowany głos.

Za nami stał Jerzy.

ROZDZIAŁ 43

Twarz Jacka wykrzywiła się w dziwnym grymasie, jakby to nieoczekiwane spotkanie sprawiło mu jakąś chorą przyjemność. Odwrócił się powoli, nie wypuszczając mnie z ramion.

- Cóż za zbieg okoliczności. No, no, no. Pan Bond we własnej osobie. Kto by pomyślał, że jeszcze kiedykolwiek będę miał ten zaszczyt - prowokacyjnie przystawił mi pistolet do skroni.

Jerzy pozostał niewzruszony. Stał stosunkowo blisko, z bronią wymierzoną w głowę Jacka.

Zjawił się, by mi pomóc? A może chodzi mu tylko i wyłącznie o narkotyki? Szukając odpowiedzi, wpatrywałam się intensywnie w jego oczy. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, wszystko nagle stało się jasne. W jego oczach dostrzegłam bowiem lęk. Najzwyczajniejszy lęk o moje życie.

Aha! A jednak coś do mnie czuje! Moje złośliwe *alter ego* miało odmiennie zdanie, ale ja to po prostu wiedziałam! Ten facet był już mój! W końcu nie ma znaczenia, czy mężczyzna jest agentem ubezpieczeniowym, ogrodnikiem czy profesjonalnym zabójcą. Facet to facet. Zawsze po nim widać, czy mu zależy.

- Puść ją. Bo nie będę miał wyboru - powiedział Jerzy zdecydowanym tonem.

Bez wątpienia nie robi tego pierwszy raz. Spec od mokrej roboty! Ale jakie to podniecające! Zaczęłam się zastanawiać, czy byłabym w stanie prac jego zakrwawione koszule i zdrapywać resztki ludzkich mózgów z butów. Moja desperacja sięgnęła widać szczytu.

- Bo co? Zastrzelisz mnie? - roześmiał się sztucznie Jacek i tylko mocniej ścisnął moje ramię. Aż syknęłam z bólu. - Zaryzykujesz jej życie? Nie radzę próbować - mówił, rozglądając się uważnie dookoła, jakby szukając odpowiedniego miejsca na egzekucję.

I wtedy zaczęłam się zastanawiać nad księgowymi. Zdecydowana większość jest normalna, schematyczna, nawet nudnawa. Pracują do piątej, nie mają żadnych pacjentek, którym muszą zaglądać w zęby tudzież gdzie indziej, a co najważniejsze, nie mają foteli dentystycznych. Chochlik roz-taczał przede mną wizję raj:

- Kochanie, obiad był wspaniały. Dziękuję.

- Masz ochotę na... deser? Włożyłam nową bieliznę.

- Nową? Znowu kupiłaś? Przecież w zeszłym roku aż dwa komplety ode mnie dostałaś! Pamiętaj, trzeba oszczędzać. Trumny są teraz straszliwie drogie.

- Przepraszam... A deser?

- Ależ kochanie, dzisiaj jest czwartek. W czwartki oglądamy serial kryminalny. Czas na seks jest w niedzielę.

Nie! To ja już wolę chyba błękitnookiego killera. W końcu serce nie służy, a księgowy nie dla mnie.

- Czy ty, Agnieszko, bierzesz sobie tego oto mężczyznę za męża i ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że go nie opuścisz aż do śmierci?

- Tak, ślubuję.

- Ogłaszam was mężem i żoną, a teraz, kacie, czyń swą powinność.

Otrząsnęłam się gwałtownie. Brr... Życie to potrafi się skomplikować. Ale nikt nie mówił, że będzie łatwo!

- Co tak stoisz!? - usłyszałam kolejne warknięcie Jacka.

Jeszcze nie doszli do kompromisu? Przecież to oczywiste!

Jacek zabiera krasnała, Bond odzyskuje dziewczynę. Happy end i wszyscy są zadowoleni. Może sama powinnam zaproponować rozwiązanie?

Sytuacja zaczynała się przeciągać. Miałam wrażenie, że pistolet przy-marzył już do mojej skroni.

- Puść ją!

- Akurat. Bo ci na niej zależy, tak? Rzuć broń!

- Puść ją!

Czy to życie pisze takie marne scenariusze? Postanowiłam się wtrącić.

- Słuchajcie... - zaczęłam, ale obaj mnie uciszli. Jacek chamskim „zamknij się”, Jerzy bardziej subtelnym „nie teraz”, po czym obaj wrócili do swoich beznadziejnych tekstów.

- Opuść broń, bo ją zastrzelę! Raz... - Jacek ewidentnie stracił cierpliwość.

Ja również.

- Słucham!? Zastrzelisz mnie!? I ja chciałam zostać matką twoich dzieci!? Ty... - zdenerwowałam się nagle i zupełnie straciłam poczucie rzeczywistości. W niespodziewanym przyplywie wściekłości wyrwałam się z jego żelaznego uścisku i zaczęłam okładać go trzymanym w rękach krasnałem. Zupełnie nieprzygotowany na mój pokaz feministycznej sztuki walki Jacek dał się zaskoczyć. Jerzy wykorzystał ową sekundę dezorientacji i rzucił się w naszą stronę, chcąc wesprzeć mnie w tej walce o życie. Nie zdążył dobiec. Jacek wyrwał mi z rąk krasnała i uderzył mnie prosto w nos. Przenikliwy ból sparaliżował moją wolę walki. Upadłam na kolana, a potem osunęłam się na chodnik. Jacek, odwróciwszy się do mnie tyłem, bez zastanowienia wymierzył broń w Jerzego. Jerzy zatrzymał się. Ja nadal leżałam, obserwując, jak mój nos wykrwawia się powoli, tworząc na śniegu piękne surrealistyczne plamy, a krasnał leżał tuż obok. Z odłamanym kawałkiem czapki wyglądał nie mniej żałośnie ode mnie. Myślę, że Front Wyzwolenia Krasnali Ogrodowych miałyby tu dużo do oprostowania.

- Damski bokser! - syknął Jerzy.

Zrobił krok naprzód, chcąc mi najwidoczniej pomóc, ale Jacek nie zamierzał mu na to pozwolić.

- Odsuń się, i to już, bo urządzę ją jeszcze gorzej!

Ból nieco zelżał, ale i tak wcale nie było mi do śmiechu. Pewnym pocieszeniem był jednak fakt, że Jacek z jakichś względów przestał się mną zupełnie przejmować. Musiałam sprawiać wrażenie umierającej. A może wydawało mu się, że należę do grupy tych kobiet, które mdleją na sam widok męskiej pięści, krwi tudzież zapachu przepoconych skarpetek? Nic bardziej mylnego! Nie ruszałam się wprawdzie z miejsca, ale mój mózg błyskawicznie opracowywał plan awaryjny. W końcu nie mogłam pozwolić, by Jacek poniżył mnie po raz drugi, a co najważniejsze, by odebrał mi gangstera mojego życia.

Stał do mnie tyłem. Obserwowałam jego wyprostowane plecy i napięte pośladki. Widziałam, jak Jerzy schyla się i powoli kładzie na śniegu swoją broń. I wtedy, opanowana przez mojego złośliwego chochlika, który nigdy

nie potrafił realnie przeanalizować sytuacji i ocenić niebezpieczeństwa, zerwałam się niespodziewanie na równe nogi i przystawiłam Jackowi do boku mój ukryty w kieszeni na wypadek niebezpieczeństwa lub złamanego paznokcia pilniczek.

Taak! Julia będzie miała satysfakcję!

- Rzuć broń albo wbiję ci nóż do brzucha aż po samą rękę... - syknęłam, modląc się, żeby zrobił, jak mu każę.

Jacek osłupiał i stracił zdolność racjonalnego myślenia na krótką, acz wystarczająco długą chwilę, by Jerzy opanował sytuację. Błyskawicznie podniósł z ziemi swój pistolet, a potem jednym ruchem odebrał broń Jackowi, który stał pokonany, nie bardzo wiedząc, jak to się stało. Jerzy, widząc mój pilnik, rzucił mi spojrzenie, w którym kpina i zdumienie mieszały się z podziwem.

- MacGyver w spódnicy, kto by pomyślał...

- Nawet nie wiesz, czego uczą na kursach *manicure'u*.

Zapanowało niezręczne milczenie. Nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami, machinalnie podniosłam z ziemi krasnala. A już po chwili ciszę przerwały syreny policyjne. Wyjące i świecące polonezy zbliżały się do nas z zawrotną prędkością. Zaniepokoiłam się i spojrzałam na Jerzego. I co teraz?

- Masz ostatnią szansę, żeby się zemścić - powiedział nagle Jacek. Stał z prowokującym uśmiechem, świadom swojej porażki. - Strzelaj, przecież o to ci właśnie chodzi, prawda? Drugiej okazji mieć nie będziesz.

Jerzy nie reagował. Nieruchomy, z poszarzałą twarzą, wyglądał jak posąg postawiony przez pomyłkę na środku chodnika. Brakowało tylko, żeby jakiś przelatujący ptaszek pozostawił na nim swój ślad.

Radiowozy zahamowały gwałtownie. Migoczące zimne światła tańczyły po śniegu do muzyki wygrywanej przez policyjne koguty.

Uciekaj! Moje serce krzyczało. Usta milczały.

Z radiowozów zaczęły wysypywać się zastępy policyjnych zuchów. Ze wsząd padały okrzyki: „Rzuć broń!”, „Na kolana!”, „Ręce do góry!”.

Spojrzałam bezradnie na Jerzego. Kładł na śniegu swoją broń. Potem klęknął na oba kolana i podniósł ręce do góry. Ja, na wszelki wypadek,

także uklęknęłam. Pomyłki się zdarzają. A pogrzeb na koszt policji to nie do końca to, czego od życia oczekuję.

Jak się okazało, dobrze zrobiłam, bo na Jerzego i tak rzuciło się chyba z dziesięciu mięśniaków i z tego wszystkiego o mało co nie przeoczyli Jacek. Na szczęście zaraz pojawił się Boguś i zapanował nad całą dziczą. Jacek został skuty i odprowadzony do radiowozu, a Jerzy, nieco przyduszony, tłumaczył coś zapalczywemu Koziołkowi i jakiejś pani policjant, która po bliższym rozpoznaniu okazała się nie kim innym, jak ulubioną pacjentką Jerzego.

Dopał mnie inspektor Boguś z rozwianą czupryną.

- Pani Agusiu, nawet nie ma pani pojęcia, jak mi przykro! To wszystko nie powinno było się wydarzyć! - wybuchnął ze skruczą i z trudem oderwał ode mnie krasnała, którego kurczowo ścisnęłam w zmarzniętych palcach.

Nie reagowałam. Z rozdartym sercem patrzyłam za moim błękitnokim killerem. Solaryczna Marlena odprowadzała go w niezidentyfikowane miejsce, ściskając, jak na mój gust, zbyt łapczywie.

Czy ta baba nigdy sobie nie odpuści!?

- Panie inspektorze, kim jest ta przypalona piękność? - przerwałam mu w przyływie desperacji, w ogóle nie zwracając uwagi na jego tłumaczenia.

Chrząknął zdumiony.

- Pani Marlena? To oficer śledczy.

Poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu.

- Dobra robota, pani Agnieszko. Naprawdę nam pani bardzo pomogła. Mam nadzieję, że ani razu nie zwątpiła pani w nasze możliwości - mruknął do mnie i podążył za moim wzrokiem. - Chyba należy się pani wreszcie kilka słów wyjaśnienia. Proszę tu chwilę poczekać.

Zniknął w tłumie nieznanymi mi twarzami, a ja, czekając na niego z dziwnym spokojem i podejrzaną jak na mnie cierpliwością, zastanawiałam się, czy nie są one aby wynikiem trwałej zmiany osobowości spowodowanej zespołem stresu pourazowego. Do żadnego wniosku dojść jednak nie zdążyłam, bo moje myśli zaczęły gęstnieć, a potem zamieniły się w sople lodu. Tak samo język, nogi, ręce... Tylko serce bilo jeszcze i bolało pomimo znieczulających właściwości mrozu.

Kiedy Boguś pojawił się ponownie, padający intensywnie śnieg zdążył już bezpowrotnie zasypać ślady Jerzego i solarycznej Marleny. Bez zbędnych słów inspektor zaprowadził mnie do swojego samochodu i zachęcającym gestem otworzył drzwi. Zmusiłam skostniałe ciało do podjęcia ostatecznego wysiłku. Podeszłam do otwartych drzwi i podniosłam głowę. A potem znieruchomiałam. I z podbiegunową temperaturą nie miało to nic wspólnego. Wręcz przeciwnie. Zrobiło mi się potwornie gorąco. W samochodzie inspektora Bogusia siedział nie kto inny, jak Jerzy Bond we własnej osobie i nic sobie nie robiąc z mojej miny, rzucił bezczelnie tonem faceta, który doskonale wie, że mu się zawsze upiecze:

- Witam, Rusałko, jak ty to robisz, że zawsze muszę cię ratować z opresji?

ROZDZIAŁ 44

Bezwiednie opadła mi szczęka, a oczy musiały wysunąć się z oczodołów co najmniej na kilka milimetrów.

- No, panie Jerzy, gratulacje! Niezwykłe udana akcja! Winien jestem panu przysługę... - oświadczył Boguś, sadowiąc się z krasnałem na przednim siedzeniu.

- Niech pan uważa z tymi przysługami, panie inspektorze - powiedział Jerzy.

Wciągnął mnie na tylne siedzenie i zmusił, żebym usiadła tuż obok niego. Moje nozdrza wypełniły się tajemniczym zapachem egzotycznych owoców.

- Rusałko - wyszeptał miękko i pochylił się zmysłowo nad moim uchem.

Zadrzałam. Co mi teraz powie? Co mi teraz powie!?

- Rusałko, szczęka ci opadła.

Wrr! Zacisnęłam usta, a potem, wściekła, odpowiednio szeroko je otworzyłam:

- Co...? Co ty tu robisz? Myślałam, że jesteś gangsterem! Kim ty właściwie jesteś!?? - wybuchnęłam, szczypiąc ze złości siedzenie.

A on tylko patrzył na mnie z coraz większym rozbawieniem.

- Jak to kim jestem? - odezwał się odpowiednio zniewalającym tonem, przygryzając te swoje seksowne wargi. - Doktor Bond, już tyle razy ci mówiłem. Czasem dorabiam sobie jako superagent. Wiesz, takie niewinne hobby.

- Ale... Justyna widziała, jak cię aresztowano za narkotyki! Jacek też i twierdził, że jesteś specem od mokrej roboty - wybąkałam niepewnie, szukając poparcia u Bogusia, który, nieobecny duchem, nie zwracał już na nas uwagi. Głaskał bezwiednie krasnała, pogrążony w marzeniach o chwale.

- I o to chodziło. Potrafię być przekonujący, prawda? - Jerzy mrugnął okiem. - To pozwala przeżyć w trudnych sytuacjach.

Nagle zrobiło mi się jeszcze goręcej. Jak ja mogłam w niego zwątpić!? A potem się zawstydziłam. Przecież byłam gotowa zaprzedać mu ciało i duszę! Jeszcze ciało, pół biedy, ale duszę? I prac jego zakrwawione koszule chciałam!

- To wyjaśnijmy sobie wszystko, jak trzeba... - inspektor Boguś niechętnie wrócił do rzeczywistości. - Zacznijmy może od osób biorących udział w całej historii. A zatem pan Jerzy, którego, jak widzę, zdążyła pani już dobrze poznać... - chrząknął znacząco. - Pan Jerzy współpracuje z wydziałem kryminalnym, był naszym łącznikiem ze światkiem narkotykowym i informatorem. Następny w kolejce to Konstanty *vel* Mozart, nasz świadek koronny, obciąży swoimi zeznaniami całą szajkę, a potem czeka go program ochrony świadków.

- A Wiesio? - wyrwało mi się. Przypomniałam sobie jego bezbłędny występ na dworcu.

Jerzy przysunął się jeszcze bliżej. Czulałam ciepło jego ciała, co przeszkadzało mi zasadniczo w procesie myślenia.

- Wiesio to raczej... półoficjalnie. Właśnie zaczął pracę w wydziale kryminalnym i bardzo chciał się wykazać. Wprawdzie straszliwie zajęty jest ostatnio, ciągle ma jakieś szkolenia, akcję za akcją, a tu jeszcze dostał ciebie do upilnowania... *mission impossible* - mruknął do siebie, ale nie skomentowałam.

Aha! Więc z założeniem prezerwatywy raczej nie powinien mieć problemów ten... Wiesio Wieśniak. I stąd ta ciągła zmiana *image'u*. Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem.

- Czyli Wiesio był podstawiony?

Jerzy rozłożył ręce.

- Jesteś dla nas bezcenna - oświadczył z dziwnym brzmieniem w głosie, które sprawiło, że moje serce dostało palpacji.

- A inżynier Malinowski?

Boguś spojrzał zaniepokojony na Jerzego.

- Kto to jest Malinowski? Czyżbyśmy coś przeoczyli?

- To ten facet, który ciągle się plątał - przypomniał mu Jerzy. - Wylegitymowaliśmy go na dworcu. Zachowywał się dosyć podejrzanie. Pamięta pan?

- Aha! Ten! I co z nim?

- Śledził swoją żonę. Facet miał załamanie.

- Ale ja go widziałam w klinice tamtego wieczoru - upierałam się. Bond pokiwał pobłaźliwie głową.

- I strasznie się awanturował, tak? Nasi ludzie to sprawdzili. Okazało się, że miał zaplanowaną wizytę w klinice, akurat u Żuka, jakąś wymianę zębów czy czegoś. Żuk, rzecz jasna, nie mógł go przyjąć, bo siedział w areszcie, a Malinowskiemu zablokowało to wyjazd na jakąś egzotyczną wycieczkę. Z nadmiaru czasu i wściekłości postanowił śledzić swoją żonę i pewnego obywatela Nigerii. Dlatego pojawił się na dworcu. Masz bujną wyobraźnię, kobieto.

Oj, mam bujną wyobraźnię. Nawet nie wiesz, co ja sobie teraz wyobrażam...!

Wiatr znad morza chłodzi nasze nagie rozgrzane ciała, które - obojętne na protesty rozumu, nieczule na cały świat - dają się ponieść emocjom, nieznanym wcześniej namiętnościom. Fale uderzają w brzeg z coraz większą siłą. Cofają się, by uderzyć mocniej. I mocniej. Aż do bólu rozkoszy. A kamyczki i muszelki wgniecione w miękkie podłoże pozostawiają na nim miłosny tatuaż...

Chochlik staje się ostatnio strasznym grafomanem. Żałosny romantyk!

Ulżyło mi po raz drugi. A więc nie jestem otoczona samymi mordercami i przestępcami. Normalni, choć zdesperowani ludzie też się zdarzają. No i agenci. Ci przystojni. Życie jest stanowczo barwniejsze od powieści, a już na pewno o wiele bardziej skomplikowane.

- Rozumiem, że Anetę zabił Grek... - spojrzałam pytająco na obu mężczyzn - za to, że zdradziła go z Jackiem?

Boguś spoważniał. W końcu trupy to nic zabawnego.

- Niezupełnie. Jak zwykle rączek pan Grek sobie nie pobrudził. Ktoś za niego posprzątał.

- Gosposia?

- Tak. Dla rodziny Greka sprzątała od lat. Straszna psychopatka, i to lojalna. Ale dzięki zeznaniom Mozarta ona i całe towarzystwo pójść się siedzieć. Na szczęście Jacek nabił Konstantemu tylko niegroźnego guza. Kto by przypuszczał, że gosposia postanowi się zabawić ze swoją ofiarą. Ale trafiła kosa na kamień. Znaleźliśmy ją związaną w piwnicy. No i Żuk

niestety trochę nas zaskoczył. Aha, nie wiem, czy jest pani świadoma, ale Grek dowiedział się o romansie Anety z Jackiem właśnie od pani.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Przypomniałam sobie bezwładne ciało pod prześcieradłem. Jerzy poklepał mnie po ramieniu.

- Nie przejmuj się tym. Prędkiej czy później i tak by się dowiedział. A poza tym dzięki temu zyskałaś sobie jego sympatię. On naprawdę nie chciał ci zrobić krzywdy. Wszyscy ci gangsterzy mają do ciebie jakąś dziwną słabość. Niezłe z ciebie ziółko, Rusalko.

- A po co gangster był u ciebie dzisiaj rano? Myślałam, że chcesz mnie porwać na zlecenie Greka! - oświadczyłam, rzucając mu obrażone spojrzenie.

To wszystko jego wina!

- Gdybyś siedziała grzecznie w domu i odbierała moje telefony, zamiast robić w konia policję, narażać siebie i jeszcze dwie swoje przyjaciółki na śmiertelne niebezpieczeństwo, to już dawno byś wiedziała, że Konstanty przyjechał, żeby mnie ostrzec o planowanym porwaniu twojej - zmierzył mnie odpowiednio kpiącym spojrzeniem - szacownej osoby! Ale ty oczywiście musiałaś posłuchać swojego niezawodnego instynktu ładującego cię w kłopoty.

- Jasne! - zirytowałam się. - Gdybyś był wobec mnie szczery od samego początku, byłoby inaczej!

- Dobrze, kończmy już - wtrącił się Boguś. - To mi wygląda na scenę z jakiejś opery mydlanej. „Jak mogłeś, Antonio!” - zaczął się wczuwać, wywracając oczyma i przykładając rękę do serca. - „To twoja wina, Rozalio! Ty...”

- Wie pan co, inspektorze - przerwał mu złośliwie Jerzy - powinien pan raczej skupić się na karierze w policji. Aktorem nie byłby pan najlepszym.

- No, tak. To proszę już sobie iść - chrząknął zawstydzony Boguś, przytulając się do krasnala. - Aha! Jutro widzimy się na komisariacie. Protokół trzeba spisać, zeznania złożyć. No i oczywiście krasnala komisynie otworzyć do końca. Już nie mogę się doczekać! - zapiszczał podekscytowany.

To przypomniało mi jeszcze o jednym.

- Panie inspektorze, a gdzie pan znalazł tego krasnala?

Boguś pogłaskał gipsową figurkę.

- Na wysypisku śmieci. To zasługa podkomisarza Koziółka, który własnoręcznie przeczesał wysypisko w jego poszukiwaniu. Biedak. Dorwały go służby sanitarne i teraz poddają kwarantannie. Pewnie dostanie oficjalną pochwałę, bo jak pani wie, ten krasnal jest dla nas bezcenny. Na szczęście zdążyliśmy go zapakować do schowka w samą porę, bo dziesięć minut później zjawiła się na dworcu pani razem z obstawą.

Wygramoliłam się z samochodu, zachodząc w głowę, jakim cudem mój gapowaty anioł stróż załatwił mi taki obrót rzeczy. Świeczkę mu zapalę.

- Aga, poczekaj... - Jerzy znalazł się tuż za mną. - Podwieźć cię do domu?

Pokiwałam potakująco głową. Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Miałam wrażenie, że zbiera siły, żeby mi jeszcze o czymś powiedzieć. Nie zdążył. Ciszę przerwał wściekły krzyk. Odwróciłam się przerażona i zobaczyłam Jacka, który, wyrwawszy się pilnującemu go policjantowi, rzucił się w moim kierunku. Przypomniałam sobie ucisk twardego metalu na swojej skroni i zadrżałam. Ale potem poczułam na ramieniu pewną dłoń Jerzego.

- Pszczółko! - krzyczał Jacek, który niczym gwiazda futbolu amerykańskiego zręcznie manewrował pomiędzy dwoma goniącymi go policjantami. - Muszę ci coś powiedzieć!

Policjanci, zaliczywszy kilka upadków, w końcu go dopadli i przydusili tuż obok moich nóg. Muszę przyznać, że ten widok sprawił mi jakąś sadystyczną przyjemność.

- Wyrwał mi się, cholera! - wydyszał ciężko jeden ze stróżów prawa.

Spojrzałam w przekrwione oczy Jacka i zrobiło mi się go nieco żal.

- Proszę pozwolić mu mówić... - skinęłam głową.

Policjanci podnieśli go. Otrzeptał się niezdarne ze śniegu i po prawili sobie kajdanki.

- Słucham? Co chcesz mi powiedzieć? Żałuję? Kocham cię? A może...

- On to wszystko zaplanował.

Nie patrzył na mnie. Jego wzrok utkwiony był w stojącym tuż obok mnie Jerzym.

- Słucham? - nie zrozumiałam.
- Naprawdę nie widzisz, co się dzieje?

Nie odezwałam się. Zrobi teraz wszystko, żeby mnie dobić. Po co ja go w ogóle słucham?

- Powiedział ci już, skąd się znamy? Czy może zostawił to sobie na kiedy indziej?

Cisza.

Twarz Jacka opromienił złośliwy uśmiech.

- Nie powiedział? To ja ci powiem. Sprawi mi to ogromną satysfakcję. O czym on, do cholery, opowiada!?

Spojrzałam na Jerzego. Był błady i złowrogo milczący. Za to Jacek, rozanielony, kontynuował swój monolog:

- Wyobraź sobie, że twój pan Bond miał kiedyś żonę, która wyjątkowo była z nim nieszczęśliwa. Niektórzy mężczyźni po prostu nie są w stanie zadowolić kobiety. Znalazła sobie więc kogoś, kto potrafił spełnić jej wszystkie wymagania. Mnie. Taak... Wiesz doskonale, jak musiało być jej ze mną dobrze.

Znieruchomiałam.

- I wyobraź sobie, wtedy pan Bond niecznie postanowił mnie zniszczyć. Temu się nie ma, rzecz jasna, co dziwić. W końcu nikt nie lubi się dzielić swoją kobietą.

Przełknęłam ślinę.

- Do dziś czuję niesmak na wspomnienie sceny zazdrości, którą mi urządził. Biedna Renia... I pamiętam doskonale jego słowa: oko za oko, ząb za ząb. Prawda, panie Bond?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej:

- Zemsta na mnie stała się celem jego życia. Zaczaił się i czekał, aż powinie mi się noga. Nastawiał ludzi przeciwko mnie, podrywał moje dziewczyny... - na twarzy Jacka pojawił się złośliwy grymas. - Przykro mi, ale nie byłaś pierwszą, pszczołko. Szukał okazji. I kiedy zobaczyłaś mnie z Anetą, wykorzystał twoją zrozumiałą rozpacz i zawrócił ci w głowie. Chciał się zabawić z dziewczyną, którą wybrałam sobie na żonę. Zapytaj go, jak długo za tobą laził? Śledził cię pewnie od samego początku, a cel miał tylko

jeden: nawiązać z tobą kontakt, najlepiej bliższy, i dokopać mi. Żeby dopełnić swojej zemsty, pan Bond potrzebował też krokodyla, do którego ty miałaś go zaprowadzić. Chciał pokazać pewnym ludziom swoją wyższość, a moją niekompetencję. Myślałem, że jest najemnikiem, że handluje towarami, ale on posunął się jeszcze dalej. Żeby mnie zniszczyć, zaprzedał się policji! Co za determinacja, prawda!? Ale, to już nieistotne... Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że on cię po prostu wykorzystał - Jacek delektował się każdym słowem. - Wykorzystał twoje zaufanie, i to z bardzo niskich pobudek, pszczołko. I proszę, jak mu się udało.

Zrobiło mi się dziwnie gorąco.

- A tobie się wydawało, że mu na tobie zależy? Że on naprawdę się zaangażował? Niee...? - spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - Naprawdę myślałaś, że on tak z miłości? - Zaczął się śmiać. Głośno i cynicznie. - Obudź się, pszczołko! To nie jest żadna bajka, a ty nie jesteś żadnym pieprzonym Kopciuszkiem!

- Dość! - odezwał się w końcu Jerzy.

Spojrzałam na niego. Nienawiść w jego oczach była tak wyraźna, że ogarnął mnie lęk. Bo człowiek w takim stopniu zatruty nienawiścią nie potrafi przecież kochać. Poczulałam się zdradzona, oszukana. Poczulałam się jak ostatnia idiotka. Dlaczego mi to wcześniej nie wpadło do głowy? Przecież to takie oczywiste. Zaczepił mnie, bo takie miał zadanie.

- Czy to prawda? Od początku chodziło ci tylko o Jacka i narkotyki? - głos z trudem przeszedł mi przez gardło.

Nie odpowiedział. Za to Jacek mówił za dwóch.

- No przyznaj się, Bond. Powiedz jej, jaki to z ciebie hipokryta, jaki zimny drań. Naobiecowałaś pewnie gwiazdek z nieba...

Nie było mu dane skończyć. Po raz pierwszy w mojej obecności Jerzy stracił nad sobą panowanie. Jeden jego ruch i Jacek znalazł się na ziemi. Policjanci nie do końca wiedzieli, co zrobić. Po chwili konsternacji wskoczyli na wijących się w burym śniegu mężczyzn. Wybuchło zamieszanie. Stałam przez chwilę, obserwując całe to kłębowisko męskich ciał, a potem, korzystając z okazji, odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Najzwyczajniej na świecie zostawiłam ich tam wszystkich. Biegłam, jakby goniły mnie wszystkie demony przeszłości. Kiedy wreszcie zatrzymałam się, nie mając

siły biec ani chwili dłużej, zorientowałam się, że jestem na ulicy Mikołajskiej. Tuż przed sobą zobaczyłam migoczący niebieski neon. Uśmiechając się ironicznie, postanowiłam wypić za przeznaczenie, które zawiodło mnie tu poprzednio i przy okazji zwiodło jak jakąś naiwną gąskę. Moje życie zatoczyło krąg.

ROZDZIAŁ 45

Wszystko przez tę wstrętną wiedźmę i jej kota. To ona wy wyróżzyła mi trupa i pecha prześladowczego - rozmyślałam ponuro, siedząc przy barze w znajomym otoczeniu. Przy stoliku obok tkwił ten sam pijak z niedopałkiem w ustach, którego widziałam tutaj poprzednio. Wyglądał, jakby w ogóle się stąd nie ruszał.

Sączyłam martini. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach i po każdym kieliszku nabierałam większej ochoty do zbrodni. Zastanawiałam się nad sensem życia. Temat jak najbardziej adekwatny do sytuacji. Kiedy już zaczynałam się rozklejać, usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi i poczułam zimny podmuch wiatru połączony z egzotycznym zapachem znajomych męskich perfum. Odwróciłam głowę. Za mną stał Jerzy. Błady i wymięty.

- Dziewczyno, czy ty zdajesz sobie sprawę, jak ja się o ciebie bałem? - wyszeptał, patrząc na mnie z widoczną ulgą.

Z premedytacją odwróciłam wzrok.

- Nie, a nawet jeśli, to i tak guzik mnie to obchodzi! - odpowiedziałam zimno, prosząc o kolejne martini. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Szczęśliwy traf?

Barman spojrzał na nas z zainteresowaniem i nalał następną kolejkę.

- Dla mnie to samo - powiedział Jerzy, siadając na krześle obok.

- Nie przypominam sobie, żebym cię tym razem zapraszała! - oświadczyłam nieprzyjemnie. - Po pierwsze, to miejsce jest już zajęte przez mojego ducha wojującej feministki, a po drugie, nie życzę sobie towarzystwa. Zwłaszcza towarzystwa kłamliwych, dwulicowych pseudo-bohaterów! - dodałam głośniej, zabijając go spojrzeniem.

Barman na wszelki wypadek odsunął się na bezpieczną odległość, a ja odwróciłam wzrok w kierunku szklanki. Jerzy milczał przez chwilę, po czym zaczął mówić przytłumionym głosem:

- Nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób... – Wypił za jednym zamachem całą zawartość kieliszka i nie czekając na nic, mówił dalej: - To prawda, od początku wiedziałem, kim jesteś, bo Jacka obserwowałem już od dłuższego czasu, jeszcze zanim pojawiłaś się w jego życiu. Wszystko zaczęło się mniej więcej rok temu, kiedy Renata po raz pierwszy została aresztowana w jakimś klubie za posiadanie narkotyków. Byłem oszołomiony, bo nie zdawałem sobie sprawy, że kiedy ja mam nocne dyżury w szpitalu, ona chodzi w takie miejsca. Płakała, twierdziła, że koleżanka ją namówiła, że nigdy więcej... Uwierzyłem jej. Po jakimś miesiącu zadzwoniła do mnie w nocy znowu spod klubu. Roztrzęsiona. Poprosiła, żebym po nią przyjechał. Wyrwałem się z pracy. Znalazłem ją sponiewieraną, ukrytą za jakimś śmietnikiem. Uciekła przed policją. Wtedy opowiedziała mi o swoim znajomym Jacku, któremu wyświadczała drobne przysługi w zamian za narkotyki. Drobna przysługą okazał się handel towarami, a narkotyki brała w celach rekreacyjnych, oczywiście - uśmiechnął się sarkastycznie. - W każdym razie poprosiła mnie o pomoc i obiecała, że to koniec. Była w takim stanie, że znowu uwierzyłem.

Przerwał na moment, żeby zamówić następną kolejkę, ale już po chwili ciągnął dalej:

- Policja, na czele z Koziółkiem, przyszła po nią zaraz rano. Ktoś ją wsypał, jakiś koleś, diler. Powiedziałem Koziółkowi, że to pomyłka, że była ze mną, zapewniłem jej alibi. Oczywiście prawda wyszła na jaw tak szybko, jak Renata wróciła do nałogu. Zostaliśmy we dwójkę aresztowani. Następnego dnia złożył mi wizytę pewien sympatyczny inspektor, który, wbrew opinii swojego kolegi Koziółka, obdarzył mnie zaufaniem i zaproponował układ. Wychodzimy z całej afery bez żadnych konsekwencji, ale za to ja w ścisłej tajemnicy wykorzystuję kontakty Renaty, żeby zdobyć pewne informacje. Wierzyłem, że to dla nas jedyna szansa. Pomyliłem się. - Wychylił podany mu przez barmana kieliszek. - Wiesz, kochałem ją... - powiedział i spojrział mi prosto w oczy, aż ciarki mnie przeszły. - Kochałem ją tak mocno, że nie chciałem widzieć prawdy. Teraz już wiem:

Boguś doskonale zdawał sobie sprawę, że Renacie nic już nie pomoże. Zdecydował się ją wypuścić, bo wiedział, że prędzej czy później znowu ją zgarną. A ja mogłem się im przydać. Miał rację... A Renata? Cóż... bardzo się ucieszyła, że jednak nie została rozpoznana, a zaraz po wyjściu z aresztu wyprowadziła się do Jacka. - Zagryzł wargi, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. - Przyznaję, że... początkowo kierowały mną pobudki czysto egoistyczne; jakiś pierwotny instynkt kazał mi się mścić.

- Chyba męskie *ego* spasione na testosteronie - wzruszyłam ramionami, udając, że to wszystko w ogóle mnie nie interesuje.

- Nazwij to, jak chcesz. Chciałem dopaść Jacka i całą tę jego bandę za to, co zrobili Renacie i mnie. Byłem wściekły, zdruzgotany i... nie wiem, co jeszcze! Ale z biegiem czasu uświadomiłem sobie, że życie jest za krótkie, żeby je poświęcić na wyrównywanie rachunków. Uświadomiłem sobie, że muszę szybko uwolnić się od przeszłości, żeby ta nie zdążyła mnie zniszczyć.

Zamówił kolejnego drinka i mówił dalej, a ja, chcąc nie chcąc, słuchałam i wszystko stawało się takie jasne.

- Kiedy Renata odeszła, wypowiedziałem prywatną wojnę szefom narkotykowym. Zdecydowałem się zostać informatorem. Świadomie zgodziłem się na takie życie. Przeszedłem odpowiednie przeszkolenie, zrobiłem kursy. Moim bezpośrednim celem było zdobycie zaufania kogoś z grupy Y i nakłonienie go do współpracy. Tym kimś okazał się Konstanty. Na zlecenie policji zacząłem kupować narkotyki, sprzedawać, zdobywać odpowiednie informacje. A nawet dawałem się łąpać, choć moja reputacja na pewno na tym nie zyskała - uśmiechnął się ponuro. - Ale było mi wszystko jedno. Najtrudniej było odpuścić sobie Renatę. Nie doceniła szansy, którą dostała. Wracając do Jacka: po Renacie znalazł sobie następną i następną, a potem zjawiłaś się ty i wydawało się, że zmądrzał, chciał się żenić. Długo był spokojny, a potem ta cała historia z krasnałem. Podejrzewano, że wciągnął cię w swoje interesy, tak jak każdą poprzednią - mówił dalej beznamiętnym tonem.

Obserwowałam go ukradkiem i zrobiło mi się go żal. Był człowiekiem, który spełnił swoje zadanie, ale wcale nie przyniosło mu to oczekiwanej satysfakcji.

- Tamtego wieczoru, kiedy przyszedłaś do kliniki i zobaczyłaś Jacka z Anetą, ja też tam byłem. Policja chciała zdobyć kompromitujące Jacka materiały, próbowała zmusić go do współpracy. Dostałem odgórne polecenie, żeby cię śledzić i nawiązać kontakt, że niby, wściekła, opowiesz mi coś interesującego.

- Jasne, agent od zadań specjalnych - mruknęłam pod nosem, uśmiechając się cierpko.

- I tak zrobiłem, aczkolwiek nie tylko dlatego, że dostałem taki rozkaz - ciągnął dalej, jak gdyby nie słyszał mojej uwagi. - Byłem też ciekawy, jaka jesteś, w końcu obserwowałem cię od dłuższego czasu. Wydawałaś się inna niż wszystkie poprzednie... I bynajmniej nie było to z zemsty, jak twierdzi Jacek - spochmurniał. - Raczej z ciekawości. I z sympatii. A potem zaangażowałem się bardziej, niż chciałem.

Spojrzałam na niego ironicznie.

- Jasne, powaliłam cię swoim urokiem osobistym.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział poważnie. - I postanowiłem się wycofać.

- Wycofać się? - uniosłam do góry brwi.

- Tak. Po naszym wspólnym wieczorze na Kazimierzu powiedziałem Bogusiowi, że się wycofuję. Nie potrafiłem być obiektywny. Nie dzwoniłem do ciebie przez kilka dni, bo musiałem się nad wszystkim zastanowić. I nie chodziło tu bynajmniej o Renatę. Chodziło o ciebie, Rusalko. Chciałem ci o wszystkim opowiedzieć, ale zabroniono mi dzielić się z tobą jakimikolwiek szczegółami dotyczącymi śledztwa. A kiedy przyszedłem do ciebie tamtego wieczoru, zadzwonili, że w twoim mieszkaniu jest Jacek. Chyba nie zaprzeczysz? Założę się, że był w łazience.

Zrobiło mi się głupio.

- Skąd wiesz?

- Przecież policja знаła każdy jego krok...

- Tylko mi nie mów, że macie kamery zainstalowane w mojej łazience. Uśmiechnął się błado.

- Gdybyś mi wtedy powiedziała o Jacku, o krasnalu, to wszystko byłoby inaczej. Ale nie powiedziałaś. Boguś utwierdził się w przekonaniu, że masz coś na sumieniu, a ja postanowiłem dalej ciągnąć sprawę.

- Aha, więc teraz to wszystko moja wina!? - zapytałam prowokacyjnie.
- Faceci! Wszyscy jesteście tacy sami!

- Nie mówię, że twoja, ale nie ułatwiłaś mi sprawy. Zresztą nikomu - dodał z cieniem uśmiechu. - Po prostu szkoda, że nie byłaś wtedy szczerą.

- Ja nie byłam szczerą!? Przyznaję, nie powiedziałam ci o Jacku w łazience, ale ty ukryłeś przede mną wszystko! To ty mnie w to wszystko wpakowałeś! - oświadczyłam, tracąc panowanie nad sobą. Irracjonalno-emocjonalna strona mojej osobowości zaczynała dominować nad zdrowym rozsądkiem.

- Nie, moja droga, sama się w to wszystko wpakowałaś. Gdybyś nie schowała krasnala, nie byłoby całej sprawy, a ja już dawno o wszystkim bym ci opowiedział!

- Taak... - zamyśliłam się, pacyfikując swoje dziecinne pragnienie rzucenia winy na tego, co siedzi obok. - No bo widzi pan, panie Bond, jak to ze mną jest? Zawsze się wplątam w jakieś tarapaty, w jakieś toksyczne związki. Miał być romans zakończony pocałunkiem i happy endem, a zrobił się z tego jakiś marny kryminał. Nasza historia to taki... romans z trupem w tle, a takie rzadko dobrze się kończą - spojrzałam na niego z żalem.

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Wziął mnie tylko za rękę i uściśnął mocno, a ja, żeby ukryć łzy, podniosłam do ust kieliszek. Nic nie jest takie, jak się wydaje.

Po chwili milczenia Jerzy dodał jeszcze:

- Szkoda, że poznaliśmy się w takich, a nie innych okolicznościach. I nie mogę sobie darować, że dowiedziałaś się wszystkiego właśnie od Jacka, i to w taki sposób. Bo to wszystko nie tak.

Zabrałam rękę.

- Nie tak? A jak? - zapytałam, patrząc mu prosto w oczy.

Wytrzymał moje spojrzenie. W jego oczach widziałam wyraźnie, że chciałby mi to jakoś wyjaśnić, chciałby zaprzeczyć, że kierowały nim takie, a nie inne pobudki, ale nie do końca potrafił. Pewnych rzeczy po prostu zmienić się nie da. Można żałować, można przepraszać. Ale nie można zmienić.

- Wiesz, Jerzy, ja to wszystko doskonale rozumiem - oświadczyłam nagle, czując wielkie znużenie. - Ja rozumiem i... wybaczam, i... przepraszam. Ale dalej czuję się oszukana. I chcę o wszystkim zapomnieć, znaleźć

sobie jakiegoś miłego, rozsądnego chłopca, który nie biega z pukawką po nocy ani nie udaje kogoś, kim nie jest. Może księgowy by się nadał? Jak myślisz?

Poczułam się lepiej. Widziałam na jego twarzy malujący się żal i sama się zdziwiłam, jak potrafię być okrutna.

- Związki zawsze opierałam na zaufaniu. - Zastanowiłam się przez chwilę. - No i na pociągu fizycznym, rzecz jasna. Ale jeśli brakuje zaufania, to choćby na widok mężczyzny mój biust sam wyskakiwał ze stanika, nic z tego nie będzie. Rozumiesz? A ja nie potrafię ci już zaufać. - Dopiliśmy swoje martini i wstałam. - Nie wiem, czy jakimkolwiek facetowi będę w stanie zaufać po tych ostatnich dwóch tygodniach. Choć, jak to ktoś niedawno powiedział, trzeba szybko uwolnić się od przeszłości, żeby ta nie zdążyła nas zniszczyć.

Uśmiechnęłam się ironicznie, ale z żalem spojrzałam w jego smutne oczy. Błękit letniego poranka miał w sobie zapowiedź jakiejś katastrofy.

- I grunt to się nie przejmować, panie Bond. Nie każda misja się udaje. A jeśli chodzi o kobiety, to proszę mi wierzyć, niejedna chętnie pana pocieszy.

Nawet znamy taką jedną. Marlina ma na imię - syknął mi w głowie chochlik.

Jerzy nie przerwał mi ani razu. Jakby wiedział, że w takich chwilach kobiecie się nie przerywa, bo można drogo za to zapłacić. Poważnym uszczerbkiem na zdrowiu.

Wyszłam, nie odwracając się. Pograżona w ponurych rozmyślaniach, nawet nie zauważyłam, kiedy po moich policzkach zaczęły spływać Izy. Miałam wielką nadzieję, że wybiegnie za mną, będzie się starał mnie przekonać, że zaczniemy się szarpać, bić, a potem rozbierać. Wiedziałam jednak, że tak się nie stanie. On najzwyczajniej w świecie zrozumiał. Zrozumiał. Boże, gdyby oni częściej rozumieli, to życie byłoby bajką.

ROZDZIAŁ 46

Wsiadłam do taksówki i nie myśląc długo, kazałam się zawieźć na ulicę Pawią.

Już ja sobie porozmawiam z tą wróżką od siedmiu boleści. To wszystko jej wina! A poza tym musi mi przecież powiedzieć, kim jest ten drugi trup! Musi! Mam dość zwłok, policji i kryminału.

Kiedy rozmyślałam, w jaki sposób potraktować ową czarnowidzącą jaśnowidzkę, mój biust zaczął podskakiwać gwałtownie w rytm znanej wszystkim melodii z *Janosika*. Taksówkarz miał dosyć zdziwioną minę, ale ja tylko uśmiechnęłam się uroczo.

- To taka moda. Staniki z kieszonką na komórkę, bardzo praktyczne. Wie pan, jak ludzie kradną ... - wyciągnęłam szybko telefon z biustonosza.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że tkwił tam cały czas. Przez chwilę zastanawiałam się, czy jeszcze komuś zdarzyło się zrobić sobie na pierśiach odciski telefonem komórkowym. Zaraz potem odebrałam.

- Agnieszka? Justyna mówi... - głośny bełkot.

Musiałam odsunąć ucho.

- Cześć - odparłam zdziwiona, ponownie przykładając słuchawkę do ucha. - Wszystko w porządku? Martwiłaś się o mnie?

- Nie! - usłyszałam jej wściekły głos. - Ja tego w ogóle nie rozumiem! Ten Wiesław to jest świnia!

- Jak to? Dlaczego?

Usłyszałam zgrzyt zębów.

- Słuchaj, *ma chérie*, patrzył na mnie jak cielę na malowane wrota, czy nie?

- No tak - przyznałam, przygryzając wargi. - No i?

- Miałam prawo myśleć, że się zadurzył w mojej osobie, no nie?

- No tak. No i?

- No i zaprosiłam go na kawę. A on mi powiedział, że nie może, bo idzie z taką jedną do kina! Z jakąś Bożenką!!! Wyobrażasz sobie!? Jak można w ogóle mieć na imię Bożenka!?

Z trudem powstrzymałam śmiech.

- Słuchaj, Justyna, przecież ty go nigdy nie traktowałeś jak potencjalnego chłopaka.

W telefonie zbulgotało.

- Co!?! A pytał się mnie ktoś!? Co ty, w myślach czytasz, *ma chérie* ?

- No, nie. A Arek? - zapytałam niewinnie, delektując się jej wybuchem.

Zimna i powściągliwa Justyna robi scenę zazdrości! Głos zaciął się na chwilę.

- Przecież z nim to nigdy na poważnie nie było. A poza tym powiedział mi, że chyba jednak zostanie gejem. Niech ich wszystkich...!

- Może powinnaś wspomnieć Wiesiowi, że też byś się chętnie wybrała z nim do kina, co? - zasugerowałam.

- No, co ty! Ja mam faceta na randkę zaprosić!? W całym moim życiu nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się tak nisko upaść, *ma chérie*! - oświadczyła z godnością i wyłączyła się.

Kiedy dojechalśmy pod zrujnowaną kamienicę, w której znajdowała się dziupla *Madame* Klary Widzącej i jej pechowego kota, kazałam tak-sówkarzowi poczekać, a sama przedarłam się przez zasypane śniegiem podwórko. Po chwili dotarłam do znajomych odrapanych drzwi i wpatrywałam się z niepokojem w numer trzynaście.

Wejść czy nie wejść? Wejść czy nie wejść? A jak mnie znowu kot napadnie? Ale z drugiej strony, i tak gorzej już być nie może... A jeśli może?

Kiedy tak stałam, zastanawiając się, co zrobić, drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich *Madame* Widząca we własnej osobie. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- Czekam i czekam, aż pani wejdzie, i nie mogę się doczekać.

Przelknęłam ślinę i weszłam za nią do środka.

- Skąd pani wiedziała, że tu stoję? - zapytałam słabym głosem i rozejrzałam się dookoła. Kota nie było widać. - Miała pani wizję? - wyszeptalam.

- Widziałam, jak wysiadała pani z taksówki. - Roześmiała się chrapliwie. - Czemu zawdzięczam pani wizytę?

Zaczęłam się zastanawiać, po co ja właściwie do niej przyjechałam. Przecież to absurd!

- Pewnie chce mnie pani obwinie za wszystkie pani kłopoty, co? - zasugerowała ponuro. - Na co pani czeka? Ja jestem przyzwyczajona do tego typu traktowania, proszę mi wierzyć. To ta nieprzyjemna strona mojego zawodu. A wie pani, ile ja listów z pogrózkami dostaję? Telefon musiałam już dawno zlikwidować. Choć i tak nie było mnie stać na rachunki. - Usiadła na rozklekotanym krześle i utkwiała we mnie wzrok. - Słucham, o co chodzi?

- Ja... właściwie to chciałam się dowiedzieć... kim jest ten drugi trup, którego pani mi wywróżyła? - zapytałam zrezygnowana.

Madame Klara nie odrywała ode mnie wzroku. Jej oczka, małe i świrdujące, zdawały się czytać w moich myślach jak w otwartej księdze.

- Jeśli pyta pani o drugiego trupa, to znaczy, że pierwszy się już pojawił?

- Tak jakby... - oświadczyłam niepewnie i wzdrygnęłam się na samą tylko myśl o martwej motylicy.

Wróżka uśmiechnęła się z dumą.

- Ależ ja jestem utalentowana! Stara, ale jara - mruknęła do siebie zadowolona, po czym zwróciwszy się do mnie, oświadczyła zdecydowanie. - Droga pani, czego pani chce? Żeby nazwisko podała? Wam wszystkim się w głowach poprzewracało! - westchnęła i popukała się w czoło.

- Ale... - zaczęłam się jąkać. - Bo gdyby... chociaż małą wskazówkę mi pani dała, to ja mogłabym kogoś ostrzec, może pomóc? Bo pani miała rację we wszystkim.

Madame Klara zaczęła się śmiać.

- Dziewczyno, czy tobie się wydaje, że jesteś w stanie zmienić przeznaczenie?! To przecież nie działa na zasadzie: odstawisz alkohol i papierosy, to pożyjesz dziesięć lat dłużej! Wypadki chodzą po ludziach i tyle!

Ludzie przychodzą do mnie po radę, po jakieś wróżby, a potem mają pretensje, że wszystko się sprawdza albo że się nie sprawdza, albo że nie potrafię zapobiec czemuś niedobremu, że coś nie wychodzi. Na duszę Pechowca, o ile ją posiada! Jaką ja mam niewdzięczną pracę!

- To może chociaż spojrzalaby pani jeszcze raz na moją rękę i upewniła się, czy nic więcej nie widać? - powiedziałam błagalnym tonem.

Pokiwała głową zrezygnowana i kazała mi podejść. Chwyciwszy moją dłoń, zaczęła się jej niechętnie przyglądać.

- Wszystko wygląda w porządku - zamruczała. - Pech się kończy, trupów żadnych nie widzę. Tylko bruneta - podniosła wzrok. - Bruneta wieczorową porą widzę.

- Mam film obejrzyć czy jak? - zapytałam głupio.

Puściła moją rękę.

- Proszę już iść i nie zabierać mi czasu. Nie widzę już więcej żadnych trupów. Może się przedtem pomyliłam? Matematyka nigdy nie była moją mocną stroną.

Matematyka!? Przecież dwa trupy a jeden to nie jest jakaś zaawansowana matematyka!

- Poza tym co za różnica? Ma pani już swojego trupa, proszę się uspokoić i jechać do domu. Wszystko będzie dobrze - powiedziała, bynajmniej nie uspokajająco.

Widząc mój powątpiewający wzrok, wskazała kąt pokoju. Tam, na zawalonej śmieciami kanapie, spał w najlepsze gigantyczny rudy kot.

- Widzi pani? Już pani nie działa na Pechowca. Proszę iść. Aha - powiedziała jeszcze, wskazując znacząco na pustą puszkę po piwie - wolne datki zbieram. Na kryształową kulę. Optyczny model...

Wrzuciłam, co miałam, i nie oglądając się już za siebie, wyszłam. Z ulgą zamknęłam za sobą stare skrzypiące drzwi i kazałam taksówkarzowi odwieźć się do domu.

Czekał na mnie zaskakujący widok. Zastałam Justynę pochłaniającą góry kanapek z nutellą. Siedziała w kuchni, w stroju *topless*, w czarnych bokserkach, mających zapewne symbolizować żalobę po Wiesiu. Stanowczo

to nie był jej dzień. Mój zresztą też nie. Wyciągnęłam worek z lodem, przyłożyłam go sobie do nosa i zaczęłam mówić. Po godzinie opowieści kryminalnych moja ciekawość wzięła górę i odważyłam się zapytać:

- A co z twoją dietą? Pokaz masz, pamiętasz?

- Mam w dupie pokaz. Nie mam zamiaru się więcej odchudzać. - Zajęła się smarowaniem kolejnej kanapki. - Rzucam to wszystko!

Oczy zrobiły mi się wielkie jak talerze.

- No, co tak na mnie patrzysz, *ma chérie*! Deprechę mam.

- Ja też - westchnęłam ciężko.

Zwierzyłam się Justynie z moich miłosnych przeżyć i emocjonalnych rozterek. Ta wydeła wargi i oświadczyła:

- Przynajmniej facet cię nie zostawił dla jakiejś... Bożenki - poprawiła niecierpliwie włosy, które w nieładzie spadały jej na oczy.

Właściwie po raz pierwszy, odkąd zamieszkała pod moim dachem, nadawałyśmy na tych samych falach.

- Faceci są okropni - powiedziałam, częstując się kanapką.

- Ohydni!

- Kłamcy!

- Hipokryci! - poparła mnie, zajądając czwartą. - Wszyscy oczy wybałuszają na modelki, a umawiają się z jakimiś tłustymi Bożenkami z kółka różańcowego. Gdzie tu sens? Gdzie logika?

- Oszukują!

- Gryzą!

Rzuciłam jej zdziwione spojrzenie, ale tylko wzruszyła ramionami.

- To dlaczego tak nam na nich zależy, *ma chérie*!

- Miłość? - rzuciłam od niechcenia.

- Miłość!? W dzisiejszych czasach miłość jest jak najbardziej *passé*.

Poza tym ja i tak nie wierzę w miłość! Zresztą, czy można kochać faceta, który wygląda jak seryjny morderca!? A tak w ogóle to zaraz wychodzę. Nie mam zamiaru gryźć poduszki! Miłość? Też mi coś! A co to w ogóle jest?

Zapadła cisza. Przeżuwałyśmy chleb, zastanawiając się nad tym magicznym słowem, które ma tyle znaczeń, ile jest ludzi na tym padole łez.

ROZDZIAŁ 47

Obudził mnie mój własny głos:

„Tu Agnieszka Rusałka. Nie mogę w tej chwili podejść do telefonu...”
Spojrzałam na budzik i przetarłam oczy. Trzecia czterdzieści.

Kto u licha dzwoni o takiej porze? Może coś się stało? Ogarnął mnie nagły lęk. Może mama zachorowała? Albo...

„Witaj, Rusałko - usłyszałam jego ciepły głos. Znieruchomiałam. - Nie mogę spać. Zastanawiałem się nad tym wszystkim, co się wydarzyło. Nad tym, kim jestem, jakie błędy popełniłem... Pomyślisz pewnie, że mi się coś przestawiało...” - Roześmiał się jakoś smutno.

- No, całkiem możliwe - warknęłam bezlitośnie do telefonu. - Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Byłam wściekła na niego, że po tym wszystkim jeszcze dzwoni do mnie, i wściekła na siebie, że po tym wszystkim dalej mogłabym go słuchać bez końca. Desperacja robi swoje...

„Przed chwilą słyszałem w radiu *The Last Night of the World*... Przypomniałem sobie nasz wieczór na Kazimierzu i... chciałem ci powiedzieć to, czego wtedy nie powiedziałem i czego pewnie nie będę miał już okazji powiedzieć ci osobiście... - Przygryzłam wargi. Jakoś tak ckliwie zaczęło mi się robić. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że gdyby to była ostatnia noc w moim życiu, to chciałbym ją spędzić właśnie z tobą. - Łza potoczyła się po moim policzku. - Patrzeć na ciebie, trzymać cię za rękę... Ale to dla ciebie nic nowego, prawda? Wiesz o tym doskonale. I powiem ci tylko, że jeśli dzięki temu wszystkiemu miałem spotkać ciebie, to niczego nie żałuję. Uwierz, potrafię czuć tak jak i ty... Ja też mam swoje lęki. Mnie też ktoś skrzywdził. Trudno jest zaufać. Ale gdyby to była ostatnia noc w moim życiu, ty byłabyś wszystkim, czego bym potrzebował... Tęsknię za tobą”.
Klik.

Cisza.

Przerażliwa cisza.

Lzy ciekły mi po policzkach, jedna za drugą.

- Ty... - zwróciłam się wściekła do telefonu, jakby to on był wszystkim winien. - Jak śmiesz jeszcze do mnie dzwonić? Ty zdrajco. Padalec. Świnia... Baran... - Nagle poddałam się. - Ja też za tobą tęsknię. Jak idiotka jakaś.

Położyłam się i zamknęłam oczy. W głowie jak drzazga tkwił obraz Jerzego.

Wygląda na to, że jego też wzięło - rozmyślałam z satysfakcją, przewracając się z boku na bok. - Niech cierpi, tak jak ja! Ale z drugiej strony... - Podniosłam się z łóżka. - Może on faktycznie nie do końca z zemsty?

Położyłam się znowu. Myśli, jak natrętne muchy, nie dawały się odgonić. Wstałam i wyjrzałam przez okno. Miasto pograżone było we śnie, a księżyc miał dziwną obwódkę, jakby za dużo wypił.

Zaraz, zaraz - zmroziła mnie nagle pewna myśl.

Włączyłam jeszcze raz sekretarkę. Słuchałam jego ciepłego i straszliwie smutnego głosu. „Ostatnia noc w moim życiu...” Rany boskie! A jak on chce popełnić samobójstwo!? Nie... Niemożliwe. A jeśli? To nie w jego stylu. A jeśli się upił? Albo ma depresję? Każdy może mieć napad depresji, a on sporo przeszedł ostatnio. Matko jedyna! A drugi trup!? Tylko nie drugi trup! Tylko nie on!

Rzuciłam się do telefonu. Zadzwoić? Nie! Tak! Szybko wykręciłam numer.

„Nie ma takiego numeru” - powiedziała śpiewnym głosem pani w słuchawce.

- Jak to nie ma!? - wrzasnęłam i wykręciłam numer na komórkę.

„Abonent czasowo niedostępny”.

- Nie chce się wam pracować!? - wyzywałam się na miłym panu, który skwitował moje krzyki beznamiętnym: „Proszę zadzwonić później”.

- To znaczy kiedy!? - miotalam się, nie bardzo wiedząc, co robić.

Przestałam racjonalnie myśleć. Wezwałam taksówkę.

- Zielony ford, będzie za pięć minut - usłyszałam zaspany głos.
- Proszę pana, nie za pięć minut, ja potrzebuję taksówki w tym momencie, a nie za pięć minut! To sprawa życia lub śmierci! - nakrzyczałam do telefonu i rzuciłam słuchawkę. Ubrałam kozuch na koszulę nocną i wybiegłam z mieszkania. Na klatce schodowej wpadłam na Justynę, która wracała z klubu. Spojrzała na mnie zaniepokojona i mruknęła do siebie:

- Jutro nie piję. Zaczynam mieć przywidzenia.

Chwyliłam ją za rękę. Spojrzała na mnie z ulgą.

- Dokąd to? Umarł ktoś?

- Jedź ze mną - błagałam.

Wsadziłam ją na siłę do taksówki i zaczęłam opowiadać piąte przez dziesiąte, nie zwracając uwagi na dziwne spojrzenia taksówkarza.

- To jak... - Justyna ziewnęła. - Dlaczego odebrałaś telefon? Przecież miałaś z facetem do końca życia nie rozmawiać.

- Nie odebrałam, tylko słuchałam, jak się nagrywa na sekretarce.

- I powiedział, że się zabije...

- No, nie. Niezupełnie... - wyjąkałam zdenerwowana. - Ale mówił coś o ostatniej nocy w jego życiu i... - postanowiłam nie mówić jej o drugim trupie wywróconym przez *Madame* Widzącą.

- To dlaczego nie podniosłaś słuchawki, kiedy mówił? - Justyna jak zwykle czepiała się szczegółów.

- Bo... nie chciałam z nim rozmawiać.

- To trzeba było podnieść słuchawkę i powiedzieć mu, żeby spadał.

- Przecież nie chciała z nim rozmawiać! - wtrącił się taksówkarz. Mruknął do mnie okiem.

- A poza tym tak ładnie mówił... Nie chciałam mu przerywać - spojrzałam błagalnie na Justynę.

Uśmiechnęła się cynicznie jak zwykle.

- Jesteś beznadziejnym przypadkiem, *ma chérie*. Sorki, ale uważam, że cała ta historia to jakaś totalna porażka.

Odwróciłam głowę. Niech mówi, co chce, byle tylko zdążyć! Kiedy dojechaliśmy na miejsce, wypadłam jak szalona z taksówki i pobiegłam do drzwi. Za mną, ziewając niemiłosiernie, szła Justyna, a za nią z kolei

zaintrygowany taksówkarz. Zadzwoiłam domofonem. Jerzy miał wyłączony dzwonek. Zaczęły mi się trząść ręce.

- To co teraz? - rzuciła ironicznie Justyna. - Rzucamy kamieniami w okno?

Taksówkarz uśmiechnął się z wyższością, zacierając ręce:

- Mają panie szczęście. Mój znajomy tutaj mieszka. Kiedyś był tu nawet dozorcą.

Z pewną miną zadzwonił pod numer jeden. Po dłuższej chwili usłyszeliśmy zaspany głos:

- Czego tam, kurwa? Czwarta rano jest!

Taksówkarz chrząknął niepewnie.

- Cześć Edziu, tu Ziutek mówi.

- Co ty, Ziutek, pojebało cię czy co?

- Słuchaj, stary... - taksówkarz był mocno zakłopotany – mam tu dwie panie, które muszą się dostać do mieszkania na trzecim piętrze i nie mają klucza, otworzyłbyś nam?

Przez chwilę panowała cisza, po czym głos zamruczał:

- Czegoś od razu nie mówił, że kobiety masz z sobą? Proszę...

Na dźwięk otwieranych drzwi rzuciłam się do środka i pognałam na górę. Minęłam zasnętego pana Edzia w pasiastej pidżamie, który uśmiechał się przepraszająco. Stałam przed znajomymi drzwiami. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Przyłożyłam ucho do drzwi. Cisza.

- No i co? Jakies agonalne jęki? - usłyszałam cyniczny głos Justyny.

Odwróciłam się. Wszyscy troje stali tam w rzędku i wpatrywali się we mnie z zaciekawieniem.

- Edek jestem, rączki całuję - szarmancko szurnałam nogami znajomy taksówkarza i pokazał mi kartkę z numerami wszelakich służb ratowniczych.

- To na wszelki wypadek, wszystko pod kontrolą - powiedział uspokajająco. - Słyszać coś?

- Nie - wyjąkałam. - A co ma być słyszać?

Zapukałam. Najpierw delikatnie, a potem głośniejsze. Przyłożyłam ucho do drzwi. Cisza. Zaniepokojona, zaczęłam stukać coraz mocniej, aż w końcu pan Edzio złapał mnie za rękę i powiedział:

- Pani przestanie, bo tylko pobudzi sąsiadów. Proszę to zostawić mnie. Wie pani, ile ja drzwi do różnych mieszkań swego czasu otwierałem? Jako dozorca ma się rozumieć. Tylu ludzi zatrząskuje albo gubi klucze - mówił, wyciągając z kieszeni pidżamy jakiś drucik. Pokazał go wszystkim z dumą. - Wziąłem na wszelki wypadek. A kiedyś jedna pani zatrzasnęła w mieszkaniu trupa. A tu ksiądz czeka ze świtą. To było dopiero! Ale okazało się, że trup miał tylko zapaść i jak otworzyłem drzwi, to zaczął dychać i zawodzić strasznym głosem. Najpierw egzorcyzmy odprawiali, ale przyjechał lekarz i wszystko się wyjaśniło - opowiadał, dłubiąc jednocześnie w zamku.

Po jakiejś minucie drzwi otworzyły się z lekkim zgrzytem.

- I gotowe! - powiedział z dumą pan Edzio. - Proszę przodem. Ja nie chcę zostać oskarżony o naruszenie prywatnej własności. Przeszłość mam. Zrobiłam pierwszy krok w ciemność.

- Pewnie śpi - mruknęła za mną Justyna, ale jej też udzieliła się atmosfera niezdrowej ciekawości, jaka przywiodła tutaj dwóch towarzyszących nam panów.

Weszłam do przedpokoju. Reszta czekała za drzwiami, wodząc za mną niespokojnie oczyma. Wszędzie było cicho. Pokój oświetlało jedynie światło księżycy, które, wpadając do środka przez rozsunięte zasłony, rozprasało się na stojącej na stole pustej butelce.

- Jerzy! - zawołałam niepewnie. Odpowiedziała mi martwa cisza.

Skierowałam się prosto do sypialni. Miałam takie dziwne wrażenie, jakbym patrzyła na siebie z góry, z zupełnie innej perspektywy. Z sercem w gardle otworzyłam drzwi. Zobaczyłam majaczące w ciemności kontury sprzętów i leżącą na łóżku nieruchomo postać.

Przelknęłam głośno ślinę i oblizalam wysuszone wargi.

- Jerzy? - wyjąkałam.

Postać nawet nie drgnęła.

Tylko nie to! Rozpaczliwie starałam się ruszyć, ale nogi wydawały mi się ciężkie jak ołów. Kiedy w końcu odzyskałam w nich czucie, minęła

chyba cała wieczność. Dysząc ciężko, podeszłam do leżącego mężczyzny. Pochyliłam się nad nim i uważnie zaczęłam mu się przyglądać. Był taki spokojny.

I nagle otworzył oczy.

Odskokczyłam przerażona i wpadłam na krzesło, które z ogromnym hukiem runęło na podłogę. Jerzy zapalił światło i patrząc na mnie nieprzytomnie, ściągnął z uszu słuchawki iPoda.

Ależ ze mnie idiotka! Ale wstyd!

- Rusalka? - wyszeptał po chwili, przecierając oczy. - Czy to naprawdę ty, czy za dużo wypilem?

Miałam odpowiedzieć, że jestem senną zjawą, wytworem jego chorej wyobraźni, i uciec. Niestety, zanim zdążyłam się odezwać, do pokoju wpadła zaalarmowana hałasem cała wyprawa ratunkowa.

- Wszystko w porządku? Dzwonić po karetkę? - wydusił podniekcytowany pan Edzio, trzymając miotłę, tak na wszelki wypadek.

Wszyscy spojrzeli na Jerzego, który z bardzo dziwną miną siedział na łóżku i przyglądał się całej ekipie. Potem wszyscy popatrzyli na mnie, a ja spojrzałam na Jerzego. A na końcu wszyscy znowu popatrzyli na Jerzego, a ja spojrzałam na wszystkich. No cóż... Jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak głupio. Na szczęście tym razem Justyna wykazała się wyjątkowym taktem.

- Aleś nas nastraszyła! Bujaj wrotki, ty...! - syknęła z pretensjami i wyprosiła całą wycieczkę. Po drodze rzuciła mi jeszcze swoje cyniczne spojrzenie, a ja wiedziałam, że nie mam po co wracać do własnego mieszkania. Tam czekają na mnie tylko wieczna hańba i niekończące się szyderstwa.

Wszyscy grzecznie powiedzieli dobranoc i z dziwnymi minami zniknęli za drzwiami.

Jerzy nie ruszał się z miejsca. Patrzył tylko na mnie pytająco, a ja osunęłam się wyczerpana na podłogę. Łzy ulgi potoczyły się po moich policzkach i w sumie było mi wszystko jedno. Trudno, okazałam się kompletną idiotką. Najważniejsze, że z nim wszystko w porządku.

Wtedy dopiero Jerzy wstał, podszedł do mnie i usiadł na podłodze, tuż obok. Za blisko, żebym mogła racjonalnie myśleć. Nie żebym wcześniej praktykowała racjonalne myślenie...

- Ja... Słuchaj... Hmm... Myślałam, że... - zaczęłam wyjaśniać, płacząc się niemilosierdzie, a on uśmiechnął się do mnie tym swoim cudnym uśmiechem i otarł łzy z moich policzków.

- Ciii... - położył mi palec na ustach. - Nic nie mów. Cokolwiek zrobiłaś, opowiesz mi rano. Mam tylko nadzieję, że już wszyscy twoi znajomi wyszli, nawet nie chcą wiedzieć, skąd się tu wzięli. Najważniejsze, że ty jesteś tutaj ze mną. A jeśli jesteś tu ze mną, to znaczy, że ci na mnie zależy, prawda? - zapytał, szukając u mnie potwierdzenia.

Przytuliłam się do niego i wreszcie, po tych wszystkich dziwnych historiach i idiotycznych pomyłkach, poczułam się naprawdę szczęśliwa. Szczęśliwa idiotka, jak by powiedziała Justyna. I dobrze mi z tym było. A on zbliżył swoją twarz do mojej i popatrzył na mnie tym swoim spojrzeniem, któremu, gwarantuję, żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie byłaby w stanie się oprzeć.

- Jedno jest pewne: nie można się z tobą nudzić, Rusalko - dodał jeszcze, mrugając okiem.

I w końcu pocałował mnie, jak należy.

W usta. Namiętnie i długo.

Ale już po chwili zaniepokoiłam się. Przemknęła mi przez głowę myśl, czy aby za bardzo nie ułatwiłam Jerzemu całej sprawy. W końcu przyleciałam do niego jak pierwsza lepsza, w środku nocy, w koszuli nocnej. Matko jedyna, przecież ja nawet majtek pod koszulą nie mam!! Może byłoby bardziej... dyplomatycznie oprzeć się wszelkim namiętnościom, przynajmniej na razie? A potem się zobaczy. Czy aby nie powinnam uciec stąd i wrócić jutro, ubrana przynajmniej w odpowiednią bieliznę? Chyba wyglądam na kobietę w desperacji. Co by tatuś powiedział?

A Jerzy, jakby czytając w moich myślach, znalazł najprostszy pod słońcem sposób na rozwianie wszelkich wątpliwości.

- Chyba nie potrafię już bez ciebie żyć, Rusalko - wyszeptał, patrząc mi prosto w oczy.

Ludzie, czy ja wyglądam, jakbym postradała zmysły?